KAMILLA CHOŁONIEWSKA

Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI

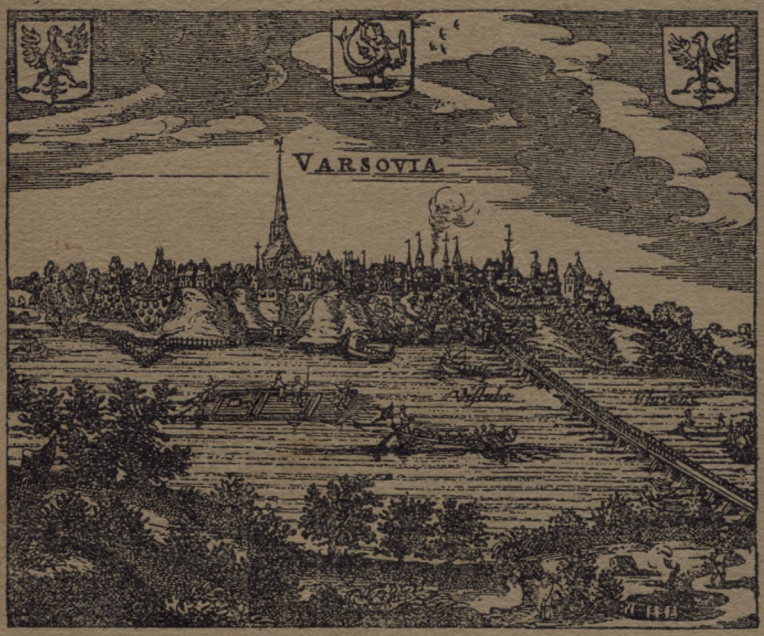

POLSKIE WYPISY HISTORYCZNE

z licznemi rysunkami

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

KAMILLA CHOŁONIEWSKA

Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI

POLSKIE WYPISY HISTORYCZNE

Z LICZNEMI RYSUNKAMI

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
CZYTELNIA
w Opolu

CM 314463

Wpisano do Księgi Akcesji
Akc. D1 nr 141 /2011/ CM

Słowiańszczyzna

z Juljana Bartoszewicza

Słowianie mieszkali w lichych, ubogich chatach po lasach i najniedostępniejszych trzęsawiskach, które dla nich były obroną przed wrogiem.

Mieli się też czego obawiać, bo w ciągu wieków, aż do tej zorzy dziejowej, w której sami wystąpili pod własnym imieniem i zaczynali tworzyć państwo, deptał po nich każdy naród, który zechciał.

Ale pomimo bierności swojej był to lud waleczny i nieustraszony w bojach. Sama powierzchowność męża słowiańskiego dawała dzielności świadectwo. Postać jego była zazwyczaj rosła i mocna, ciało zdrowe, krzepkie, cera nie nader biała, włosy ciemne: ani białe, jak u Niemców, ani czarne, jak u Greków, oczy błękitne, muskuły rozwinięte. Znosili więc lekko zimno i gorąco, niedostatek pokarmu i odzienia. Do wszystkiego Słowianie umieli się nałożyć.

Lubili pokój, długo nie znali wojennej sztuki, potrzeba dopiero nauczyła ich używania broni. Han awarski [1]), znając ich śmiałość i odwagę, zawsze stawiał Słowian na czele swego ogromnego wojska. Mieli swój własny sposób potykania

---

[1]) Awarowie, dziki naród przybył do Europy w V wieku i długo mieszkał w dzisiejszych Węgrzech. Podbił i ujarzmił wielu Słowian.

się wśród wąwozów i w miejscach błotnistych, ukrywania się w trawie, zatrważania nieprzyjaciela nagłym napadem. Uciekali do lasów i wciągali go tym sposobem w zasadzkę. Dlatego najchętniej wojowano ze Słowianami zimą, kiedy zaspy śniegowe nie pozwalały swobodnie uciekać, kiedy nagie lasy nie dawały im ochrony w zieloności i gęstwinie.

Występowali zwykle do boju piechotą, lekko przyodziani i lekko orężem opatrzeni. Pocisk lub dzida, miecz i oszczep, łuk i strzała zaprawiona jadem, służyły im do boju. Nacierali bez szyku i ładu. Odporną bronią była u nich wielka, niezbyt ciężka tarcza, zbroi nie znali. Szczególną posiadali także zdolność utrzymywania się długo pod wodą zapomocą trzcin poszytych, przez których końce, ponad powierzchnię wody wystawione, wciągali powietrze dla swobodnego oddychania. Nareszcie mieli wiarę w męstwo swoje.

A jednak i pomimo tej waleczności swojej, był to lud dobry, serdeczny i gościnny. Nie znali Słowianie obłudy, złości i zdrady; zachowywali starą ojców w obyczajach prostotę. Łagodni, uprzejmi, celowali zwłaszcza i słynęli gościnnością.

Kupcy i rzemieślnicy chętnie przebywali wśród Słowian, nie lękali się ani rozboju ani kradzieży. Ludzkość ta rozciągała się nawet na jeńców wojennych. Naznaczali im zwykle Słowianie czas niewoli, a po upływie dni przepisanych, wolno było jeńcom wykupić się i powrócić do ojczyzny, albo osiąść wśród Słowian na prawach swobody i braterstwa. Dostawali wtenczas dom, rolę i wcielali się do obywatelstwa.

Drzwi zawsze otwarte świadczyły o gościnności. Nie znali Słowianie ani skrzyń, ani kluczów. U bogatszych Słowian stoły były zawsze nakryte. Każdy gospodarz miał osobną izbę jadalną, zastawioną różnym jedzeniem i napojem, którego nigdy nie brakło. Od obfitości kraju zależało bogactwo takiej zastawy. U Pomorzan znajdowała się wszelkiego rodzaju zwierzyna: jelenie, bawoły, dzikie konie, dziki,

niedźwiedzie i wszelkiego rodzaju jarzyn obfitość. Sady dostarczały owoców.

Miód był ulubionym Słowian napojem; niecili go naprzód z plastrów dzikich pszczół leśnych, a później umyślne pasieki zaprowadzać zaczęli przy swoich mieszkaniach. Podobała się ta nowa gałąź gospodarstwa tak bardzo Słowianom i pasieki tak się upowszechniły, że stały się prawie cechą naszych ojców narodowości. Gdzie zastawiano miód u stołu, tam byli pewno Słowianie. A pili go z rogów wołowych lub bawolich, które w rzeźbę, albo w drogi kruszec zdobili. Na rogach także grali, ale więcej muzykalnym narzędziem była gęśl narodowa, sławna po całej ziemi słowiańskiej.

Pożycie domowe w rodzinie przedstawiało obraz czysto patryjarchalny. Ojciec był królem w rodzinie, uznawanym przez świętość obyczaju, łagodnym, wyrozumiałym, dobrym jak patryjarcha. Niewiasty miłość ku mężom do tego posuwały stopnia, że owdowiawszy, nieraz odejmowały sobie życie, to jest wstępowały na stos dobrowolnie po ich śmierci. Uderza to tymbardziej, że mnogożeństwo bywało w zwyczaju. Zdaje się, iż wiara była, że mężczyzna prędzej dostępuje rozkoszy w przyszłym życiu, jeżeli przechodzi na drugi świat w towarzystwie niewiasty. Obyczaje Słowian były niewinne i czyste. Niewiasta nie była w uniżeniu, jak gdzieindziej, owszem poważano ją, jako matkę rodziny.

Słowianie jednego czcili tylko Boga, najwyższego Stwórcę wszech rzeczy, niewidzialnego, wszechmocnego, który wszystkim władał w niebie i na ziemi. Rozmaicie go w różnych stronach nazywali. Bóg, inaczej Belbóg, to jest Bóg biały, rozdawca dobra i światła; Jesse, czyli ten, który jest, Światowid, Rodegast, były to nazwiska jednego Boga, ale każde inaczej brzmiało, stąd rodziło się mniemanie o wielorakim bóstwie Słowian.

Przypuszczali Słowianie byt duchów. Były to oczywi-

ście istoty niewidzialne, dobroczynne lub niegodziwe, podług swojej natury. Snuły się po wszystkich krajach, okolicach i lasach, panowały nad wodami, rzekami, nad ludźmi i ziemią. Duchy te miały coś boskiego, uzyskiwały poszanowanie i cześć. Rosły więc łatwo i mnożyły się przesądy i zabobony, to jest wymyślali Słowianie różne obrzędy dla uczczenia dobrych duchów, różne sposoby dla ustrzeżenia się od złych, od szkodników, które umyślnie się taiły, ażeby wyrządzać ludziom przykrości.

Wielka przestrzeń, którą Słowianie zajmowali, starcie się z ludami nowemi, zresztą sam bieg wieków, wytwarzały wśród nich różnice tak cywilizacji, jak i wierzeń. Wiele się zmieniło z czasem. Ale w pierwszej dobie historji, lud to jak jednego języka, tak i jednych pospolicie pojęć.

Przyroda dawnej Polski

z Długosza.

Lach znalazszy kraj obszerny, z powodu mnogich puszcz, gajów i borów nieprzebyty, stepami i odłogami, gdzieniegdzie rozciągającemi się bez granic, dziko zaległy, ożywiony spławem licznych jezior i strumieni, rolę przytym mający płodną, kraj w powszechności zimny i mroźny, w nim osiadł i za wieczyste sobie i potomkom swoim dziedzictwo go przeznaczył. Twory bowiem żywotne, tak jako i rośliny, snadniej wytrzymują największe zimno, niż zbytek gorąca i upału. I dlatego Europa, chociaż zimowemi ściśnięta mrozami, łatwiejsza jest do uprawy i dogodniejsza ludziom na mieszkanie, niż Afryka, wrząca skwarem słonecznym; bowiem i przyroda więcej ma tu swobody i łagodność nieba, połączona z przemysłem mieszkańców, którzy od zimna ogniskami i piecami się zabezpieczają, sprawia, iż ta część ziemi najwięcej jest zaludnioną.

Polska kraina obfitująca w zboże, ponętna owocami, wielością ryb i smacznego nabiału, słynna zwierzyną, zamożna w bydło i trzody, miodonośne pasieki, stada koni i rozliczne ptactwo, bogata w żelazo i ołów, wosk i masło, acz gdzieniegdzie uprawie ziemi odpowiada urodzaj bardziej wymuszony, niż dobrowolny, kraina lesista, a stąd obfitująca w bydło i trawy,—grunt ma w wielu miejscach jałowy i nieużyty, z przyrodzenia niepłodny, ale okryty lasami i rozmaitego rodzaju drzewiną, przygodny już-to na pasieki, już na pastwiska dla bydła i nigdzie nie próżnujący. Wina i oliwy kraj ten z powodu ostrego północnego zimna nie ma; zamiast wina używa piwa, które robią z żyta, pszenicy i jęczmienia albo orkiszu. Jest miejscami i ziemia tłusta, a gdzieniegdzie piasczysta, borowa, stepowa i nieurodzajna. W sól zaś tak dalece obfituje, że jej w bałwanach więcej wydobywają, niżeli warzą.

Tęga od śniegów i lodem oślizgła, ale zdrowa dla przystępności powietrza i przewiewów wiatrów. Trzęsienia ziemi, których inne kraje doznają, tak, iż miasta i wsie w ruinach się grzebią i góry na pował upadają, równie jak i powodzie, są tu prawie nieznane, lub bardzo rzadko, jak nadzwyczajne wydarzają się zjawiska. Zboże wszelkiego rodzaju daje się przechowywać przez długie lata i czasy, nie psując się bynajmniej, kiedy w sąsiednich i pogranicznych Węgrzech, dłużej nieco nad rok potrzymane, robaczywieje. Ma też Polska i siarki kopalnie, acz nie bardzo obfite i przejęte hałunem. Wód jednak z przyrodzenia ciepłych nie wydaje.

Polska w czasach przedhistorycznych

z Feliksa Konecznego.

Ziemie dawnej Polski były niegdyś, za prastarych czasów, po większej części zupełnie puste, niezamieszkałe. O ile

nauka te sprawy zbadać zdołała, wiemy napewno zaledwie o czterech prastarych gniazdach słowiańskiego zaludnienia: koło Krakowa, pomiędzy wsiami Ojcowem a Mnikowem, — około jeziór Lednicy i Gopła w Wielkopolsce, — przy ujściu Wisły, — i nad Wisłą powyżej Warszawy. Z tych czterech gniazd powstała dzisiejsza gęsta ludność całej Polski. W miarę wzrostu ludności rozchodziło się osadnictwo na wszystkie strony, na dalsze okolice, a to wzdłuż biegu rzek, bo one były pierwotnie jedynemi drogami.

Z czasem powstało na ziemiach późniejszego państwa polskiego pięć ludów: Pomorzanie, mieszkający nad morzem Baltyckim, Polanie w okolicach Gopła, Mazowszanie nad średnim biegiem Wisły, Wiślanie na południe od Mazowszan i Lachowie pomiędzy Wisłą, Sanem a górami Karpatami. Osadnictwa ich nie stykały się z sobą bezpośrednio przez długie czasy, oddzielone od siebie znacznemi przestrzeniami pustemi, które dopiero stopniowo i zwolna zapełniały się, w miarę wzrostu ludności.

Sposobów do życia dostarczało łowiectwo, bartnictwo leśne, rybołówstwo i hodowla bydła; rolnictwem niewiele się jeszcze trudniono. Tamte zajęcia były łatwiejsze i pozostawiały więcej swobody, ale wymagały za to znacznych przestrzeni. Ta sama ilość ziemi, która wystarczy na wyżywienie pewnej ilości osób z rolnictwa, nie może wystarczyć, żeby je wyżywić z łowów lub pasterstwa; to też za owych dawnych czasów następowało przeludnienie o wiele szybciej, niż dziś. Młodzież musiała więc ruszać dalej w świat, szukając sobie nowych siedzib.

Odkąd osadnictwa ludów polskich tak się do siebie zbliżyły, że już poczęły z sobą sąsiadować, od tego czasu poczyna się też walka o ziemię, próby, czyby się sąsiadom części jakiej wydrzeć nie dało. Skutkiem tego odgrodził się też lud od ludu, a nawet pokolenie od pokolenia granicą sztuczną a obronną.

Każde plemię organizowało się na podstawie rodowej. Ród jest zawiązkiem pożycia społecznego. Władza ojcowska jest najstarszą władzą, innej pierwotnie nie znano, ani też nawet nie potrzebowano. Była ona nieograniczoną. Dopóki żył ojciec, nie mogli synowie sami się rządzić, a także ich potomstwo podlegało władzy głowy rodu. Dorastająca młodzież, zajmując dla siebie ziemię w pobliżu, nie czyniła tego na swą osobną własność, lecz w imieniu głowy rodu i tylko na wspólną własność całego rodu. Jeżeli okolica była dookoła pusta, a obfitująca w dary przyrody, starcząca na utrzymanie nowych pokoleń, natenczas mogło powstać w sąsiedztwie bardzo wiele, choćby kilkaset rodzin, wywodzących się od tego samego przodka, a wszystkie tworząc jeden ród, pozostawały też pod władzą jednego naczelnika. Głowa rodu wyznaczał sam swego następcę, brata lub syna, i to niekoniecznie najstarszego, lecz którego za najzdatniejszego uważał.

Dopiero potrzeba obrony ziemi od napaści i zaboru sąsiedniego plemienia wytworzyła inną nową władzę. Zasieków i broń [1]) trzeba było pilnować, stać przy nich „na stróży" i wyznaczać do tego kolejno ludzi. W razie walki trzeba było mieć zdolnego do niej przywódcę i dać mu władzę również nieograniczoną, jak ojcowska, bo na wojnie karność i posłuszeństwo ślepe stanowią o powodzeniu. Wojenny taki naczelnik plemienia—to książę. Taki jest początek książęcej władzy.

Plemię zorganizowane w księstwo musiało mieć jakąś znaczniejszą warownię, w której możnaby szukać schronienia w razie najazdu, ukryć tam rodziny, przechować dobytek i mienie, a z której możnaby się też bronić skutecznie nieprzyjacielowi. W ten sposób powstały grody. Na grodzie mieszkał książę z drużyną wojenną, t. j. z zastępem zbroj-

---

[1]) Obronne miejsca w lesie.

nych, tworzących pogotowie wojenne. Przez to stawał się gród stolicą plemienia. Wszyscy musieli się przyczyniać do utrzymania grodu i to jest najstarszy podatek. Płaciło go się w naturze, t. j. własną pracą i dorobkiem, składając na grodzie przepisaną ilość futer, bydła, ryb, miodu, żeby drużyna miała pożywienie i odzież; gdy gród naprawiano, trzeba było zwieźć i ociosać drzewo, robić tam po kolei i t. d.

Władza książęca tyczyła się pierwotnie tylko tego wszystkiego, co się odnosiło i potrzebne było do obrony ziemi; w innych sprawach nie miał książę z początku żadnej władzy i wszelkie sprawy i stosunki pokojowe podlegały tylko władzy głów rodów.

Były więc równocześnie obok siebie dwie odrębne organizacje: społeczna i państwowa. Rody pozostały organizacją społeczną, a z książęcej władzy, z drużyny wojennej, z pełnienia powinności grodowych, powstała organizacja państwowa.

Księstwa te były zrazu bardzo małe, obejmujące ledwie niezbyt rozległą okolicę; potym dopiero łączyły się ze sobą sąsiednie, czasem dobrowolnie, a czasem przez przemoc księcia silniejszego. Do znacznej potęgi doszli najwcześniej książęta z grodu Kruświcy nad jeziorem Gopłem; oni złączyli cały lud Polan pod swą władzą i w tym tkwi początek państwa polskiego. Ale księstwo Kruświckie nie jest najstarsze: równie staremi są trzy grody w południowej Polsce: Wiślica, Tyniec i Kraków, wszystkie trzy nad Wisłą.

O Kruświcy i Krakowie przechowały się rozmaite podania, stanowiące t. zw. dzieje bajeczne: o Krakusie i smoku na Wawelu, o Wandzie, która wskoczyła do Wisły, o Popielu zjedzonym przez myszy i t. p. Są to bajki dziejowe, wytwory wyobraźni, powstałe też dopiero później. Pewnego wiemy tylko tyle, że założycielem Krakowa był rzeczywiście Krak, a w Kruświcy panował rzeczywiście ród Popielów.

Wszystkie te polskie ludy, plemiona i księstwa były

pogrążone w pogaństwie, jak cała wogóle pierwotna Słowiańszczyzna. Najwyższym bogiem był Światowid, t. j. pan świata, którego wyobrażano z czterema twarzami, zwróconemi w cztery strony świata. Czczono go w całej Polsce u Pomorzan i u Lachów. Na morzu Baltyckim, na dalekiej wyspie (Rugji) miał wielką świątynię, a w nowszych czasach znaleziono jego posąg na południowo-wschodniej granicy osadnictwa polskich ludów, w rzece Zbruczu. (Wydobyty stamtąd i posłany do Krakowa, stoi tam w gmachu Akademji Umiejętności). Czy wierzono w Światowida także u innych narodów słowiańskich, nic o tym pewnego nie wiemy. Nie posiadamy wogóle prawie żadnych wiadomości o pogańskiej religji naszych przodków.

Gieograficzny podział Polski

z Feliksa Konecznego.

Podział dawnego państwa polskiego nie był sztucznym dziełem administracji rządowej, lecz wytworzył się w naturalny sposób z samego przebiegu dziejów. Państwo piastowskie, które wytworzyło się ze zrzeszenia się ludów polskich (Polan, Pomorzan, Mazowszan, Kujawian, Ślązan i Lachów), rozdzielił testament Bolesława Krzywoustego na cztery dzielnice. Książęta dzielnicowi dokonywali coraz dalszych i coraz drobniejszych podziałów, ażeby każdemu ze swych synów zapewnić księstwo, chociażby nie duże, ale osobne.

Ilość dzielnic zmienna była stosownie do mniejszego lub większego rozrodzenia Piastów w którymś pokoleniu. Liczne potomstwo przyczyniało księstw dzielnicowych i to coraz mniejszych, bezpotomność książąt dopomagała ponownemu łączeniu się ziem rozdzielonych. W r. 1240 było dzielnic tylko sześć, a już w osiem lat potym, w r. 1248 było ich czternaście, a najwięcej w r. 1288, gdyż szesnaście.

Lecz równocześnie utrwalała się odrębna tradycja dwuch głównych działów Polski, mających swe ogniska państwowe i kościelne w dwuch głównych miastach, w Poznaniu i w Krakowie. A istniała ta odrębność od samego zarania dziejów, boć w czasach najdawniejszych nie było żadnego związku państwowego między ziemiami z nad górnej Wisły, a okolicami z nad jeziora Gopła. Dynastja, która wszystkie te krainy zrzeszyła, wyszła od Kruszwicy, Gniezna i Poznania; tam gniazdo Piastów i kolebka ich państwa.

Byli oni najpierw książętami Polan, to też państwo piastowskie, państwo Bolesławów: Chrobrego, Śmiałego i Krzywoustego dla tej właśnie przyczyny otrzymało nazwę Polski, że inne ludy przyłączone zostały niejako do państwa Polan. Dawniejsze Piastów dziedziny były dla nich Starą Polską, a południowe, później dopiero, już za chrześcijaństwa nabyte dzierżawy, były w stosunku do tamtych Polską Nową. Tak też wyrażano się zawsze w urzędowym języku łacińskim, w którym „maior" znaczy dosłownie „większy", lecz także „starszy". Krakowskie z Sandomierskiem nazwano „Polonia minor", a na północy była „Polonia maior". Z dosłownego przekładu na polskie zrobiła się Wielkopolska i Małopolska, lecz w uściech ludu pozostało jeszcze pierwotne wyrażenie „Staropolska", znane do dzisiejszego dnia w Kaliskiem i w Opolskiem.

Dla Piastów Polska była przedewszystkim Wielkopolską, a reszta to tej Polski—nabytki. Przemysław nie waha się ogłosić i koronować królem polskim, chociaż nie posiadał Krakowa, podczas gdy Władysław Niezłomny, Łokietkiem zwan, obawiał się, żeby go nie uważano za „króla krakowskiego", pókiby nie pozyskał Poznania i Gniezna. Jeszcze Ludwik Węgierski przedsiębierze zaraz po koronacji w Krakowie podróż do Wielkopolski, umyślnie po to, żeby go tam osobno uznano także królem. Dopiero za Władysława Jagiełły gubi się stara istota tej tradycji.

Ile księstw, tyle było książęcych dworów i tylu też z biegiem czasu nazbierało się w Polsce wojewodów. Za Krzywoustego był na całą Polskę tylko jeden, a potym po jednemu w każdym księstwie, bo każdy książę potrzebował wojewody. Łokietek nie poznosił tych dostojeństw, pozostawił je Kazimierz Wielki i tak przeszły one do Jagiellońskich czasów. Z natury rzeczy zmieniła się jednak istota tego urzędu: wojewodowie byli najwyższemi przedstawicielami dzielnic, skąd nie było osobnych książąt.

Co przez kilka pokoleń stanowiło zwartą jednostkę państwową i administracyjną, nabyło z biegiem lat wspólnych potrzeb i wspólnych cech, poczuwało się więc też na przyszłość również do łączności, i pozostał podział państwa taki sam, jak go zastały czasy Łokietka. Dzielnice miały jednak już tylko znaczenie podziału administracyjnego, a wojewodowie stali się przedstawicielami społeczności swych ziem wobec tronu. Dawne księstwa stały się — województwami. Nowe nabytki państwa nazwano też województwami i nawet na Litwie ustanawia się też wojewodów.

Unja z Litwą była sojuszem, opartym na wspólności osoby monarchy, wspólności wojen, pokojów i całej polityki zagranicznej. Litwa uznawaną była jednak zawsze za osobne państwo.

Unja lubelska 1569 r. przyznała Wielkiemu księstwu litewskiemu osobny skarb, osobne wojsko i osobne ministerstwa. Równocześnie oderwały się w tymże r. 1569 od litewskiego państwa ziemie południowo ruskie, prosząc się same o wcielenie do właściwego państwa polskiego, co też sankcjonował ostatni dziedzic wielkoksiążęcej litewskiej mitry, król Zygmunt August. Sejm ten uporządkował też ostatecznie administracyjny podział obydwuch złączonych unją państw na województwa i ustanowił ścisły porządek dostojeństw wojewodzińskich i kasztelańskich. Ten podział Polski dotrwał

już z bardzo nieznacznemi zmianami do samego końca istnienia państwa.

Państwo polsko-litewskie zwało się urzędowo „Rzeczpospolitą". Wyrażenie to, używane nietylko w potocznej mowie, lecz w najbardziej urzędowych aktach, nie wypłynęło wcale z żadnych republikańskich zachcianek, jakby się to mogło wydawać według dzisiejszego znaczenia tego wyrazu. Wyrażenie „Rzeczpospolita" było tylko poprostu dosłownym tłumaczeniem łacińskiego wyrazu „respublica", przez który rozumiano państwo wogóle, bez względu na formę rządu. Rzeczpospolita polska składała się tedy z dwuch państw: z Królestwa Polskiego, zazwyczaj zwanego krótko koroną, i z Wielkiego księstwa litewskiego. Koronę podzielono na dwie „prowincje": Wielkopolską i Małopolską, a ziemie południowo-ruskie przydzielono do Małopolski; Wielkie księstwo stanowiło zaś całe jedną tylko prowincję. Księstwo pruskie było lennem korony, księstwo kurlandzkie wspólnym lennem Rzeczpospolitej, a hołdy hospodarów wołoskiego i Mołdawskiego tyczyły się zarówno Królestwa Polskiego, jako też Wielkiego księstwa litewskiego.

Wielkopolska, Małopolska i Litwa liczyły po 11 województw. Województwa i ziemie dzieliły się na powiaty, które tworzyły dla siebie całość, miały swoich urzędników, t. j. były właściwemi jednostkami administracyjnemi.

Kruszwica

podług St. Strojnowskiego.

Liche dzisiaj miasteczko w Wielkim Księstwie Poznańskim, Kruszwica liczy zaledwie 70 chat, krytych dachówką lub słomą, a 700 głów ubogiej ludności, która się jedynie rolnictwem zajmuje. W odległej starożytności była ona sto-

licą książąt, panujących nad znaczną częścią Polski. Wznosił się tu zamek Popielów, o których upadku przechowało się podanie w późne wieki.

Dwa zaledwie szczątki dawnej świetności Kruszwicy dotrwały do naszych czasów: wieża zamkowa i kościół, niegdyś katedralny.

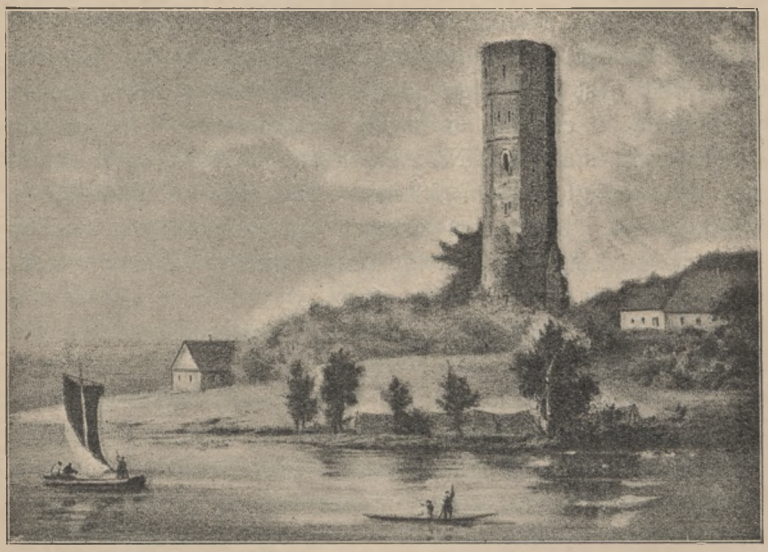

Mysia wieża na Gople.

Zdaleka widać zamkową basztę nad jeziorem Gopłem, w położeniu pięknym i obronnym. Na pagórku, który niegdyś był wyspą, a dziś leży nad samym brzegiem modrego jeziora, na okrągłej kamiennej podstawie, wznosi się ośmiokątna, doskonale z cegły murowana wieża. Zbudowano ją bezwątpienia w czasie, gdy Kruszwica była handlowym i bogatym miastem, a służyć ona wtedy musiała do straży i do przyświecania żeglującym po jeziorze statkom. Do wieży

przypierają resztki ścian ceglanych, które pozostały z dawnego zamku. Na równi z ich wysokością znajduje się w baszcie otwór drzwi, przez które się do wnętrza wieży wchodziło. Na dalszej przestrzeni pagórka pozostały tylko ślady fundamentów i rozrzucone gruzy rozległego zamczyska.

Drugim pozostałym w Kruszwicy pomnikiem lepszej przeszłości jest katedra. Stoi ona na pustym, bezdrzewnym wzniesieniu, na południowym brzegu Gopła, naprzeciw miejsca, na którym podług podania stała chata Piasta. Kościół zbudowany jest z kostek kamiennych, wieża zaś z cegły. Podupadłą z czasem świątynię odbudowano i odnowiono w ubiegłym stuleciu. Nie szczędzono kosztów, atoli całość nie sprawia głębokiego wrażenia; za wiele tu światła, za wiele złoceń. Niema też żadnych prawie pamiątek, któreby nam dawne czasy Piastowskie przypominały. Rzewny smutek ogarnia tu serce Polaka, kiedy widzi zatarte prawie ślady przeszłości, kiedy się zaduma nad przebrzmiałą dawnych wieków sławą.

Kruszwica kwitła dopóty, dopóki wody Gopła były handlowym gościńcem, łączącym Wartę z Wisłą i Baltykiem. Wszystkie statki z Warty, Prosny i innych rzek okolicznych, płynące do Gdańska, tędy przeprawiać się musiały. Woda broniła, woda żywiła. Wtedy wielką i potężną była Kruszwica, a płonąca na wieży latarnia przyświecała statkom zdaleka.

Z czasem wody zmalały, zmieniły się brzegi jeziora i zerwała się owa sieć ścieżek wodnych. Wskutek tego handel Kruszwicy już przed wojnami szwedzkiemi upadł, a dziś stołeczny niegdyś gród Popielów wygląda, jak zapomniana mogiła.

Chrzest Polski

przez Dąbrowę.

Do X wieku miał naród nasz religję wielobożną, a chociaż za czasów Ziemowita i dwuch jego następców, to jest Leszka i Ziemomysła, już religja chrześcijańska zaczęła gdzieniegdzie się rozszerzać, naród jednak cały przyjął ją dopiero za panowania Mieczysława I w r. 965; inne ludy słowiańskie, a mianowicie Morawianie i Czesi przyjęli wiarę św. już w drugiej połowie IX wieku. Do nas ostatecznie religja chrześcijańska dostała się za pośrednictwem Czechów. Mieczysław bowiem ożenił się z Dąbrówką, księżniczką czeską, która pod tym tylko warunkiem poszła za niego, że Mieszko obiecał wraz z całym narodem przyjąć wiarę chrześcijańską.

Wraz ze światłem wiary zaczynają rozjaśniać się i dzieje, to jest stają się pewniejsze; jednak naród nie tak łatwo pozbył się dawnych błędów, i księża, którzy wraz z Dąbrówką przybyli, nie mało ponieśli trudu, zanim lud nawrócili. Przedewszystkim trudno im było rozmówić się z Polanami, którzy ich mowy nie rozumieli, bo księża ci mówili po czesku lub po łacinie; a chociaż wkrótce nauczyli się mowy Polan, to wszystkie obrządki i ofiary nowej religji odprawiane były w języku łacińskim. Lud przyzwyczajony do swoich dawnych pieśni pogańskich, które śpiewał czy to na wojnie, czy podczas wesela, czy przy pogrzebach, niechętnie słuchał pieśni łacińskich, których nie rozumiał.

Z początku przyjął wprawdzie religję chrześcijańską, ale to było tylko pozornie, z rozkazu księcia; potajemnie zaś wracał do swoich obrządków pogańskich. Księża jednak chrześcijańscy z całą gorliwością wzięli się do dzieła, aby nową wiarę ugruntować w sercach ludu. Widząc zaś, że lud ten wszystkie obrządki religijne łączył zawsze z jakąś ucztą

rodzinną, a w każde święto pogańskie całe rodziny łączyły się, aby wspólnie to święto obchodzić, składając bogom ofiary, zachęcali księża również do zbierania się i wspólnego obchodu uroczystości chrześcijańskich. Stąd powstały owe nieodłączne u nas uczty, zastawiania stołów podczas każdych świąt dorocznych, jak np. wigilja Bożego Narodzenia, święcone podczas Wielkiejnocy i t. p.

Jestto zwyczaj tylko słowiański, który choćby dla samej pamiątki zwyczajów przodków naszych staramy się zachowywać. Powoli zaczęto tworzyć i pieśni religijne w języku ojczystym. Pieśń wnikała coraz więcej do serca ludu, a obrządki i religja, z początku nierozumiane, zrosły się z Polanami i wyrobiły z naszego narodu późniejszych gorliwych obrońców wiary.

Mieszko założył pierwsze biskupstwo w Poznaniu, budował kościoły, jak w Tumie pod miastem Łęczycą, w Lubuszu nad Odrą, a gdzie tylko mógł, kazał burzyć świątynie pogańskie i na ich miejsce stawiał chrześcijańskie.

Najdawniejsze osady i ich mieszkańcy

przez M. Winiarza.

Za panowania pierwszych chrześcijańskich książąt polskich ludność rozróżniano według zawodów, któremi się trudniła. Byli więc duchowni, którzy zrazu byli przybyszami z Czech, Niemiec, a nawet z Francji i Włoch, gdyż dopiero później Polacy zaczęli wstępować do tego stanu; dalej rycerze (wśród których także dużo było obcych) przebywający przy boku książąt lub rozmieszczeni po grodach na załodze, i ziemianie mieszkający po wsiach i trudniący się uprawą roli. Ziemiaństwo polskie było szlachtą, t. j. warstwą ludności, która tym się wyróżniała od reszty ludności, że wy-

wodziła swe pochodzenie od przodków, którzy zajmowali wybitniejsze stanowiska w społeczeństwie.

Rody szlacheckie, za przykładem Europy zachodniej, używały herbów, t. j. znaków czyli godeł na tarczach i innych przedmiotach, a nadto jeszcze zawołań, t. j. pewnych słów, jako haseł, któremi członkowie rodu zwoływali się w potrzebie wojennej (np. Starza, Doliwa), aby się móc razem zebrać i skupić. Rody, używające tego samego herbu i zawołania, zamieszkiwały zazwyczaj blizko siebie, tak, że zwykle sąsiadowały ze sobą osady (wsi) zamieszkałe przez pojedyncze mniej lub więcej liczne rody szlacheckie tego samego herbu i zawołania.

Jakkolwiek szlachta trudniła się przeważnie uprawą roli, nic nie stało szlachcicom na przeszkodzie w obiorze zawodu innego, np. duchownego lub rycerskiego, który zresztą stał otworem także i dla nieszlachty. Prócz ziemianszlachty, trudnili się uprawą roli także ludzie wprawdzie wolni, ale nie herbowni, którzy gospodarowali zazwyczaj na mniejszych kawałkach gruntu. Grunt ten był ich własnością i przechodził z ojca na syna; to też gospodarze ci nazywali się dziedzicami. Ta warstwa ludności była ubogą i rychło zniknęła, bo przy końcu wieku XII i z początkiem XIII-go.

Ciężar pracy rolnej nie spoczywał jednak ani na szlachcie ani na owych wolnych dziedzicach, ale na ludności rolnej niewolnej i przywiązanej do gleby. Ta ludność niewolna, poddana panom, składała się z brańców wojennych, lub z ludzi zakupionych w niewolę. Potomstwo jej także było niewolne. Ludność niewolna pracowała na roli, trudniła się chowem bydła, rzemiosłami wiejskiemi, lub pracowała jako czeladź po dworach.

Najdawniejsze wsi polskie nie były wielkie. Często wieś całą stanowiła jedna chłopska rodzina, a wielką była już wieś, licząca sześć lub siedem takich rodzin. Nazwy

tych wsi objaśniają nam często, kto w nich mieszkał lub czyją były własnością. Gdy np. założycielem jakiejś wsi był wieśniak, który się zwał Głąb, to wieś tę nazywano od niego Głąbowice, gdy np. Kwiatek, to Kwiatkowice. Znaczyło to, że tu mieszka potomstwo Głąba lub Kwiatka. Były dalej wsi, zwane np. Grotniki, Szczytniki, Łagiewniki, Zduny, Szklary, Piekary, Kuchary, Koniary, Psary, Sokolniki. Nazwy te wskazują, że we wsiach tych mieszkała ludność niewolna, obowiązana do pewnych zajęć, więc do wyrobu grotów, tarcz, do robót bednarskich, garncarskich, szklarskich, do wyrabiania pieczywa lub sporządzania innego jadła, albo znów do pilnowania książęcych koni, psów lub sokołów.

Nazwy wsi innych wskazują znów na to, że w nich osiedlano jeńców wojennych, więc np. Czechy, Prusy, Węgry, Pomorzany. Wsi pańskie noszą nazwy wskazujące, kto był ich panem, więc np. Biskupice, Opatowice, Dziekanowice, Proboszczowice wskazują tę osobę duchowną, która była właścicielem wsi; Unisławice, rycerza Unisława, który ją posiadał. Właściciela wsi wskazują też nazwy takie, jak np. Klimuntów, Radwanów, Sieciechów, Jaksonowo, Bodzencin, Prandocin, Sandomirz, Domaradz, Małogoszcz, gdyż mówią nam, że panem tej wsi, a często także mieszkańcem, jest lub był niegdyś Klemens, Radwan, Sieciech, Jakson, Bodzanta, Prandota, Sandomir, Domarat, Małogost.

Isnieją jednak także nazwy wsi, jak np. Dąbrowa, Górka, Brzezina, Ujście, które nam mówią tylko o położeniu tej wsi, ale milczą o jej ludności i właścicielu. Wreszcie jest jeszcze jeden rodzaj nazw wsi, np. Bąki, Osy, Rysie, Szczuki, Żbiki, Żebry, Kurozwęki, Szamotuły. Są to osady wojskowe na granicach Polski (przeważnie na Mazowszu), w których mieszkała drobna szlachta trudniąca się uprawą roli, ale gotowa każdej chwili do broni.

Prócz wsi były jeszcze w Polsce grody, t. j. miejsca obronne, opatrzone załogami wojskowemi, do których chro-

niła się ludność okoliczna w razie napadu nieprzyjacielskiego. W pobliżu grodów na t. zw. podgrodziach mieszkała ludność rzemieślnicza lub drobna rolnicza. Miast w tych czasach w Polsce nie było.

Początki i wzrost chrześcijaństwa

przez Kazimierza Gorzyckiego.

Przyjęcie chrztu przez Mieszka miało początkowo znaczenie tylko polityczne; sam książę lekceważył sobie przepisy religijne kościelne. Nie inaczej rozumiały nową wiarę rody możnowładcze, pańskie i rycerskie. Była ona niejako wielką tarczą ochronną przeciw Niemcom. Ponieważ nadzieje polityczne, złączone z przyjęciem chrześcijaństwa, spełniły się za panowania Mieszka i Bolesława Chrobrego, to też coraz mniej miało stare pogaństwo zwolenników. Przeciwnie, pieśń chrześcijańska „Boga Rodzica Dziewica", ułożona przez św. Wojciecha, stała się hasłem wojennym rycerstwa polskiego. Bolesław Chrobry powołał do kraju mnichów benedyktyńskich i osadził ich w klasztorze na Łysej Górze. Benedyktyni szybko potrafili zyskać znaczny wpływ nietylko na księcia i u rodów szlacheckich, ale także pośród kmieci. Można powiedzieć, że oni pierwsi nawrócili Polaków na chrześcijaństwo.

Biskupi pochodzili początkowo wszyscy z zagranicy, dopiero powoli zaczęto wyświęcać na księży Polaków, przeważnie potomków rodów szlacheckich. Równocześnie przyjmowali Benedyktyni na mnichów wielką stosunkowo liczbę krajowców; wreszcie całe chrześcijańskie duchowieństwo w państwie Piastów rozdzieliło się na „słowiańskie", czyli krajowe i „cudzoziemskie", przychodzące z Niemiec, a także z Włoch. Utworzenie samodzielnego kościoła łacińskiego

w Polsce przez wprowadzenie arcybiskupstwa gnieznieńskiego i większej ilości biskupów, zależnych od Gniezna, było nadzwyczaj ważną reformą. Na polskich stolicach biskupich zasiedli już w znacznej części krajowcy, a więc bliżsi znacznie interesom krajowej ludności, aniżeli biskupi cudzoziemscy. Kiedy za panowania Mieszka II okazało się, że wiara chrześcijańska nie zawsze wystarcza do obrony państwa przed Niemcami, wówczas mało brakowało do tego, ażeby Polska wróciła do dawnego pogaństwa. Jeśli jednak tak się nie stało i Kazimierz I mógł wrócić na tron przodków jako „odnowiciel" Polski chrześcijańskiej, to nie mało przyczynił się do „odnowienia" znaczny już zastęp duchowieństwa słowiańskiego.

Kościoły istniały w grodach i przygródkach, przebudowane z pogańskich świątyń, a klasztory były obwarowane i tworzyły całkiem odrębną organizację grodową mnichów. Mając poza swemi obwarowaniami najwięcej stosunkowo spokoju, mogli mnisi polscy, tak samo, jak na zachodzie, oddawać się zajęciom umysłowym. Pierwsze szkoły były po klasztorach. Przygotowywano w nich młodzież do stanu duchownego, podczas gdy szkółki po parafjach mogły dawać naukę wystarczającą zaledwie do pełnienia usług przy kościele, t. j. wychowywały organistów i ministrantów. Przy dworach biskupich kształcono młodzież z rodów możnowładców, przeznaczoną do objęcia w przyszłości urzędów biskupich.

Ponieważ językiem kościelnym była łacina, więc głównym warunkiem dla księdza i tym samym najważniejszym przedmiotem szkolnym był język łaciński. Układy z obcemi chrześcijańskiemi państwami prowadzono po łacinie, dlatego w kancelarji książęcej zasiadał zawsze jakiś duchowny dla pisania potrzebnych dokumentów, czyli dyplomów. Łacina wyparła język polski także ze spraw krajowych o tyle, że dyplomy książęce pisane były po łacinie we wszystkich

wogóle czynnościach rządowych, np. w nadaniach posiadłości ziemskich, wyrokach sądowych i t. d.

Tylko dla ludu używali księża języka polskiego w kazaniach i pieśniach religijnych Powoli znajomość łaciny, czytania i pisania zaczęła się krzewić także pośród warstw świeckich, mianowicie na dworach książąt, możnowładców i rycerzy.

Polska a podbój Słowiańszczyzny przez Niemców

przez Karola Szajnochę.

W początkach Polski rozciągała się Słowiańszczyzna na zachód aż po Elbę. Mieszkały tam mnogie ludy słowiańskie, z pomiędzy których najznakomitsi od ujścia Elby ku wschodowi byli: Obotryci, Lutycy, Serbowie, Czesi, Morawianie, Ślązanie i mnogie inne pomniejsze.

Wszystkie te ludy były od czasów Karola Wielkiego na ciągłe najazdy Niemców wystawione. Gdy korona niemiecka przeszła na książąt saskich, tym, jako bezpośrednio sąsiadującym ze Słowiańszczyzną, zależało osobiście na podbiciu krain słowiańskich. Jakoż zaraz po nastąpieniu pierwszego króla z krwi saskiej Henryka Ptasznika 918 r., zaczął się nowy szereg wojen, które w przeciągu lat czterdziestu dokonały podbicia Słowiańszczyzny.

Przysposobiwszy się najprzód do skuteczniejszej walki, zaczął Henryk budować miasta, których mury miały służyć w czasie wojny za twierdze. Niekiedy składały się te miejskie osady z samych zbójców, bo król Henryk gdziekolwiek widział złodzieja lub rozbójnika silnym w ręku a przydatnym do wojny, uwalniał go od kary i osadziwszy go na przedmieściu Merseburga, dawszy mu rolę i oręż, kazał mu wprawdzie spółmieszczan oszczędzać, ale „barbarzyńcom”

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu CZYTELNIA

t. j. Słowianom, jakie tylko chce, łotrostwa wyrządzać. Z takiemi więc „legjonami łotrów" uderzył król Henryk śród najtęższej zimy na Słowian i zwalczywszy ich w kilku bitwach, postąpił po lodzie pod ich warowne, wśród moczar leżące miasto Branibor. Tam obóz założywszy, stał tak długo, aż wreszcie głodem, żelazem i mrozem dobył miasta. Zdobycz miejska żołnierzom odstąpiona, wszyscy dorośli pod miecz oddani, chłopcy i dziewczęta w niewolę uprowadzone.

Wojny stają się coraz okrutniejsze. Królowie niemieccy, widząc trudność zniewolenia Słowian, burzą wszędzie ich grody, a mieszkańców albo w pień wycinają, albo w niewolę wiodą. To też gdy Henryk dalej z całym wojskiem do Czech pod Pragę wtargnął, pobożny tameczny książę Wacław czymprędzej upokorzył się Niemcom i do rocznej dani się zobowiązał. Tak więc shołdowano Obotrytów, Lutyków, Czechów, a z innemi ludami słowiańskiemi prowadzono dalsze ciągłe walki. Po całej Słowiańszczyźnie rozsypały się wieści trwogi, a po Niemczech kupy w plon zabranych dzieci i niewiast słowiańskich. Nazwa Słowian znaczyła coraz powszechniej niewolnika, Sklawe, i nastało przysłowie u Niemców: „Poszli nędznie w rozsypkę, jak rodzina słowiańska, którą na targu rozszarpują". Tymci większy powód do usiłowań wydobycia się z tego stanu.

I zdało się Słowianom po kilkuletniej ciszy, iż nadeszła nowa pora podźwignięcia się. Po śmierci Henryka świeżo ustanowiony margrabia wschodni Gero dawał podnietę do buntu, czyhając na ostateczne przytłumienie niepodległości „barbarzyńców". Zarazem przekonali się Słowianie, iż cząstkowe usiłowania były nieudolne i postanowili teraz działać według powszechnego, jak się zdaje, porozumienia. Najprzód wystąpili Obotryci i wymordowawszy wojsko niemieckie, zabili swego margrabię Hajka. Toż samo miało stać się z Geronem, którego umyślono zgładzić podstępem — zamach się jednak nie udał i z podwójną srogością bunt uśmierzono.

Kronikarz niemiecki, opowiadający te dzieje, pisze: „Atoli długie jeszcze lata upłyną, w których Niemcy o sławę i wielkie a szerokie państwo, Słowianie zaś z nierównym szczęściem walczyć będą za wolność, a najsroższej dobiją się niewoli”.

Wystawmyż sobie, jak ta potrójna plaga: wynarodowiania, politycznego jarzma i zdzierstwa, pomnożona tyranją pogranicznych margrabiów, niewoloną w ten sposób ludność jątrzyć musiała. A to dzieło nie zatrzymuje się na osiągniętym raz stopniu. Margrabia Gero założył sobie szczególny cel w podbiciu Słowiańszczyzny. Roiło mu się o osobnej, na gruzach podbitej Słowiańszczyzny, koronie dla siebie lub dla syna swego Siegfrida, a dla osiągnięcia tego celu były mu niczym wszelkie mordy. Słowianie rzucają się jak zwierz raniony na swych gnębicieli i z ślepą już rozpaczą rok po roku przeciw coraz sroższym zamachom coraz wściekłej się miecą, wyjarzmić się lub do reszty upaść gotowi. Walki te zdały się ostateczną zagładą Słowian — w ich ziemie coraz głębiej posuwały się zabory niemieckie. Ujarzmiwszy Słowian zachodnich, rozpoczyna Gero uporczywą wojnę z dalej mieszkającemi „barbarzyńcami”, pokonując dwa razy króla Mieszka, pod którego panowaniem zostawali Słowianie, zwani Polanami i którego niemieckiemu podbił zwierzchnictwu (r. 963).

Dopieroż to dotarcie Niemców do samych granic Polski, ten zamach wymierzony przeciw Mieszkowi polskiemu, jest ostatecznym kresem tegoczesnych zdobywczych wojen niemieckich. O Polskę, która pod tym uderzeniem, jak iskra od uderzenia stali o krzemień, do życia wstaje, szczerbi się zaborczy oręż niemiecki. Jestto ostateczny kres jego rozpostarcia się. I jakby w znak tego przez los wyrzeczonego „dopóty” zachodzą w tej historycznej chwili zdarzenia smutnej dla Niemców wróżby.

W ostatniej wojnie Gerona z polskim księciem Mieczy-

sławem, poległ syn margrabi Siegfrid, dla którego to właśnie ojciec tyle słowiańskiej krwi przelał. Śmierć walecznego syna, mającego kiedyś koronę w podbitej Słowiańszczyznie piastować, a dziś przez zaczepionych polskich Słowian zabitego, zadała też ojcu, temu najokrutniejszemu słowianobójcy cios śmiertelny. Pogromiwszy mnogie plemiona, lecz wkońcu sam w swoich najwnętrzniejszych życzeniach serca zgromiony, ustępuje starzec z zasmuconą duszą z pobojowiska i pielgrzymuje do Rzymu, gdzie u ołtarza namiestnika św. Piotra składa zbroję zwycięską i z całym swoim mieniem do Boga się ucieka. A powróciwszy do ojczyzny buduje „monument" dla swojej i syna swego duszy, klasztor w lesie, nazwany po jegoż imieniu, i wdowę po nieszczęśliwym synu przeoryszą tam osadza.

Po smutnym upadku Gerona, jakby już całe Niemcy broń u granic Polski złożyły. Co było zbawiennego w dotychczasowym wpływie zachodu: chrześcijaństwo i konieczna potrzeba politycznego związku, ożywia Polskę; ale broń niemiecka odbija się bezwładnie od jej granic. Wznosi się też teraz Polska, jakby cudem, a syn upokorzonego przez Niemców księcia polskiego Mieszka staje się głównym pogromcą ich państwa.

Katedra gnieźnieńska

podług Edwarda Raczyńskiego i Wł. Zawadzkiego.

Gniezno wznosi się, podobnie jak Rzym, na siedmiu parowami poprzerzynanych pagórkach. Jadącemu od Poznania ukazują się już zdaleka pośród równin wielkopolskich z poza łanów zbożowych naprzód katedralne wieże, a potym kościół, wznoszący się wspaniale ponad rozsypane po wzgórzach domy.

Na miejscu starodawnej świątyni pogańskiej, Mieczysław, przyjąwszy chrzest, wystawił kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Panny. Później niejednokrotnie go przerabiano i rozszerzano, ale zawsze na tym samym pozostał miejscu.

Katedra gnieźnieńska (rycina z XIV wieku).

Z kościołem tym wiąże się wiele wspomnień z dziejów narodowych. W tymto kościele spoczęły szczątki królowej, co zapaliła w Polsce jutrzenkę wiary chrześcijańskiej w zaraniu naszych dziejów; w tej świątyni złożył Bolesław

Chrobry ciało św. Wojciecha, wykupione od Prusaków; tenże sam król-bohater podejmował tutaj pierwszego w chrześcijaństwie monarchę, cesarza Ottona III; tu wreszcie na rok przed śmiercią Bolesław koronował się uroczyście na króla polskiego. Tu była siedziba arcybiskupów gnieźnieńskich, którzy później mieli tytuł i godność prymasów Polski, a zasiadając pierwsze w senacie miejsce, w czasie bezkrólewia lub pod nieobecność królów najwyższą piastowali władzę.

Ale kiedy od czasów Władysława Łokietka Kraków został stolicą Piastów i Jagiellonów, kiedy z czasem i prymasi przemieszkiwać zaczęli w pobliżu dworu królewskiego, podupadało coraz bardziej Gniezno. Dziś ludność Gniezna jest w znacznej części niemiecka. Lecz pamięć jego świetności żyje w sercach narodu i w starych murach gnieźnieńskiej katedry.

Wstąpmy z uszanowaniem w ten poważny przybytek. Z pierwotnej budowy Mieczysławowej nie zostało ani śladu. Dzisiejsza katedra kształtem i ogromem zupełnie od niej się różni. Nawy poboczne obwiedzione są dokoła kaplicami, których jest czternaście, a całe pokryte pomnikami arcybiskupów gnieźnieńskich. Zewnątrz ponad miedziane dachy kaplic i samegoż kościoła wybiegają dwie wysokie wieże.

Celniejszą ozdobą kościoła są drzwi spiżowe, przez Bolesława Chrobrego ofiarowane. W osiemnastu odlanych obrazach wyobrażone są ważniejsze zdarzenia z życia św. Wojciecha. Jedna drzwi połać obejmuje w porządku z dołu do góry szereg scen z życia tego świętego, wystawiając wznoszenie się jego bogobojnego ducha do apostolstwa; druga znowu od góry do dołu uwidocznia to apostolstwo, które go drogą męczeńską do grobu zawiodło.

Najcenniejszą relikwją jest ciało św. Wojciecha. W środku kościelnej nawy jest grobowiec świętego w kształcie ołtarza, podobnie jak ołtarz św. Stanisława w Krakowie. Na skrzydłach orłów wznosi się srebrna trumna ze zwłokami

świętego, a na niej spoczywa postać świętego męczennika, wznosząca się jakoby dla błogosławienia ludowi.

Przed tym ołtarzem w niedziele i święta śpiewa duchowieństwo chórem starożytną pieśń „Bogarodzica". Najdawniejsza to modlitwa polska, co przez tyle wieków wiodła rycerskie przodków zastępy w zwycięski bój za wiarę i ojczyznę. Starożytna melodja śpiewana obok podwoi Bolesława Chrobrego, u grobu pierwszego męczennika Polski, głębokie sprawia wrażenie.

Wzruszony tym wszystkim, zadumasz się mimowoli nad dawno ubiegłemi wiekami, kiedy na odchodnym zajękną ci jeszcze dzwony, z dział nieprzyjacielskich ulane, jak gdyby chciały ci tym głębiej wrazić w umysł i serce pamięć tylowiekowej świetności narodu.

Bolesław Chrobry

z Długosza.

Po śmierci Mieszka I, syn jego, lat 28 mający, który niepospolite zdolności swoje w zawodzie rycerskim wielu dzielnemi czyny już był oddawna wyświecił, za przychylną wolą prałatów i panów polskich powołany został na stolicę ojcowską i rządy państwa objął. Był Bolesław urody na podziw przystojnej, z którą łączył rzadką umysłu roztropność, rycerską odwagę i wielkość duszy. Zręczny w kierowaniu spraw domowych i publicznych, takim zalecał się rozumem i obrotnością, że sobie i narodowi swemu ciągle przymnażał chwały. Dwór swój nakoniec pomnożył i uświetnił nietylko rycerstwem i panami znakomitszemi, ale i drużyną licznych wyzwoleńców, których z poddaństwa wyswobodził, napełniwszy go tak znacznym orszakiem, że na pozór wojsku prawie zdawał się wyrównywać.

Miał rzeczony Bolesław, książę polski, umysł obrotny i sprawny; wszystko cokolwiek przedsięwziął, z łatwością wykonać zdolny; tak dalece, że czy to w pokoju, czy w wojnie, jakakolwiek nadarzyła się sprawa, do każdej sposobnym, w każdej okazywał się biegłym i jakby umiejętnie wyćwiczonym; żadna myśl nie zajmowała go więcej, jak ustalenie królestwa polskiego, które i chwałą panowania i wielkością bogactw, shołdowaniem narodów ościennych i mnogiemi zwycięstwy i tryumfy, wreszcie karnością wojenną i wewnętrznym kraju urządzeniem tak dalece wsławił, uzacnił i uświetnił, że wszelki blask i ozdobę, wszelki zaszczyt i sławę, wszelki rząd i układ rzeczy publicznej, on pierwszy, jakby duszę żywotną, wlał i wszczepił w naród polski.

Nie przestając na dziedzictwie, odebranym po ojcu, dziadach i pradziadach, Czechy, Morawy, Ruś, orężem jego podbite i shołdowane, przyłączył do Polski; i tak bohaterską dzielnością, tak wielkiemi umysłu zajaśniał przymiotami, że ze wszystkich książąt i królów polskich, którzy po nim panowali, żaden dotychczas nie zdołał swemi czyny wznieść się do takiej potęgi i zaszczytu, żaden mu sławą spraw rycerskich i domowych nie wyrównał: za co imieniem zaszczytnym Chrobrego, co znaczy dzielnego i wielkiego, został uczczony; a od tego imienia i miasteczko jemu ulubione, nad brzegiem rzeki Nidy niedaleko Wiślicy leżące, gdzie był zamek sobie postawił i po trudach prac publicznych dla rozrywki rad przebywał, Chrobrzem nazwane.

Rządził się w każdej chwili ludzkością, dobrocią i miłosierdziem, co trwalszym nierównie i większym jest zaszczytem, niż dziedziczne bogactw i królestwa posiadanie. Dzielności zaś jego w tym najpewniejsze spoczywa świadectwo: że dopóki on w Polsce panował, wszystko szło jak najpomyślniej, sprawy wojenne i domowe darzyły się szczęśliwie, oręż polski strasznym był dla sąsiadów, a kiedy zszedł z świata, Polacy wątleć i upadać poczęli na sercu. To pewna, że za

jego czasów nie było drugiego między książęty, któryby więcej słynął łaskawością, ludzkością i dobrocią: tak bowiem wedle woli i zakonu Bożego działał i sprawował królestwo swoje na ziemi, że na tronie doczesnym zdawał się pracować i zabiegać o tron królestwa niebieskiego.

Bolesław Chrobry (rys. Jana Matejki).

To też po śmierci Bolesława wielka żałość wszystkich ogarnęła; płacz i narzekanie nie tylko w zamku królewskim, ale i w całej szerzyły się okolicy. Nawet wieśniacy, gdy wieść o śmierci królewskiej gruchnęła, opuszczając swoje

sioła i prace rolnicze, zbiegli się tłumem, aby najlepszemu królowi oddać cześć ostatnią za jego staranność około polepszenia ich doli. Taki zaś ciężki żal ogarnął wszystkie stany, już podobno, jak mniemam, z przyczyny śmierci tego wielkiego króla przeczuwające nieszczęścia, które je czekały, że wszyscy jakby z nakazu dłużej, niźli rok, zachowywali żałobę; niewiasty i dziewice zaniechały wszelkich strojów i porzuciły zwykłe ozdoby; wszędy ustały uczty i biesiady, nie odprawiano żadnych wesel, zjazdów szlachty, ani żadnych zgromadzeń; ucichły śpiewy i wesołe w domach świeckich zabawy; po miastach, wsiach i zagrodach sielskich nie słychać było zwykłych uciech i igraszek. Ludzie wszelkiego stanu, płci i wieku okazywali wielki żal po śmierci najlepszego króla, któremu równego, wiedzieli, że nigdy mieć nie będą.

Świetność Bolesława Chrobrego

przez Juljana Bartoszewicza.

Bolesław kończył, rozwijał gmach polski razem i wewnątrz i zewnątrz — dusza jego rwała się do czynu, tęskniła do wielkości. Rządy jego wewnątrz despotyczne, jedynowładne, zewnątrz wojenne, zdobywcze, nie mogły w spółczesnych pokoleniach znaleźć mu i nie znajdowały przyjaciół. Nie rozumiały ludy Bolesławowe, dlaczego mają tworzyć jeden naród polski, dlaczego wojna, która była im do tej pory tylko złą koniecznością, zamieni się teraz w systemat, dlaczego Bolesław żelazną ręką gnębi poczucia swobodne ludów.

Uderza przedewszystkim Bolesława rycerskość, powierzchowność, polor czysto europejski, nie narodowy. Niczym on się nie różni od wspaniałych komesów i książąt zachodu. Owszem, na sposób cesarski otacza się majestatem i króluje

w orszaku swoich przybocznych radców, którzy są naprawdę jego komesami, towarzyszami. Bolesław lubi, więc ściąga ze wszech stron rycerzy. Radby uorganizować w Polsce stan wojowniczy, tak mu potrzebny do rozległych przedsięwzięć. Ściąga zaś ich prawdziwie rycerską, chrześcijańską grzecznością, hojnością, wystawą. Nie żałował dla nich żadnych wydatków. Wyprawiał im wspaniałe uczty, urzędnikom swoim po grodach kazał podejmować rycerskich ludzi ucztami, odzieżą, pięknemi podarunkami. Żył wśród ciągłej wystawności, jeżeli tylko wojny nie prowadził. Opowiadają kroniki, że dwór Bolesławowski był głównym obozem, w którym przy 40 stołach większych, a niezliczonym mnóstwie mniejszych, zasiadały codzień do biesiady tysiące rycerstwa. I jeszcze narzekał, że miał za mało gości przy ucztach. Rzeczywiście dla króla rycerza, który orężem rozprzestrzeniał granice swojego państwa, największe poczty rycerstwa były zawsze za małe.

U siebie w kraju tworzył Bolesław rycerstwo czysto polskie, zagraniczne pociągał. Każdy, kto wchodził w to wojownicze koło, kto podzielać chciał prace i uczty Bolesława, nazywał się gościem i nabywał przez to znaczenia na dworze. Gość taki, jeżeli się walecznością popisał, był już nie rycerzem, ale synem królewskim, najdroższym przyjacielem. Bolesław szkodę i niedostatek takich rycerzy wynagradzał hojnemi darami. Więc nie pojedynczy już rycerz, ale całe poczty ludzi wojennych, zbrojne drużyny śpieszyły do znakomitego króla; nie było to wprawdzie w pierwszej chwili jego rządów, ale później cokolwiek, kiedy się rozsławił szeroko po świecie szczodrobliwością swoją i miłością dla rycerskich mężów. Wtedy to dwór Bolesławowy, ów główny obóz, składał się z dziwnej mieszaniny narodowości. Byli u niego Niemcy, Madziary, Waregowie, Pieczyngowie, cóż mówić o słowiańskich braciach z Czech, cóż o swoich, pol-

skich? Król jednakże w tłumach tych gości umiał zachowywać karność.

Największy tryumf Bolesława był w tym, że ściągał ku sobie rycerstwo niemieckie, które pomimo wszelkich zakazów, opuszczało cesarza i własnych książąt, ażeby walczyć pod znamionami Bolesława. Pod jego opieką znajdowało ono bezpieczną ochronę od niebezpieczeństwa, ale i świetne stanowisko i dostatek.

Rycerstwo, które pragnęło sławy i niebezpieczeństw, nie zysku, zapalał Bolesław przykładem swoim, nieustraszonością, krwią zimną, bohaterstwem. Wojownik dzielny, sam sprawiał pułki swoje do boju, sam je prowadził w ogień i prawie zawsze zwyciężał, nigdy nie tracąc głowy. W boju ruchliwy, jak błyskawica, śmiało uderzał i stanowił rażącą sprzeczność z Niemcami, którzy z natury swojej działali leniwo, posuwali się zwolna nawet na wojnę.

Niedosyć rycerskość i bohaterstwo. Posiadał Bolesław nadzwyczajne zdolności umysłu. Kroniki współczesne opowiadają, że był Bolesław „jako nikt drugi na świecie” pod względem rozumu. Dla swoich serdeczny, otwarty, Niemców nieraz pokonywał chytrością, podstępem, sam ich wprowadzał w zasadzki.

Ponieważ wszystko łamał, co mu stawało na drodze, można łatwo sobie wystawić, jak podniósł wysoko w kraju władzę, którą piastował. W całej rodzinie Piastów Bolesław był najsamowładniejszym mężem. Więc w całym państwie polskim, wśród tłumu gości, wśród narodów, nad któremi panował, tylko wola jego się pełniła. Było to dobroczynnym dla młodego państwa, bo wszystkie jego siły skupiało w odpór najazdowi niemieckiemu.

Król z charakteru swego był zdobywcą, szerzycielem państwa polskiego po ziemiach bratnich słowiańskich. Nie tym zdobywcą, co miłował wojnę dla samej nienasyconej żądzy panowania, co jak uragan dziki wywracał państwa, do

spokojnych narodów zanosił zgrozę i zniszczenie. Bolesław był zdobywcą plemiennym, wyzwolicielem. Jeżeli go nie pojmowały własne ludy, które krew swoją dla jego zamiarów musiały przelewać, rozumieli go za to dobrze bracia z nad Łaby, Odry i Cisy, których panowaniu Niemców wydzierał. Bali się go też i przeklinali Niemcy. Ustępując przed nim wszędzie, tracąc dawno nabytą ziemię, mścili się zniewagami nad Bolesławem, bo inaczej nie mogli. Współczesny kronikarz niemiecki, Dytmar, pełnym jest dla niego nienawiści. Bolesław jest to „lis chytry", albo „gad jadowity", albo „lew ryczący". Kiedy się słów przebrało, Dytmar pisze o Bolesławie poprostu „wróg nasz", albo „prześladowca nasz". Mylna pogłoska o śmierci Bolesława przejmuje całe Niemcy radością, a jeżeli zdarzył się rok jaki, w którym Bolesław „nie szkodził", Dytmar wspomina o tym w kronice, jako o chwili rzadkiej spokojności i pomyślności państwa. Dytmar znał go i był mu wrogiem nieubłaganym; św. Bruno zaś, który na dworze polskim przesiadywał, i dlatego widział nawskroś duszę Bolesława, jako prawy, poświęcony miłośnik kościoła, nie mógł nie uznać jego szlachetnych dążności. Jak Dytmar nienawidzi, tak św. Bruno nie miał dosyć słów uwielbienia: „Gdyby kto nawet powiedział"—pisze do cesarza, który go posądzał o słabość do Bolesława—„że ku temu panu większą mam wierność i przyjaźń, byłoby to prawdą, kocham go zaiste, jak duszę moją i więcej jak życie moje."

Bolesław stworzył państwo polskie, niestety, następcy zmarnowali jego dzieło i Polska krwią i pracą długo musiała się dobijać potym praw i znaczenia Bolesławowskiego.

Książęta polscy

przez Stanisława Smolkę.

Trudno dośledzić początków władzy książęcej. To pewna tylko, że jej podwaliny zbudował jeszcze stary wiek pogański przed powstaniem Polski. Potrzeba silniejszej władzy naczelnej ku wspólnej obronie przeciw obcym najezdcom była niezawodnie jej źródłem i początkiem, w wojennej zaś atmosferze wzrosła i wzmocniła się jej potęga. Wszystko ugięło się przed księciem, od jego woli i rozkazu wszystko było zawisłym.

Podstawą tej wszechwładzy monarszej stała się materjalna potęga księcia, wobec której niczym było stanowisko społeczne wszystkich jednostek w narodzie. Dwa zaś różne na tę materjalną potęgę składały się czynniki: olbrzymie posiadłości książęce, oraz daniny i pańszczyzny całej krajowej ludności.

Z wyjątkiem bowiem posiadłości prywatnych i kościelnych cały obszar kraju był wyłączną własnością księcia. Niczym były dostatki najznakomitszego magnata lub biskupa, niczym potęga ich wszystkich razem wzięta, wobec bogactw monarchy, których nikt zliczyć, nikt przejrzeć, nikt wyobraźnią objąć nie zdołał. Widok tej olbrzymiej, niedoścignionej potęgi materjalnej olśniewał wszystkich i przygniatał. Każdy pan najmożniejszy, choć mu na niczym nie zbywało, był niczym wobec monarchy, który mógł jednym skinieniem ręki lada chudopachołka obsypać bogactwami i zrównać z pierwszym magnatem lub wynieść nad niego. Jeden książę nie znał sobie równego i niczego pragnąć nie mógł prócz sławy. Boć i sam cesarz, z którym o miedzę graniczył, choć tak rozległe i bogate posiadał kraje, choć się pysznił, że wszyscy monarchowie świata mu służą, czyż miał tyle, co on, złota i srebra w swym skarbcu, czyż mu zwożono tyle bogactw

co roku do jego grodów? Drugi sąsiad, wielki kniaź kijowski, siedział wprawdzie na skarbach, o których cuda opowiadano, ale wiedziano, że Bolesław Chrobry i Śmiały, skoro im tylko przyszła ochota, bez wielu trudów wyczerpali skarbce kijowskie i w swoich skrzyniach zamknęli ich bogactwa. Sławy tylko i wojen pragnęli książęta, a każda już wojna nowym opłacała się plonem, skarby zaś od wieku nagromadzone starczyły na to zawsze, by magiczną ich siłą i magnesem książęcej szczodrości przywiązać do siebie liczne wojowników roje i na ich czele dobijać się chwały wojennej, u swoich i u zazdrosnych sąsiadów roztaczać blask swego imienia.

Wspaniałomyślność i hojność rozumna należała do pierwszych reguł sztuki rządzenia. W patryjarchalnym ustroju państwa miał naród potężną a szczodrą dłoń książęcą za tę opatrznościową rękę sprawiedliwości, której nagroda nie omijała żadnej prawdziwej zasługi, której mściwa kara jednak wszystkiego złego dosięgnąć umiała. Każdy śpieszył w zawody, by księciu się zasłużyć, bo wiedział, że mu to się sowicie opłaci; każdy jednak miał to głębokie poczucie, że najmniejszy cień nieposłuszeństwa wiódł do zguby niechybnej, gdyż dość było skinienia ręki książęcej, by na krnąbrnego wszyscy bez wyjątku się rzucili, związani służbą monarszą, zasług żądni i nagrody.

Najuboższy mieszkaniec państwa miał nieustannie swego księcia przed oczyma, bo on sam rządził, przebiegając bez spoczynku wszystkie okolice kraju, sam wszystkiego doglądał, w podróżach monarszych sam złe karał, a zasługę nagradzał.

Na tych podróżach monarszych opierał się zresztą wogóle średniowieczny sposób rządzenia. Nie inaczej rządzili cesarze w swoich królestwach, nie inaczej panował król angielski, duński czy węgierski. Piastowie stałej rezydencji nie mieli. Każdy z monarchów polskich miał zresztą jakiś

gród ulubiony, w którym lubił przebywać w chwilach spoczynku, po trudach nieustannej podróży. Pierwszym Piastom chrześcijańskim najlepiej było w ich prastarych gniazdach rodowych, w Gnieźnie lub Poznaniu; Bolesław Śmiały wolał już przesiadywać na zamku krakowskim w rzadkich chwilach spokoju, bo mu stamtąd bliżej było do Czech, na Ruś i do Węgier. To pewna wreszcie, że główne grody dawniejszych części składowych państwa, Gniezno i Poznań, Kraków, Sandomierz, Płock i Wrocław najlepiej były urządzone, najwięcej miały budynków do pomieszczenia dworu i najznaczniejsze w nich kryły się bogactwa.

Gdziekolwiek jednak książę przebywał, czy w dłuższej siedzibie na jakim grodzie znaczniejszym, czy też w podróży wędrował po kraju, zawsze otaczała go liczna drużyna świetnego orszaku dworskiego. Stały dwór składał się z dworzan, pełniących zaszczytną służbę przy osobie monarchy. Byli to ludzie zacnego rodu, którzy wraz z żonami swojemi, niewiastami z dworu monarchini, nigdy nie odstępowali osoby księcia, chyba, że ich rozkaz monarszy w jakiej sprawie z dworu wydalił. Wszelkie bowiem zlecenia powierzał im książę.

Niektórzy z tych dworzan, zażywający szczególnych względów monarchy, dosługiwali się tego zaszczytu, że im dane było przy każdej biesiadzie, w różowej atmosferze najlepszego humoru oddawać mu u stołu najbliższe i najmilsze usługi. Najzacniejszego też rodu panowie mieli to sobie za zaszczyt, jeśli im książę powierzył urząd stolnika lub podczaszego. Niemało snać zaufania umiał sobie zdobyć ten dworzanin, któremu książę z urzędem skarbnika oddał klucze swych skarbców dziedzicznych, a nawet koniuszy, mając sobie powierzoną pieczę nad ulubieńcem stadniny książęcej, niepospolicie musiał sobie na łaskę pańską zasłużyć, zanim mu się ten urząd dostał w udziale.

Bogato i strojnie wyglądał ten zastęp dworzan, bo

około książęcego majestatu wszystko musiało być świetne i wspaniałe. Gallus nie może się nasławić bogactwa szat i kosztowności na dworze Chrobrego, jakby z milczącym przyznaniem, że za czasów Krzywoustego już takiej świetności nie było. Niemniej jednak wesoła atmosfera panować musiała na dworze pierwszego i trzeciego Bolesława. Za czasów Chrobrego, mówi Gallus, przy codziennych ucztach w każdy dzień powszedni, jeśli cały dwór królewski zasiadł do biesiady, liczono do czterdziestu „głównych stołów", prócz pomniejszych i pośledniejszych, przy których snać mieścili się niższego rzędu biesiadnicy. Szczególnie jednak lubił Chrobry ucztować swobodnie, w wybranym kole towarzyszy, z królową, z szczuplejszym gronem najdostojniejszych swych ulubieńców i ich małżonek, gdzie po trudach wojen i rządów pokojowych, przy kielichu, wokoło krążącym, żarty, zabawy i śmiechy odświeżały biesiadnikom myśl i serce do poważnych zajęć dnia jutrzejszego.

Bolesław Śmiały

przez Juljana Bartoszewicza.

Za pozwoleniem starszyzny narodowej przy życiu ojca, za usilnemi prośbami matki Dobrogniewy po jego śmierci, młody 16-sto letni Bolesław wstąpił na królestwo, sam jeden. Naśladowano tu przykład Brzetysława czeskiego, który nie chciał więcej rozdrabniać państwa.

Wszystkie zalety młodego króla najlepiej wyrażają przydomki, które mu nadała historja. Po łacinie spółcześni nazywali go „Largus", późniejsi „Audax". Stosując się do tych nazwań po polsku, mówimy o nim, że jest Szczodry, albo Śmiały, chociaż inni nazywają go Szczodrobliwym i Wspaniałym. Każdy z tych przymiotników wyraża inną

stronę okazałości, świetności królewskiej, która się głównie zawierała w otwartym sercu, w hojnej ręce. „Szczodrobliwość, mawiał młody król, powinna uprzedzać prośbę; żeby nie być dla niej powolną, wprzódy samemu dać się godzi, bo każda prośba to wyrzut sknerstwa, i nie otrzyma ten z łaski, z dobrej naszej woli, kto prosi o dobrodziejstwo. Niechaj będzie też i szczodrobliwość powolną, ażeby prędzej nie uleciała i później nie znikła." Widzimy, że król obmyślał cały systemat hojności, którego się nie zapierał nigdy w praktyce.

Taka hojność mogła już nawet państwu być szkodliwą, bo podobna była do marnotrawstwa; przypuścić też trzeba, że objawiła się w późniejszych latach panowania Bolesława, bo w pierwszych chwilach była niepospolitą ozdobą pana, który tyle innych jeszcze miał zalet. Król nie lubił zbiorów, powiadał, że najlepiej ich strzeże dziurawy worek, i że książęciu nie przystoi być skąpcem.

Młody książę odznaczał się męstwem, pogardą niebezpieczeństwa, za co szczególnie kochało go rycerstwo. Gorzał Bolesław żądzą wojny, ale wspaniały i gościnny więcej pragnął sławy, niż zdobyczy. Bolała go wszelka niesprawiedliwość obcych i chętnie porywał za oręż, ażeby ją naprawić. Dlatego zdawało się z początku, że rozpoczyna świetne czasy Bolesława Wielkiego, bo szedł wspaniale po śladach przodków. Kiedy mu ojciec odbudował już państwo polsko-chrobacko-mazowieckie, zdawało się, że Bolesław spokojny z tej strony, wyjrzy szerzej poza granice dotychczasowej Polski, odnowi majestat Chrobrego i dźwignie cesarstwo wschodnio-słowiańskie. Na ten cel wskazywały kolejne wyprawy Bolesława do Węgier, do Czech i na Ruś. Wszędzie król zajrzał i ugruntował grozę swojego oręża. Żył wtenczas i oddychał cały wojną. Polska za niego była najwspanialszym państwem Słowiańszczyzny, ogniskiem jej, życiem, sprawiedliwością, dlatego, że wszystkie te wyprawy królew-

skie długo więcej były rycerskie, niż polityczne. Król chciał żyć wśród ciągłego ruchu i wrzawy i stąd kontent był, że mógł popisywać się walecznością, odwagą, rycerstwem. Wspaniale przebaczał urazy Czechom, ale na Węgry i Ruś kilka

Bolesław Śmiały (rys. Jana Matejki).

razy zaglądał, a zawsze godził tylko sprawy pretendentów i dla państwa żadnych zresztą nie odnosił korzyści.

Tlał w nim duch Bolesława Wielkiego, ale nie tak rozległy i olbrzymi, lubo zawsze duch to był niezmiernie ol-

brzymi i rozległy. Na walkach dopiero tych wyrobił w sobie poczucie wyższej pradziadowskiej polityki. Bolesław Chrobry wojował ludy i spajał wszystkie w jedną całość. Niemcom zabierał zawojowane ziemie, tworzył państwa, które, rozsypane, zgromadził w części Kazimierz. Królowi Śmiałemu, kiedy już z dziecka dojrzał do władzy, powiedziało natchnienie, że nie czas jeszcze spoczywać na wieńcach ojcowskich, kiedy Polska więcej rozwijać się może, powinna i musi. Otóż ta chwilowa wspaniałość początkowych lat panowania ustaje, król śladami Chrobrego przedziera się niby w życie i, co rzecz dla całej przyszłości niezmiernie ważna, robi stanowcze zdobycze na Rusi, tak dalece, że przeszedł w tym nawet wzór swój wielki, Bolesława Chrobrego. Wypadki następne dowiodły, że ziemie nad Łabą coraz więcej obumierały pod najazdem, ale Ruś wsiąkła całkowicie w Polskę i dlatego ważny jest zwrot ten Bolesławowy do ziemi przyszłości, na której życie Polski rozwijać się będzie.

Znakomity król miał wielkie poczucie swojej powinności nietylko względem państwa na zewnątrz, ale i względem narodu, na wewnątrz. Jak ojciec, szczepił przewagę obrządku łacińskiego, ale jak pradziad ogłaszał się za ludem przeciwko szlachcie. Nieszczęście to, że był niepospolicie dumnym i zuchwałym, może te wady rozwinęły się w nim skutkiem świetnych powodzeń. Bolesław Śmiały umiał zwyciężać i podbijać, stąd zależnego stanowiska względem sąsiadów, choćby nawet tak i być musiało, nie byłby umiał zająć. Bolesława raziło nawet to niepodległe stanowisko, jakie zachował względem cesarstwa ojciec jego Kazimierz, który spuszczał się więcej na rokowania i układy, na łaskę cesarską, gotową poprzeć Polskę, niż na oręż. Bolesław nie był to człowiek do zależności stworzony względem silnych, cóż dopiero względem swoich podwładnych! Władza królewska, która silnie podrosła za Kazimierza, stała się jeszcze dzielniejszą w ręku Bolesława, szczerego i zdolnego samo-

władcy. Toć samo owo rozdarowywanie skarbów narodowych, które złożyły się z podatków zbieranych po opolach i gminach, jest w oczach naszych oznaką tęgości władzy, która na nic nie potrzebowała się oglądać.

Taki król wspaniały, hojny i świetny nie potrafił później przebaczać uraz nikomu, nie zważał na żadne prawa, drażnił i łamał. Roznamiętniwszy się w walce, utracił wszelką miarę i wagę, i wtedy zatarł się owoc jego zdobyczy, reformy wewnątrz inny historyczny wzięły kierunek, sam król padł ofiarą, wspaniałą znowu ofiarą niepodległego umysłu.

Polska w podziałach

przez Juljana Bartoszewicza.

Bolesław Krzywousty mógł rozejrzeć się z chlubą po swoim panowaniu. Trzydzieści siedem lat zeszło mu w pracy wielkiej, szlachetnej. Podniósł z poniżenia Polskę Władysławową, rozsławił ją czynami oręża. Podbijał jeszcze, wprawdzie ostatni. W ślady Bolesława Chrobrego wstępując, za Odrę ku Łabie posunął chorągwie polskie. Miał wodzów, sławnych hołdowników i książąt. Błogosławieństwo Boże spoczywało nad jego domem królewskim, liczne grono dzieci otaczało go czcią i przywiązaniem, miał pięciu synów i drugie tyle córek.

Jednakże król był smutny niepewnością położenia. Polska dosyć świetnie stała od zachodu, lecz na północy groziło ciągle pogaństwo pruskie, litewskie, Jadźwingowie, rozbudzone i rozdrażnione tryumfami Bolesława na oddalonym Pomorzu. Toż nie dla innych powodów, tylko dla lepszego pilnowania tej północnej granicy, Bolesław wzorem ojca przeniósł się na mieszkanie do Płocka, tutaj założył państwa

swego stolicę w dniach ostatnich. Gniezno i Kraków świeciły znowu pustkami.

Czuł schodzący do grobu Bolesław, że Polska rozdzielić się musi. Wiedział, że trzeba zaspokoić ten duch prowincjonalnej niepodległości, który się tak głośno przejawiał to w buntach, to w pretensjach panów. Na każdym prawie miejscu znalazł się pan możny, który stanowiskiem chciał wyrównywać królowi. Bolesław czuł, że Polskę rozdzielić musi, bo inaczej samaby się rozerwała pod parciem wewnętrznej rozkładowej siły. Lepiej, że Polskę rozda synom częściami, niż pozwoli na wojny domowe, na wewnętrzne spory. Jeżeli sam tę rzecz weźmie do ręki, utworzy położenie rzeczy, jakie zechce, najdogodniejsze ku utrzymaniu w rozdziale jedności. Wypadnie korzyść ta jeszcze, że jedna rodzina panująca będzie wiązała Polskę. Przy jedności pochodzenia, języka, przy jedności starej Bolesławów historji, która mgłą zachodziła, cała Polska, pod władzą jeszcze najwyższą duchowną arcybiskupa gnieźnieńskiego, znajdzie jedność dynastji, która tradycje Bolesławowskie zatrzyma. Nietylko interes własny ojca względem dzieci, ale dobro przyszłe wymagało, żeby oznaczyć warunki tego podziału, bo inaczej panowie wyrośliby na książąt, a Piastowie znikliby.

Zapewne mógł działać i przykład sąsiednich państw. Tam się wszędzie i wszyscy dzielili, wojowali o dzielnice, wypędzali. Nieraz i w Polsce były dzielnice, a przecież zrastały się w jedno państwo. Polska nie dzieliła się dotąd, musiała wreszcie uznać konieczność. Prowincjonalne życie zmusiło ją do tego. Bolesław jednak martwił się tym położeniem ojczyzny, które rozumiał więcej, niż wszyscy. Może widok, że kraj dzieli się wszędzie, w Czechach, w Węgrzech, na Rusi, w Niemczech, cokolwiek go uspokajał, że to w porządku rzeczy, ale bądź co bądź czuł prawo swoje, powinność, utrzymać jedność, bo ją wszyscy Piastowie trzymali, a widział, że trzeba ustąpić temu, co się wyrobiło.

Król, naradziwszy się wprzód ze starszyzną, obmyślał oryginalne zasady podziału. Chciał utrzymać jedność państwa przy zaprowadzeniu dzielnic. To była jedna zasada, którą wytłumaczyć można przywiązaniem królewskim do dzieła swego i wieków, do Polski. Rzecz słuszna i zacna, o ile w sile ludzkiej będzie ją rozwiązać. Dalej, mając dzielić kraj na pięć części, bo tylu miał synów, Bolesław bez żadnej przyczyny podzielił go na cztery, bo synowi najmłodszemu, trzeci rok mającemu, nic nie dał. Była to druga zasada podziału, przyjęta przez króla, niewytłumaczona, niepojęta. Młody wiek Kazimierza wcale tej niesprawiedliwości nie tłumaczył — wszakże i Henryk siedmioletni rządzić sam nie potrafił, wszakże i starsi od niego bracia byli dziećmi, a więc opiekunowie jacyś musieli za nich sprawować rządy. Nie miała Polska z powodu wydziedziczenia Kazimierza wojen, bo okoliczności tak się na to złożyły, że poprawiły zaraz błąd ojcowski, ale gdyby inaczej poszło, nie prowadziłżeby Kazimierz sprawiedliwych wojen z bracią? Chociaż się inaczej stało, zawsze król popełnił winę.

Dla jedności państwa król obrał jedną dzielnicę na pierwszą, najdostojniejszą, najstarszą w rodzinie i w kraju. Być nią mogła rzeczywiście tylko dzielnica krakowska, którą oddawał też najstarszemu swemu synowi Władysławowi. Gniezno pamiętało bardzo dawne czasy Polski, ale Kraków pamiętał jej wielkość i sławę. Z Gniezna stolica państwa przeniosła się stale do Krakowa za Kazimierza Odnowiciela, za Bolesława Śmiałego, wreszcie i za Krzywoustego. Chodziło zatym o ustalenie tego pierwszeństwa Krakowa dla utrzymania jedności państwa. Równając synów tytułem, musiał ich rozróżnić prawem i znaczeniem, inaczej jedność mogła się rozchwiać.

Bolesław sądził więc, że księciu krakowskiemu należy także dać więcej siły stosunkowo do innych książąt, żeby w następnym czasie władza ta jego, która była jednością,

nie rozpadła się i nie zniknęła. Władysław został tedy księciem krakowskim z prawem starszeństwa i opieki nad bracią. Miał pierwsze, najdostojniejsze, ale zarazem i największe państwo—dzielnica jego ciągnęła się długim pasmem od Karpat aż po Baltyk, obejmując ziemię Krakowską, Śląsk, kraj Sieradzki, łęczycan i Pomorze całe od Wisły do Odry.

Z podziałem rozpadło się dzieło Bołesława Chrobrego, które utrzymało się wiek cały. Polska była wszędzie, nietylko w Gnieźnie i w Poznaniu, ale i w Krakowie i we Wrocławiu i w Sandomierzu i w Płocku; jeden tylko Kijów, przez wpływ okoliczności przeważnych, nie mógł się, jak część do całości, przyłączyć do Polski i Piastów. W tym okresie dziejów ziemie pojedynczych plemion były prowincjami jednego wielkiego państwa. Wewnętrzne oddziaływanie plemion przeciw centralizacji, której wcieleniem była Polska, jako ziemia Polan, doprowadziło do podziału.

Klasztory i zakony w Polsce

przez Antoniego Małeckiego.

Każdy klasztor w tej początkowej epoce, bez różnicy, czym się przeważnie trudnił i z jakich pierwiastków się składał, stanowił na całą okolicę potężną dźwignię usiłowań, dzięki którym przetwarzało się powoli społeczeństwo, jeszcze surowe, w żywioł przesiąknięty jakąś idealniejszą dążnością, jakimś prądem uzacniającym te nieokiełznane samorodne instynkty i wiodącym do postępu, bodaj na razie materjalnego... Były pomiędzy zakonami i takie, których zadanie, prócz religijnych praktyk, polegało przez kilka wieków niemal wyłącznie na tym tylko, żeby np. zaprowadzić i utrzymywać na wydzielonych sobie obszarach wzorowe gospodarstwo rolnicze, karczować lasy, osuszać bagna, przestrzenie

przedtym do niczego nie zdatne zamieniać w urodzajną, miodem płynącą okolicę, obsiewać glebę, kulturze dopiero pozyskaną, ziarnem nieraz jeszcze w kraju nieznanym, urządać na niej coraz nowe osady, z których później wsi, nieraz miasta znacznie się wytwarzały, zakładać po włościach swoich sady, ogrody, a gdzie położenie miejscowości było potemu, nawet winnice, po których dziś przy zmienionych klimatycznych stosunkach nie pozostało ni śladu i których wspomnienie utrzymuje się w samych już tylko nazwiskach miejscowości pielęgnować na gruntach swoich warzywa, jarzyny, rośliny pastewne, kwiaty, drzewa owocowe wybornego gatunku, o jakich przedtym w całej okolicy mowy nie było, zakładać w obejściu swoim budynki z materjału, który w potrzebie mógł się oprzeć i zbrojnej nieprzyjacielskiej napaści, utrzymywać w nich najrozmaitsze własne warsztaty rękodzielnicze, wystawiać nakoniec przy szczodrobliwości dobrodziejów zakonu, świątynie, jakim podobnych na kilkanaście mil wokół nie widziała jeszcze ludność miejscowa.

Takim to zakonem byli przedewszystkim Cystersi, instytucja z samej zasady swojej obojętna dla otaczającego ją świata, wyrzekająca się wszelkiego z ludźmi zetknięcia, pustelnicza, żyjąca tylko dla siebie, a przecież mimo tego wszystkiego, w ówczesnych stosunkach, wbrew wiedzy i woli swojej niezmiernie pożyteczna dla kraju, któremu wszczepiła wyobrażenie, przechodzące poziom jego tradycyjnych potrzeb, jakoteż środków uczynienia im zadość. Cystersi zatym położyli (w obrębie epoki swojej) niezaprzeczoną zasługę około postępu społeczeństwa naszego. A cóż dopiero powiedzieć o takich zgromadzeniach, które wolne były od wyłączności tego zakonu i miały więcej idealne cele przed sobą? Co powiedzieć o zakonach, które, jak Benedyktyni, Premonstratensi i t. d. nie tylko materjalną kulturę, ale i oświatę duchową w tym narodzie szerzyły?

W wiekach średnich, w rzadkich tylko razach oddawali

się naukom i świeccy ludzie, a cały normalny zastęp ludzi książkowo wykształconych, zamykał się w stanie duchownym. Duchowieństwo świeckie miało więcej żywotne i praktyczne cele przed sobą. Właściwy zawód uczony przywiązany był głównie więc do tych murów klasztornych, które zastępowały w tamtym czasie swoim współczesnym wszystkie owe dźwignie oświaty, za jakie nam dziś służą bibljoteki, drukarnie, księgarnie, pracownie artystów i literatów z powołania, tworzących postęp wiedzy, albo rozprzestrzenienie takowej.

Społeczeństwo polskie od pierwszej chwili pojmowało całą tę tak różnostronną ważność zakonów. Szczodrobliwość królów, książąt, biskupów, panów i nawet niższych warstw towarzyskich, dosięgała w tym kierunku olbrzymich rozmiarów. Ani wątpić, że względy religijne stanowiły tu główną podnietę działania; ale przecież pojmowano samym instynktem, że się przez to fundowanie klasztorów i inne jeszcze cele osiąga. I dlatego to potrafiła się instytucja zakonna w najrozmaitszych swoich odcieniach w przeciągu niewielu wieków rozszerzyć w Polsce i przyjść w posiadanie zasobów, o jakich dzisiaj zaledwie ten lub ów dokładne utworzył sobie wyobrażenie.

„Habdank"

Z powieści J. I. Kraszewskiego.

Henryk V, cesarz niemiecki, ustąpiwszy z niczym z pod Głogowa, wysłał do króla Bolesława poselstwo, z żądaniem, by nie opierając się dłużej, uznał go swym zwierzchnikiem i złożył mu w dani 300 grzywien, jako należny cesarzowi haracz. Bolesław jednak, przekładając wojnę nad haniebny pokój, odmówił temu wezwaniu, a chcąc, by odpo-

wiedź jego powtórzyły cesarzowi wiarogodne usta, polecił jednemu z wodzów swoich Skarbimierzowi, by wraz z posłem cesarskim Groiczem udał się do obozu niemieckiego.

W podróży dwaj wodzowie nieprzyjacielscy zbliżyli się nieco ku sobie. Gdy Groicz lepiej poznał Skarbimierza, przekonał się, że był on za twardy do ujęcia, za dumny do złagodzenia uprzejmością, za rycerski, aby dał się przekupić.

Ale na dworze i w otoczeniu Henryka V wszystko się na grzywny złote i srebne obliczało, bo i cesarz sam za nie gotów był oddać wszystko, pomyślał więc Groicz, że może i Skarbimierza, choć drogo, kupić będzie można.

Obóz cesarski jeszcze się był nie ruszył z miejsca, na którym go zostawili, gdy Groicz z posłem powrócił. W namiocie swoim pozostawiwszy Skarbimierza i dwór jego powierzywszy straży, sam poszedł naprzód do cesarza.

Ranek był właśnie. Po krótkim oczekiwaniu, Groicz uroczyście wprowadził posła przed Henryka V. Po drodze stało mnóstwo ludzi rycerskich, którzy mu się przypatrywali, bo o tym jednookim wodzu, co i na Morawach i w Pomorzu się wsławił, słyszano wiele.

Rycerska była postawa człowieka, ale nie strojna i nie błyszcząca niczym. Zbroja na nim gruba, miecz z rękojeścią żelazną, pas nieozdobny, hełm pobity, kaftan prosty, płaszcz zszarzany, wcale wspaniale nie wyglądały. Jak przybył, tak otarłszy się tylko z kurzawy i błota, przed cesarza szedł.

Jedyną ozdobą był na drugim palcu prawej ręki pierścień drogi, dar królewski. Rubin wielki jak wołowe oko i jak ono okrągło wytoczony, siedział w nim, złotą, grubą objęty przepaską.

Szedł tak Skarbimierz wśród dwu szeregów pozłocistych rycerzy, grafów i panów, śmiało wodząc okiem i nie wstydząc się wcale ani prostej swej odzieży, ani wytartej zbroicz-

ki. Wszystka ta wspaniałość straconą dlań była, bo wobec niej wyżej jeszcze podnosił głowę i jedynym swym okiem otwartym, dumnie a obojętnie spoglądał na przepych ten, rozumiejąc dobrze, dlaczego na pokaz go wywiedziono.

Groicz poprzedzał go, aby wprowadzić przed pana. Wkroczyli razem do wspaniałego rozległego namiotu, do tej części właśnie, w której od złotych naczyń, sreber i kosztowności, blask bił wielki, jak w kościele od ołtarza.

Cesarska twarz namarszczona i groźna nie ustraszyła też posła, a gdy Groicz poselstwo swe odprawił, Skarbimierz potwierdził je krótkiemi słowy, nie jak kanclerz lub kleryk, który wymowy zażywa umiejętnie i popisuje się z nią rad, ale jak żołnierz, co słowo niewiele waży, a pięknie go dobierać na wiązankę trafną nie zadaje sobie pracy.

Cesarz odezwał się zaraz, w początku groźnie, iż na Kraków wnet ciągnąć będzie, że zuchwalstwu nie przebaczy, lecz mowa ta żadnego nie uczyniła wrażenia na starym żołnierzu. Słuchał jej milczący, nie okazując, by brał do serca. Po cesarzu odzywali się inni, wystąpił kanclerz i kapelan Henryka Wigand, w imię religji i kościoła skłaniając do posłuszeństwa, które ci, co ulegali głowie jego w Rzymie, papieżowi, winni też byli i cesarzowi. Na to odpowiedział Skarbimierz, iż posłem jest, a nie władnie tu sprawą, więcej nie mogąc oddać nad to, co mu do zaniesienia powierzono. Wśród tej rozmowy, na skinienie cesarskie, poczęli się zwolna z tej części namiotu cofać do drugiej wszyscy przytomni, tak, że po chwili Henryk sam pozostał ze Skarbimierzem i powstawszy z siedzenia, przybliżył się do niego.

— Palatynie — rzekł do niego głosem łagodniejszym — napróżno staracie się umniejszyć znaczenie wasze, a skromnym się czynicie posłem. Wiedzą ludzie, jak u swojego pana stoicie i że wiele nad jego umysłem możecie. Czyńcie, proszę, co dla pokoju i zgody potrzebne, my wam zawdzięczyć potrafimy.

To mówiąc, cesarz zwrócił się ku głębi namiotu, gdzie stały skrzynie jego podróżne, naładowane srebrem, złotem i klejnotami, i ku nim Skarbimierza poprowadził.

— Nie sądźcie—rzekł — abym był tak waszych trzechset grzywien pożądliwy, albo na zdobycz chciwy. Mam bogactw poddostatkiem, nie żałowałbym ich dla czci korony mojej. Patrzcie — dodał, wskazując na otwarte skrzynie—to są tylko moje zapasy podróżne, a jest tego pewnie przecie więcej, niż u was?

Skarbimierz, któremu ta mowa, sam na sam w cztery oczy rozpoczęta przez Henryka, zdała się pokuszeniem o przekupienie go, zarumienił się i zafrasował zburzony, wahając co odpowie.

Myślał, jakby pogardę dla tego złota miał okazać, gdy oko jego padło na ów pierścień, na te czasy kosztowny i drogi, który miał na palcu. Szybko zdjął go z ręki i z uśmiechem, w silnej dłoni łamiąc go na dwoje, zawołał, do skrzyni rzucając:

— Mój miłościwy cesarzu, wyżej cześć i poczciwość cenimy nad złoto. Złoto niech idzie do złota!

I pierścień potoczył się na złocistą misę, z której czerwonym okiem zdał się cesarzowi urągać. Henryk stanął zdumiony mocno i po chwili namysłu zamruczał półgłosem:

— Hab Dank! (dziękuję).

O przekupieniu tego człowieka już więc pomyśleć nie było podobna.

Cesarz wrócił na swe siedzenie, a wkrótce Skarbimierz, pokłoniwszy mu się, pożegnał go.

Nie zatrzymując się już potym w obozie, nie chcąc z nikim mówić więcej, choć mu się różni narzucali, poszedł Skarbimierz wielce oburzony do koni swych, ludziom siadać kazał i wyciągnął z obozu bez przeszkody, ciekawemi ścigany oczyma.

Po odjeździe posła, cesarz gniewniejszy był jeszcze, niż przedtym. Podziękował za pierścień rzucony, ale czuł, że nim jak kamieniem w piersi cisnął mu ten człowiek.

Kraków starożytny

przez Michała Bobrzyńskiego.

Kraków wielki, wspaniały XV-go, XVI-go i XVII-go stulecia, sięga początkami swojemi co najwyżej czasów Kazimierza Wielkiego. Jakże wyglądał przedtym, przed Kazimierzem w XIII-ym, i w początkach XIV-go stulecia? Podróżnego, który wówczas przebiwszy się przez gęste lasy, znalazł się w obliczu Krakowa, inny uderzał widok. Nie było jeszcze przedmieść, nie było Kazimierza, Kleparza, które osobne później stanowiły miasta — Kraków zamykał się w obrębie dzisiejszych plantacji, a strzegły go nie tyle słabe mury, ile szerokie rowy i ostrokoły. Gdy je gość przekroczył, znalazł już te same co dzisiaj i tak samo nazwane ulice, przy nich domy chędogie, ale skromne, wystawione przeważnie z drzewa, poczęści jeszcze strzechą słomianą pokryte, ogrodami zwykle od siebie odgraniczone; znalazł rynek w pośrodku z ratuszem i handlowemi kramami, a w miejscu późniejszych świątyń ujrzał kościołki, w których styl gotycki łamał się dopiero z romańskim. Było się gdzie pomodlić, można było znaleźć gospodę i posiłek; ale jeżeli gościem był Polak i na ulicy do przechodnia w ojczystym języku przemówił, przekonał się, że go nie rozumiano, że mowa polska kończy się u bram miasta, a w obrębie jego żywioł i język niemiecki wszechwładnie panuje.

Miejsce dawnej osady polskiej, skupiającej się około grodu książęcego na Wawelu, zajęło w połowie XIII-go wieku miasto niemieckie, a na to zjawisko złożył się znany

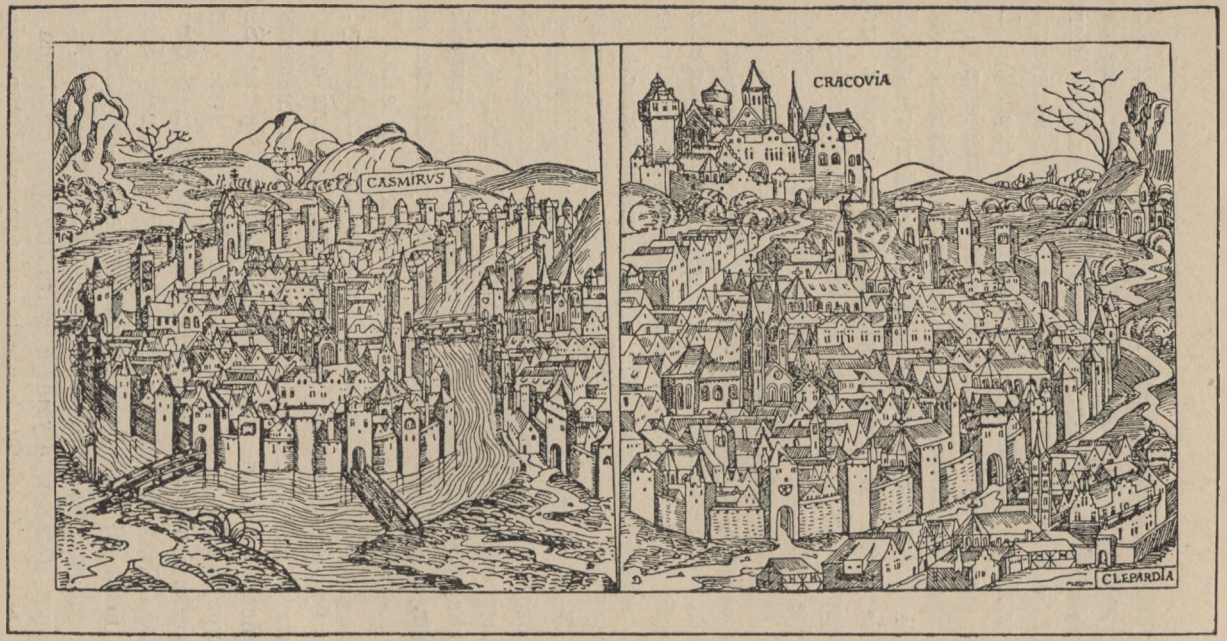

Widok Krakowa w XV wieku.

przewrót w dziejach Polski XIII-go wieku. Komuż nie stanęły w pamięci, kto raz o nich słyszał, owe straszne napady Mongołów, które tylekroć Polskę ówczesną zalały? Pierwsza nawała, prowadzona przez samego Batuchana, spaliwszy Sandomierz, Kraków i Wrocław, a oparszy się dopiero o Lignicę, nie pozostawiła po sobie kamienia na kamieniu, a otworzyła wrota nieustannym najazdom barbarzyńskiej dziczy.

Słabi wskutek podziałów po śmierci Krzywoustego książęta nie mogli im stawić silnego oporu, a tak w krótkim przeciągu czasu dzielnica, na której niegdyś pierwsi Bolesławowie opierali swoją potęgę, gdzie kwitnęło rolnictwo, a pod osłoną grodów polskie zaczynały się rozwijać miasta, stała się jedną wielką, przerażającą pustynią. Resztki ludności, które nie padły pod mieczem i ogniem najeźdźców, które nie poszły w gorszy od śmierci jasyr, błąkały się po lasach wystraszone, wylękłe; społeczeństwo straciło swoją spójnię, brakło do pracy rąk, kapitału, a głównie otuchy.

Wówczas to dla kraju, pogrążonego w ostatniej ruinie, pozostał jeden środek ratunku, sprowadzenie i osiedlenie Niemców, chętnych do pochodu na Wschód, w słowiańskie dziedziny. Nie było chwili do stracenia; chwycili się go oburącz książęta, a osobliwie panujący podówczas w ziemi krakowskiej, sandomierskiej i sandeckiej, Bolesław Wstydliwy. Przykład księcia naśladowali biskupi krakowscy, naśladowały przedewszystkim zamożne i Niemcami obsadzone opactwa w Miechowie, na Świętym Krzyżu, w Sieciechowie, na Tyńcu, w Mogile i t. d. Kolonizowały się ze Ślązka, z Saksonji, z Frankonji, a nawet z Flandrji wsie polskie, miasteczka i miasta. Wówczas też na zgliszczach dawnego polskiego Krakowa odbudował się nowy, niemiecki Kraków.

Obraz tej kolonizacji skreślony jest w przywileju, wydanym miastu w r. 1257 przez Bolesława Wstydliwego, a przechowanym dotąd w oryginale w tamtejszym archiwum miejskim. Jest to formalny kontrakt zawarty między panującym,

a przedsiębiorcami kolonizacji. Przedsiębiorców takich było trzech: Gedeon zwany Stylwajt, Jakób, niegdyś sędzia z miasta śląskiego Nisy, i Dytmar Wolk, wszyscy trzej, oczywiście Niemcy, prawdopodobnie ze Ślązka przybyli. Zobowiązali się oni miasto Kraków samemi cudzoziemcami zaludnić i odbudować, ale pod warunkami, które im książę Bolesław w przywileju zapewniał.

Na tym obszarze gromadzili się koloniści, których przedsiębiorcom ze wszystkich stron Niemiec stosunkami i wpływem swoim udało się ściągnąć i których wieść o zakładającym się wielkim mieście, o korzystnych dla jego rozwoju warunkach, o łaskawości książąt i udzielonych przywilejach wabiła. Najważniejszym z tych przywilejów było nadanie miastu prawa magdeburskiego. Było to zapewnieniem, że przybysze niemieccy, osiedlający się w Krakowie, znajdą tu drugą swoją ojczyznę, urządzoną na wzór najgłośniejszego podówczas w całych północnych Niemczech miasta Magdeburga. Na modłę magdeburską miały się w Krakowie zorganizować cechy, urządzić rady miejskie i sądy wójtowskie. Kraków otrzymał samorząd w najrozleglejszym tego słowa znaczeniu. Żaden urzędnik książęcy nie śmiał granicy miasta w urzędowym charakterze przestąpić, żadnego urzędnika nie śmiał książę do nadzoru nad sprawami miejskiemi ustanowić. Ludność polska włościańska do obywatelstwa miejskiego nie miała przystępu. Miasto posiadało prawo bicia monety, swobodę od podatków na lat sześć, wolność podróżowania z towarzyszami po całym kraju bez opłaty ceł na lat dziesięć, obowiązek służby wojennej w granicach księstwa krakowskiego.

Korzystając z tych przywilejów, a nie mając ciężarów, urządzał się też i zabudowywał Kraków sposobem niemieckim. Podług planu z góry obmyślanego stanęły najpierw domy, stanowiące rynek czterokątny, Ring, większy niż gdziekolwiek w Niemczech, jak na stolicę wielkiego wkrótce państwa

przystało. Książę Bolesław wystawił wreszcie własnym nakładem Sukiennice i kramy na środku rynku, obok miejskiego rathausu, ratusza. Wszystko to, otoczone rowami, wałami i jakim takim obwarowaniem, przedstawiało całość w sobie zamkniętą, pełną ruchliwego życia, o ile początkowo skromną, o tyle z każdym dniem silniej się rozwijającą i nieustannym napływem obcej ludności, osobliwie ze Ślązka wzmaganą.

Niemcy krakowscy pojęli wybornie gieograficzne swe stanowisko. Położeni tuż prawie przy granicy swojej dawnej ojczyzny, zachowawszy z nią ścisłe stosunki, a widząc przed sobą niezmierzone przestrzenie Wschodu, chwycili w swoje ręce pośrednictwo w handlu między Zachodem a Wschodem. Dwie wielkie drogi handlowe w Krakowie się krzyżowały: jedna prowadziła od brzegów morza Czarnego przez Lwów do Wrocławia, druga z Moskwy i Nowogrodu przez Sącz do Węgier i Wiednia. Otóż mieszczanie krakowscy, otrzymawszy najpierw od Bolesława czasowe, następnie zaś od Leszka Czarnego zupełne uwolnienie od ceł, a wyrabiając sobie pomału wolność handlu na Mazowszu, w Węgrzech, Rakusiech, na Rusi, a nawet w odległej Moskwie, skupiali w swoich rękach handel całego Wschodu i olbrzymie zeń ciągnęli korzyści.

Kiedy w r. 1305 Łokietek zwycięsko powracał do dzielnicy przodków, Kraków przechylił się na jego stronę, nie pierwej jednak, aż nowy monarcha nowym przywilejem dawne prawa zatwierdził i nowych, ile tylko miasto mogło zażądać, udzielił. Mieściło się tu przedewszystkim prawo przymusowego składu. Żaden obcy kupiec w myśl tego praw nie miał mijać Krakowa, lecz przybywszy tu ze swoim towarem, musiał go mieszczanom krakowskim odprzedać. Postanowienie to łatwo było podówczas wykonać. W kraju zupełnie bezdrożnym, drogi wiodące przez Kraków były to szlaki jedyne, wijące się wśród nieprzebytych dziewiczych lasów

i jeszcze więcej niedostępnych moczarów, mirem, to jest opieką książęcą nad podróżnemi, i towarem ich obwarowane. Zboczyć z nich dla karawany kupieckiej było istnym niepodobieństwem. Teraz więc mieszczanie krakowscy kupowali tamże towar przychodzący zarówno z Zachodu jak z Północy, Południa i Wschodu, a nałożywszy mu dowolną cenę, wysyłali go i jeździli z nim w przeciwnym kierunku. Konkurencja upadła, Kraków chwycił w swoje ręce najzupełniejszy monopol handlowy.

Królowa Kinga

przez Karola Szajnochę.

Po dniach trwogi i niebezpieczeństw nadeszły chwile rozweselenia. W lat kilka po pierwszej burzy tatarskiej, prawdopodobnie około r. 1247 udała się księżna krakowska, żona Bolesława Wstydliwego, Kinga, w odwiedziny do ojca. Król Bela obwoził córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa. Między innemi zwrócono podróż ku stronom gór karpackich w krainę marmoruską, rozciągającą się wzdłuż południowych granic Pokucia. Słynęła ta okolica z nadzwyczajnie bogatych kopalń soli rodzimej. Ojciec księżny krakowskiej chciał ucieszyć swego miłego gościa widokiem podejmowanej w kopalniach pracy górniczej. Zatrzymał się podróżny dwór królewski u jednej z żup tutejszych, otwierających się kilku szachtami czyli szybami w solną głąb ziemi. Niezwyczajny obraz podziemnego trudu kopaczy zabawił wielce księżnę młodzieńczą. Żywe atoli przywiązanie do ziemi po tamtej stronie gór i do narodu nadwiślańskiego, zasępiło zabawę myślą: czemu i kraina krakowska nie osiągnęła tak pożądanego błogosławieństwa niebios? Polska nie znała jeszcze podówczas swych własnych skarbów solnych.

Rodziło wprawdzie całe pogórze Krakowskie niemało soli, lecz była to prawie wyłącznie sól warzona, tak zwana surowica. Wydobywano ją od najdawniejszych czasów na górze Soła w Bochni, w Wieliczce, tudzież w wielu innych miejscach przyległych. Były więc dawno przed św. Kingą warzelnie i kopalnie soli w ziemi krakowskiej, była mianowicie w Bochni sól źródłowa, a w Wieliczce źródłowa i kamienna. Wszakże nie wystarczały one nawet codziennym potrzebom ludności okolicznej. Miała zatym dobrotliwa księżna krakowska wszelki powód do ubolewania nad swoim krajem, iż nie posiada takiej urodzajności solnej, jaką właśnie zdziwiały gości królewskich kopalnie marmoruskie.

W podobnym usposobieniu ozwała się księżna polska do ojca, aby jej darował jeden z szybów kopalni, w który właśnie z nad powierzchni ziemi spoglądano w tej chwili, a którym matka ludu pragnęła przyjść w pomoc niedostatkowi swojej drugiej ojczyzny. Prośba św. Kingi zdawała się tym mniej niezwykłą, ile że w czasach owych tak w Węgrzech, jako też w Polsce każda kopalnia królewska szła pospolicie już to darem, już wypłatą zaległej należytości, w podział i posiadanie wielu osobnych nieraz wcale oddalonych, ulubieńców lub służebników królewskich. Niezdziwiony tedy prośbą swej córki uczynił jej zadość król Bela, przyznając św. Kindze darem szyb zażądany. Dobroć ojca rozweseliła księżnę młodzieńczą. W natchnieniu igraszki niewinnej, umyśliła ona wziąć w posiadłość dar rodzicielski, jakoby chcąc zapobiec, aby niczyja protekcja nie mogła zaprzeczyć go w przyszłości. Dopełniano wówczas takiego wwłaszczania się różnemi symbolicznemi znakami, bądźto uroczystym przywdzianiem podanej sobie przez łaskodawcę czapki, bądźto uniesieniem z sobą grudki ziemi z gruntu darowanego, bądź wreszcie godłem pierścienia, którym albo pan łaskodawczy wwiązywał obdarzonego w nową posiadłość, albo sam obdarzony brał ją wrzuceniem obrączki swojej w jawne odtąd

dzierżenie. Św. Kindze podobał się ten ostatni, najwłaściwszy w tej chwili sposób. Zdjęła więc niewielki złoty pierścionek z palca i z uprzejmym uśmiechem wrzuciła go w głąb szybu tuż pod stopami. Wszyscy obecni za żart to raczej, niźli za rzecz istną przyjmowali. Tymczasem błogi ten żart wprowadzał księżnę i ziemię krakowską rzeczywiście w używanie szybu darowanego. Pierścień św. Kingi spadł pomiędzy pracujących w głębi górników, a jużto jednocześnie z powracającą nad Wisłę księżną, jużto w poblizkiej temu chwili ciągnęły liczne do Polski wozy, naładowane solą z szybu marmoruskiego i wędrowali tam z Marmoruszu górnicy solni, mianowicie kopacze z szybu św. Kingi, zawezwani do żup krakowskich w celu lepszego onych urządzenia, zbadania i rozszerzenia.

Jakoż okazują się w Polsce około tego czasu, istotnie ślady nowopodejmowanych trudów w tej mierze. Przy jednej z takich prób roku 1251 zajęci wygłębieniem studni górnicy, prawdopodobnie węgierscy, może nawet ciż sami, wobec których św. Kinga swój pierścionek w szyb marmoruski wrzuciła, dokopali się w Bochni twardych pokładów soli. Dano o tym upragnionym zdarzeniu czymprędzej wiadomość do Krakowa, księstwu obojgu, a zwłaszcza księżnie Kindze, która zewszechmiar najgorliwszy w tym brała udział. Z błogosławioną nowiną przynieśli górnicy do Krakowa zarazem ów złoty pierścionek marmoruski, opowiadając, iż go znaleziono w pierwszym rozbitym bałwanie szybu nowego.

W tej chwili pamięć szczęśliwego odkrycia skarbów bocheńskich, będącego niejako tylko następstwem onego żartu w kopalni zakarpackiej, zespoliła się nierozerwanie z jego narzędziem, z cudownym pierścieniem św. Kingi.

Początki miast w Polsce

przez Zofję Golińską.

Miasta polskie posiadają odległą i sławną przeszłość i związane są ze wszystkiemi ważnemi momentami naszej historji.

Pierwszą stolicą i najczęstszą siedzibą panującego było Gniezno, którego początek sięga 550 r., a nazwę tłumaczą znalezionym przez Lecha gniazdem orłów. Nosi też ono w herbie orła, który staje się potym herbem całej Polski. W pierwszej połowie IX-go wieku zamieszkiwał tu książę Popiel, a potym Ziemowit i jego następcy aż do Mieczysława I. Przyjąwszy chrzest, Mieczysław częściej już odwiedza Poznań, z którego czyni jedną ze swoich stolic. Panujący bowiem nie mieli w owe czasy stałego miejsca zamieszkania, ale u nas, podobnie jak w Niemczech, przenosili się z całym dworem, ażeby sprawować w różnych dzielnicach kraju rządy i wymierzać sprawiedliwość. Istotną stolicą staje się dopiero Kraków, gdzie aż do 1596 roku, na zamku, zwanym Wawel, stale zamieszkuje król polski. Od tego czasu Zygmunt III przenosi stolicę do Warszawy, która leżała w środku jego drzierżaw, zwłaszcza, że zamek na Wawelu uległ dwukrotnemu pożarowi. Chwilową stolicą a przynajmniej ulubioną rezydencją staje się za czasów Zygmunta II Augusta, Wilno, dawniejsza siedziba książąt litewskich.

Miasta były świadkami świetnych przyjęć panujących i książąt zagranicznych, bez nich ani dwór królewski, ani magnaci i szlachta, ani duchowieństwo obejśćby się nie mogli byli. Piękne gmachy, kościoły, mury i wieże miast stanowiły dumę i ozdobę kraju; prowadzony przez nie handel był dla kraju źródłem bogactwa.

Początek miast w Polsce sięga epoki nader odległej. Po różnych miejscowościach kraju, zwykle na wzgórzach nad

rzekami, budowali książęta grody obronne. Grody te, zrazu drewniane, mieściły w sobie dworzyszcza, które stanowiły siedzibę kasztelanów i ich zbrojnej załogi. Dokoła otaczał je ostrokół z palów drewnianych. Do tych grodów, w razie napaści nieprzyjaciół, chroniła się ludność okoliczna z bydłem i dobytkiem. Z czasem drewniane dworzyszcze przekształcało się na obronny zamek murowany, a drewniany ostrokół zamieniano murem. Dokoła grodu powstawała osada, złożona z kupców i rzemieślników, zaopatrujących w żywność i odzienie grodową ludność, powstawało t. zw. podgrodzie. Późniejsze miasta łączą się zwykle z grodem i chronią się pod jego mury.

Dzieje grodów i miast pierwotnych mało są znane. Prawdopodobnym jest przecież, że zamieszkiwała je nieznaczna liczba mieszkańców, bo ludność była wogóle rzadką i głównie rolniczą. W gospodarstwie swoim sporządzał każdy rolnik potrzebne mu przedmioty, z własnego lnu i wełny wyrabiał przędzę, ubierał się w futra upolowanych zwierząt, wypiekał chleb ze zboża zasianego na własnym polu, a karmił się mlekiem i mięsem zwierząt wyhodowanych we własnym gospodarstwie.

Mieszkańcy miast, przez spółżycie w znaczniejszej gromadzie, dochodzą do wyższej zamożności, zajmują się handlem i przemysłem, a władza urzędników królewskich staje im się nieraz ciężarem.

Ważny w dziejach miast polskich wypadek stanowi osadnictwo niemieckie. Przypada ono na czas między XII a XIV stuleciem. Do kraju wyniszczonego przez tatarskie i mongolskie najazdy, wyludnionego przez wojny, sprowadzają królowie z dynastji Piastów osadników z sąsiednich Niemiec i osiedlają ich po miastach. Oprócz tych przybyszów, są w miastach cudzoziemcy z innych krajów, przenosi się do nich część ludności ze wsi i miasteczek okolicznych, miasta zaczynają żyć własnym życiem. Osadnikami są prze-

ważnie rzemieślnicy, kupcy, rękodzielnicy wszelkiego rodzaju, przyzwyczajeni do rządzenia się osobnemi prawami, a bardzo dla kraju użyteczni. Kunszta i handel przynoszą im znaczny grosz gotowy, którego właśnie brakowało w kraju, gdzie mieszkańcy zajmowali się głównie rolnictwem i wojną. Pragnąc osadników do miast polskich przyciągnąć, nadają królowie z dynastji Piastów przywileje lokacyjne czyli osadnicze miastom, a przez to wyodrębniają je pod względem obszaru i praw od reszty państwa. Znaczy to, że król na należącej do niego ziemi pozwala energicznemu przedsiębiorcy osiedlić osadników, pobudować się i na lat szereg uwalnia go od opłaty wszelkich danin i czynszów. Formą prawną nadania zatwierdzonego przez przywilej królewski, jest akt spisany na pergaminie w kancelarji księcia lub króla, opatrzony pieczęcią i podpisem monarchy.

Różnica mowy, obyczajów, historycznej przeszłości i związanych z nią wspomnień, dzieli mieszkańców miast na obce sobie grupy, polską i niemiecką. Zrazu przeważają Niemcy i język niemiecki. Po pewnym czasie jednak mieszczanie się polszczą, uczą się języka, przywiązują do nowych siedzib, a nawet niekiedy tłumaczą nazwiska swoje. Krakowski Wierzynek zwał się kiedyś Wirsing. Zmiana nazwiska nie była jednak potrzebną, bo dotąd jeszcze spotykamy po naszych miastach ludzi z niemieckiemi nazwiskami, którzy tylko do polskiego przyznają się pochodzenia. W XV a zwłaszcza w XVI stuleciu mieszczaństwo w Polsce mówi już tylko po polsku i w tym języku spisuje wszelkie akta i księgi.

Ruś dawna

z Lelewela.

Od zgonu Jarosława wielkiego, 1054, Ruś wpadła w ciągłe podziały. Była to kraina bardzo obszerna, mil półtora-

sta wszerz i wzdłuż licząca, stanowiąca jedność polityczną w tym sposobie, że był w niej jeden naród i jeden język słowiański ruski, tylko ludów i miast liczba wielka; jedna religja i jeden grecki obrządek i jedna hjerarchja; jedna familja Ruryka i jeden wielki kniaź w stolicy w Kijowie, tylko familja niezmiernie się rozradzała i kniaziów była liczba wielka. Między ludem a miastami panowała braterska zgoda, tylko między kniaziami braterska niezgoda.

Były mianowicie dla tronu wielkokniaziowskiego co do następstwa prawidła następujące: naprzód dziedzictwo po starszeństwie wieku i linji rozrodzonej familji; powtóre w dzielnicach, wedle woli wielkiego kniazia, albo wedle wspólnej umowy i jego potwierdzenia, bez żadnego względu na pokrewieństwo; potrzecie stosownie do wyboru i gminnego potwierdzenia w grodach; poczwarte naostatek, prawo następstwa popierane było orężem, prostą przemocą i wdzierstwem. Wdzierstwo i dobijanie się przemocą, pociągnęły za sobą szukanie pomocy cudzoziemczej. Kniaziowie, wydając swe córki za książąt polskich, a czasem węgierskich, biorąc niekiedy w małżeństwo Polki, Węgierki, Połowczanki, wzywali wsparcia Polaków, Węgrów, Połowców, którzy miejsce Pieczyngów zajęli, a niekiedy hordy Berendejów, także goszczących na stepach. Bywało też, że polscy książęta wzywali wzajem posiłków kniaziów ruskich i przypuszczali ich do niesnasek domowych.

Jeżeli wzrost ludności może być miarą pomyślności, to niewątpliwie Ruś w owym wieku liczyła się do krajów najszczęśliwszych. Ludność jej wzrastała ledwie nie w stosunku rozrodzenia się kniaziowskiego rodu Rurykowiczów. Z siedmiu synów Jarosława Wielkiego, za czasu synów Monomacha, zbierało się po siedemdziesięciu kniaziów, ich wnuków. Po całej Rusi mnożyło się siół i słobód, z których ostatnich powstawały grody. Kniaziowie coraz więcej takowych grodów podnosili, aby mieli się czym dzielić, co sobie wydzierać.

Dawne grody potężne w ludność wzmagały się. W Smoleńsku 1130 i 1138 r. powietrze po 40,000 ludzi uprzątnęło. Przerażona uszczerbkiem takim ludność, rozbiegła się, a wnet miasto to znowu do najludniejszych liczyło się. Południowe stepy, trapione napadami Połowców, pomimo klimatu łagodniejszego i ziemi żyźniejszej, nietyle Rusinów do siebie przywabiały, co strony północne. Budowa słobód i grodów nie była trudna, bo ziemie ruskie pełne były lasów; lepiono chałupy, chaty z gliny, albo je wiązano z ciętych okrąglaków, pokrywając słomą lub gontami. I cerkwie i dwory tymże sposobem mnożyły się. Ale po grodach większe cerkwie, monastery, dwory biskupów i kniaziów, oraz publiczne gmachy były z cegieł, poczynały się dźwigać i wały zamykające grody. Budowniczowie tych gmachów, pospolicie z Grecji, na carogrodzki sposób je murowali.

Ruś, mająca na czele wiekiego kniazia i w nim niejako polityczną spójnię, była jednak zbiorem wielu rzeczypospolitych, znanych pod imieniem księstw, które w swych stolicach osobnych, poruszały polityką wewnętrzną całego kraju. Te stolice, grody, posady, miały wielką liczbę gości, czyli cudzoziemców i różnego powołania mieszkańców. W obywatelstwie samym gminne dawne ustanowienia, nie zważały na różnicę stanu. Skoro dzwon uderzył, przestrzegając o niebezpieczeństwie, albo zwołując na wiece, biegli wszyscy radzić; władyka, posadnik, tysiącznik, duchowni, bojary, urzędnicy i gmin cały, starsi i mniejsi gromadzą się i składają wiece. Na wiecach obierają urzędników, odbierają od nich sprawy, wyrokują i stanowią o różnych przedmiotach grodu i całego kraju. Kniaź jest urzędnikiem zwierzchnim, który miał sądzić i kraj bronić; za to płacono mu umówione grzywny, wydzielano niektóre włości lub ziemskie dochody. Nieraz on stawał osobiście przed ludem, na trwogę zgromadzonym, przekładał potrzeby posady lub kraju, usprawiedliwiał się i czekał sam wyroku.

Któryż gród słowiański mógł się podówczas z Kijowem równać? Gród przepyszny, zdawna już liczył czterysta wież cerkiewnych, wielkość jego i bogactwa sławione po świecie, pisarze zachodu powtarzali, że Polska tyle była znana, ile przez nią droga do Kijowa przechodziła. Miasto na wzgórzu zbudowane, roztoczyło poniżej swe skrzydła: słobodę peczerską i Padoł, ponad Dnieprem na dole rozciągły. Tu targi z lądu i wody żywo się spotykały, a cała świetność grodu na górze. Wiekiem wzmocnione mury rzetelną stanowiły wielkiego grodu dumę. W nich cerkiew i monastery: Michała Archanioła, świętego Bazylego, Narodzenia Dziewicy, a najwspanialsza cerkiew metropolitalna świętej Zofji. W niej z marmuru grobowiec Jarosława Wielkiego. Na co Grecja zdobyć się mogła w biegłości architektów, budowy te od posadzki do sklepień postroiła. Wyżej nad wszystko wznosił się warowny Peczersk, obejmujący monaster z jego pieczarami, w piaskowej skale seciny zaschłych ciał liczącemi. Pobożny pielgrzym z bogobojnym uczuciem, te cudotworne odwiedzał przybytki, a łakomstwo bezbożnika nie śmiało do zasobnych składów łupieskiej przykładać ręki.

Gród wspaniały, serce Rusi, stu grodom podrzędnym, stu księstwom przewodniczący, z półtorakroć sto tysięcy mieszkańców liczący, szanowany od wszystkich, swoich i obcych, stał się nareszcie pastwą bezbożnej zawziętości Bogolubskiego.

Drugi napad Tatarów na Polskę

przez Bolesława Ulanowskiego.

W wieku XIII doznawały dzielnice Piastowskie wielokrotnych napadów i spustoszeń bądź od Litwy i Jadźwingów, bądź od Tatarów. Podjazdy litewskie, chociaż wydarzały się

prawdopodobnie dość często, nie były nigdy tak groźne, jak wtargnięcia Tatarów, podejmowane na bardzo szeroką skalę i wyrządzające niezmierne szkody dla kraju i tak niezbyt bogatego.

Z Litwą był Polski wojownik oswojony; nie biło mu szybciej serce, gdy wyruszał na walkę z nadniemeńskim gościem, lub gdy ścigał uchodzącego z łukiem niemiłego, a natrętnego przybysza. Udawało mu się nieraz zdobycz odzyskać, łupiezcę pogromić i wrócić z chwałą do rodzinnej zagrody.

Z Tatarem nauczyło doświadczenie, że wszelki opór na otwartym polu zupełnie był daremny. Miał Henryk Pobożny niemałe zastępy, walcząc z poganem pod Lignicą, liczniejsze o wiele hufce zgromadził Bela węgierski nad rzeką Gajo, chcąc Batu-Chanowi zagrodzić drogę na zachód,—obaj przecież zostali zwyciężeni, a głowa pierwszego zatknięta na tatarskiej dzidzie, srogim napełniła przerażeniem broniących się z murów rycerzy chrześcijańskich.

Na Węgrzech i w Polsce z bojaźliwą słuchano niepewnością dalekich o przeklętym poganie wieści, lada pogłoska, najmniejszy poszept o ruchach wojsk tatarskich był przedmiotem żywej korespondencji między królami, książętami i papieżem, duchownymi i świeckimi dygnitarzami.

Niewątpliwie był napad Tatarów roku 1241 wymierzony głównie przeciwko Węgrom, Polska tylko mimochodem niejako została powodzią mongolską dotknięta i daleko mniejsze od państwa Beli poniosła zniszczenie.

Po wielkim napadzie z r. 1241 poganie, nie tylko, że nie pomyśleli o powrocie do swoich wschodnich siedzib, ale niedwuznaczny okazali zamiar utwierdzenia się w zajętych krajach ruskich, skąd mogli w każdej chwili, z większą daleko, niż za pierwszym razem łatwością, wkroczyć bądź do Węgier, bądź do Polski.

Już zbliżała się szybkim krokiem zima, w tym roku

niezmiernie łagodna, listopad już się kończył, gdy wódz tatarski Buronda zapowiedział swym wojskom, że zawiedzie je do kraju, w którym starsi szyków jego wojownicy zakosztowali już chleba i krwi polskiej. Zapowiedział wszechwładny wódz książętom ruskim Wasylce i Lwowi, że mają mu towarzyszyć jako wierni sprzymierzeńcy, jako współuczestnicy przyszłej wyprawy.

Małopolska miała niebawem przedstawiać przerażający od zgliszcza i zniszczenia widok. O stawieniu oporu, o walce nikt nie myślał. Nie żeby brakło mężnych między książętami polskiemi, nie żeby polskie szyki bojowe dzielnością się nie odznaczały, ale co mogła kilku lub w najlepszym razie kilkunastotysięczna garstka przeciw kilkakrotnie liczniejszym Tatarom? Nie trzeba przedewszystkim winić z tego powodu ani Bolesława Wstydliwego, ani księcia wielkopolskiego. Jeżeli kto, to oni przedstawiali dodatni żywioł wśród ówczesnych Piastów.

Było w Małopolsce jeszcze poddostatkiem gęsto zarosłych lasów i ciemnych dąbrów, ale bezpieczniejsze, niż w gęstwinach schronienie znajdowała ludność w grodach książęcych lub warownych klasztorach, w których z za okopów i palisad skutecznie można było odeprzeć pokuszenia wroga. Jedynym hasłem wobec zbliżającego się Tatara było nawoływanie do śpiesznej ucieczki, innego i książę nie mógł dać przykładu, jak zamknięcie się w silnym grodzie, lub schronienie się do wolnego od napastników kraju. Zdaje się, że Bolesław w Sieradzu postanowił przeczekać, rychło li poganie przystąpią do odwrotu.

Nie był też obecny napad Tatarów żadną dla księcia krakowskiego niespodzianką. Jeszcze w r. 1258 doszła go smutna wieść z Rusi, że lada chwila powinien się spodziewać przybycia pogan, i odtąd głównym jego staraniem było wzmacnianie grodów, zwłaszcza w Krakowie i Sandomierzu,

aby bezbronnej ludności odpowiednie przygotować schronienia.

Powtórzyły się sceny, które z czasów pierwszego napadu Tatarów tak żywo przedstawia kanonik waradyński Roger. W zapale nie oszczędzają oni ani domostw, ani chudoby, czego nie mogą zabrać, palą i niszczą. Nie darmo dał książę krakowski pilną baczność obwarowaniu Sandomierskiego grodu; poganie bowiem postanowili ważny ten punkt obronny koniecznie zdobyć i z wielką zaczęli oblegać go usilnością. Sami w ten rodzaj wojowania niewprawni, korzystali z doświadczenia ruskich posiłkowych zastępów, zadawalniając się na razie zasypywaniem chmurą strzał pojawiających się na wale oblężonych.

W Sandomierzu był nietylko gród warownym, i miasto otaczała długa linja obronna, którą oblegający wróg obwiódł ze swojej strony dłuższym jeszcze zagrodzeniem, czy ostrokołem, aby mieć samemu ochronę od pocisków Sandomierzan. Po tych przedwstępnych przygotowaniach, które wymagały conajmniej kilka a może i kilkanaście dni pracy, zaczęły czynnemi być tarany. Przez cztery doby tłukły wojenne maszyny bez przerwy dniem i nocą w obwarowania sandomierskie; nikt z za nich wyjrzeć nie mógł, dla gęsto sypiących się ustawicznie strzał tatarskich; o naprawie wyłamów nie mogło być mowy.

Wkrótce ujrzano pogan w większej ilości za miejskiemi zagrodzeniami, a ludność przerażona ich obecnością w mieście, w dzikim popłochu zaczęła cisnąć się do grodu. Była to chwila straszliwa, zdawało się, że nastał koniec świata: i ludność i załoga zupełnie straciły głowę. Można się jeszcze było bronić z grodu, ale wielki napływ ludzi kazał obawiać się rychłego wyczerpania żywności, a ogólne zwątpienie osłabiało zapał i chęć do dalszego oporu. Wówczas to chytrą przesłali książęta ruscy Sandomierzanom radę, aby się poddali, a zwycięzca, oceniając ich uległość,

puści ich wolno z życiem. Usłuchali podstępnych słów nieszczęśni oblężeni i natychmiast zaczęli się przygotowywać do opuszczenia grodu.

Choć uspakajająco brzmiały obietnice Wasylki i Lwa, choć i Tatarzy zobowiązali się je uszanować, nikt z Sandomierzan nie wierzył bezwzględnie w zmiłowanie pogan. Wzruszający widok przedstawiał ciasny obręb grodu, gdy rozpoczęły się przygotowania do niezwykłego, iście pogrzebowego pochodu. Wszyscy kapłani, wszyscy mnisi przystąpili do spełniania duchownych swych obowiązków. Każdy chciał przed stanowczym krokiem pogodzić się z własnym sumieniem i bliźnim, pragnął przyjąć ciało i krew Pańską, może po raz ostatni.

Ludzie wszelkiego stanu i wieku, mężczyźni i kobiety zrównani wszyscy wobec stanowczego przejścia, cisną się do kościoła wyspowiadać się z grzechów i kapłańskie otrzymać odpuszczenie. Ledwie starczyło duchowieństwa, by wszystkich zadowolnić.

Wydobyto krzyże, świąteczne przywdziano szaty i pochód wyruszył z grodu wśród ogólnego płaczu i przejmujących jęków. Dzieci na rękach służebnych poprzedzały rodziców, w celu ułagodzenia widokiem swej bezbronności srogich serc tatarskich.

Chwila oczekiwania nie była długa, choć czekającym wydała się wiecznością. Tatarzy rzucili się jak wściekłe wilki na nieszczęsnych. Dwa dni wyczekiwali skazani pod gołym niebem spełnienia wyroku, nikt z nich nie doczekał się końca trzeciego. Ostatni ten akt krwawego dramatu rozegrał się w sam dzień oczyszczenia Panny Marji, t. j. 2 lutego 1260 roku.

Pod Krakowem zastał już Burunda drugi oddział Tatarów. Droga, którą przybywał z północy z obu stron, widoczną była od zgliszcz i spustoszeń. Z pod Krakowa zapuścili się poganie aż poza granicę Małopolski do Bytomia,

a nie zapomnielii też nawiedzić Cystersów mogilskich i szczyrzyckich, rozprzestrzeniając tym samym swe zagony aż w Podgórze Karpackie. Po kilkumiesięcznym pobycie przystąpił nareszcie straszny gość ze zwykłą sobie szybkością do odwrotu, wiele bardzo uprowadzając ze sobą łupu, daleko więcej jeszcze dokonawszy zniszczenia na miejscu.

Mieszkańcy Polski Kazimierzowej

z Karola Szajnochy.

I.

Rysy ogólne.

Wszystkie starożytne kroniki pełne są świadectw o domowych cnotach, słodyczy serca, naiwności umysłu pierwotnych Słowian. Nie odrodził się od nich naród Kazimierzowski. Kto chce poznać jego serdeczną względem swoich i cudzych miłość braterską, niech u niemieckiego autora kroniki Opatów Żegańskich dowie się o braciszka Mikołaja z Kalisza. Nieoswojeni z braterskością słowiańską towarzysze niemieccy żartowali sobie z ciągłego używania przezeń wyrazu „Bracia kochani". „Kochał on tak gorąco swój naród—opowiada kronikarz—że, lubo chorowitego ciała, wstawał ochoczo z łoża boleści, aby słuchać spowiedzi, ile razy jaki Polak go wezwał. Często wypraszał sobie licencję u przełożonych i chodził po wsiach polskich, nauczając swoich ziomków w domach, na gumnach i w polu." Kto chce poznać dawną śmiałość myśli i ręki narodowej, niech odczyta list o pośle Kazimierza Wielkiego na dworze cesarskim w Pradze, pisany przez Niemca do Niemca, przez kanclerza cesarskiego do W. mistrza Krzyżaków, a opiewający między innemi: „Polacy gardzą powagą cesarską i nie chcą mieć ce-

sarza swoim rozjemcą. Należą oni do tych barbarzyńskich narodów, które nie uznają majestatu cesarzów, ani prawa rzymskiego. Ambasador króla Kazimierza unieważnia wszystko, cokolwiek błogiej pamięci cesarz Fryderyk i inni wyświadczyli zakonowi waszemu. Czymże wasz cesarz? prawi ten nędznik. Nam — sąsiad, a królowi naszemu — rówien. Gdyśmy przed nim wykładali prawo monarchiczne o pełności władzy cesarskiej, przypominając mu związki z cesarstwem i wyświadczone Polsce dobrodziejstwa przebłogiej pamięci cesarza Ottona, odparł zuchwale: nasz król ma od Boga swoją koronę i miecz swój, a własne prawa i obyczaj przodków przenosi nad wszelkie prawa cesarskie. Przebóg!— kończy kanclerz cesarski—cóż dla nich świętym!"

Cóż dla nich było strasznym?—możnaby dodać. Bo wiemyż, co zaludniło Podole? Oto napady tatarskie. Zamiast odstraszać, nęciły one późniejszemi laty połączoną już wielko i małopolską szlachtę do osiedlenia się tamże. „W południowej Rusi—opowiada świadek Zygmuntowskiego wieku— już prawie powszechniejszym jest narzecze polskie niż ruskie. Gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami chętnie tam osiadają Polacy."

Taż śmiałość i wyniosłość charakteru, nie dopuszczająca żadnego nad sobą zwierzchnictwa zagranicznego, nie cierpiała też we własnej ojczyźnie żadnego wywyższenia się jednych nad drugich Okazało się to najwidoczniej w niefortunnej przygodzie, jaka padła podtenczas tytułowi hrabiowskiemu czyli komesowemu. Skoro niektórzy magnaci naprzód w Małej, a potym w Wielkiej Polsce przybierać go poczęli, zaraz i ogół szlachty zażądał równego udziału w komesostwie, i powszechnie przywłaszczył sobie ten tytuł, który przez to oczywiście wcale spowszedniał. Nakoniec zmuszono panów stanowczo zaniechać niemiłego ogółowi zaszczytu.

„Gdy bowiem za króla Kazimierza Wielkiego przyszła potrzeba z Wołochy na pospolitym ruszeniu - opowiada wiel-

ki znawca podobnych spraw szlacheckich—rycerstwo polskie bardzo tym obrażone, gdy przed niemi ci hrabiowie pierwszemi u królów na dworze być chcieli i indziej, posłało do panów, aby się potykali pierwej. Oni wskazali do nich, iż to chętnie uczynimy, tylko nam naznaczcie prędki posiłek albo ratunek. Szlachta na to odpowiedzieli, że tego nie uczynią. Na was wszystko zwycięstwo, jako na paniech, należy. Macie przed nami przodek wszędy, doma i u króla, miejcież i na wojnie. A tak się żadnego ratunku od nas nie spodziewajcie. Gdy was zbiją, my dopiero o krzywdę ojczyzny swej zastawiać się będziemy, o żony i dziatki nasze. Nadto, aby im więcej serca potrwożyli, posłali insze z pośrodku siebie, którzy wołali, aby każdy, kto się mieni poczciwym szlachcicem, do braciej przyjechał do gromady. Wszyscy zatym słudzy od panów odjechali, tylko sami z masztalerzami zostali, i ci inszy, co nie byli stanu rycerskiego. Takowy upadek, a zginienie prędkie swe widząc, panowie hrabiowie przyjechali między rycerstwo, a przyrzekli, iże sami wiecznie i potomkowie ich między niemi przodkować nie chcą i nie będą, tytułów hrabskich zaniechają, tylko teraz, w tej potrzebie, aby wspólna obrona i ratunek był ojczyźnie, prosili. A tę potrzebę odprawiwszy, z gromady się nie rozjeżdżając, uiścić się sobie zrzekli i tak uczynili."

II.

Rycerstwo.

W zamkach ustronnych, nacechowanych zawsze pewnemi śladami gustu cudzoziemskiego, mieszkała najmożniejsza i najpolerowniejsza część szlachty małopolskiej, przedstawiająca podobneż ślady cudzoziemczyzny w swych obyczajach. Zawierały się one zaś w jednym cudzoziemczym słowie „rycerskość". Jeśli w czasach późniejszych wyrazy „rycerstwo,

stan rycerski" obejmowały całą szlachtę, inaczej było teraz. W wieku Jadwigi widziano w „rycerstwie" takiż sam wyższy stopień porządku społeczeńskiego, jaki później przyznany był stanowi senatorskiemu, a z jakim teraz nie mógł iść w porównanie gmin prostej „szlachty". Toż nawet zwyczajne formuły prawne odróżniały rycerstwo a szlachtę, rozumiejąc pod pierwszym „baronów", „panów" królestwa, pod drugim zaś owych ubogich szlachciców, ziemian, władyków, którzy częstokroć nawet nie wiedzieli, jakiego są herbu czyli klejnotu. Powszechna równość szlachecka doznawała zdawien dawna żarliwej obrony ze strony szlachty ubogiej. Atoli tym widoczniejszą była obyczajowa różnica obydwuch klas.

Z cudzoziemska ubarwiona wyższość klasy „rycerskiej" polegała głównie w obyczajowym zastosowaniu się możnych panów krajowych do owej świetnej instytucji średniowiecznego zachodu, która swą dostojnością przechodziła poniekąd godność królewską, a dorównywała kapłańskiej, do instytucji rycerstwa czyli szwalerji. Owóż dając niekiedy unieść się do naśladowania zdrożności szwalerji zagranicznej, naśladowała możnowładcza, rycerska klasa szlachectwa małopolskiego w swoich z cudzoziemska utrefionych zwyczajach osobliwie piękną ich stronę.

Gdy więc uboga szlachta wielkopolska przestawała na swoich chodaczkach, na „czarnej" skórzanej zbroi, wielmożni panowie małopolscy zbroili się, stroili, wiedli żywot z cudzoziemska, według ustaw i wyobrażeń szwalerji zagranicznej ku powszechnemu przykładowi późniejszych ojczyzny swojej pokoleń. Zaczym przywdzieli na się ciężką zbroję żelazną, wzięli w rękę zagraniczną dzidę rycerską, a na ramię szczyt zagraniczny, szermowali w okolu turniejowym o nagrodę rycerską i przyswajając swemu potomstwu te wszystkie nowe przybory i zwyczaje, dali im nowe na przyszłość miana. Na podobieństwo zagranicznych ozdób rynsztunkowych, składających się z ogromnych pióropuszów, skrzydeł

u hełmów i dzwonków do szerzenia postrachu zapomocą swego brzęku i szumu, przypięli sobie panowie rycerze małopolscy orle skrzydła do barków, najfantastyczniejszą później ozdobę hussarji narodowej.

Wymagało toż szlachectwo dalej podobnegoż zastosowania się nietylko w stroju, lecz osobliwie w postępkach do zagranicznego ideału prawych rycerzy. Pierwszym ich obowiązkiem była obrona wiary, do której chcąc okazać gotowość w każdej chwili, miało dawne rycerstwo zachodu zwyczaj powstawać w kościele podczas czytania ewangielji i dobywać orężów z pochwy, co późniejsze rycerstwo polskie tak święcie i tak długo zachowywało. Obok tej powinności religijnej cenił sobie prawdziwy rycerz najwyżej prawo wymierzania sprawiedliwości. Stąd dostojność rycerska wiązała się nierozerwanie z dostojnością sędzi w swym domu, na swoim kawałku ziemi.

Trzeba wreszcie znać zblizka czasy i obyczaje rycerskie, mianowicie również obowiązkową ich hojność owszem najszaleńszą rozrzutność, aby zrozumieć, ile ścisłego w tej mierze powinowactwa zachodziło między szwalerją zagraniczną, a późniejszemi obyczajami Polski szlacheckiej. Prawy rycerz, według przepisów swego zakonu, nie powinien był mieć w czasie pokoju ani zamku ani podwoi u bram mieszkania. Dom jego miał być domem wszystkich rycerzy. U stołu jego znajdowało się zawsze kilka miejsc próżnych, którym zatknięte nad bramą hełmy, znak obecności gospodarza, coraz nowych, nieznanych zwabiały gości. Dla okazania towarzyszom turniejowym swego szacunku i przywiązania, godziło się możnemu rycerzowi zasiać przeorane po gonitwach pobojowisko kilkudziesięciu tysiącami srebrników, a posłując na cudzym dworze, kazać sobie źle poprzypinać klejnoty u stroju swego, aby je z pojedyńcza umyślnie gubić za sobą. Nie przypomina-ć to owych miejsc próżnych, które przy stołach szlachty naszej czekały jakichciś „Panów Zagórskich”?

lub owych podków złotych, które posłowie królów naszych gubili po bruku rzymskim?

Bądź jak bądź, zacniejszym na wszelki wypadek od marnotrawstwa wzorem obdarzyły szlachtę naszą obyczaje rycerskie, ucząc ją niezłomnej wierności słowu danemu, staranności o moralną nieposzlakowaność kroku każdego. Lada słowo sromotne jest uważane za obrazę śmiertelną, „jakoby kto zabił rycerza". Toż przez wszystkie wieki następne *verbum nobile* słynęło z świętości nienaruszalnej.

Którą to słowność i moralność rycerską nieustannym podniecać pragnąc nadzorem, przyjmowały możne rody polskie XIV stulecia rycerski zwyczaj najściślejszego czuwania nad postępkami swoich bratanków. Utrzymywano w tym celu osobne księgi z opisem spraw i czynów całej rodziny, układane przez biegłych w piórze heraldów, którym każdy rycerz zagraniczny stosownie do przysięgi przy swoim pasowaniu obowiązany był zdawać liczbę ze wszystkich przygód, tak szczęśliwych, jak nieszczęśliwych, tak zaszczytnych, jak niepochlebnych. A jeśli który podejrzanej sławy klejnotnik chciał zasiąść do stołu z prawymi rycerzami, tedy spotykała go taż sama obelga, wykluczająca z wszelkiego zacnego towarzystwa, którą nasze rycerstwo małopolskie wniosło teraz do kraju, aby cała późniejsza szlachta polska karciła nią ludzi złej sławy. Krajano przed niemi obrus czyli właściwie serwetę, którą każdy szlachcic wraz z łyżką i nożem miewał zwykle przy sobie i podścielał u stołu pod swoją misę.

Do tegoż nakoniec wzoru rycerstwa zachodniego zastosowało się całe wychowanie młodzi szlachetnej. Dążyło ono głównie do jaknajrychlejszego wdrożenia chłopięcia w życie czynne. Gwoli temu oddawano za granicę wyrostka nader wcześnie w dom cudzy, na dwór pana możnego. Tam bywał panicz francuski albo niemiecki do lat czternastu paziem, następnie na lat siedem, często jednakże na całe życie giermkiem, wreszcie niekiedy, acz nie zawsze, rycerzem

pasowanym. Taż sama kolej wychowania pod cudzym dachem, wprowadzana do kraju przez teraźniejszych możnowładców rycerskich, powtarzała się u nas na dworach pańskich, pod nazwą różnowiekowych stopni, pacholąt, dworzan i samowładnych niekiedy panów. Jak na dworze rycerskiego możnowładcy zachodu bawił tłum różnego rodzaju dorosłych giermków, przeznaczonych do wielorakiej usługi pana i pani, tak wskutek teraźniejszego w Polsce zaszczepienia się obyczajów podobnych, roił się później na dworze każdego magnata naszego również liczny tłum dworzan, towarzyszących wszędzie panu i pani.

Ci za to w dowód swej opieki i łaski, a nie w oznakę służbowej niewoli i poniżenia, pozwalali dworzanom przybierać „kolor" herbu pańskiego czyli tak zwaną „barwę" znaną i szanowaną powszechnie po średniowiecznych dworach polskich i zagranicznych.

Takiemi to obyczajami rycerskiemi zakwitło życie towarzyskie owych możnowładczych zamków samotnych jak np. Melsztyn, Wojnicz, Tęczyn, Ossolin. Nie stanowiła przecież ta rycerskość wszelkiej treści życia naszych panów zamkowych. Przeciwni w tym względzie swoim wzorom zachodnim, magnatom zagranicznym, utopionym całą duszą w wyłącznej praktyce obyczajów szwalerji, obojętnym zresztą na wszystko, co nie było wojną, ucztą, turniejem, mieli nasi możnowładcy wszelkie przybory i ceremonje szwalerji jedynie za strój prywatny, pod którym w duszy cale inne biło natchnienie i dążenie.

Żyli głównie wiecem, sejmem i najmilszym ze swoich planów: myślą uzyskania Polsce Litwy i Rusi.

III.

Brać szlachecka.

Obok pańskich zamków samotnych, w pobliżu osad włościańskich, wznosiły się inne siedziby szlacheckie i inne

panowało w nich życie. Były to one modrzewiowe dwory mniej możnych panów krakowskich, które jeszcze w wieku Zygmuntów wzbudzały podziw swoją starożytnością i misternością. Na nizkich potężnych ścianach z tramów olbrzymich wspinał się dach wysoki, kopułkowaty, wsparty na filarach gankowych. Dokoła domu ciągnęły się budynki gospodarskie i bujny, jak zwykle w Małopolsce, sad i pasieka. Dokoła budynków i sadu biegło ogrodzenie z okazałą bramą pod daszkiem niełatwą do wyłamania. Nie było w takim dworze wiele złota i srebra, niezbyt obfitego i w zamkach pańskich. Powszechna ubogość i prostaczość owoczesnego świata, lubiąca rozwieszać wszystkie swoje skarby i klejnoty na ciele pańskim, a tymsamym mamiąca nas nieproporcjonalną świetnością jednej strony obrazu, nadawała zwłaszcza wnętrzu tych dworów widok wieśniaczy.

Brakowało im nawet okien o szybach szklanych, które jeszcze o wiele później, w wieku XVI, w samych pałacach pańskich jako nader kosztowny sprzęt i ozdoba cenione, wyjmowano zwykle z zawiasów, gdy pan na dłuższy czas z domu wyjeżdżał. Zastępowały je przezroczyste błony z pęcherza i okiennice drewniane. To powiększało tymbardziej mrok nizkich komnat o drewnianych, a po większej części brunatnych ścianach. Ale im mniej blasku i złota, tym więcej zieleni i zapachu miały dwory ówczesne. Zamieszkałe w nich pokolenia, kochając się wzrokiem swoim w barwach jaskrawych, smakiem swoim w mocno korzennych przyprawach, pragnęły i powonienie również drażniącym zadowolnić pokarmem. Brak sztucznych pachnideł zniewalał uciekać się do woniejących ziół, a bujna roślinność wytrzebionych dziś lasów, osuszonych dziś moczar, w nieprzebranej dostarczała ich obfitości.

Rozkoszowano się więc wszelkiemi rodzajami tej woni zielnej. Przy każdym święcie majono ściany domu gałęziami, wieńcami, palmami święconemi. Aż do późnych czasów

woniały w każdej komnacie rozrzucane codziennie po podłodze, goździki, majeranek, czernuszka. W zanadrzu tkwił nieustannie pęk ziół pachnących. Na zimę zachowywano sobie w tym celu, miętkę, boże drzewko, piołuny. W lecie ceniono nad wszystko różę, o której tyle wzmianek w najdawniejszych znachodzim czasach.

Sielski pan dworu takiego miewał kmieci czynszowych i roboczych, „ogrodników" poddańczych na mniejszych gruntach, wreszcie czeladź najemną. Dochód niosły mu czynsze niemieckie, daniny „polskie", sprzedaż zboża, młyny, karczmy, pasieki, stadnina, obora, towar myśliwski. Zatrudnienia rolnicze nie miały jeszcze bynajmniej tak stanowczej przewagi w troskach i zyskach gospodarstwa ziemiańskiego, jak później. Czy ziemianin zasiał, czy nie, mniej obchodziło; główną rzeczą były czynsze i stado. Z przysporzonych czymkolwiek plonów gospodarskich utrzymywany bywał jaki taki przybór wojenny, opędzały się wydatki dziesięcinne, większe od nich winy i opłaty sądowe i największe — jałmużna pobożna, składana w powszednich podówczas oblatach ołtarzowych, groszu odpustnym, ofiarach na mszę i kupnie nabożeństw żałobnych, upominkowych i innych.

Zresztą, jeśli pan dworu pragnął znaczenia obywatelskiego, tedy zdawał gospodarstwo małżonce, rubasznej szlachciance w butach, kożuchu i rańtuchu, która jak swoim strojem nie różniła się znacznie od mężczyzn, tak też zdawien dawna, nawykła zastępować mężczyznę w zarządzie domu. Sam zaś jeździł, jako świadek po wiecach sądowych i zgromadzeniach obradnych, uzyskiwał jaką darowiznę albo godność u dworu, a gardłował przeciw owym magnatom zamkowym, nie pozwalając im brać góry nad szlachectwem i głosząc zawsze starodawną równość obojga. Albo też porzucał wcale progi domowe, wyrzekał się zgoła pożycia familijnego, i wypuściwszy grunta folwarczne kmieciom, pobierając kiedy niekiedy tylko czynsz od nich, żył rzemiosłem rycerskim ja-

ko wolny ochotnik, wojujący bądź to pod sztandarami królawskiemi, bądź pod chorągwią książąt ościennych za granicą, najczęściej w Węgrzech.

Jeśli wkońcu smakowało mu bardziej życie domowe, natenczas oddawał się gospodarstwu, spędzał kmieci z ról dawnych, przyłączanych teraz do gruntów pańskich, polował na odyńce i sarny, szczwał chartami zające po polach kmiecych, wadził się z myśliwskiemi sąsiady o granicę łowiska, a jeszcze gęściej wyprawiał obyczajem litewskim sute biesiady. Obfitując osobliwie w dostatek jadła, powtarzały się one z rozlicznych powodów i pod rozlicznemi nazwami nadzwyczaj często, trwały nieraz po kilka dni i miały stąd nader wielką wagę w ówczesnym życiu domowym. Niekiedy też zaglądał nasz pan dworu nawet do karczmy, i pijał tam albo grywał w kostki z ubogą szlachtą i kmiećmi. Nie było w tym nic złego, gdy pan czynił to we własnej karczmie. Tylko zabawa w cudzej gospodzie przynosiła uszczerbek sławie szlacheckiej.

W ogólności ścieliła się takiemu szlacheckiemu domatorowi równie łatwa droga do wyższych, jako też niższych szczeblów życia społeczeńskiego. Rycerska ambicja wiodła z czasem do województw i kasztelanji; życie karczemne, gra w kostki, zwłaszcza z szulerami niemieckiemi na zastaw ziemski, wyzuwała często i ze sławy i z dóbr dziedzicznych. Natenczas były pan wsi i dworu albo osiadał na zagonie szlachectwa chodaczkowego, albo co nie daj Boże, wypuszczał z ręki ostatni kawałek ziemi, i utraciwszy z nim prawo oręża, wziąwszy się do szynkowania piwa po miastach, stawał się włóczęgą, „gołotą”, „obdartusem”, niknął z rzędu szlachty krajowej. Najszczęśliwsi z takich rozbitków ocalali swoje szlachectwo w zaciężnej służbie wojskowej, jużto za granicą, już u dworu możnych panów krajowych, próżnej wprawdzie lustru szwalerji ochotniczej, lecz chroniącej w istocie znaczną część szlachty od uronienia dostojności klejnotnej.

IV.

Wieś i wieśniacy.

Szlachta chodaczkowa i rzesza kmieca mieszkały zwyczajnie obok siebie w obrębie właściwej wsi. Słysząc atoli o wsi XIV stulecia, musimy oddalić od siebie pojęcie wsi dzisiejszej. Dziś każda wieś jest prawie bez wyjątku rolniczą. Inaczej było w wieku XIV, kiedy rolnictwo stanowiło tylko jedną z wielu innych gałęzi gospodarstwa. Wówczas bywały wsie, które albo wcale nie trudniły się rolnictwem, albo za podrzędne poczytywały je zatrudnienie. Przy większej lesistości kraju miałeś osady, które wyłącznie żyły i opłacały się różnorakim łowiectwem. Przy gęstych i bujniejszych łąkach, pastwiskach, istniało wiele wsi, zajmujących się jedynie pasterstwem, chowem koni, pszczelnictwem. Przy większej obfitości wód utrzymywało się wiele osad z samegoż rybołówstwa. Tylko niektóre wsie, acz coraz liczniej mnożące się, miały głównym przeznaczeniem rolnictwo.

To nadawało zapewne daleko więcej jeszcze rozmaitości ówczesnemu życiu wiejskiemu, lecz wiele też smutnych ciągnęło za sobą następstw. Mianowicie dawał się czuć wynikający stąd brak zapasów zbożowych. Wsie nierolnicze, wsie łowieckie, rybołowcze, pasterskie, tylko swoim własnym albo pewnym ubocznym dogadzały potrzebom. Stosunkowa nieliczność wsi rolniczych zwłaszcza w latach nieurodzaju lub wojen bywała zwykle przyczyną, że produkowana przez nią ilość ziemiopłodów nie wystarczała życiu powszechnemu. Tej to właśnie okoliczności przypisać należy tak częste w owych czasach głody, drożyzny. Zresztą rolnicza czy nie rolnicza, kochała się każda wieś polska w wygodnym, przestronnym rozpostarciu się po przestrzeni. Według starosłowiańskiego zamiłowania w szeroko rozrzuconych mieszkaniach, tej, jeszcze za czasów Jagiełłowych, głównej między

krajowemi a niemieckiemi wsiami różnicy, składały się osady polskie z odosobnionych zagród, rozpostartych malowniczo po całej okolicy i jak za dawnych wieków pogaństwa stykały zawsze koniec jednej osady z początkiem drugiej.

Stąd można było później dwie a nawet trzy takie wsie połączyć snadnie w jedną, mieszczącą w swoich szeroko rozległych krańcach najróżnorodniejsze żywioły społeczeńskie. Mieszkała tam drobna szlachta w swoich zagrodach szlacheckich, siedzieli wolni jeszcze kmiecie na łanach „kmiecych", tuliły się pomiędzy niemi ubogie chaty ludzi służebnych i rzemieślników wiejskich. Pomiędzy zagrodami stały otworem niemiecko nazwane i niemiecko urządzone „karczmy" lub szynki, których przy wolnym gdzieniegdzie prawie wyszynku bywało niekiedy bardzo wiele, czasem po 20 i 30 w jednej wsi. Na ustroniu wreszcie, nad wodą, szumiał pośród zamożnych budynków i okopów nadzwyczaj intratny podówczas młyn, wartujący nierzadko tyle co cała wieś.

Wieśniacy polscy w XIV wieku.

Pomiędzy mieszkańcami tych różnych zagród sielskich zachodziło temi czasy pomimo widocznej zmiany na korzyść zamożniejszych, daleko bliższe jeszcze, niż później, powinowactwo. Jak z jednej strony szlachcic zagrodowy, byle nie zapomiał swego herbu i zawołania, mógł łatwo dostąpić swobód, „które przystoją dziedzicowi", i zostać z czasem „wiel-

możą", a bywał nazywany tylko „rolnikiem", „włościaninem", tak z drugiej strony każdemu kmieciowi zamożniejszemu ścieliła się nietrudna droga do zaszczytu szlachectwa. Najpospolitszą było wielokrotne przez kmieci nabywanie sołtystw, które podobnież często przez szlachtę zakupowane, równały poniekąd obiedwie klasy mieszkańców, stając się dla bardzo wielu późniejszych rodzin szlacheckich jedynym tytułem szlachetności. Nie mając zaś środków do nabycia sołtystwa magdeburskiego, bywał kmieć „włodarzem" czyli „polskim sołtysem" u pana dóbr na prawie krajowym osadzonych. Który to obowiązek gospodarczy, nazwany niekiedy także „ekonomstwem" albo wójtostwem, a pozwalający przybierać nawet tytuł „starosty" poniskiego, wiódł z czasem jużto do adwokacji czyli wójtostwa w mieście, jużto do jednego z kilku rodzajów dzierżaw ówczesnych, kończących się zwyczajnie na wprowadzeniu potomków kmiecych w poczet szlachty krajowej.

Ale nawet bez sołtystwa i włodarstwa nie miał się kmieć pod względem pożycia towarzyskiego i wygód każdodziennych o wiele gorzej od szlachty średniej. Tak we wsiach magdeburskich, jakoteż polskich, używał on wszelkiej wolności rozporządzania swoim losem, a mianowicie swobody przenoszenia się kiedykolwiek z miejsca na miejsce. W codziennych zatrudnieniach około domu i roli wyręczała go bardzo liczna w owych czasach ludność „najemna". Zresztą, dzierżawiąc nieraz wsie całe od dziedziców, pijąc po przyjacielsku z kasztelanami, albo grając w kostki z szlachtą karczemną, a z księdzem plebanem, dla przechowywanej zwyczajnie w kmiecym gumnie dziesięciny snopowej, w przyjaznym żyjąc porozumieniu, zostawał kmieć na stopie pewnej prostaczej równości z bezpośrednio wyższemi nad sobą stany, nieodróżnionemi zresztą odeń ani subtelniejszym ukształceniem umysłu, ani o wiele świetniejszą powierzchownością. Naukowa bowiem ogłada tak uboższej szlachty jakoteż kmie-

cia była żadna. Obaj chodzili w tym samym tołubie, sieraku lub grubym suknie krajowym, dostarczanym powszechnemu użytkowi nadzwyczajnie wielką liczbą fabryk i foluszów sukiennych, wożonym przez kmieci jako zwyczajny towar wiejski na targ do miasta, a produkowanym w związku z nierównie obfitszą, niż dzisiaj, hodowlą i strzyżą owiec. Często na rolniku za pługiem postrzegano w XIV wieku ślady nowej mody w ubiorze, upstrzonym szeroką barwistą czapką z długim kutasem i budzącym przeto zgorszenie moralistów onego czasu.

Chata wieśniacza nie miewała wprawdzie nigdy komina, rzadkiego podówczas w najzamożniejszych krajach europejskich, lecz codzienna strawa wieśniacza nie obchodziła się zwykle bez mięsa i dzbanu piwa, a nawet uboższej klasie ludu, odbywającej robociznę na pańskiej niwie, wysyłano w pole na obiad „piwo, baraninę i chleb", albo „piwo, wieprzowinę i groch". Dla dogodzenia takim potrzebom codziennego życia wiejskiego, miewała najzamożniejsza wieś swoje targi, swych rzemieślników, mianowicie kowala, rzeźnika, piekarza, krawca i szewca, utrzymujących kramy z odpowiednim towarem. W tym względzie czasy mniejszej oświaty umysłu, a osobliwie czasy mniejszej liczby ludności, a tymsamym większej ceny i wartości każdego życia i każdej ręki ludzkiej, były czasami daleko pomyślniejszej doli zewnętrznej, daleko troskliwszego pielęgnowania ciała. Dobry byt, pomyślność—jak to jeden z nowszych pisarzy słusznie nadmienia — „były wtedy u nas więcej ogólne; dostatki były mniej kolosalne, ale sięgały więcej warstw społeczeństwa."

V.

Duchowieństwo.

Plebanja wywierała zbawienny wpływ na okolicę. Był to drugi dwór, siedziba drugiego pana wsi. Przeciw właści-

wemu bowiem panu czyli dziedzicowi osady stawiały ówczesne pojęcia równego mu w niej „pana kościoła", acz zwyczajnie był to tylko skromny, drewniany ubożuchny kościołek. Owszem, czymże w porównaniu z księdzem, którego nazwa przez długie jeszcze lata w intytulacjach, jak „wielki ksiądz litewski", znaczyła tyle, co książę, był ów rubaszny, kożuchem tchnący pan świecki! Podczas, gdy ten za pan brat przestawał z kmieciem wolnym, pijał i grywał w karczmie, tamten, czczony i poważany od wszystkich, przodkował wszystkim i wszędzie, rozrządzał z Zawiszą Kurozwęckim koroną, albo stroniąc od dworu i spraw publicznych, rozmiłowany w życiu wiejskim, panował dokoła sławą niezrównanego gospodarza rolnika.

Właściwych spraw i obowiązków duchownych dopełniały w wieku XIV głównie niektóre zgromadzenia zakonne, jak np. Dominikanie i Franciszkanie. Ogółowi świeckiego, a nawet i zakonnego duchowieństwa, należy się u nas między innemi i ta jeszcze zaleta, iż zwłaszcza pod jego ręką podniosło się gospodarstwo krajowe, mianowicie rolnicze. Jeśli uboższy pleban musiał żyć z dziesięciny i hojnych dochodów ołtarzowych, tedy „pan kościoła" zamożniejszego lub bogato w włości uposażony opat, zajmował się gorliwie uprawą roli. Gdy świecki gospodarz owych czasów gospodarzył ladajako starodawnym zwyczajem, dbającym raczej o myśliwskie łowisko, o stadninę, o czynsz kmiecy—duchowny gospodarz XIII i XIV wieku, człowiek uczony, przejęty nowoczesną myślą podniesienia gospodarstwa rolnego, oddający się z pewnym rodzajem entuzjazmu praktyce tego pomysłu i nieskończenie z tego względu zasłużony krajowi, wierzył przedewszystkim w radło, pług i motykę. Patrząc tedy obojętnie na ponęty ambicji dworskiej, na cierniową drogę mądrości i sławy szkolnej, służył on — jak kronikarz o jednym z prałatów ówczesnych pisze — „za wzór staranności świato-

wej, i całą duszą trudom rolnictwa oddany, w tuczności gleby i rosie nieba szukał błogosławieństwa."

Jakoż łatwiej mu to przychodziło, niż ziemianinowi świeckiemu. Tak bowiem sam zawiadowca kościoła, jakoteż kmiecie duchowni, byli wolni od wszelkich służebności publicznych, mianowicie od obowiązku wojny, nawet od pospolitego ruszenia przeciw Tatarom. Ta swoboda stała rolnictwu duchownemu za żyzną glebę i hojną rosę. Gdyż łagodniejsza z tej przyczyny dola poddanych kościelnych przysparzała gospodarującemu duchowieństwu najpotrzebniejszego w gospodarstwie żywiołu t. j. rąk ludzkich, osadników. Chętnie zaludniał kmieć ówczesny dobra kościelne, zbiegał nawet do nich z dóbr świeckich. Za rozliczne dogodności, jakie odnosił poddany dóbr kościelnych, mógł pan duchowny pociągnąć go nawet do ściślejszego, niż gdzieindziej, pełnienia obowiązków służebnych. We wszystkich gałęziach przemysłu ziemiańskiego panowała pod ręką gospodarzy duchownych trudna do opisania skrzętność i pracowitość. Dla zapobieżenia wylewom, dla rybników, kopali gospodarze duchowni nowe koryta rzekom. Wszędzie zaprowadzono winnice. Chcąc umiejętniejszych przysposobić sobie włodarzy, utrzymywano nawet jakieś szkoły wieśniacze, w których młodzież uboga od starych kmieci pobierała naukę wiejską.

Gdziekolwiek skutkiem burzy wojennej lub z innych przyczyn wyludnione zostały wsie, opustoszało całe opole, tym przyzwany w pomoc rządca duchowny przywracał uronioną intratę. Gdzieniegdzie w długim pasmie posiadłości duchownych, jakby dla ukazania nieustępującej nikomu wszechpotęgi ich panów, wznosił się wspaniale istny zamek kościelny — klasztor warowny. Główną bowiem cechą ówczesnych gmachów klasztornych była ich wojenna obronność. Klasztory polskie służą zarówno ku wygodnemu pomieszczeniu pobożnych, jakoteż ku obronie mieszkańców. Wszędzie

też krzyż zbawienia jaśniał w nich z pomiędzy baszt i wałów warowni.

Władysław Łokietek

przez Józefa Chociszewskiego.

Zdobią Polaków liczne cnoty, jak męstwo, miłość ojczyzny, gościnność i t. d., ale rzadką pomiędzy nami jest wytrwałość. Łatwo się zapalamy do wielkich i szlachetnych czynów, ale wnet zapał ostyga, a nieraz zwątpienie ogarnia nasze serca, chociaż niema słusznych powodów, aby tracić nadzieję i wątpić o pomyślnym skutku usiłowań. Ten brak wytrwałości sprowadził ciężkie klęski na nasz naród i dotąd jest główną przyczyną naszych niepowodzeń.

Najpiękniejszym dla nas wzorem jest dzielny Władysław Łokietek, król polski, który pierwszy raz zaczął panować 1290 r. jako książę krakowski. Nie utrzymał się długo w Krakowie, gdyż książę ślązki Henryk zajął Kraków, a Łokietek ratował się ucieczką. Roku 1297 został znowu powołany na tron polski, ale, gdy jego żołnierze dopuszczali się zdzierstwa i gdy sam Władysław popełniał liczne błędy, ofiarowano koronę polską Wacławowi, królowi czeskiemu, który panował od r. 1300 do 1305. Łokietek stał się wygnańcem. Udał się on na pielgrzymkę do Rzymu, gdzie opłakiwał grzechy młodości. Po zgonie Wacława wrócił do Polski na czele szczupłego oddziału rycerzy, aby się dobijać na nowo tronu. Wielkie wówczas panowało w naszym kraju zamieszanie. Wielkopolanie uznali za pana Henryka księcia głogowskiego; Kraków zajął Bolesław, książę opolski, Krzyżacy opanowali zdradą Gdańsk, a przytym zagarnęli żyzne Kujawy; oprócz tego silne wojsko czeskie usadowiło się w kilku grodach, aby zapewnić tron polski młodocianemu synowi

Wacława. Nie uląkł się tych trudności Łokietek, a chociaż mu się nie zawsze powodziło, chociaż niejedną poniósł klęskę, przecież w końcu zapomocą męstwa, roztropności, a nadewszystko wytrwałości pokonał wszelkie przeciwieństwa i zasiadł na tronie przodków. Roku 1319 odbyła się jego uroczysta koronacja w Krakowie w katedrze na Wawelu.

Łokietek ma tę wielką zasługę, że chociaż nie wszystkie, to przynajmniej większą część rozerwanych ziem polskich spoił w jedną całość, a mianowicie połączył Wielkopolskę, gdzie leży Gniezno i Poznań, z Małopolską, gdzie się wznosi Kraków. Ślązka i Pomorza nie zdołał przywrócić Polsce, chociaż gorąco tego pragnął, gdyż jeszcze na łożu śmiertelnym zalecał synowi, aby się nie zrzekał dwuch tych ważnych polskich krain. Władysław Łokietek zakończył życie 1333 roku w Krakowie. Zwłoki jego spoczywają w katedrze krakowskiej, ozdobione pięknym pomnikiem, który przedstawia postać króla wykutą z marmuru.

Łokietek zapalał nieraz naszych przodków do wytrwałości i zachęcał, aby nie rozpaczać mimo chwilowego niepowodzenia. W roku 1656 za panowania Jana Kazimierza opanowali Szwedzi całą Polskę z wyjątkiem Gdańska i Częstowy. Król szwedzki, przybywszy do Krakowa, udał się do katedry, aby się przypatrzyć pomnikom i pamiątkom tej wspaniałej świątyni. Oprowadzał go zacny i zasłużony ksiądz kanonik Starowolski, dając objaśnienia i wskazując godne widzenia zabytki. Gdy stanęli przed grobowcem Łokietka, na którym niema żadnego napisu, zapytał król szwedzki: „A kto tu spoczywa?” „Władysław Łokietek”, odrzekł Starowolski; „trzy razy był wygnańcem, a jednak w końcu wrócił do kraju i zasiadł na tronie polskim, a w tej tu właśnie świątyni był koronowanym.” „Ale wasz król obecny Jan Kazimierz, ten już nigdy nie wróci”, zauważył butnie szwedzki zdobywca. Na to Starowolski odrzekł z prostotą: „Bóg jest cudownym, a szczęście zmienne.” Słowa te przejęły głęboko

króla szwedzkiego, zaraz też zdjął kapelusz, rozmawiał łagodnie i dziwnie był zadumanym. Ziściła się przepowiednia Starowolskiego, gdyż Szwedzi ustąpili z Polski, a Jan Kazimierz, podobnie, jak wytrwały Łokietek, wrócił do kraju.

Litwa przedchrześcijańska

przez J. I. Kraszewskiego.

Ziemie zajęte przez narody litewskie zalegają pobrzeże morza Bałtyckiego, w głębi opasując się Wilją, Niemnem i Bugiem. Kraina ta po większej części równa lub bardzo mało wzgórzysta, przecięta licznemi, głęboko zarytemi rzeki i jeziorami, zasiana błotami i trzęsawiskami, a starodawnemi i nieprzebytemi puszczami zarosła, musiała ukształcić mieszkańców do takiego życia, jakie warunki miejscowości wskazywały. Pierwsi mieszkańcy łowom i rybołówstwu chętnie oddawać się musieli. Lasy i wody gęste nastręczały się same. Początkowo rzeki stały się pierwszemi drogami handlu, podróży i zawojowań nawet — nad ich wyniosłemi brzegami skupiały się osady, tu stanęły później pierwsze grody. Wejrzenie na wody i lasy, głucho nad głowami szumiące, przebywanie ogromnych puszcz dla łowów, zrodziły pewnie pierwsze pojęcia o duchach, bóstwach, mieszkańcach lasów i wód. Święte były rzeki, karmicielki, przewodniczki, opiekunki. Lasy i drzewa tymże trybem ubóstwiano. Skóry zwierza, obficie znajdującego się po lasach, dały pierwszy strój, pierwszą łatwą odzież. Niedostatek metalów rozwinął przemysł drzewny — wszystko musiano zastępować drzewem. Klimat dość ostry, wielką część roku u ogniska zatrzymywał. Łatwa była uprawa ziemi, ale zbiór niewdzięczny — drewniany pług orał lekkie pole, podrzucając kamienie, w pośrodku których ziarno nielicznie wschodziło.

Spojrzawszy na ziemię, już po części odkryjesz myślą, jaki był charakter narodu, co ją zamieszkiwał.

W życiu Litwina ciągłą pracę, znój nieustanny, przerywa tylko długa zima, zmieniając rodzaj zatrudnień i wielkie uroczystości, umyślnie zda się dla odetchnienia po trudzie stworzone. Wypracowany ciężko chleb powszedni natchnął w starych prusko-litewskich prawach te nieubłagane ustawy, na śmierć skazujące bezużytecznych starością lub chorobą członków rodziny. Pieśń była jedyną pociechą pracujących, jedynym wylaniem się serca. W pieśni potrzeba uczuć zaspokajała się wyrazem czułości ku rodzicom, braciom i siostrom, ku umarłym. Widok dzikiej natury, w całej majestatyczności pierwotnej, zmiany nagłe atmosfery, jakim ulega tutejszy klimat, okropne burze niszczące, zalewy potężne, w jednej chwili roboty wieków wywracające, napełniały postrachem. Bóg zniszczenia zdał się potężniejszym od Boga stworzenia i Perkun, bóstwo główne, wziął w rękę piorun, przemówił głosem gromów. Ciężkie życie pracy ledwie dozwalało kilka razy do roku w wielkich uroczystościach wylać się weselem i oddać spoczynkowi wrzaskliwemu. Biesiady były szalone, jak życie codzienne zimne i jednostajne.

Silnie rozwinięte uczucie religijne, przywiązanie do swojej ziemi, gościnność, przeszła, jak u Słowian, w obowiązek; łagodność, tchnąca zwłaszcza w ich śpiewach, miłość rodziny wielka; oto główne cechy charakteru narodów litewskich. Prawo stare zmuszało do szanowania kobiety, a za zgwałcenie prawa gościnności karano srogo. Wysoko cenić musiano pracowitość, próżniakami powszechnie się brzydzono, wedle starego prawa, karząc bezczynnych włóczęgów śmiercią nawet.

Rozbitków morskich, miasto odzierać i łupić, przyjmowano litościwie i własności, jak gdzieindziej, nie zagrabiano.

W pogańskim społeczeństwie ważną sprężyną życia to-

warzyskiego była zemsta. Mszczono śmierć śmiercią, kalectwo kalectwem, krzywdę krzywdą; a uczucie żądzy zemsty nietylko nienagannym, ale owszem szlachetnym się zdawało. Przebaczenie oznaczało bezsilność.

Stosunki rodzinne u Litwy pierwotnej oparte były, jak wszędzie, na jedynowładzwie głowy domu, któremu wszyscy podlegali, jego tylko wolę spełniając. Żona i dzieci uważane były za własność ojca. Posłuszeństwo bezwarunkowe dzieci wypływało z wyobrażeń naturalnego poddaństwa, prawie własności. Synowie dzielili się ojcowizną, mieniem całym rodzicielskim, biorąc także i córki w podziale; że za nie płacono posag, były więc częścią mienia.

Charakter w głębi łagodny narodów litewskich, który najlepiej wydaje się w pieśniach, nie usposabiał ich wcale do wojennego rzemiosła. Okoliczności wyrobiły u ludu tego i męstwo nieustraszone i żądzę boju i talenta wojenne, zmuszając do zajęcia wojną z uszczerbkiem rzemiosł i rolnictwa nawet. Prusacy więcej zajęci handlem i rolą, niż przygotowaniami do wojny, woleli, wedle podania, Mazurom dań składać z ludzi, niżeli ciągle się z niemi ucierać. Długo więc, jak z tego widać, rzemiosło wojenne było zaniedbane. Pierwsze wyprawy Litwinów są to raczej wycieczki za łupem, napady na osady pograniczne, niżeli walki i boje; unikano bowiem spotkania z nieprzyjacielem i starcia. Myśliwstwo dało pierwszy oręż i wprawę bojową, nauczyło znosić trudy i urągać niebezpieczeństwom, dało potrzebną przebiegłość, wyrabiało siłę. W najdawniejszych czasach, wedle podań, skoro wojna ogłoszona została, wybierano do niej wodzów naczelnych i pomniejsych im podległych. Pod rozkazy jednego dowódcy łączyli się wszyscy na wyprawę.

Potrzeba wojny, obrony od napaści, odemszczenia dla postrachu, nadały wkrótce przymioty wojenne Litwie, odwagę, przebiegłość, wytrwałość. Młodzież uczono rzucać pociski do celu; wszyscy mogący dźwignąć oręż, z bronią, zwłaszcza do

pogoni za nieprzyjacielem, stawić się musieli. O tym jeszcze jako starym zwyczaju Pogoni, wspomina przywilej Jagiełły 1387 roku. Był to rodzaj pospolitego ruszenia, dla ścigania nieprzyjaciół. Na Żmudzi, gdy się dowiedziano o wojnie, wódz zabijał kozę, w krwi jej maczał włócznię i z drzewcem osmalonym rozsyłał po osadach na znak, że kto nie wystąpi, śmiercią i ogniem karany będzie, lub, że mord i pożoga idzie i że do obrony stawać potrzeba.

Gdy wyprawa szczęśliwie się udała, palono losem wybranego niewolnika na stosie, jako ofiarę bogom. Najczęściej bywał to rycerz znamienity, którego trzykroć obwiódszy w koło stosu wprowadzono nań z koniem. Tym obrzędom towarzyszyły odgłosy śpiewów i wojennych narzędzi muzycznych: bębnów, grzechotek i trąb.

Z całości wnosić można, że umiarkowanie we wszystkim jest jednym z głównych rysów litewskiego narodu; lud ten w niczym do przesady nie był skłonny, łagodny, do posłuszeństwa łatwy, pełen uczuć religijnych, nie objawiał w niczym nadzwyczajnej namiętności, rozhukanej fantazji; wszędzie dowcip, rozum, przebiegłość.

Z kroniki Macieja Stryjkowskiego.

O spowinowaceniu Litwy z Polaki a jako Władysław Łokietek, król polski, syna swego Kaźmierza w szesnaście leciech ożenił z Xiężną Gedyminówną. Roku Pańskiego 1325.

Władysław Łokietek, król polski, za trzecim razem dla wielkich wnętrznych y postronnych rozterków ledwo statecznie koronowany, a od srogiego nieszczęścia dziwnie będąc utrapiony, myślił i z Radami Koronnymi ustawicznie traktował, którymby sposobem po onych trwogach mógł bezpiecz-

nie panować. Starał się najprzód o uspokojenie częstych najazdów litewskich, których wojną odeprzeć nie mógł, frasował się też y o odjęcie y gwałtowne wydarcie Pomorskiej ziemie przez bezbożne Krzyżaki Pruskie Jałmużniki Koronne.

W tych trwogach mając umysł rozerwany, nie wiedział, co pierwej czynić y ku czemu się obrócić, widział, iż Krzyżacy nietylko Pomorskiej ziemie wzbraniali się wrócić, ale gwałtowniej na Dobrzyńską ziemię, która też była niedawno przez Litwę zburzona, umysł swój hardy nasadzili. Nadto Sasowie i Brandeburscy Margrabiowie sprzymierzeniem i sąsiedztwem z Krzyżakami złączeni, gotowi im byli pomagać, iakoż się y sami na Polskę za naimnieyszey przyczyny okazaniem gwałtem i zdradą nasadzili byli. A gdy się król na te woyny z myślą rozerwaną wodził, albo mu było wydać Polskę na drapiestwo y burzenie Litwie, albo też na odparcie ich naiazdów zostawiwszy obronę, musiałby mocy rycerstwa swego umnieyszyć y woyska na kilka części roztargnąć, które i tak choć całe, niemogłyby przeciwko onym drugim nieprzyjaciołom dosyć uczynić. Abowiem ustawicznymi utarczkami Litwa raz te, drugi raz te y owe krainy Polskie najeżdżali y woiowali, y niedawno Dobrzyń z włościami byli spalili y złupili, y wiele krain, od Polski wojną oderwawszy, posiedli, ktemu trudno ich było ukrócić, gdyż do bitwy zawzdy byli gotowi, ponieważ się wojnami ustawicznie bawili. A w domu za wodami y trudnym przebyciem rzek, lasów y iezior w niesprawionych w on czas puszczach, iako w napewnieyszych y mocnych zamkach, bezpiecznie żyli, tak, ieśliby kto był chciał wojnę na nich podnieść, tenby niemniey z nieprzyjacielem przemyślnym, prętkim, lekkim, boiownym y chytrym musiał czynić, iako też z trudnościami dróg, gęstością lasów, z niepogodą nieba y głodem musiałby się naprzód biedzić. Tak tedy Król Władysław Łokietek tey ostateczney rzeczy myślił skusić, ieśliby snadź mógł iako Litwę ugłaskać a w towarzystwo swoie przywieźć. A naprzód ku otrzy-

maniu tey przyiaźni przydawało mu to niemnieyszey nadzieie y otuchy, iż wiedział Krzyżaki być iako Polakom, tak Litwie pospolite y główne nieprzyjacioły. Które zdanie y przedsięwzięcie Królewskie, gdy wszystko zebranie senatorów pochwaliło y potwierdziło, wyprawili do Gedymina, Wielkiego Xiędza Litewskiego, posły, którzyby z nim przymierze umocnili, a Córki u niego Kazimierzowi Królewicowi w małżeński stan prosili, a nie inszego posagu iedno pokoiu wiecznego z obydwu stron, a wypuszczenia więźniów pobranych narodu Polskiego aby żądali.

Tych posłów Gedymin wdzięcznie w Wilnie przyiąwszy, y naradziwszy się z Kniaziami i Boiary swoimi, a widząc rzecz bardzo pożyteczną, gdyby się przeciw Krzyżakom pruskim, głównym nieprzyjaciołom, z Polaki y z Mazurami ziednoczył, spisał i sprzymierzył, nie odmówił Córki swojej dać za Kazimierza Królewica Polskiego, ale ją zarazem z przerzeczonymi Posłami Polskimi y z swoimi, także z posagiem żądanym więźniów do Polski posłał.

Tak tedy Xiężna Gedyminówna imieniem pogańskim Aldona z posłami Koronnymi y z pocztem niemałym Panów Litewskich y Dworzan Gedyminowych w niedźwiedzie kożuchy (iak w on czas stroy był) przybranych, przyjechała do Krakowa roku 1325 a za nią y przed nią y w koło niey posag iey, więźniowie narodu Polskiego y Mazowieckiego z niewoley Litewskiey wypuszczeni, tak mężczyzna, iako białegłowy, długimi Rotami ciągnęli, których samych połonnych oboiey płci ludzi dwadzieścia y cztery tysiące było, co z Litwy iako Żydowie z Babilonu na ten czas byli wypuszczeni, z wielką radością pospolitego ludu Polskiego w drodze wszędzie y na wieździe do Krakowa była przyięta, bo się iuż spowinowaceniem wiecznego pokoiu od Litwy niebożęta spodziewali.

Naprzód tedy była nauczona przerzeczona Xiężna w Wierze Chrześciańskiej od Biskupa Krakowskiego.

Potem w Wigilję św. Piotra y Pawła Apostołów w kościele Krakowskim iest ochrzczona a imieniem Chrześciańskim Anna mianowana, tamże zaraz Kazimierzowi Łokietkowicu Królewicowi Polskiemu w małżeński stan poślubiona y oddana, a od tego czasu Polska utrapiona dopiero osiadleyszą, ludnieyszą y żyźnieyszą być poczęła, która przedtym większą częścią spustoszona y zwoiowana od Litwy Poganów była, gdyż Mazowsza przyległego także Dobrzyńskiej, Lubelskiej, Sandomirskiej, Łęczyckiej, Sieradzkiej, Kaliskiej y Kujawskiey ziemie większa część bez ludzi odłogiem nieruszona pługiem leżała, dla ustawicznych najazdów Litewskich. Przeto gdy one dwadzieścia y cztery tysiące ludzi z Litwy wypuszczonych Król po różnych pustyniach rozsadził, tak się jęli roboty z pilnością, iż nietylko stare puste role osiedli i naprawili, ale y siła wsi na surowym korzeniu wyrobili, lasy rozkopali, y ku oraniu y mieszkaniu godne y pożyteczne za krótki czas uczynili, nauczyli się niebożęta w Litewskiej niewoli, żarnami mieląc i lasy rąbając, gospodarstwa.

„Król kmiotków"

I

przez Karola Szajnochę.

Wskrzeszeniem podupadłej ojczyzny dopełnili Piastowie swego historycznego zadania. Teraz jakby złotym owocem tego dojrzenia rozświtają Polsce czasy rządów ostatniego Piasta w koronie, Kazimierza Wielkiego.

Patrząc na sędziwą postać tego króla gospodarza, tego uśmierzyciela zatargów narodu z sąsiadami, opiekuna rolników, prawodawcy ojczyzny, mniemamy w tym ostatnim ko-

Kazimierz Wielki w katedrze Krakowskiej.

ronnym potomku błogosławionego kołodzieja z Kruszwicy widzieć ziemiańskie oblicze samegoż praojca Piasta, tak ści-

śle narodowe, bo i legiendą wymarzone i historją sprawdzone rysy odznaczają naszego „króla kmiotków". I ten to przez żadnego z naszych królów tak dokładnie, jak przez Kazimierza, nie osiągniony ideał króla narodowego, zjednał mu nazwę „Wielkiego", nieprzyznaną ani wielkiemu wskrzesicielowi ojczyzny, ojcu Kazimierzowemu, ani, większemu jeszcze, założycielowi narodu Bolesławowi Chrobremu.

Jak Piast, tak i Kazimierz, jest przedewszystkim ziemianinem, gospodarzem. Przyciśniony koniecznością, zapuszcza on niektóre ziemie ojczyste, jak Pomorze i Ślązk, na zawsze lub do czasu, ugorem. Za to jednak rozprzestrzenia on zagrodę narodową nabytkiem nowej, rodzajnej ziemi, Rusi Czerwonej. Potomek kołodzieja napełnia Kazimierz całą Polskę gwarem wszechstronnej fabryki domowej. Naddziad pracował drzewem, wnuk ciosem. W stu różnych miejscach kraju, stutysięczna skrzętna czeladź króla-murarza zakłada nowe miasta, opasuje dawne murami, buduje grody, stawia kościoły. Zarazem ku zbudowaniu umysłów wznoszą się szkoły, pada węgielny kamień akademji krakowskiej. A jako zgoda najlepszym, jedynym każdej nowej budowy bywa cementem, tak o zgodę najgorliwiej nasz Piast drugi ma pieczę. Zgodą, acz drogą, uśpił on Krzyżaków aż do krwawego na polach grunwaldzkich przebudzenia. A że zgoda, praca, gospodarność rodzą dostatki, więc bogatym we wszelkie skarby tej ziemi, możnym jak żaden król ówczesny, był nasz Kazimierz. A nie byłby królem dawnych Polaków, gdyby się był przytym nie okazał gościnnym. Toż nie tylko tłum cudzoziemskich przybyszów, ale cały naród wygnańczy, żydowski, wyszczwany okropnym prześladowaniem z Francji i z Niemiec, miał swobodny w ziemi jego przytułek, używał do syta jego szczodroty i gościnności.

I przybywało z czasem coraz więcej ubogich i dostojnych przyjaciół, koronnych i nie koronnych ochotników dóbr ziemi polskiej w gościnę do starego króla, szafarza łask

i dostatków, w zaloty do jego bogatej wnuki pomorskiej, w zawody o jej wiano, uniesione wreszcie przez pierwszego z monarchów europejskich, pana korony cesarskiej Karola Luksenburczyka. Sprawiona z tego powodu uczta weselna w Krakowie, godna iść w porównanie z ucztą starego praojca Piasta. Nie byłoć tam wprawdzie aniołów pańskich, jak ongi w zagrodzie błogosławionego kołodzieja, lecz w tomiast trzech królów ziemskich i jeden cesarz siedziało w około stołu nadwnuka kołodziejowego i w około stołu jego służebnika, mieszczanina krakowskiego Wierzynka.

Pamięć narodowa świadoma podobieństwa pomiędzy pierwszym a ostatnim Piastem uzupełniła je nadanym Kazimierzowi w przypomnienie kmiecostwa praojca Piasta przydomkiem „króla kmiotków". Ubogi kmiotek z Kruszwicy rozpoczyna ród Piastów, „wielki" kmieć krakowski kończy jego zawód koronny.

II

przez Augusta Sokołowskiego.

Liczne ustawy wydali poprzednicy Kazimierza Wielkiego. Słyszymy o nich już za Bolesława Chrobrego, wiemy, że wydawali prawa także jego następcy, ale przygodne te rozporządzenia stosowały się tylko do poszczególnych wypadków i nie były powszechnie znane. Gorzej jeszcze działo się po śmierci Krzywoustego, gdy w każdej prawie dzielnicy powstawały nowe przywileje, nowe ustawy i wyrabiała się nieraz odrębna praktyka sądowa. Nie ulegało zaś wątpliwości, że Polska jakkolwiek zjednoczona pod berłem jednego monarchy, tak długo nie będzie państwem jednolitym, póki istnieją różnice, jakie powstały w czasie podziałów, póki jednakowe ustawy, jednakowa moneta i jednakowe urządzenia nie zleją w jedną całość różnorodnych dzielnic.

W pierwszym rzędzie było powołanym do tego prawo-

dawstwo. Z ustaw okolicznościowych, z praw rozmaitych przechowywanych zwyczajowo, ale wcale dotąd nie spisanych, należało stworzyć księgę ustaw, obowiązujących w całym państwie. Nie było to rzeczą łatwą, zwłaszcza w ówczesnej Polsce, która nie miała ani szkół wyższych ani ludzi przysposobionych do prac tego rodzaju, i tym większa chwała należy się królowi, że pomimo tak znacznych trudności wielkiego dzieła dokonał. Na szczęście znalazł on wśród duchowieństwa polskiego zdolnych pomocników. Jednym z nich był Jarosław Bogorya Skotnicki wyćwiczony w słynnej akademji bolońskiej, drugim siostrzeniec jego Jan czyli Janusz Strzelecki, zwany Suchywilk, późniejszy kanclerz i arcybiskup gnieźnieński. Oni to głównie zajęli się zebraniem ustaw, z czego powstał statut wielkopolski, przyjęty na wiecu Wielkopolan w Piotrkowie, i małopolski, uchwalony przez Małopolan w Wiślicy w roku 1347. Oba statuty ujęto później w wielką księgę, czyli w kodeks, a całe dzieło nosi nazwę Statutu Wiślickiego.

W dalszym ciągu przystąpił król do uporządkowania prawa niemieckiego, którym rządziły się liczne miasta i osady, założone po napadach mongolskich. I tu bowiem panowała wielka rozmaitość t. zw. praw niemieckich, tłumaczono je dowolnie, a co gorsza, odwoływano się w wątpliwych wypadkach do obcych sądów w Magdeburgu lub Halli, co pociągało za sobą znaczne koszta i ubliżało powadze królewskiej. Ażeby tym wszystkim niedogodnościom koniec położyć, ustanowił Kazimierz Wielki w roku 1361 dla miast na prawie niemieckim założonych, sąd nadzorczy główny na zamku krakowskim i zniósł zarazem wszelkie apelacje do Magdeburga i Halli.

Ustawodawcza praca Kazimierza Wielkiego miała na celu nietylko spisanie praw i uregulowanie stosunków społecznych, ale także powściągnięcie nadużyć i podniesienie władzy monarszej. Dążąc wytrwale do podźwignięcia kraju

czuwał król troskliwie nad utrzymaniem pokoju wewnętrznego i karał surowo zbrodniarzy wszelkiego rodzaju, bez względu na stan i pochodzenie.

III.

podług St. Kozłowskiego.

Był Kazimierz—jak nas pouczają stare kroniki—„wzrostu urodziwego, stanu udatnego, ciała otyłego, włosów gęstych, a kędzierzawych, brody zapuszczonej, wymowy ogromnej, jednak troszeczkę przyzająklejszej.” Natura była to wybuchowa i krewka, fizycznie i duchowo wybujała nad przeciętną miarę, natura żądna wielkich, bohaterskich czynów. Potrafił syn Łokietkowy noce spędzać nad zwojem starych pergaminów, skąd uczył się prawa dawnej, zamarłej już Polski, aby przez cały dzień następny uganiać się za dzikiem lub niedźwiedziem w kniei, a wieczorem weselić w pałacu Łobzowskim w towarzystwie licznej drużyny, dla której pan łaskawy i hojny, sute wyprawiał festyny, a śmieszków aż z dalekiej sprowadzał Italji.

Z szczególną zapobiegliwością dźwigał Kazimierz kościoły kamienne i zamczyska, a nader liczne grody opasał ścianą murowaną i zamienił w twierdze niezdobyte. Kromer wybiera do stu miast i klasztorów, zbudowanych z jego rozkazu. Jakoż przed ogromem jego pracowitości i przed gienjuszem wielkiego monarchy ze czcią schylali głowy najbardziej nawet rządom jego niechętni. A karty starych kronik aż świecą się od czynów wiekopomnych mądrego króla. Boć przypomnijmy sobie tylko, że król Kazimierz pierwszy uporządkował dawne prawo zwyczajowe polskie i nadał statut Wiślicki, że założył Akademję Krakowską i Ruś Czerwoną do Polski przyłączył, że odzyskał prawa zwierzchnicze nad Mazowszem, wziął mieszczan, chłopów i żydów pod opiekę sądów królewskich, że budował, jak się wyżej rzekło,

liczne klasztory, zamki i kościoły, trzebił lasy, osuszał bagniska i wśród nich wygodne przeprowadzał gościńce, że dla innowierców był tolerancyjnym, a przez potężną opiekę nad rolnictwem, handlem i przemysłem przyczynił się do wzmożenia takiego dobrobytu, iż prosty mieszczanin krakowski, Wierzynek, mógł podejmować w swym domostwie gości koronowanych i zamożnością ich zadziwiać.

Ale przydomek „Wielki" należy się Kazimierzowi przedewszystkim dlatego, że rządy swoje oparł na sprawiedliwości dla ubogiego ludu, a szlachcie dla pożądanej równowagi stanów chciał przeciwstawić zamożne mieszczaństwo polskie. I gdyby polityka Kazimierzowa była się utrzymała nadal, miasta nasze takby rozkwitły i słynęły po szerokim świecie, jak bogate grody niemieckie i włoskie.

Z dumą i radością możemy powołać się na fakt osobliwy, żeśmy w połowie czternastego wieku mieli monarchę, wyższego nad swe otoczenie, ale sprawującego rządy w epoce barbarzyństwa rozumniej i sprawiedliwiej, niż to się w niejednym kraju zdarza w oświeconym wieku dwudziestym. Nasz Kazimierz zrozumiał to już lat pięćset temu, że źle się dzieje w państwie, gdzie cały odłam ludności żyje poza prawem. Nie nad tłumem nędznych niewolników, ale nad wolnym i oświeconym narodem, nie deptać i uciskać, lecz dobrotliwie panować i uszczęśliwiać pragnął syn Łokietkowy, budownik nowej odrodzonej Polski, wiekopomny „król pospólstwa".

Pogrzeb Kazimierza Wielkiego

Z poematu St. Wyspiańskiego.

1. Idą posępni
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
a grają im dzwony
żałobne.
2. Idą posępni
a niosą korony
ozdobne,
misterne, a dla nich
ciążące, jak ołów,
korony zczerniałe,
pogrobne.
3. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
a szumią, łopocą
szarfami przyczołów
chorągwie, proporce
pogrzebne.
4. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
podniebne.
5. A śpiewy nad nimi,
jak skrzydła Aniołów
kołyszą się górne,
wróżebne.
6. A idą posępni
ze wszystkich kościołów
z cechami, wieńcami,
co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.
7. I chłopy sukmanne
i pany strojone
w pąsowe żupany, delije.
8. I dziewki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze, niż białe lelije.

9. A idą żałobni
a idą posępni
przez długie ulice podgrodne;
a idą żałobni
a idą posępni,
choć niebo błękitem pogodne.
10. Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;
11. A cienie się wiją
to jaśnią, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.
12. A oni posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne
. . . . . .
13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą,
Czyli kwiaty wycięte się skarzą,—
Czyli łąki i łany się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
14. Czy to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...
Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
15. Za orszakiem czy to łąki szarzeją...
za orszakiem, czy to łany już gwarzą,
za orszakiem, czy to bory się chwieją
za orszakiem, czy to lasy już idą...
czyli pszczelne roje tak brzęczą
za orszakiem, — czyli ziemie tak jęczą...
16. A idą żałobne
posępne, pogrzebne
i łąki pachnące
i lasy podniebne,
wnuczęta jego pogrobne.
17. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
wróżebne.
. . . . . .
. . . . . .

Jadwiga i Jagiełło

przez Kazimierza Morawskiego.

W roku 1384 pojawia się Jadwiga na tronie polskim, a z nią jakiś powiew nowy cywilizacji zachodniej, szlachetnych pragnień i dążeń wchodzi do Polski, budzi się nowe życie, opromienione dzielnością, cnotą i poezją tej wyjątkowej postaci. Nie było jej równej naówczas istoty z królewskiego rodu na całym świecie—powiada średniowieczna kalendarzowa zapiska krakowska. A my z pełni przekonania możemy przywtórzyć tym słowom.

Niezwykle piękna i przytym wykształcona łączyła z temi przymiotami ważniejszą rzecz: piękną duszę, pełną szlachetności. Po mieczu otrzymała w spadku kulturę bogatą Andegaweńczyków. Przecież najrozgłośniejsze imiona świata umysłowego wplotły się w życie jej przodków, z wyżyn Parnasu rzucono pęki kwiatów na ich postacie, tak, że Jadwiga ukazuje nam się, oprócz wszystkiego, wśród promieni zarania duchów, które nazwano odrodzeniem.

Po kądzieli, z babki Elżbiety, miała Jadwiga przedsiębiorczość, jaką na tronie polskim odznaczał się ostatni z Piastów, brat Elżbiety, Kazimierz. To zespolenie zachodniego i rodzimego żywiołu pozwalało świetnie wróżyć o przyszłości młodej księżniczki. Serce, głowa i ręka pełne hojności, miały zlać obfite błogosławieństwo na kraj, którego tron przypadł jej w udziale. Są w jej dobroci kobiece strony, pewna miękkość i zbytnia pobłażliwość. Do łaski rajców krakowskich często się ona zwracała, ujmując się za skazanymi, papież Bonifacy IX pisał też raz do niej, że czasem wbrew przekonaniu popiera i poleca ludzi, bo nie umie łaski swej odmówić. Ale dobroci tej starczyło też na czyny mądre, które imię jej zapisały na wieczne czasy w historji. Uniwersytet krakowski w szczególności może być dumnym i wdzięcz-

nym Opatrzności, że u kolebki niemal jego istnienia stała ta mądra niewiasta, pełna dzielności i powagi zarazem, a przekazała mu w spadku pamięć swą świętą i woń swego uroku i serca.

W r. 1386 nastąpił jej ślub z księciem litewskim Jagiełłą. Mąż ten, wśród barbarzyństwa zrodzony i wychowany, wnosił na tron naturę niezrównoważoną, chwiejącą się między skrajnościami przebiegłego mężczyzny i prostego dziecka, dyplomaty wschodniego i wschodniego chłopa. Natura w pierwszym rzędzie bierna, łagodna, znajdowała energję przedewszystkim na łowach, którym Jagiełło oddany był do końca życia. Wstrzemięźliwość w piciu szła ręka w rękę z niewybrednością i brakiem miary w pokarmie. Na łowach nieznużony, w domu folguje zbyt chętnie sennej bezczynności. W ubiorze prosty, w obejściu przeważnie łatwy, a mimo tego w pewnych okolicznościach okazuje jakąś dumę i odrębność wśród najbliższego otoczenia. Ziarno chrześcijańskie padło tu na duszę pogrążoną jeszcze głęboko w zabobonie dziecięcym i chłopskim. Niektóre zabobony dziwaczne nigdy go nie opuszczają; wyznawstwo nowej wiary objawia się w nieskończonych modlitwach i pokłonach. We wszystkim znać neofitę, w religji, cywilizacji, polityce. Losy wyciągnęły go z borów litewskich i postawiły go wobec zadań wielkich, doniosłych, zrobiły zeń narzędzie dla najszczytniejszych dzieł polityki kraju, nad którym panował i religji, którą przyjął; postawiły go wreszcie obok kobiety, która była najpiękniejszym kwiatem tej cywilizacji, co zaledwie pierwsze swe korzenie zapuściła w jego serce.

Życie codzienne Jadwigi i Jagiełły upływało dosyć szaro i bezbarwnie. Silniejsze uczucie łączyć ich nie mogło, bo różnica poziomu, skłonności, wyobrażeń wytwarzała tu odstęp zbyt przepaścisty. Jagiełło nadaje swemu dworowi pewien wschodni nastrój i charakter; do łowów ma około siebie litewskich łowczych i pomocników, dla muzyki ruskich

lutnistów i cymbalistów, do malowania kościoła i swojej sypialni ruskich używa malarzy. W swoich jakach, jopach, kabatach dosyć prostackich uwija się król po dworze, jego krawiec Henryk rzadko mu sprawia szatę okaźniejszą, uszytą

Władysław Jagiełło.

na modę francuską... Uczty są nietyle wystawne, co obfite. Szczególnie siostrę swą umiłowaną Alexandrę mazowiecką chętnie król widzi na swoim dworze, zasypuje ją ze zwykłą swą hojnością podarunkami szat, klejnotów i koni. Jest to pewnie najgłębsze uczucie jego życia.

Królowa przeważnie żyje w rozłące i oddzieleniu od męża. Życie jej jest proste, umartwione ciągłemi postami; chętnie jednak zaprasza do swego stołu gości z kraju i z zagranicy, których raczy raz śpiewem scholarów, zawezwanych do dworu, a zawsze czaruje urokiem swej postaci i podniosłego ducha.

Bo nad tym pożyciem niewykwintnym, może i niezgodnym, unoszą się wielkie idee, które wypłynęły po części z połączenia się tych dwojga ludzi w małżeństwie: Jagielle zgotowały piedestał, podnoszący go do wysokości jego dzielnej towarzyszki, Jadwidze opromieniły szarość i nieszczęście niedobranego związku. Szerokie widnokręgi i dalekonośne dążenia równoważyły jej to, że w życiu codziennym doznała często duszności, niejednego zacieśnienia. Robiąc ofiarę z osobistych swych pragnień i uczuć, podniosła ona tę ofiarę do wysokości okupu na wielkie cele ojczyzny i kościoła, poślubiła Jagiełłę wbrew woli, ale ukochała całym sercem to wszystko, co związek ten symbolicznie niejako przedstawiał, a praktycznie ułatwiał, wciągnięcie Wschodu do rodziny chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej. A ten na pół dziki książę litewski zachowa też po wszystkie czasy swoje znaczenie w dziejach i urok niezatarty, dlatego, że stał się narzędziem woli kobiety, której natchnienia były górne i podniosłe, i dlatego, że z roli narzędzia umiał się sam nieraz podnosić do wysokości posłannictwa i to posłannictwo rozumieć.

Chrzest Litwy

przez Karola Szajnochę.

Wyprawę Jagiełły w celu jej ochrzczenia przyrównano do wypraw morskich, odkrywających światu nieznane dotąd

lądy i skarby. „Otworzył król portugalski swojemi wędrownemi żaglami indyjskie i afrykańskie strefy południa — mówi polski spółcześnik lat Kolumbowych. — Jagiellonowie odsłaniają nam coraz dalsze ziemie i ludy, rozpostarte ku biegunowi północy i ku wschodowi słońca."

Z nadzwyczajną też okazałością wybrał się król Władysław w pierwszą drogę tych odkryć Jagiellońskich. Przedewszystkim wyszło świetne poselstwo do Krzyżaków, złożone z wielu książąt pod przewodnictwem Konrada Oleśnickiego, a wzywające mistrza Konrada Zolnera do wiecznej zgody i unji, zapomocą której mógłby Jagiełło tym snadniej ochrzcić Litwę. Poczym o pierwszych mrozach październikowych wyruszył nowy król polski z niezmiernie licznym dworem na wschód. Omijając Ruś Czerwoną, obrano trakt wołyński na Lublin, Włodzimierz ku Łuckowi. Towarzyszył Jagielle tamtędy nader tłumny orszak duchowieństwa, książąt, wojewodów i kasztelanów polskich.

Im głębiej zapuszczały się cugi podróżne w stronę Litwy pogańskiej, tym nowszy, tym osobliwszy obraz ziemi i ludu zadziwiał polskich towarzyszy Jagiełły. Wjeżdżano w ostatnie zakątki, w ostatnią leśną kryjówkę pogaństwa w Europie, równie odmienną od reszty kraju Zachodu, jak wiara i obyczaj mieszkańców od obyczajów reszty narodów europejskich.

Właśnie spoczywał lud po uroczystościach jesiennych – ostatnich uroczystościach pogańskich. Przejazd dworu apostolskiego nie wywoływał w nim żadnej niechęci; owszem, wystawność i okazałość, z jaką każda podobna wyprawa apostolska występowała zwyczajnie w kraju pogańskim, budziły ciekawość i dziecinny podziw w jego mieszkańcach, pociągały ku sobie ludność ubogą. Dlatego jednomyślnie z apostołem Słowian pomorskich, św. Ottonem, starał się każdy rozkrzewiacz ewangielji przybyć pomiędzy pogan „bogaty w pieniądz złoty i srebrny, w postawy sukna i złotogłowiu, kosz-

towności wszelkiego rodzaju, nawet w zapasy zboża, wiezione za nim czasami na pięćdziesięciu wozach."

Temuż przypisać należy niezwykłą okazałość, która uświetniała teraźniejszą podróż Jagiełły w ziemię litewską. Jakeśmy widzieli przy wyjeździe, otaczała go wspaniała rzesza biskupów, książąt litewskich, mazowieckich i śląskich, wojewodów i kasztelanów polskich. Mnogie sanie ładowne wiozły za dworem obfitość towarów polskich, mianowicie sukien wełnianych, tego powszechnego wówczas dostatku ziemi polskiej. Symbol odzyskanej chrztem niewinności, a przeto zwyczajny niegdyś podarek nowochrzczeńców, — szaty białe wełniane, bywały wielką pomocą przy każdej próbie nawracania pogaństwa w Europie. Szły one więc i za Jagiełłą w znacznej ilości. Jakoż skłoniwszy ku sobie całą płócienną Litwę, przyczynił się ten podarek sakramentalny nie mało do rozstrzygnięcia losów bałwochwalstwa litewskiego w myśl dawnej przepowiedni krajowej.

Albowiem oprócz wielu innych wpływów przeciwnych, podkopywała jeszcze pogaństwo Litwy wróżba o niechybnym upadku Znicza. Przed wielu laty, w czasie budowania głównej świątyni pogańskiej w Wilnie, udał się jej książęcy założyciel do najsławniejszej wyroczni na Żmudzi z zapytaniem, jak długo będzie stała świątynia. Wyrocznia odpowiedziała: „Dopóki pogaństwo w Litwie". A w domiar otrzymał książę od wyroczni dar pewnej liczby cegieł o znakach mistycznych z tym poleceniem, aby co roku wmurowywano po jednej cegle w ścianę świątyni. Przez lat sto dwadzieścia i jeden działo się zadość temu zleceniu. Na obecny rok 1387 pozostała cegła ostatnia, a znakiem jej był krzyż, podwójny. Zaczym wypadło jedynie ukazać się Jagielle ze swoim chrześcijańskim orszakiem w Wilnie, a znikąd nie groził opór dziełu zbawienia. Początek roku 1387 sprowadził całą wyprawę apostolską do Wilna.

Stołeczny gród Litwy, osiadły na południowym wybrze-

żu Wilji, między tą rzeką, a wpadającą do niej z prawego brzegu rzeczułką Wilną, składał się z dwuch całkiem różnych połowic. Jedną połową było małe Wilno, ale warowne i zamożnie zabudowane, przez pogan zaludnione, Wilno książęce, drugą—miasto rozległe, ale lichej budowy, po największej części przez cudziemców zamieszkane, Wilno chrześcijańskie. Tamto, książęce, w samo kolano Wilji i Wilny wsunięte, tworzyło jedną wielką warownię, złożoną z dwuch różnych zamków, Wyższego na Turzej górze, i Niższego czyli Krzywego u jej podnóża, a oblaną dokoła obydwiema rzekami i połączonym z niemi przekopem. Tu znajdowały się mieszkania książęce i gmachy dworskie, wielki posąg Perkuna, wieża, z której kapłani pogańscy przemawiali do ludu, wreszcie na t. zw. „Świętej łące" Swentoroga, naczelna świątynia pogańska, gdzie płonął wieczysty ogień „Znicz", główna świętość narodu.

W kierunku południowym, w górę od nadrzecznej połowy miasta, na nierównie szerszej przestrzeni, rozlegało się raczej kilka wiosek, niż jedno wielkie miasto; kupiły się gromady ubogich, drewnianych domków, bez śladu ulic, przedmieść lub murów miejskich; kwitnęły pomiędzy niemi przestronne łąki, pola, ogrody. Była to chrześcijańska połowa Wilna, zaludniona przez cudzoziemców, w szczególności Niemców i Rusinów, pomiędzy któremi liczyło się także wielu niechrześcijan, bądź to Tatarów, bądź Żydów. Według różnicy wyznania dzieliło się to chrześcijańskie miasto znowu na dwie odrębne dzielnice, ruską i łacińską, czyli niemiecką.

Dzięki temu zbiegowi okoliczności, przyrosła Wilnu pogańskiemu cała druga połowa, chrześcijańska; i stało się, że gdy obecnie Jagiełło wjechał ze swoim orszakiem na „dolny zamek", tylko „jedna połowa Wilna" była do odrodzenia chrztem świętym. Przystąpiono tedy do aktu nawrócenia, którym ostatni kaganiec bałwochwalstwa w Europie zgasł

w powszechnym blasku jednego wielkiego słońca. Zaczym przygotowawszy wszystko, co chciano postawić na zwaliskach przeszłości, przyłożono topór do jej pnia spróchniałego. Zwołano wszelkie pogaństwo okoliczne do Wilna i przedstawiono mu potrzebę zrzeczenia się dawnych baśni. Zdumiona Litwa wzdrygnęła się na to żądanie, mieniąc je niewdzięcznością i grzechem względem przodków. Niepoślednią też pobudką niechęci była obawa zemsty bogów pogańskich. Należało tedy przekonać publicznie o ich nieudolności. Gwoli temu rzucili się chrześcijanie do obalania świętości bałwochwalczych. Zalany został Znicz święty i pogaszone ognie wieczyste. Padły pod siekierą święte dęby na zamku i w gaju na Łukiszkach. Powybijano święte węże, jaszczurki, zarówno nieświadome przyczyn dawniejszej czci, jak teraźniejszej zagłady. Przypatrujące się tej ruinie pogaństwo zawodziło wielkim, żałobnym płaczem. Ale tylkoż tyle oporu, tylko jęki i łzy spotkał przed sobą rozkaz książęcy, „zresztą nie śmiał nikt ani pisnąć” — mówi jeden z naocznych świadków zdarzenia. A gdy taka wola książęca padła, gdy obaczono, iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie gasić, ścinać, zabijać, ochłonęła z trwogi zgraja pogańska i oświadczyło plemię „płoche a lekkomyślne”, jak Litwinów nazywali Krzyżacy, iż chce się ochrzcić.

Nastąpiła zatym katechizacja. Sam król pobożny pomagał w tym względzie polskim nauczycielem duchownym. Najwięcej dziwiła pogan nauka o jednym Bogu. „Tak wielu bogów” — mniemano — „okazało się bezwładnemi, a jeden miałby większą mieć władzę?” Nie było atoli pory do rozumowań. Wkrótce uznano uczniów dojrzałemi do chrztu i zaczęto chrzcić ich z osobna. Każdy nowochrzczeniec dostał białą szatę wełnianą. Schludny, bogaty w oczach Litwina strój uszczęśliwił nędzę pogańską. W okamgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym. Każdy pragnął go mieć, pragnął ochrzcić się. Zbiegały się

zewsząd tłumy pogaństwa. Szczupła stosunkowo garstka duchownych polskich nie mogła podołać ochotnikom. Nie godziło się przecież nie korzystać z powszechnego natchnienia. W takim położeniu chwytali się polscy apostołowie środka, nieznanego dotychczas w chrześcijaństwie. Zbierano pogaństwo w osobne gromady męskie i żeńskie i chrzczono je ryczałtem przez pokropienie święconą wodą. Każda gromada męska lub żeńska otrzymywała toż samo imię świętego albo świętej. Wychodziły w ten sposób z pod kropidła całe tłumy litewskich Stanulów, Janulisów i Piotrulisów albo Katrin i Jadziuł. Możniejszych chrzczono ciągle z osobna. I ci biegli w zawody po nową wiarę. Żupany chrzestne podbiły serca bogaczów i ubogich, panów i niewolników.

Tak więc cichym i łagodnym sposobem zajaśniało obecnie światło nowej wiary. Po ochrzczeniu swojej pogańskiej „połowy Wilna", nie naruszając wolności wyznania drugiej, przeważnie ruskiej połowy, wybrał się Jagiełło około marca w podróż po kraju. Towarzyszyło mu w niej duchowieństwo łacińskie, a w każdym miejscu pobytu powtarzały się też same sceny apostolstwa, co w Wilnie. Pobożny król nietylko kazaniami do ludu pomagał kapłanom polskim, lecz owszem jak prawdziwy zesłannik boży sam chrztu udzielał, a nawet książętom i panom polskim toż samo czynić kazał. Wszędzie burzono świątynie bałwochwalcze, stawiano krzyże i kaplice łacińskie, ogłaszano rozporządzenia na rzecz duchowieństwa nowego.

Ten objazd apostolski trwał kilka miesięcy. Nie obeszło się przedewszystkim bez dalszych starań o wkorzenienie wiary łacińskiej. Wzniosły się dwa nowe kościoły rzymskie, jeden św. Marcina w zamku wileńskim, drugi św. Jana w mieście. Tak nowej katedrze litewskiej, jakoteż reszcie kościołów, nadesłała królowa Jadwiga obfity zapas kielichów, obrazów, mszałów, ornatów i t. p. przyborów.

Po całym dalekim świecie rozbiegła się wiadomość

o chrzcie pogaństwa litewskiego. Poselstwo królewskie zostało wyprawione do Watykanu, niosąc należną sprawę z apostolskich czynności w Litwie. Złożył ją u stóp papieża Urbana poznański biskup Dobrogost Nałęcz z Nowego Dworu. Był to pierwszy poseł Jagiełły, który stanął przed obliczem papieskim. Przyniesione przezeń wieści litewskie przejęły niezmierną radością serce Ojca św. Oprócz nawrócenia ostatniej społeczności pogańskiej w Europie jaśniała w nich nadzieja coraz dalszego wpływu Rzymu na Wschodzie, coraz bliższej unji chrześcijaństwa wschodniego z Rzymem.

Utworzenie Akademji krakowskiej

przez Józefa Łukaszewicza.

Kazimierz Wielki, monarcha na wiek, w którym żył, prawdziwie mądry, w przekonaniu, że tylko sama oświata stanowi potęgę narodu, postanowił w stolicy swojej Krakowie założyć szkołę wyższą, zwaną w wiekach owych *studium generale*, z którejby się światło nauk na całą Polskę rozchodziło. Taką, a nie inną pobudkę miał wielki ten człowiek do założenia Akademji w roku 1364, we wsi Bawole tuż pod Krakowem, którą później Kazimierzem nazwano.

Atoli chwalebny zamiar Kazimierza Wielkiego założenia Akademji w Krakowie, albo nie przyszedł wcale do skutku, albo też Akademja ta zaraz po śmierci jego upadła i dopiero Władysławowi Jagielle należy się sława założenia pierwszej Akademji w Polsce. Pobudzała go do tego żona, królowa Jadwiga, wnuczka po siostrze Kazimierza. Władysław, przywodząc zamiar dziada swej żony do skutku, wyrobił sobie naprzód potwierdzenie przyszłej szkoły głównej u Bonifacego IX, papieża, a uzyskawszy je, wydał statut dla Akademji, datowany z Krakowa dnia 14 sierpnia 1400 roku.

Otwarcie jej nastąpiło z największą, na jaką się wiek ów zdobyć mógł, okazałością. Wiszniewski w dziele swoim „Historja literatury polskiej” tak uroczystość tę opisuje: „W roku więc 1400, w rok prawie po śmierci królowej Jadwigi, w dzień św. Marji Magdaleny, senatorowie i panowie gromadnie do króla zjechali się. Tegoż dnia rano, między ósmą a dziewiątą, za danym znakiem w kollegium Kazimierza Wielkiego zeszli się dziekani wszystkich fakultetów, profesorowie i rektor ówczesny Stanisław ze Skarbimierza, w długą szkarłatną odziany togę i zaraz poprzedzony od bedelów z długim szeregiem doktorów, magistrów i młodzieży udał się na zamek krakowski, gdzie w treściwych słowach wychwalał króla, iż o dobro Akademji troskliwość swą okazywać raczył, i złożywszy królowi dzięki, przyrzekł, iż da-li-Bóg, Akademja stanie się ozdobą nie tylko miasta, ale całego sarmackiego świata, a nawet chrześcijaństwa.

Tego dnia król z pysznym i długo ciągnącym się orszakiem udał się z zamku na ulicę świętej Anny. Najprzód postępował dwór królewski konno i w świetnej zbroi, potym konno i pieszo wojsko na pięknych koniach i świetnie odziae. Potym szedł rektor w todze purpurowej, dalej profesorowie teologji w togach aksamitnych fioletowych, dalej dziekan filozofów, profesowie gęstym orszakiem królewskich halabardników otoczeni; za niemi senat, biskupi, wojewodowie i kasztelani w złocistych deljach. Potym ciągnął się długi szereg książąt, nadwornych urzędników, konsulowie krakowscy z całym urzędem miejskim. We wszystkich oknach, po gankach, nawet na dachach, mnóstwo zebranych ludzi z radosnemi oklaski witały wchodzącą do miasta Akademję z królem. Lesiste postacie Litwinów zwracały oczy mieszczanek krakowskich. Nietylko niektórzy z tych dumnie przed Jagiełłą stąpających panów, ale i lud z natchnienia i przeczucia wiedział, iż tu wprowadzają do miasta wieczystą pochodnię, z której, jak z żywego źródła, dobroczynne światło po

całej Polsce rozchodzić się będzie, że tu szkoła, wychowując ludzi światłych i cnotliwych, dostarczy mężów do rady i do oręża zdatnych, a stąd nie mało do sławy i świetności kraju się przyczyni. Tak piękne nadzieje ożywiały serca wszystkich, i tych, co rozumieli, na co patrzą, i tych, co tylko przeczuwać mogli. Tymczasem tego orszaku nietylko kollegium Władysławowskie, ani ulica św. Anny, ale nawet ogromny Rynek krakowski ogarnąć nie mógł. Tylko więc króla i senat profesorowie do nowego kollegium wprowadzili, gdzie zaraz Piotr Wysz, biskup krakowski „Veni Creator Spiritus" zaśpiewał. Poczym nieutulony jeszcze w żalu po śmierci Jadwigi król Jagiełło zasiadł na tronie, a brodaci senatorowie na ławach, był to wieniec najznakomitszych wówczas mężów. Zaraz więc Mikołaj z Kurowa, kanclerz koronny, biskup włocławski, począł czytać głośno w języku łacińskim przez Mikołaja z Sandomierza napisany przywilej założenia Akademji. Po przeczytaniu, ten przywilej podkanclerzy wręczył rektorowi, który go przyjął na klęczkach. Poczym wstąpiwszy na katedrę Piotr Wysz otworzył nauki pierwszą lekcją prawa kanonicznego."

Podział Akademji był na fakultety; tych od samego początku było cztery, to jest teologiczny, prawny, medyczny i filozoficzny.

Akademja krakowska w XV wieku wychowanie publiczne silnie w kraju podniosła i oświatę na północy dzielnie krzewić zaczęła. Uczniowie jej brani byli na mistrzów i bakałarzy do wszystkich niemal szkół katedralnych, miejskich i parochialnych, w różnych miejscach, np. w Pułtusku, Lwowie, Płocku, Warszawie i t. p. w tej epoce powstających. Powierzano im także wychowanie prywatne synów królów i magnatów. Tysiące młodzieży krajowej, (koronnej i litewskiej), ślązkiej, niemieckiej i węgierskiej, cisnęło się do niej, jako do jedynego ogniska oświaty na północy.

Polacy na studjach uniwersyteckich

przez Antoniego Karbowiaka.

Pominąwszy Piastowicza, syna Bolesława Chrobrego, którego zapewne ze względów politycznych oddano do klasztoru zagranicznego we Włoszech, możemy jako pierwszych, którzy zagranicą wyższych szukali nauk, wskazać Kazimierza, syna Mieszka II i Stanisława Szczepanowskiego. Kazimierz, nazwany przez potomnych Odnowicielem, pobierał wyższe studja w Paryżu, i św. Stanisława Szczepanowskiego posyła tradycja do Paryża. Z tych przykładów widać, że już w połowie XI w. młodzież polska dążyła do Francji po naukę. Uniwersytetów jednak wtedy jeszcze nie było. Pierwsze zorganizowały się we Włoszech w XII w. — po nich nastały najstarsze uniwersytety francuskie i angielskie, a dopiero w XIV w. niemieckie i polski.

Mamy w Polsce do roku 1215 znanych z imienia około 30 takich, którzy odbyli i ukończyli studja uniwersyteckie. Pomiędzy owemi 30 używa dwuch tytułu doktora, a jeden jest medykiem.

W drugim okresie, a więc w czasie pomiędzy rokiem 1215 a 1364 ruch młodzieży polskiej, dążącej do uniwersytetów po wyższe wykształcenie, był nadzwyczaj ożywiony. O ile przedtym udawano się przeważnie do Francji, obecnie główny prąd skierował się na Włochy. Liczba Polaków kształcących się w Bononji musiała być znaczną, skoro osobną tworzyli nację. Najbliższa nam Praga wykształciła przed rokiem 1364 wielu Polaków. Jedna z czterech nacji, na które scholarów podzielono, nazywała się polską. Nietylko do uniwersytetów, ale i do innych znakomitszych szkół katedralnych i klasztornych wyjeżdżała młodzież polska.

Wiek uczniów uniwersytetu jest dziś mniej więcej jednostajny. W średnich wiekach było inaczej. Uniwersytety

średniowieczne przyjmowały uczniów znacznie młodszych i znacznie starszych i wymagały od nich znacznie dłuższych studjów. Obok chłopców można było spotkać mężów w trzydziestu latach życia, mających urząd i godności.

Pomiędzy Polakami, kształcącemi się w uniwersytetach, były reprezentowane wszystkie stany. Byli między niemi Piastowicze, synów magnackich spotykamy dość często. Większość jednak ogromna scholarów uczących się za granicą, jest pochodzenia mieszczańskiego. Rzadziej już można się spotkać z synami wieśniaków. Takie studja mógł odbyć nawet najuboższy scholar, bo w wiekach średnich, które całe zacne i wpływowe zgromadzenia zakonne skazywały na szukanie środków utrzymania w żebraniu, ani ubóstwo ani żebranie nie hańbiło scholarów, a szczodrobliwe rozdawanie wsparcia i jałmużn było wybitną cnotą. Jako *clericus* znajdował ubogi scholar jałmużnę i przytułek w podróży po klasztorach, probostwach, wszędzie, z jałmużny i rozmaitych wysług u zamożnych i z protekcji czerpał środki utrzymania w uniwersytecie. Zamożni podróżowali zapewne własnemi końmi i z własnym służącym. Ubodzy i najubożsi znaczną część podróży odbywali pieszo. Zazwyczaj wyruszało w podróż kilku scholarów razem. Było to taniej, weselej i bezpieczniej. Szczególnym patronem podróżujących scholarów był św. Stanisław Szczepanowski, on, który jeden z pierwszych odbył szczęśliwą podróż do studjum zagranicznego. Modlą się do niego serdecznie w czasie burzliwej przeprawy morskiej z Akwilei do Wenecji komes Janusz i towarzysz jego Piotr.

Trudności największe były pokonane, gdy przybył scholar na miejsce. Tu znajdował zwykle rodaków, którzy mu zginąć nie pozwalali i służyli czym mogli; znajdował stowarzyszenie, nację, do której wstępował i o którą się opierał. Listy i pieniądze posyłano przez nadarzone sposobności, a niekiedy przez umyślnych posłańców.

Ponieważ scholarów zaliczano do stanu kleryckiego, przeto przepisano dla nich odrębny strój, a mianowicie: długą suknię, podobną do dostatniej rewerendy z ciemnej materji, obszywaną niekiedy futerkiem. Nakryciem głowy scholarów i magistrów był beret. Tego stroju korporacyjnego używał scholar, dopóki był w uniwersytecie. Broni nie wolno było nosić, chyba wyjątkowo. Scholary mieszkali pierwotnie w prywatnych mieszkaniach (hospitia), z czasem zaczęto zakładać mieszkania wspólne, kolegja i bursy i urządzać je po klasztornemu.

Wydatki na studja zależały od zamożności scholara.

* * *

Jagielloński uniwersytet otwarł na oścież wrota do swych naukowych przybytków wszystkim szukającym wiedzy, scholarom krajowym i zagranicznym, zabezpieczając wszystkim, tak swoim, jak obcym, równe przywileje, prawa i opiekę. Do Krakowa, jako do wybitnego miasta kupieckiego i stolicy kraju, prowadziły z rozmaitych stron Europy gęsto uczęszczane drogi, na których i scholary znajdowali łatwą i tanią sposobność podróżowania. Wszelka nowość nęci. Uniwersytet Jagielloński miał w gronie uczniów swoich tego okresu niejednego cudzoziemca, który przyszedł do niego z ciekawości. Ale i sława naukowa mistrzów była nielada ponętą. Nazwisko niejednego mistrza szkoły Jagiellońskiej było już w pierwszych trzydziestu latach jej istnienia na ustach Europy. Zresztą samo imię Polski, która na polach Grunwaldu złamała szyki wszechpotężnych Krzyżaków, wywierała urok, pociągający do siebie, na całą Europę, a zwłaszcza na młodych.

Z drugiej strony i po r. 1400 szukali Polacy wiedzy u zagranicznych źródeł nauki. W życiu scholara średniowiecznego już sama podróż do uniwersytetu, zwłaszcza gdy było do niego daleko, przedstawiała ogromną rozmaitość,

lecz była jednocześnie męczącą i niebezpieczną. Fundatorzy, przewidując, że złoczyńcy mogą scholarów lub ich czeladź obrabować jawnie lub tajemnie z koni, pieniędzy lub rzeczy, przyrzekli im z góry opiekować się nimi w czasie ich podróży. Podróżującym do uniwersytetów i wracającym z niego przyznali fundatorowie wcale rozległe przywileje: „A nasamprzód—czytamy w jednym z tych przywilejów — wszyscy przyjeżdżający do uniwersytetu lub z niego wracający na wszystkich przechodach, mostach, grodach w całym królestwie naszym ustanowionych, żadnego nie mają płacić przechodnego, cła, myta, i opłaty, ale przez nie wszystkie z rzeczami swemi: końmi, książkami, sukniami, pościelą i sprzętami swobodnie i bezpiecznie przechodzić mają. Również, gdyby rodzice i przyjaciele jakiego scholara w jadło i napoje jakiekolwiek zaopatrzyć chcieli, wszystko to do wzmiankowanego miasta Krakowa ma wejść bez opłacania jakiegokolwiek cła.” Podróżowano głównemi traktami handlowemi, korzystając z przypadkowo wracających wozów kupieckich. Po drodze przyłączali się coraz to nowi towarzysze. Nawiązywały się już w czasie podróży stosunki, które się utrzymywały w uniwersytecie.

Osobom uniwersyteckim przysługiwało prawo zajęcia na mieszkanie każdego domu według upodobania, zawsze jednak za stosownym wynagrodzeniem, które uchwalała komisja czterech; w takim razie zobowiązany był każdy, nawet sam właściciel ustąpić z domu. Czynszu ugodzonego nie wolno było scholarowi podnosić. W cyfrach ścisłych stosunki majątkowe scholarów przedstawiają bardzo ciekawy obraz. W roku 1400 — 1433 włącznie zapisało się na uniwersytet Jagielloński 4346 scholarów. Pomiędzy niemi było 1395 takich, którzy z powodu zupełnego ubóstwa nie mogli nawet najdrobniejszej kwoty uiścić tytułem wpisowego, wynoszącego 8 groszy, a 280 takich, którzy także nic nie uiścili, ale przynajmniej później cośkolwiek dać obiecali. Pod wzglę-

dem narodowościowym przedstawiało zgromadzenie scholarów wielką rozmaitość. Rozbrzmiewały w Krakowie obok języka polskiego, języki ruski, litewski, szwedzki, niemiecki w rozmaitych djalektach, czeski, słowacki, węgierski, a może i inne. Łaciński język wszystkich łączył w jedną całość naukową i towarzyską.

Życie scholarów, którzy chcieli poważnie pracować i zdobyć stopnie bez straty czasu, było dość jednostajne i nużące, bo do roboty było dużo, a robota ta była z natury rzeczy nudna. Pewnej rozmaitości dostarczały ćwiczenia i dysputy. Rozrywek, coprawda, nie zabrakło. Wigilje świąteczne i święta, których było dużo, uroczystości kościelne, procesje, kazania były dla pracowitych pożądanym wytchnieniem i sposobnością do wycieczek w piękne okolice Krakowa.

Krzyżacy

przez Karola Szajnochę.

Pomyślne od lat czterdziestu okoliczności posłużyły Krzyżakom do wzrośnięcia w niezwykłą na one czasy potęgę. Podczas gdy Polska za Ludwika doznawała ze wszech miar poniżenia, zakon niemiecki zakwitał w pełni sił swoich. Lata panującego teraz Wielkiego mistrza Winryka de Kniprode (1351 — 1382) poczytują się powszechnie u Krzyżaków i u Polaków za złoty wiek zakonu. I tenże właśnie nadmiar fortuny światowej zdemoralizował Krzyżaków.

Piękny w swoim pierwotnym na Ziemi Świętej związku, rycerski i szlachetny, póki ubogi, Zakon krzyżacki, stał się odrazu potęgą niemoralną, gdy okoliczności przywiodły go do tryumfów światowych, a przez te tryumfy do ulegnięcia pokusie panowania świeckiego. Z duchownego ich charakteru

pozostała im tylko większa, niż zwykle u ówczesnych mocarzy, subtelność środków, jakiemi dążono do swego celu. W tym względzie występując częściej jako ludzie duchowni, niż rycerscy, wojując w późniejszych czasach raczej słowem, niż mieczem, raczej głową, niż pięścią, umieli Krzyżacy korzystać nader zręcznie ze swojej roli kapłańskiej, a jako władcy świeccy, pozostawili po sobie przykład. I tym właśnie byli oni najniebezpieczniejsi ówczesnym państwom świeckim, byli najbardziej groźni sąsiedniej Polsce.

Właściwym celem istnienia Zakonu nad Baltykiem była Litwa, głównym czynności jego przedmiotem wojna z pogaństwem litewskim. Czując to dobrze, cenili sobie Krzyżacy Litwę pogańską, jako podwalinę swego bytu. Jednak dla tegoż samego musieli tę podwalinę utrzymać w stanie niezmiennym, w stanie pogańskim, t. j. wojując Litwę, musieli ciągle wojować, aby nigdy nie zawojować. A ten obłudny stosunek do Litwy był tak dalece jawny, że własne Krzyżaków świadectwa niewątpliwość jego stwierdzają. Do bardzo późnych czasów nie chce Zakon zrzec się swoich uroszczeń, nie do nawrócenia nawróconego już wtedy kraju, lecz do panowania nad całą Litwą. Z takąż samą obojętnością dla religji chrześcijańskiej, która w razie ustalenia się w Litwie, kończyła wszelką wojnę krzyżową, przyznają sami Krzyżacy, że im nie chodzi o sprawę chrześcijaństwa, lecz jedynie o wojnę, t. j. o ciągłe w Litwie pogaństwo.

Toczono tedy wojnę tylko o tyle, o ile tego potrzeba zakonu wymagała. Pragnęli zaś wojny Krzyżacy głównie z dwuch przyczyn. Naprzód, aby się w oczach świata otoczyć blaskiem zasługi ciągłych z poganami zapasów; powtóre, aby tym religijnym urokiem zwabiać sobie nieustanną ze wszelkich krajów pomoc rycerską, która czy to w istotnej wojnie z Litwą, czy jak często się działo, w jakiejkolwiek wojnie z chrześcijanami, zwłaszcza z Polską, oszczędzałaby Zakonowi kosztów zwyczajnego zaciągania rot zbrojnych.

Stało się też z obydwuch względów zadość Krzyżakom. Łatwiowierna Europa, od lat 150, już to przez samych Krzyżaków, już przez powracających z ziemi pruskiej pielgrzymów przesadnemi wieściami o nieustannej tam walce z litewskim „saraceństwem" straszona, nawykła w braci krzyżackiej, albo jak się powszechnie wyrażano, w „panach pruskich" szanować męczeńskich obrońców wiary, którym słusznie należy się wszelka cześć, wszelkie współczucie, wszelka jałmużna modłów i złota. Toż, czego zwyczajnie nikt wyprosić sobie nie zdołał, otrzymywali Krzyżacy z łatwością darem życzliwym. Okazało się to najbardziej w hojnym zewsząd obsyłaniu ich najdroższemi kosztownościami owego czasu, t. j. relikwjami świętemi, jako najskuteczniejszą ochroną od niebezpieczeństw wojennych.

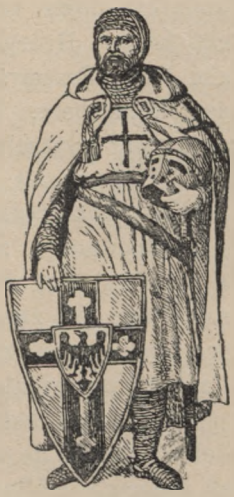

Krzyżak.

Wszakże jeszcze skuteczniejszą pomoc niosło Zakonowi nieprzerwane napływanie pobożnego ze wszystkich krajów rycerstwa. Wprawiało ono Krzyżaków w istny kłopot co do zatrudnienia tak wielkiej liczby gości orężnych. Krzyżacy podejmowali zwyczajnie tylko dwie, kilku lub kilkunastodniowe wyprawy co roku w ziemie litewskie, obierając ku temu porę dwuch głównych podówczas świąt: Matki Boskiej, t. j. Oczyszczenia w miesiącu lutym i Wniebowzięcia w połowie sierpnia. Nieco późniejszemi zaś czasy, dla coraz tłumniejszego napływu pielgrzymów i ochotników rycerskich, domagających się usilnie pochodu w ziemię pogańską, musiano czynić niekiedy siedem wypraw w jednym roku. Dostarczały Prusom tych ochotników wszystkie stany, wszystkie narody. Cesarz Karol IV, nasz król węgierski

i polski, Ludwik, czeski król Jan Luksemburczyk, król angielski Henryk IV, panujący książęta: rakuscy Albrecht i Leopold, książęta szczecińscy, cylejscy, bawarscy, jalaccy, pfalccy, geldryjscy, śląscy, najznakomitsi panowie Francji i Anglji, owszem, dalekiego nawet Neapolu magnaci, wszyscy poczytywali sobie za religijną zasługę i wielki zaszczyt służyć w jednej lub kilku wyprawach krzyżowych pod rozkazami Zakonu. Po każdym z takich monarszych lub książęcych gości pozostawała w Prusiech zazwyczaj jakaś wiekopomna pamiątka, nowa twierdza, miasto nowe, jak np. po bawarskim księciu Henryku: Bayernburg, gród Bawarski, po czeskim królu Przemyślu Ottokarze: miasto królewskie, Królewiec, Königsberg. Nadto każdy rycerski pobyt w Prusiech zawiązywał zwyczajnie nierozerwalne odtąd związki z Zakonem. Dopomagały Krzyżakom do skojarzenia tych węzłów osobliwie dwa środki. Jednym były moralne, niby pochrzestne powinowactwo, zachodzące między Zakonem, a wszystkiemi na ziemi pogańskiej przez Krzyżaków pasowanemi lub zaszczytem tak zwanego „stołu honorowego” udostojnionemi rycerzami zagranicznemi. Za drugi środek służyło Krzyżakom przypuszczenie nader wielkiej liczby królów, książąt i panów, nawet kobiet ukoronowanych lub z innego względu wielowładnych, do niższych, świeckich stopni Zakonu, czyli tak zwanego spółbraterstwa i spółsiostrzeństwa.

Przyodzianie pasem rycerskim, czyli wyświęcenie na rycerza należało do najpamiętniejszych chwil życia męskiego. Miejsce obrzędu nadawało mu większą albo mniejszą powagę. Podczas gdy rycerz pasowany zwykłym sposobem, przy jakiejkolwiek uroczystości dworskiej, trącił pospolitością, towarzysz jego, mogący powiedzieć o sobie, iż, jak często się działo, otrzymywał pas rycerski na pobojowisku, w obliczu szeregów nieprzyjacielskich, odrazu cześć i pierwszeństwo zyskiwał. Ale za najznakomitszą widownię pasowania uchodziła ziemia pogańska, za najuroczystszą chwilę przedchwila

boju z Saracenami. Przy zaniechaniu wypraw do Ziemi Świętej były tylko południowe strony Hiszpanji arabskiej i nadbaltycka Litwa temi szczęśliwemi dla rycerza krajami, w których jeszcze kwitło pogaństwo. A ponieważ znaczna odległość utrudniała przeprawę do Hiszpanji, więc wszystko, co w średniej lub północnej Europie szukało zaszczytów rycerskich, sławy i przygód, cisnęło się tłumnie do Prus. Tam, pod przewodnictwem Zakonu w zbrojną do Litwy wycieczkę wyruszywszy, badano pilnie pograniczną miejscowość leśną, dla przekonania się, czy drużyny krzyżowe stanęły już istotnie w ziemi pogańskiej. Jeśli tak było, tedy w obliczu pierwszego lepszego grodziska litewskiego, na gruzach pierwszej lepszej spalonej zagrody pogańskiej, pełniono na karku mnogich przyklękujących książąt i grafów sławną ceremonję chrztu rycerskiego. Każdemu z takich nowych rycerzy pozostawały Prusy na całe życie ziemią pochrzestną, Zakon niemiecki ojcem chrzestnym, a ile razy Krzyżacy z jaką prośbą lub sprawą zgłoszą się u jednego z tych pochrzestników, każdy z nich, czy to np. który z pasowanych w Prusiech książąt rakuskich, czy pfalzgraf Ruprecht, czy angielski król Henryk powtarza słowa wyrzeczone przez tegoż króla Henryka: „Toć ja piastunkiem Prus!" — i jak ów cesarz Karol, nie żałując Krzyżakom największych łask.

Widząc, ile uroku wywiera udzielanie w Prusiech chrztu rycerskiego, wymyślili Krzyżacy później drugą jeszcze świetniejszą uroczystość. Był nią tak zwany stół honorowy, zastawiany przez Krzyżaków w czasie wyprawy wojennej w ziemi pogańskiej. Jak opięcie pasem rycerskim rozpoczynało, tak honorowe zaprosiny do tegoż stołu wieńczyły ostatnim zaszczytem zawód rycerski. Z tego względu przypominał ten czestny stół krzyżacki starodawne podanie o okrągłym stole króla Artusa. Zajęcie miejsca u tegoż stołu podnosiło umieszczonego tam przez Krzyżaków rycerza niejako do godności ucztujących przy stole Karola Wielkiego paladynów

dwunastu, ideałów rycerstwa. Stąd dostąpienie miejsca u stołu honorowego poczytywali sobie starzy, głośni w świecie rycerze za najpiękniejszy dank życia. Nie uśmiechał im się zaszczyt podobny nigdzie indziej, w żadnym innym pod słońcem kraju, u żadnego innego dworu. Bo przemyślni Krzyżacy wyrobili sobie u papieżów i cesarzów „prerogatywę i przywilej” wyłącznego udzielania honoru podobnej uczty rycerskiej. Skoro tedy Krzyżacy rozesłanemi po dworach królewskich i książęcych listami oznajmili blizkie zastawienie stołu czestnego, wybierał się do Prus każdy sławny wojownik, ciągnął tam każdy stary bohater, wiedziony życzeniem ostatniej palmy rycerstwa.

Ze wszystkich stron świata napływali godni i niegodni współzawodnicy. Książęta prowadzili z sobą tłumy krajowej szlachty, aby jaknajliczniejszych sławy swojej mieć świadków. Ubodzy rycerze sprzedawali ojczyste posiadłości, ostatek mienia swego, niekiedy nawet w ogromne brnęli długi, aby tylko zebrać środki do tej podróży. Stanąwszy na miejscu, musiano często przez długie tygodnie i miesiące żyć w Prusiech o własnym koszcie, wypróżniać trzos z pieniędzy, zostawiać niemałe skarby w kraju, oczekując wyprawy przeciw poganom, a z nią chwili uroczystości. Wreszcie siadło wojsko krzyżowe na koń. Pod Królewcem, albo na pograniczu litewskim, w pobliżu Kowna, na dolinie między lasami, u stóp jakiejś zburzonej twierdzy pogańskiej, pod kosztownym namiotem, stanął stół honorowy. Mały on, bo tylko dziesięciu lub dwunastu rycerzy ma przy nim zasiąść, lecz wysokie podniesienie i bogata nadzwyczajnie zastawa dostatecznie go odznaczają. Przed ucztą sąd honorowy, złożony z najznakomitszego rycerstwa, rozstrzyga, którzy z przybyłych spółzawodników mają otrzymać miejsce. Z uroczystą powagą roztrząsają sędziowie żywot i czyny każdego. A jakież to zasługi odnoszą nakoniec tryumf? Oto pierwsze miejsce u stołu honorowego zostaje przysądzone jakiemuś rycerzowi raku-

skiemu, panu Konradowi von Richardsdorff, ponieważ, wbrew powszechnemu zwyczajowi, odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej konno lądem, dokoła morza Czarnego. Przyczym w towarzystwie wielu innych rycerzy zapuścił się był tenże rycerz Konrad w jaskiniową głąb jakiejś góry i przebył tam dzień cały i noc całą. „Wszyscy jego towarzysze"—opowiada kronika—„zginęli tam śmiercią tajemniczą, a on sam jeden powrócił. Ale póki życia nie chciał nikomu powiedzieć, co tam we wnętrzu góry widział lub słyszał."

Tego rodzaju zasługi zdobiły także resztę spółzawodników. Przy odgłosie trąb, wywoływaniu przez heroldów, zasiadali nowi paladynowie do wielkiej uczty. Trwała ona czasem od dziewiątej godziny zrana, aż pod wieczór. Najsłynniejsi urzędnicy Zakonu usługiwali. Godny obrzędu przepych świecił na stole. Wszystkie naczynia do jedzenia i picia były ze złota i srebra. W kosztownych puharach pieniły się najprzedniejsze gatunki win. Po każdym wychyleniu kubka chował rycerz wypróżnione naczynie złote, jako dar honorowy, do leżącej obok niego torby podróżnej. Stosy złotych i srebrnych czar przechodziły tym sposobem z kredensu krzyżackiego do kieszeni rycerskiej. Niekiedy zamiast wina błyszczały w podanej czarze dukaty. Chował rycerz i tę pamiątkę honorową do sakwy. Toż ogromne miljonowe niekiedy sumy płynęły na takie uczty. Jakkolwiek drogie, wynagradzały się one Krzyżakom z lichwą niezmierną. Wielkość wydatków na uczty honorowe dowodzi tylko ogromu wielorakich z nich dochodów.

Takimże samym źródłem bogactw i wpływu było Zakonowi przypuszczenie do tak zwanego spółbraterstwa. Nie zniewalając do żadnej reformy duchownej ciągłego życia świeckiego, przynosiła ta godność wiele honorowych cacek i przyjemności spółbraciom, wiele realnych korzyści Zakonowi. Spółbracia mieli wielce uszczęśliwiającą podówczas wolność przywdziewania w dnie pobożne stroju barwy duchow-

nej i duchownego kroju; mogli jeszcze ku większemu zadowoleniu prostaczej onego czasu próżności nosić na piersiach krzyż zakonny i cieszyli się zresztą nadzieją, że im Krzyżacy po śmierci pozwolą we wszystkich kościołach zakonnych sprawić sobie swym własnym kosztem sute nabożeństwo żałobne. Za to Krzyżacy otrzymywali od nich obowiązek zapisania Zakonowi już to całego majątku, już to przynajmniej połowy. Nadto, nie trudno pojąć, że tacy spółbracia, zostając zawsze w stosunku duchownej podrzędności względem Zakonu, jeśli nie usług powolnych, tedy przynajmniej usłużnych w każdym razie protektorów i obrońców pełnili obowiązek.

Stanie nam zaś jasno przed oczyma wielkość uzyskanego tym wszędy wpływu, potęga wynikających stąd w każdej sprawie pomocnych stosunków i koneksji z każdym dworem i krajem, gdy zwrócimy uwagę na wszechstronność i znakomitość tych węzłów spółbraterstwa. W tym samym czasie należeli w ten sposób do Zakonu teutońskiego: król rzymski Zygmunt, duński król Waldemar, aragoński król Alfons V, rakuski książę Albrecht, pfalzgraf Ruprecht, „najbliższy po królu" książę neapolitański Romandello Ursini. A po iluż innych nie pozostało wcale żadnego śladu! Nawet panie ukoronowane, jak np. małżonkę onego rzymskiego i niemieckiego króla, Barbarę, liczył Zakon jako spółsiostrę do swoich protektorek, które u swoich mężów, braci poddanych, nieskończenie użytecznemi wspierały go przysługami.

Grunwald

Z powieści Henryka Sienkiewicza.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł, krótki, obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowa gotowali się właśnie zjechać na pobojowisko, gdy po-

częto zwozić przed nich ciała poległych wodzów krzyżackich. Litwini przynieśli skłóte sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało wielkiego mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki, leżące nawznak na ziemi, rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata...

Zaczym łzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach, i po chwili ozwał się znowu:

— Ale, że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczcimy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordją rozciętym, i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda, i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcberga i wielkiego skarbnika Tomasza Merheima i grafa Wendego, który legł z ręki Powały z Taczewa, i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci. Czeladź kładła jednego przy drugim, a oni leżeli nakształt zrąbanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartemi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew i duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym. Zdala pod zorzą widać było oddziały litewskie, ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonemi piersiami, spoglądali na te chorągwie

i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór.

Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładnący koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże powtarzał jakby w zdumieniu przed siebie i wkońcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednię świętej Brygidy, rzekł:

— „Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!...”

Poczym podniósł dłoń i zaczął żegnać nietylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawym odblasku zorzy i oczyszczonym przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojowisko i ciągnęło się owo żałosne pole śmierci, z dziesiątkami tysięcy ciał, dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, na rumianym niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłośnie na widok żeru.

Nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nietylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną „przednią straż” teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie. Z siedmiuset „białych płaszczów”, przodujących, jako wodzowie, tej giermańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści prze-

szło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie na onym krwawym boisku. Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernym wojskiem krzyżackim, wpadły wszystkie w zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocaliła się ani jedna; i oto rzucili je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: „Bóg tak chciał!" Stawiano też przed majestatem pana przedniejszych jeńców.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armja krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie.

I nietylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala, nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

Zawisza Czarny

przez Antoniego Prochaskę.

Nie brak w Polsce, w Piastowskim nawet okresie, rycerstwa i rycerzy, jacy w piętnastym stuleciu za pierwszych Jagiellonów roją się w olbrzymio wzrastającym państwie. Królowie nasi, Bolesławowie: Wielki, Śmiały i Krzywousty, to prawdziwi przedstawiciele rycerstwa narodowego w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

Gdy pod koniec XIV stulecia rycerstwo średniowieczne

upadać poczęło, u nas poczęło występować na widownię i odgrywać rolę historyczną, jaka mu miała przypaść w udziale. Zdaje się, że stosunki rycerstwa polskiego z Krzyżakami, z „rycerskim zakonem Marji” za króla Łokietka, późniejsze jego stosunki z Czechami i Węgrami za Kazimierza Wielkiego, wreszcie stosunki z pogańską Litwą, przyczyniły się najbardziej do wzrostu tej wielkiej instytucji wieków średnich. Jak za Piastów rycerstwo reprezentowali królowie, tak obecnie poczyna je przedstawiać naród, który, jak wszędzie podówczas w Europie, stanowiła i w Polsce szlachta.

Dzieje bezkrólewia po Ludwiku Andegaweńskim już pełne są imion rycerzy i narodowego rycerstwa. To też skoro tylko poczęły się harce Węgrów z najezdniczemi hordami azjatyckich Turków, wnet śpieszy tam rycerstwo polskie, aby pod sztandarem krzyża i orła białego bronić swą piersią Europę od barbarzyństwa hord dzikich. Z królem Węgier Zygmuntem Luksemburczykiem, tym prawdziwym *kawalerem*, ciągnie w dalekie ziemie zacny poczet rycerzy polskich, polskiej szlachty. Dziwny ten człowiek i zagadkowy po wszystkie czasy charakter, gromadził na dwór swój węgierski właśnie najśmielszych i najdzielniejszych w swym rzemiośle rycerzy ze wszech stron świata. Niechętny Polsce, zwabiał przecież polskich rycerzy przepychem, jakim otaczał swój dwór romantycznemi wyprawami i turniejami. Zresztą i stosunki Polski z Węgrami za króla Ludwika i po jego śmierci były powodem, że wielu z najdzielniejszej szlachty polskiej ofiarowało Zygmuntowi swoje rycerskie służby.

I Zawisza Czarny Garbowski przepędził szkołę rycerską u króla Zygmunta, przybył na dwór jego, by wyuczyć się potrzebnego pod owe czasy rzemiosła rycerskiego i służyć nim sprawie chrześcijaństwa, a następnie narodu i ojczyzny swojej. Już na początku XV wieku widzimy go w charakterze domownika i rycerza króla Zygmunta. Gdy jednak w 1410 roku wojna pomiędzy Polską a Krzyżakami

była nieuniknioną, a rycerze polscy na dworze węgierskim dowiedzieli się, że król Jagiełło zamyślał już o wyprawie; gdy nadto pomiędzy dworem polskim a węgierskim powstały różnice i niechęci, postanowili opuścić Zygmunta, aby uzyskać uwolnienie od służby. Płonne były jego zabiegi, by zatrzymać Polaków przy sobie. Szlachetni ci rycerze wzgardzili jego łaskami i szczodremi obietnicami, opuścili go i powrócili do Polski, aby przeciwko wrogom walczyć za ojczyznę. Tak więc Zawisza Czarny, dotychczas dworzanin i domownik Zygmunta, figuruje obecnie na czele rycerstwa, śpieszącego do potrzeby Grunwaldzkiej, i zajmuje w wiekopomnej bitwie jedno z najzaszczytniejszych stanowisk na linji bojowej Polaków. Był on pod chorągwią ziemi Krakowskiej, zostającą pod dowództwem Zyndrama z Maszkowic, a z pierwszeństwa i zasług szedł w pierwszym szyku chorągwi, która męstwem i odwagą w dniu onym imię swe na wieczne czasy na kartach historji zapisała. Po skończonej wojnie nie rościł sobie, jak wielu innych, względów do nagrody, uważał bowiem za obowiązek rycerza i wiernego syna kraju bezinteresownie służyć ojczystej sprawie.

Z tym wszystkim nie tracił Zawisza względów u Zygmunta. W tej chwili, skoro tylko jakie nieporozumienia powstaną pomiędzy Polską a Węgrami, widzimy Zawiszę w poselstwach, mających zadanie usunąć je i przyjaźń, jakkolwiek z konieczności tylko, pomiędzy królami utrzymać. Posiadając zaufanie zarówno Zygmunta, jakoteż i Jagiełły, mile widziany na ich dworach, zaszczycany od obydwuch mianem domownika, z chęcią wysługuje się im. Nie rozumiał on jednak olbrzymiego zadania, jakiego podjęła się Polska przez unję z Litwą, wobec którego bladły romantyczne Zygmunta na Turków wyprawy. Zawisza walczył pod Grunwaldem, ale on jest obcy potężnej idei unji; jego nie widać ani nad wodami Worskli, ani nad Oką, ani pod murami Smoleńska. Witoldowe boje na Rusi i Tatarzech trąciły dlań barbarzyń-

stwem. Zawisza sympatyzuje najbardziej z Zygmuntem. Idee tego romantycznego cesarza, jego awanturnicze przygody i plany, jego życie rycersko-próżniacze i wystawne, jego turnieje i walki przeciwko Turkom, jego pompa i próżność na dworze, częste zmiany miejsca i dekoracji — to wszystko przemawia do fantazji Zawiszy. On tu żył i oddychał, szczęśliwy wśród rycerskich towarzyszy z dalekiego zachodu, pyszny na turnieju lub w polu „błyszczącym od oręża, gdzie się srożył Mars zapalczywy", gdzie imię swe mógł potomności przekazać, aby „wsławiała jego straszną postać, bohaterską siłę i odwagę i jego złotą zbroję Wulkana". Na tych polach czuł się Zawisza stokroć szczęśliwszym, aniżeli na polach nawet Grunwaldu, gdyż tu go obowiązek tylko powołał, tam żywy pociąg rycerskiej duszy, sława i chwała rycerza chrześcijaństwa wprawiała go w zachwyt i zapalała do czynów bohaterskich.

Wiadomość o skonie Zawiszy w wyprawie Zygmunta na Turków lotem błyskawicy obiegła Polskę i Europę. Dotknęła ona całe rycerstwo chrześcijańskie, dlatego też ubolewano nad nią wszędzie, a król Zygmunt zwykł był mawiać, że „wielu królów zgon nie będzie tak głośnym, jak zgon Zawiszy Czarnego". Z wielką prostotą serca mówi Długosz, że Zawisza Czarny nie jego „słabych i bezbarwnych, ale Homera samego godzien jest pochwał".

Czesi a Polacy około roku 1400

przez Antoniego Prochaskę

Uniwersytet praski, już od czasu założenia swego cieszył się bardzo licznym udziałem uczących się Polaków. Praga ówczesna, to od pół wieku już oświatę szerzące źródło Polski, to Padwa i Bononja późniejszych wieków. To

też i imiona najznakomitszych mężów literatury, sztuki i nauki polskiej wiążą się ściśle z wszechnicą praską. Uczniowie prascy przewodniczą w nauce siostrzycy Uniwersytetu praskiego, wszechnicy krakowskiej. W Pradze rozwija się i kwitnie „collegium Litthunorum", założone przez królowę polską Jadwigę, tutaj uczą się Polacy i Czesi poczucia jednego, a wspólnego im „linguagium sclavonicum", które im później, jako jedyny łącznik, jedyna spójnia służyć będzie w dążeniach, tyczących się narodowości.

Ależ i rzeczywiście to „linguagium", ten wspólny „język słowiański", był podówczas tak identyczny, a czeski język, zwłaszcza piśmienny, tak był podobny do polskiego, że istotnie o jakiejś dawnej kronice świętokrzyskiej mówili jedni, że jest po polsku, inni, że po czesku napisana. Rusini zwłaszcza nie umieli nawet różnicy znaleźć pomiędzy jednym a drugim, a tak Czesi, jak Polacy, Jagiełło i syn jego Władysław, wyrażają się często, iż mają jeden wspólny język i jedno wspólne pochodzenie. Język czeski, jako bardziej wykształcony, używany był po kościołach polskich, a nawet kazania w wielu okolicach miewano w języku tego narodu, przy którego gorliwej pieczy Polska religję chrześcijańską przyjęła. Nawet w czynnościach urzędowych używano języka czeskiego, jak to świadczą dawne akty siewierskie i inne piśmienne zabytki ówczesne, a nietylko śląscy panowie pisywali w nim listy do królów i panów polskich, lecz mamy świadectwo, że i litewscy książęta pomiędzy sobą, Giedyminowicze, w czasie, którym się właśnie zajmujemy, używali tegoż języka do poufnych korespondencji.

W taki sposób stosunki pomiędzy obiema narodowościami poczynają być gorętsze i przyjaźniejsze, bo i jakżeż moglibyśmy wytłomaczyć owe tłumne zaciąganie się do wojny polskiej, przeciwko niemieckiemu zakonowi Krzyżaków, jakbyśmy tłumaczyli ów napływ Polaków do uniwersytetu praskiego?

Jeżeli atoli Polska nie zrozumiała, lub też zrozumieć nie mogła religijnej strony czeskiego husytyzmu, to tymbardziej zrozumiała drugą jego stronę, ruch narodowy. Patryjotyzm Czechów przemawiał już o pomoc do Polski w jasnym poczuciu obrony narodu od nawały Niemców; przemawiał on w przedjutrzu wielkiego boju z Niemcami głosem ich króla Przemysława Ottokara, lecz nadaremnie. Dziś atoli, kiedy obudziła się tak wysoce walka Polski przeciw Niemcom, kiedy zakipiała wroga jej nienawiść przeciw ich żądaniom i dzikim napaściom, kiedy ona wreszcie na polach Tannenberga i Grunwaldu chrzest i błogosławieństwo tego szlachetnego obudzenia się otrzymała, wtedy zaprawdę zrozumiała Polska aż nadto dobrze myśli i dążenia ruchu czeskiego. Zrozumieli teraz Polacy, że naród czeski chce zrzucić z siebie jarzmo niemczyzny i że obowiązkiem ich jest dopomóc „bratniemu narodowi o wspólnej mowie słowiańskiej".

Dla jaśniejszego zrozumienia tej myśli przypomnijmy sobie, że na długi czas przed chwilą, kiedy po całej Europie, a zwłaszcza u słowiańskich narodów, począł się budzić wrogi przeciw Niemcom antagonizm, że dawno przedtym, nim Hus na uniwersytecie praskim wywiesił sztandar walki przeciw niemczyźnie, wyszła z łona szlachty czeskiej kronika, może i bardzo słusznie za zwiastunkę husyckiej rewolucji uważana. „Wolę mieć czeską chłopkę za żonę, aniżeli niemkinię, chociażby nawet córkę cesarza", śpiewano podówczas. „Należy Niemców, jak pokrzywę wyplenić i z niej oczyścić kraj rodzinny", woła szlachta w tej kronice. A o niemieckim cesarzu Albrechcie mówiono, chociaż później, zwykłym u Czechów przysłowiem: „Dobry acz Niemiec". Za czasów zaś husytyzmu, jakimże patryjotyzmem wieją manifesty czeskie, jak głębokim poczuciem nienawiści przeciwko Niemcom są one przejęte? Jak wreszcie uwidocznia się w nich zrozumienie dążności Niemców, których zadaniem „wytępić ludy słowiańskiego języka?" Te, tak jasno wypo-

wiedziane myśli Czechów i ich wielką chęć do walki z Niemcami, znajdujemy, jakby w konterfekcie, w narodowym kierunku Polski, jaki podówczas sobie wyznaczyła względem Krzyżaków. I nie zadziwia nas to wcale.

Walka bowiem przeciw Niemcom jest prastara i wspólna słowiańskim narodom Polaków i Czechów. Toż, gdy ci ostatni odwołują się do pierwszeństwa własnego języka przed językiem niemieckim we własnej ojczyźnie, w tymże samym czasie pisze i Jagiełło do Krzyżaków, by nie korespondowali z nim w języku niemieckim dlań niezrozumiałym, gdyż językiem powszechnie w dyplomacji przyjętym jest język łaciński. A kiedy całą Polskę owładnęła myśl wyplenienia rozwielmożnionych na dawnych ziemiach polskich Krzyżaków, to Czesi w poczuciu jednoplemienności sprzyjają tym narodowym, a wspólnych dla nich dążeniom. To poczucie zaprowadziło ich na pola Grunwaldu, gdzie przyczynili się wszelkiemi siłami do zwycięstwa Polaków, a do klęski Zakonu. A jak wielkim był ich patryjotyzm i to poczucie jednoplemienności u Czechów, poświadcza znany szczegół, iż jednego z Czechów, którego snać przekupili Krzyżacy, iżby opuścił Jagiełłę, własna żona odepchnęła.

Tak to więc jedność idei łączy oba bratnie narody, a ta wspólność w dążnościach połączyła obecnie Czechów i Polaków na polu polityki przeciwniemieckiej, obudzając w drugich głębokie współczucie dla ich doli i zrozumienie ich rewolucji.

Władysław Warneńczyk i jego wyprawy tureckie

przez Jakóba Caro.

I.

Niemasz w dniach owych ani jednego głosu, któryby nie przyznawał młodemu monarsze Władysławowi III zalet

wielkich, któremi celowali wszyscy niemal Jagiellonowie i dzięki którym widnieją w dziejach jako zjawiska sympatyczne. Łaskawy, ujmujący, szczodrobliwy aż do samozubożenia, otwarty, dostępny, wdzięczny i przywiązany, usłużny i pobłażliwy, kierujący się raczej wzruszeniami serca, niż rozumem — takim był Władysław, takimi byli wszyscy potomkowie Jagiełły. Urodzony Benjaminkiem w najistotniejszym słowa znaczeniu, widział się od pierwszych chwil żywota otoczonym tkliwością sędziwego ojca, tkliwością, która wedle zachodzących okoliczności napewno nie zmierzała ku temu, by w duszy dziecięcej wyrobić rysy surowości i niezłomności.

Co tylko fantazja człowieka onej doby podniecić mogła, wszystko to snuło przed oczyma młodzieńca obrazy olbrzymie. Dwa wielkie narody w świętej sprawie zjednoczyć, w zgiełku bitew sławę wszechświatową zyskać, dzikich i rozbójniczych saracenów pokonać, całe chrześcijaństwo do ostatniego potężnego ciosu wezwać i miecz poświęcony we krwi strasznego wroga zanurzyć: cóż to za powołanie, co za zawód w życiu! Władysława z całym żarem młodego serca dzierży w więzach legat [1]), czarujący go wykształceniem, wzniosłością umysłu, marzycielstwem i urokiem. Rada legata zawsze jest dla króla „najroztropniejszą, zawsze duszę wzrusza". A ku czemu dążą mądrego starca pomysły i zamiary, prace i czyny, mowy i kazania, wszystko to jest najgorętszym życzeniem królewskiego młodzieńca.

Nadeszła wreszcie chwila i przez Cesariniego goręcej nie pożądana, jak przez króla Władysława; można nakoniec rozpocząć pochód przeciw Turkom. Zwerbowano 25000 najemników; do tego przybywa trochę Czechów na żołdzie papieskim, kilka banderji ochotniczych, nieco marzycielskich krzyżowców z Niemiec i Francji, garść wiernych Polaków

---

[1]) Juljusz Cesarini.

Władysław Warneńczyk.

oraz Serbów i Wołoszy. Ogółem obliczono armję na czterdzieści tysięcy ludzi. Późną porą roku, w jesieni, zaczął się

pochód. Juljusz Cesarini nie opuścił króla i z całym zapałem znosił przykrości życia obozowego. I zdawało się, że wielkie jego nadzieje winny świetnie się ziścić. Po szeregu utarczek zwycięskich nastąpiła bitwa pod Niszem, tudzież na lodowcach Hemusu, wśród zimy około Bożego Narodzenia, szczęśliwe zdobycie tak zwanych wrót Trajana. Naprzód! naprzód!—prze legat papieski. Lecz zima, żywioły straszne, skały urwiste i głębokie czeluście Hemusu, pod którego osłoną hufy tureckie miecą chmury strzał na chrześcijan — są potężniejsze; one znaglają do odwrotu. Cóż za radość w Budzie, kiedy młodociany król, odznaczywszy się męstwem osobistym w szeregach walczących i otrzymawszy w rękę od strzały tureckiej ranę, wstępował w dniu Matki Boskiej Gromnicznej do kościoła Marjackiego w stolicy Węgier! Podobien rodzicowi, wracającemu z bojów do dom zwycięzcą, bosą nogą młody Władysław wkraczał do stolicy wśród weselnych okrzyków ludów swoich. Jak rodzic w katedrze krakowskiej, podobnież syn w budzińskiej świątyni Marji Panny zawiesił na ścianach chorągwie wrogów, tarcze najwaleczniejszych swych wojowników: dwanaście polskich i dwanaście węgierskich. Król dwu państw, liczący niespełna lat dwadzieścia, azaliżby, upajając się rozkoszą zwycięstwa, nie miał być odurzony! Przybywają wysłannicy Francji, Anglji, Hiszpanji, Neapolu, Burgundji, Medjolanu, Florencji i Genui, aby zbawcę chrześcijaństwa powitać, złożyć mu życzenia i do nowych pobudzić go czynów. Na ustach ich obietnice poparcia złotem, ludźmi, okrętami brzmią na wyścigi z uwielbieniem dla narzędzia wybranego przez Boga.

Pierwszego sierpnia staje w Szegedynie z Turkami ugoda. Sułtan podaje warunki „niepodobne do wiary”. Zobowiązuje się „ustąpić Serbję, Albanję, kilka innych ziem wraz z dwudziestu czterema wybornemi twierdzami”; zobowiązuje się dalej uwolnić jeńców, wypłacić 100,000 czerwonych złotych, dostarczać do rozporządzenia królowi Władysławowi

25,000 zbrojnych na każdą wojnę, jaką w przyszłości prowadzić będzie. Węgrzy się dziwią, wątpią—Cesarini nie odradza, milczy. Traktat zawarty i król stwierdza go przysięgą.

II.

W cztery dni później Juljusz Cesarini dzierży w swych rękach inną przysięgę piśmiennie przez króla poręczoną, że wojnę natychmiast prowadzić zacznie i 1 września nad Dunajem stanie.

Dla poparcia dowodzeń Cesariniego zbiegają się nadomiar pod tę porę w Szegedynie okoliczności zewnętrzne. Wnet po zawarciu pokoju przybyły obietnice cesarza greckiego — dowiedziano się dalej, że nawet Niemcy na sejmie uchwalili nieść Węgrom pomoc, co wywarło niechybnie wrażenie nadzwyczajne. Gromadka ochotniczych krzyżowców spotęgowała zapewne nastrój pełen zapału. Nareszcie doniesiono z Epiru, że w razie wojny 30,000 Macedończyków przejdzie na stronę chrześcijan.

Macedończycy, krzyżowcy, Grecy, floty, krasomówcy dworów europejskich, aureola papieża — toć to za wiele naraz, iżby czarująco nie oślepić dwudziestoletniego króla, któremu na zamku krakowskim wszystkie te rzeczy znane były z opowieści jeno. Często—opowiadają — Władysław z żalu i zgryzot sumienia roni łzy nad złamaniem przysięgi, ale mimo to rzuca się w objęcia przeznaczenia. Zaledwie z 15,000 jazdy wyrusza 14 września z Szegedyna.

Pochód odbywał się żwawo. Pod Orsową wojsko przeprawiło się przez Dunaj i niebawem stanęło przed bramami Nikopolu, którego przedmieście spalono. Tu w 4000 wojowników połączył się z Węgrami Drakuł, hospodar wołoski, jedyny, co słowa dotrzymał. Grecy i Macedończycy zawiedli, co widząc Drakuł radzi wyprawy zaniechać, gdyż Murad na

polowanie zwykle więcej bierze ludzi, aniżeli ich wynosi armja chrześcijańska. Lecz u Władysława i Juljana rozwaga nie znajduje posłuchu. Z Nikopolu tedy puszcza się król dalej starym gościńcem rzymskim. Tak wojsko chrześcijan dotarło aż do Warny. A kiedy w poniedziałek wieczorem 9 listopada rozłożono się obozem, ujrzano błyski czatowniczych ogni armji tureckiej. Widać, że i Murad niewiele potrzebował czasu, aby z liczną armją przebyć drogę z Małej Azji aż hen do Warny. Jak we wszystkich niemal bitwach ówczesnych, stają obie armje naprzeciw siebie w trzech szykach. Król stanął w pośrodku wojska chrześcijańskiego — w dniu tym niedomagał fizycznie, ale pała żądzą rzucenia się w zgiełk bojowy.

W obozie zaś tureckim, Murad, kierując się szyderstwem sobie właściwym, kazał dokument szegedyński na wysokim przybić słupie. Pod słupem uwijają się janczarowie jego. Rankiem 10-go listopada, w dzień Św. Marcina wszczyna się bitwa. Przez cały dzień waży się to na jedną, to na drugą stronę. Wojsko chrześcijańskie trzyma się licho. Prawe skrzydło pod Janem, biskupem wielkowaradyńskim, za pierwszym natarciem pierzcha z placu boju. Król Władysław wyrywa się ze swego stanowiska wcześniej, aniżeli był powinien, walczy mężnie, przedziera się daleko w głąb szeregów nieprzyjacielskich ze swym orszakiem, aż wreszcie znika w chmarze janczarów. Nikt nie mógł powiedzieć, czy poległ, czy do niewoli się dostał. Pod wieczór cała armja krzyżowców w dzikiej, szalonej ucieczce. Hunyady i Cesarini jadą razem konno, ale w strasznym zamęcie rozprzężenia i odwrotu gubią się nawzajem. Wielki legat dopada sam jeden brzegów Dunaju. Flisak wołoski, przewożąc, znęcony złotem, morduje kardynała, zabiera pieniądze i odzież, a trupa rzuca w fale Dunaju. Tak brzmi jedna wersja, druga przypisuje śmierć jego Turkom; wzruszająca zarówno jedna, jak druga.

Mało w historji momentów, w którychby wypadki tyle posiadały tragiczności, jak w chwili zwięźle tu przedstawionej. Na polach warneńskich padła ofiara młodzieńcza polityki wszechświatowej, zdala od ziemi rodzinnej, której ciężkie dolegały rany. Tragiczność potęguje fakt, że tu młodociany król szlachetnego, dobrego, gorącego, łagodnego, walecznego serca pod pozorem spełnienia najwyższej powinności zniewolon został do złamania przysięgi.

Wewnętrzny stan Polski za Kazimierza Jagiellończyka

przez Fryderyka Papéego.

I.

Kraków przewyższał o głowę wszystkie inne miasta Polski pod względem ludności i zamożności. Naprzód pod względem ludności: Kraków nie dorównywał wprawdzie największym miastom środkowej Europy, jak Kolonja, Lubeka, Praga, Sztrasburg, Norymberga, a także Gdańsk i Wrocław, których ludność wynosiła 20,000 do 50,000 stałych mieszkańców, ale szedł zaraz za niemi w drugim rzędzie.

Poza Krakowem wrażenie większych miast (trzeciorzędnych w środkowej Europie) robiły jeszcze tylko Poznań i Lwów, mające z przedmieściami w każdym razie więcej niż 5000 mieszkańców. Poznań był wówczas większym i okazalszym, Lwów znajdował się w chwilowym upadku z powodu podcięcia handlu czarnomorskiego.

W słynących miastami swemi Niemczech trudnoby przy końcu XV w. znaleźć municipium bez obwarowania; u nas przeciwnie, murowane miasta stanowiły tylko wierzchnią śmietankę ponad głęboką warstwą miejskich osad drewnia-

nych. Tu znowu Kraków wybija się tak samo nad wszystkie inne i tylko on jeden zachował do dnia dzisiejszego w najwybitniejszych swoich pomnikach chatakter stylowy z końca XV wieku. Posiadały już wtedy mury i Poznań i Lwów, ale na nich dopiero późniejsze wieki miały wycisnąć właściwe piętno. Z miast dzisiejszego W. Ks. Poznańskiego na pewne obwarowaniem zupełnym szczyciły się jeszcze tylko Kościan i Wschowa; nawet takie wybitne miasta graniczne, jak Międzyrzecz i Bydgoszcz, zadowolniły się tylko częściowym obwarowaniem, a częściowo zasłaniały się wodami.

Podobnie o miastach małopolskich nie zebraliśmy jeszcze dokładnych wiadomości z epoki średniowiecznej, są jednak wskazówki, że posiadały już wówczas mury prócz Sandomierza, Lublina i Krosna także Sącz, Bochnia, Radom, Wiślica, Biecz — niewiadomo jednak w jakim zakresie.

Na Podolu tylko jeden Kamieniec nie zadawalniał się położeniem i zamkiem, ale zwoził też cegły do murowania.

Miasta ówczesne, zwłaszcza mniejsze, tak dalece trudniły się gospodarstwem, że się mogły obyć bez dowozu, a środki żywności były stosunkowo bardzo tanie, jeśli np. jeden wół tyle tylko był wart, ile ubranie jednego szewca trembowelskiego. Nie widać też takiego odstępu ekonomicznego i stanowego między mieszczaństwem, a wyższemi warstwami jak później; zamożniejszy mieszczanin wchodził nieraz w związki małżeńskie ze szlachtą, zwłaszcza na Rusi, a uboższy wszędzie miał drogę otwartą do umieszczenia syna swego w stanie duchownym.

Wśród duchowieństwa, zdaje się, największe były różnice ekonomiczne. Już same biskupstwa bardzo rozmaite przedstawiają stopnie zamożności.

Również na probostwach wiejskich wielka panowała rozmaitość kondycji, trafiali się proboszczowie zamożni, ale byli także i tacy, których dochód roczny w gotówce na 2½ grzywny obliczano. Cóż dopiero mówić o wikarych, którym

czasem proboszcz wiejski płacił wszystkiego 2 grzywny na rok, t. j. tylko dwa razy więcej, niż kucharce.

Szkół było naówczas więcej, niżby się nawet po silnej inicjatywie akademickiej spodziewać można. Zliczywszy te wszystkie szkoły, które wydawcy „Libri beneficiorum" Łaskiego zanotowali, dochodzi się do pokaźnej cyfry 225 szkół na 615 parafji archidjecezji gnieźnieńskiej na początku XVI wieku, podczas gdy do końca XIV stulecia na tym samym terytorjum Karbowiak tylko 64 doliczyć się może. I nie sądźmy, aby to były wyjątkowe stosunki. Wprawdzie „Liber beneficiorum" Długosza do podobnej statystyki posłużyć nie może, bo mało zwraca uwagi na szkoły, ale za to na dalekiej Rusi, w aktach konsystorza lwowskiego mamy znowu sposobność zauważyć, jak się to roi od magistrów, bakałarzy, rektorów i „ministrów", jak nietylko Gródek, Komarno, Busk, Kulików, ale nawet Dunajów, Zimna Woda, Stare Sioło posiadają szkoły. A wszakże to również fakt wielce zajmujący, że w Starym Siole 14 maja 1494 r. chłopi zawierają układ ze swoim plebanem, w którym go zobowiązują do odbudowania spalonej szkoły po dzień 8 września tegoż roku. Wolno tedy sądzić, że jeśli archidjecezja gnieźnieńska posiadała 225 szkół, to miała ich cała Korona przynajmniej 600. A to jest na półtoramiljonową ludność liczba bardzo znaczna, bo wypada jedna szkoła na 2500 mieszkańców.

Cóż jednak przysparzały szkoły ówczesne społeczeństwu? Oto głównie nadmiar duchowieństwa. Dlatego to Ostroróg utyskuje na brak rzemieślników i kmieci, pochodzący stąd, że „wszyscy chcą być kapłanami i klechami", dlatego nawet ustawy synodalne występują przeciw zbytniej liczbie żaków, z czego więcej jest ekscesów, niźli nauki. Boć, oprócz przygotowujących się do służby, czy też usługi kościelnej, wyszedł z tych szkół jeszcze chyba jakiś pisarz miejski albo rachmistrz sklepowy. Szlachta wszakże jeszcze

za Petrycego czasów kształciła się „doma” albo w „obcych akademjach”. Prawda, że o naukę elementarną „doma”, choćby u własnego proboszcza, już nie było tak trudno, jak dawniej, dzięki liczniejszemu i światlejszemu duchowieństwu, a takich wypadków, jak w procesie krzyżackim z roku 1339, aby nie umiał czytać wojewoda łęczycki, kujawski, ba, nawet książę łęczycki, jużby zapewne znaleźć nie można. Przy końcu XV w. piszą listy nawet pomniejsi starostowie i wogóle wszystko, co się krząta około służby publicznej, to jest piśmienne. Widocznie nawet u ogółu szlachty przypuszcza kancelarja królewska znajomość czytania, skoro nie wydaje już wici, ale listy pospolitego ruszenia, które każe czytać i dalej podawać. Już też czas ów nie daleki, kiedy polskie pismo przestanie być wyłączną własnością kobiet, kiedy upadnie ostatnia przeszkoda do nauki świeckiej, łacina.

Polska ówczesna była jeszcze dość ubogą; taką przedstawia się Długoszowi w porównaniu z Węgrami, taką też cudzoziemcom, jak Aeneas Sylvius. Swoi i obcy wychwalają bogactwo naturalne Polski w zbożu i trzodach, w soli, w drzewie, w zwierzynie, w rybach i miodzie, ale widocznie jeszcze nie umiano należycie wyzyskać tych płodów. Wszystkiego było na własną potrzebę dosyć w domowym zarządzie, ale na wywóz były tylko płody najsurowsze.

Nawet produkcja zboża obliczoną była właściwie na własne potrzeby, a główny towar wywozowy stanowiło drzewo z nieprzebranych lasów i woły z rozległych pastwisk. Na Rusi i na Podolu jeszcze nawet wołami płacono daniny i podatki. Prawda, że już arcybiskup Kurowski na początku XV w. dostarczał do Gdańska zboża nie mało, prawda, że równo z wkroczeniem króla Kazimierza do Gdańska wjechało tam 150 statków polskich, naładowanych zbożem, ale jeszcze się to wszystko nie uregulowało należycie, skoro wywóz z końca XIV w. ma się do wywozu o 120 lat późniejszego jak 1 : 10. Przynajmniej pod względem wywozu była Pol-

ska XIV w. jeszcze na stopniu pasterskim i dopiero w następnym stuleciu postąpiła na ten wyższy stopień producentki zboża, który jej zgotował zamożność.

II.

Na rozległej państwa Jagiellońskiego przestrzeni, na której żyje dzisiaj przeszło 40 miljonów (z doliczeniem części zadnieprzańskich blizko 50 miljonów) mieszkańców, zaludnienie było przy końcu wieku XV-go nad wszelkie spodziewanie rzadkie. Na podstawie obliczeń w „Źródłach dziejowych" przyjąć można wszystkiego około 5½ miljonów jako ludność Rzeczypospolitej za Stefana Batorego. Jeśli zatym ludność państwa polsko-litewskiego wynosiła za Batorego 5½ miljona mieszkańców, to mogła wynosić przy końcu XV wieku małoco więcej, niż połowę, t. j. około trzech miljonów mieszkańców. Z tej liczby na Litwę należy przyjąć 1 miljon, na Koronę wypadłoby 1½ miljona; resztę w ilości pół miljona trzeba odliczyć na Prusy i na Mozowsze niepołączone. Przy tak szczupłym zaludnieniu liczba ludzi wojennych była znaczna. Jakoż Olbracht, który zmobilizował i te części w r. 1497, doprowadził armję swoją do liczby 80,000.

Możnowładcami na Rusi i na Podolu są wyłącznie Polacy: Jarosławscy, Pileccy, Odrowążowie, Szamotulscy, panowie z Chodcza, z Buczacza, z Jazłowca. Nawet ogół ziemiaństwa jest już wtedy przeważnie polskim i na drodze do zupełnego spolszczenia. Jeszcze w połowie XVI wieku w miastach mniejszych przeważa ludność ruska znacznie tak wśród gospodarzy, jak wśród rzemieślników. W bełzkiej i chełmskiej ziemi, w sanockiej, częściowo i przemyskiej, jest już bardzo wielu mieszczan Polaków, ale ruscy sięgają aż do Leżajska. W Krośnie natomiast i we Lwowie, jak to widać z ksiąg miejskich, przeważa jeszcze w XV wieku ludność

niemiecka. Ale są to jej ostatnie na wschodzie etapy. Główną siedzibą żywiołu niemieckiego, który jest wówczas daleko silniejszym, niż później, są miasta w południowej, a szczególnie w zachodniej połaci Korony. Te kresy zachodnie najdłużej przechowują język niemiecki; miasta południowej połaci, jak Sącz, Krosno, Lwów, pójdą równo z Krakowem, gdzie już za Zygmunta I kaznodzieja niemiecki będzie się musiał przenieść z kościoła Marjackiego do św. Barbary.

Proces polonizacji znajdował się już na niemylnych torach, w krótkim czasie systematyczny, pracowity i inteligientny żywioł niemiecki wpłynąć miał etnograficznie do polskiego i zasilić go w sposób nader korzystny.

Wskazówki, z końca XV wieku zachowane, doprowadzają nas do tego ogólnego poglądu, że wówczas Polska była jeszcze mniej wiejską i że posiadała jeszcze większą rozmaitość typów, niżeli o wiek później. Przedewszystkim nieporównanie mniej było włościan, mniej także żydów, a natomiast znacznie więcej mieszczaństwa i duchowieństwa, szczególnie zaś było więcej po wsiach niezawisłego zarobkowania pomniejszego, poza włościaństwem i szlachtą, — kategorja, do której zaliczamy sołtysów, włodarzy, młynarzy, kramarzów i karczmarzów.

Nawet w obrębie samego stanu szlacheckiego tak wielkich jeszcze różnic majątkowych nie spostrzeżesz, jak później. Przeciętny bowiem szlachcic ówczesny, jednowioskowy, bynajmniej zamożnością nie świecił. Cena wsi dostatniej wynosiła wówczas 1,000 fl. albo i 1,000 grzywien, ale zwykle kupowało się taniej, za 600 grzywien, nawet za 300 grzywien.

Ziemia wówczas przynosiła oczywiście znacznie większy dochód niż dzisiaj. Jeżeli wskutek sprzedaży produktów doprowadził ziemianin do 30 lub 40 grzywien gotówki, to już był człowiekiem tak zasobnym, że go porównywano z księ-

dzem, który rocznie kwotą 300 grzywien rozporządza. A 300 grzywien na rok, to już utrzymanie nie lada jakie, skoro najemnik, zarabiający grosz na dzień, nie zginie już z głodu, ba, nawet za 2 grosze otrzyma scholar obiad, składający się z chleba, mięsa (albo ryby czy też jaj), placka i piwa.

Jakżeż tedy zrozumieć zamożność szlachcica, który ma 40 grzywien gotówki rocznie? Oczywiście tak, że poza tym daje mu wioska wszystko, co do utrzymania życia potrzeba. Jakoż miał własny dach nad głową i drzewa poddostatkiem, miał ze swego gospodarstwa nawet grubsze ubranie i sprzęty domowego wyrobu, a jadła i napoju do sytości. Pole dostarczało mu zboża, ogród jarzyn, owoców, a nawet kwaśnego wina—toć „pomarjów" i winnic jest pełno u Długosza — na rozległych łąkach pasło się mnóstwo bydła. Stawy i sadzawki obfitowały w ryby na post nietylko dla gospodarzy, ale i dla dzierżawcy, który na Rusi nieraz przez kilka tygodni koczował nad stawem; wreszcie dla polowania było więcej okazji, niż potrzeba. Wszakżeż zwierz dziki pożerał bydło nietylko w zimie, ale i w jesieni, nietylko pod górami, ale i na nizinach Wielkopolski. Chwalą sobie nawet cudzoziemcy jedzenie w Polsce, choć mieszkanie ganią, zwłaszcza „lepianki" wiejskie. Nie brakło także i napitku w domowym zarządzie: w Polsce ulubionego piwa, na Litwie i Rusi mocniejszego miodu.

Aleć skoro trzeba było dom opatrzyć w jakiś okazalszy „szczebrzuch" domowy, jakieś „tapetum" kupić na gołe ławy, jakąś wieżyczkę wymurować przy drewnianym dworku na skarbiec i na obronę, albo też po kilka dukatów zapłacić od łokcia sukna florentyńskiego, czy aksamitu, dla godniejszego wystąpienia w sąsiedztwie, a na sejmiku nuż dopiero broń opatrzyć i konia bojowego nabyć, jeśli król Jegomość wydał wici na pospolite ruszenie—do czego miał naówczas wielką skorość — to już się kończyła wygoda szlachcica, a poczynał się kłopot nie mały. Na każdym kroku spotykamy się w źró-

dłach ówczesnych z dotkliwym brakiem gotówki, a przykładów w tym rodzaju, że jest do podziału spadkowego cały klucz duklański, a gotówki tylko 80 grzywien, możnaby zebrać niemało. I ten to brak gotówki z siłą elementarną parł szlachcica do pełniejszego wyzyskania swej ziemi i swego stanowiska społecznego—a to miało się odbić fatalnie na innych stanach.

Wielkość i oświata Polski za Kazimierza Jagiellończyka.

podług K. Morawskiego i St. Tomkowicza.

Długie panowanie Kazimierza Jagiellończyka wyniosło Polskę do rzędu wielkich potęg Europy. We wszystkich zawikłaniach politycznych ówczesnych bierze ona udział bardziej lub mniej wydatny, o łaski i życzliwości wielkiego króla Wschodu ubiegają się mocarze, zarówno cesarstwo jak papiestwo. A Kazimierz Jagiellończyk niestrudzonym jest w usiłowaniach, aby to stanowisko utrzymać i wzmacniać, aby licznemu potomstwu swojemu zapewnić świetne położenie i tą świetnością opromienić Polskę i Jagiellońską rodzinę. W gorliwych zabiegach wynoszenia synów swoich na trony wtóruje mu „córka i matka królów" Elżbieta Austrjaczka; podsyca wreszcie tę ambicję książę duchowny, którego losy z Południa na daleką zagnały Północ, sławny humanista Kallimach.

Jeżeli pierwsza połowa rządów Kazimierza Jagiellończyka zaprzątnięta jest sprawą Zakonu i zajęciem Prus, to druga jest zwycięską walką o trony sąsiednich krajów, Czech i Węgier, które obejmuje syn Kazimierza, Władysław. Jagiellonowie dochodzą na tej drodze do ogromnego znaczenia, Polska staje się potężnym mocartwem, którego wpływy

daleko sięgają i była na drodze, by stać się kierującą i skupiającą wśród Słowiańszczyzny potęgą. Na czele państwa stał król opromieniony majestatem potęgi, dobroci i karnie a troskliwie wychowanego potomstwa; obok niego żona Elżbieta, niewiasta, zespalająca w jednej osobie, według wyrażenia humanistów, królewskie pochodzenie, królewskie stanowisko i królewskie dla swych synów zamiary. Wychowanie dzieci dostało się w ręce ludzi, którzy czy szlachetnością czy rozumem wyróżniali się wśród otoczenia. Z jednej strony pracował tu Długosz, który został mistrzem i dyrektorem synów królewskich. Miał on ich zagrzewać do miłości ojczyzny i przeszłości; z przeszłości, którą znał jak nikt, wyciągać dla nich doświadczenie, nauki i wskazówki, a zarazem zaprawiać ich do cnoty; świecić im wreszcie przykładem głębokiej uczciwości i słowem i czynem uszlachetniać młode dusze królewiczów. Drugim wychowawcą synów królewskich był słynny Kallimach, późniejszy doradca Olbrachta.

Stolica państwa, Kraków, przy schyłku wieku staje się wielką przystanią duchowego ruchu, wielkim ogniskiem myśli dla Zachodu i Wschodu, zajmuje stanowisko, jakie przed wiekiem dzierżyła Praga i jej prastary uniwersytet. Tak, jak Praga w końcu XIV-go stulecia ściągała licznych przybyszów z Południa i Zachodu, którzy tu przynosili i krzewili nowe prądy i myśli, tak w sto lat później Kraków zestrzela w swych murach bujne życie epoki, wszystkie jej prądy i drgania. Na ulicach miasta kłócą się ze sobą różne języki i różne oświaty.

W roku 1400 świetność Krakowa była dopiero w zawiązku. Jednak już w roku 1410 nazywa zapiska wiejska Kraków najdostojniejszym miastem w kraju. Kraków wywierał taką siłę pociągającą, że urok jego czarował nietylko tubylców, lecz i obcych przybyszów. Już bardzo wcześnie posiadł Kraków uniwersytet, który zawdzięcza Kazimierzowi Wielkiemu. Hiszpanja, Włochy, Francja cieszyły się już dużo dawniej uniwersytetami, ale w środkowej Europie Kraków

należy do uniwersytetów wiekiem najpoważniejszych. Pierwszy uniwersytet powstał w Pradze w r. 1348, drugi w roku 1365 w Wiedniu — nasz polski o rok Wiedeń wyprzedził i słusznie tym naród i stolica szczycić się mogą. Wielkiemu założycielowi brakło jednak czasu, by nową instytucję wykończyć i silnie ugruntować. Dopiero w r. 1400 Władysław Jagiełło, spełniając wolę i hojny zapis świętobliwej miłośniczki narodu, Jadwigi, odnowił i uzupełnił uniwersytet, tak, że odtąd nieprzerwanie dotrwał do naszych czasów jako jedna z najwspanialszych instytucji, świadczących od pół tysiąca lat o cywilizacyjnych zasługach Polski.

Profesorowie uniwersytetu, którzy przeważnie byli duchownymi, prowadzili życie wspólne, niemal klasztorne, uczniowie zaś mieszkali prywatnie po mieście; później powstały dla nich internaty, czyli bursy. Uniwersytet krakowski zażywał sławy jednego z najznakomitszych w środkowej Europie. Sławni uczeni zjeżdżali do Krakowa, aby tu szerzyć, ale zarazem czerpać wiedzę. Polska sama produkowała wtedy całe zastępy znakomitych sił naukowych, cenionych w kraju i zagranicą. Już w pierwszej połowie XV w. odznaczyli się w nauce i zasługi wielkie około oświaty położyli krakowscy uczeni, jak wytworny latynista i teolog Grzegorz z Sanoka, a przedewszystkim niestrudzony historyk Długosz. Największą jednak sławę światową pozyskał sobie Kraków jako siedlisko uczonych przyrodników, matematyków i astronomów. Profesorami, których wykłady ściągały słuchaczy z dalekich krajów, byli tu Marcin Król, Wojciech z Brudzewa; a uczniem, którego aureola światowa rzuciła blask na jagiellońską szkołę i na całą Polskę, był Kopernik. Z Krakowa wynieśli wówczas swe wykształcenie niektórzy ludzie, którzy następnie za granicą Polski w dziejach odrodzenia wielką odegrali rolę.

Poza napływem obcych do Krakowa znaczyły się coraz częściej podróże Polaków i Krakowian po dalekim świecie. Rozszerzały one skutecznie widnokręgi ludzi, którzy wraca-

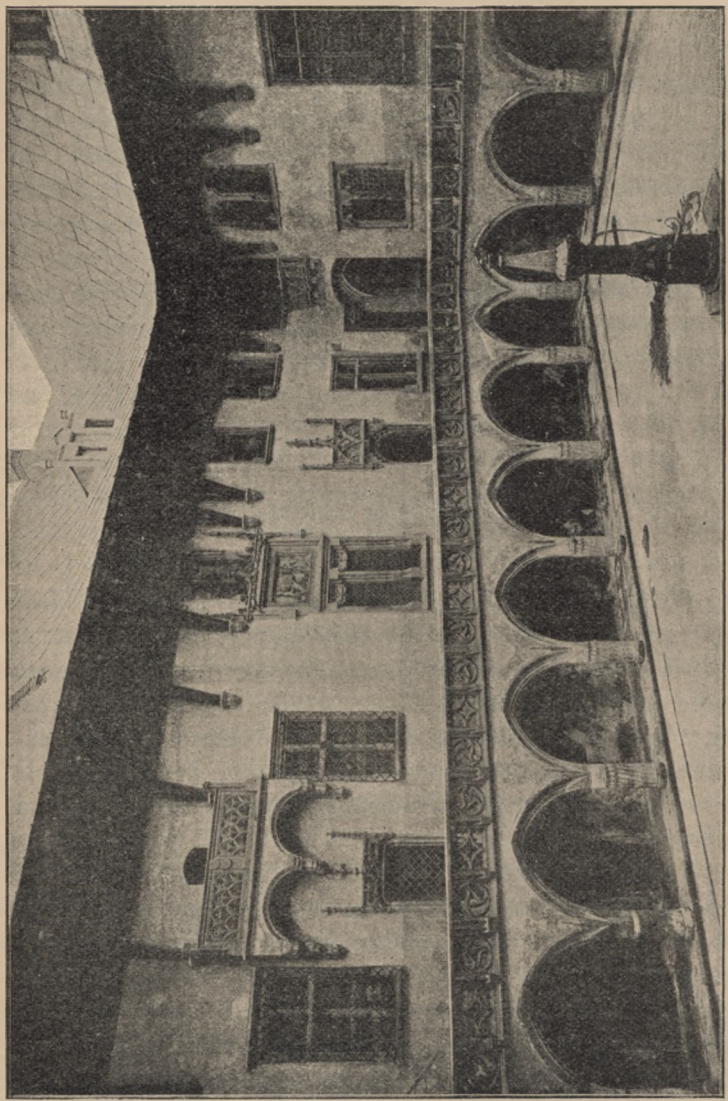

Akademja Jagiellońska.

jąc do kraju przywozili ze sobą całe zasoby nowych myśli i pojęć. Jeżdżono do Niemiec dla handlu, pobożność lub naukowe ciekawości pędziły jednak raczej na wschód lub na południe. Każdy taki niemal pielgrzym powracał potym z bogatą zdobyczą umysłową do ojczyzny. Wzmógł się tedy w Krakowie naówczas ten ruch podróżny, który należy do wybitnych znamiom bujnej odrodzenia epoki i wytworzył całą warstwę błąkających się od miasta do miasta apostołów nowej kultury.

Inny równie potężny czynnik zaczął wtedy jeszcze skuteczniej oddziaływać na ożywienie myśli ludzkiej: nowo wynaleziona sztuka drukarska.

„Rzeczpospolita szlachecka"

przez Helenę Witkowską

Około połowy XV go wieku wszystkie stosunki w państwie i społeczeństwie polskim ulegają gruntownym zmianom; równowaga stanów zostaje zwichnięta na korzyść jednego z nich, mianowicie szlachty. Już nietylko najwyższe jej warstwy, t. j. możnowładztwo, ale cały ogół szlachecki pozyskuje stanowczy wpływ na sprawy państwowe, bierze w swoje ręce władzę najwyższą, ograniczając coraz bardziej prawa i znaczenie innych stanów.

Państwo polskie od XV do końca XVIII w. nazwać można „Rzeczpospolitą szlachecką" z królem na czele, szlachta bowiem jest warstwą panującą, ona sprawuje rządy, stanowi prawa. Podstawą rządów szlachty jest układ koszycki, przywileje nadane jej przez Ludwika wzamian za uznanie praw jego córek do tronu polskiego. Przywileje te uwalniały szlachtę od podatków, wyjąwszy dwuch groszy od łanu kmiecego. A tymczasem potrzeby państwa stale rosły. Król,

potrzebując pieniędzy, często uciekał się do ogółu szlachty o uchwalenie zasiłków potrzebnych na wydatki publiczne. Ustalił się zwyczaj, że na wezwanie panującego gromadziła się osobno szlachta każdego województwa na tak zwane „sejmiki" i tutaj dowiadywała się o żądaniach monarchy. Pierwsze ślady podobnych sejmików ziemskich, czyli wojewódzkich, spotykamy w roku 1404, kiedy Władysław Jagiełło wykupywał od Krzyżaków ziemię Dobrzyńską i potrzebował na to znacznych pieniędzy.

Bardzo ważną chwilą w dziejach zdobywania władzy przez szlachtę był rok 1454 za panowania Kazimierza Jagiellończyka. Rozpoczyna się wówczas pamiętna wojna z zakonem krzyżackim, szło o cele pierwszorzędnej wagi, o odebranie ujścia Wisły i wybrzeży Bałtyku, o ostateczne zgniecenie wrogiej potęgi Niemców. Zgromadziło się pospolite ruszenie najprzód na polach pod Cerekwicą, potym pod Opokami w pobliżu Nieszawy, lecz zamiast uderzyć na wroga, szlachta zamieniła obóz wojenny na sejmik, powstała przeciw królowi, dopominając się głośno o rozszerzenie swoich przywilejów i grożąc, że jeśli jej żądaniom nie stanie się zadość, zaniecha wszelkich kroków wojennych. Kazimierz Jagiellończyk znaglony koniecznością, uległ i nadał przywileje zwane „statutami nieszawskiemi", które sprowadziły stanowczy przewrót w ustroju państwa Polskiego. Statuty nieszawskie nie są jednym ogólnym przywilejem dla całego stanu szlacheckiego, lecz szeregiem osobnych i różniących się nieraz od siebie ustaw, nadanych poszczególnym województwom, z których każde dążyło do zadośćuczynienia swoim czysto miejscowym potrzebom i interesom. Stąd powstały różnice w przywilejach nieszawskich, choć z drugiej strony są znaczne podobieństwa między niemi, wynikłe z jednakich dążeń stanu szlacheckiego na całym obszarze Polski. Na szczególną uwagę zasługuje artykuł, wedle którego król nie może ogłosić żadnej nowej ustawy, ani prowadzić wojny bez po-

zwolenia sejmików ziemskich; wszystko co ma szlachtę obowiązywać, podlegać winno jej uprzedniemu roztrząsaniu i przyzwoleniu.

Władza prowodawcza i rozporządzanie siłą zbrojną, należącą dotąd wyłącznie do króla i możnowładców, przechodzi zatym w ręce całej szlachty, wszystkich sejmików ziemskich. Wydanie nowych ustaw staje się niezwykle przewlekłym i uciążliwym, ponieważ wymaga zgody króla, możnowładców, zbierających się na wiecach powszechnych i całego ogółu szlachty, obradującej na sejmikach ziemskich. Władza prawodawcza, dotąd skupiona, ulega teraz zupełnemu rozbiciu. Ażeby uprościć nieco jej wykonanie, ustalił się z czasem zwyczaj, że sejmiki wybierały posłów i wysyłały ich na miejsce, wskazane przez króla; Wielkopolanie do Koła, Małopolanie do Nowego Korczyna, na tak zwane sejmiki gieneralne lub prowincjonalne, na które obok posłów mogła przybywać i szlachta osobiście. Tam zjeżdżał król i wspólnie nowe stanowiono prawa, uchwalano podatki i t. p. Posłowie byli tutaj przedstawicielami i pełnomocnikami szlachty, która ich wybrała, musieli się stosować ściśle do pełnomocnictw, udzielonych im przez wyborców. I te jednak sejmiki generalne okazały się niedogodnemi; królowi trudno było nieraz stawać na nich osobiście, polecał więc posłom, by w określonym naprzód terminie stawili się wszyscy w oznaczone miejsce, gdzie sam przybywał w otoczeniu senatorów, aby wspólnie stanowić o sprawach państwowych. W ten sposób powstał w Polsce *sejm walny*, najwyższy organ prawodawczy, złożony z króla, senatu i izby poselskiej, która przedstawiała ogół szlachty i najważniejszą też odgrywała rolę. Bez wspólnej zgody króla, senatu i izby poselskiej, żadna ustawa nie mogła wejść w życie.

Za panowania Aleksandra w 1505 r. na sejmie w Radomiu ogłoszono ustawę zasadniczą „Nic nowego" (*Nihil Novi*), która już tylko stwierdza to, co się dotąd utarło

i rozwinęło. Stanowi ona podstawę ustroju państwa polskiego aż do nowej ustawy zasadniczej, konstytucji 3-go maja 1791 r., wypracowanej przez sejm czteroletni. Szlachta zdobywszy stanowisko pierwszorzędne, staje się zazdrosna o swoje prawa, tworzy klasę uprzywilejowaną. Zdobycie klejnotu szlacheckiego staje się coraz trudniejszym i zwykle przez dwa pokolenia połączone jest jeszcze z pewnemi ograniczeniami. Wyjątkowo tylko, w uznaniu wielkich zasług, nadawano szlachectwo bez ograniczeń. Osobiste szlachectwo uzyskiwali profesorowie akademji krakowskiej; ci zaś, którzy nauczali przez lat 20, mogli otrzymać szlachectwo i dla swoich rodzin.

Pomimo starań o zachowanie równości w obrębie stanu szlacheckiego, pilnego przestrzegania, by jeden nie wynosił się ponad drugiego, istniały wśród szlachty znaczne różnice, wytworzone przez nierówności majątkowe. Pod względem prawnym jednakże żadne między szlachtą a możnowładztwem różnice nie istniały, wszyscy posiadali te same przywileje, to samo stanowisko w państwie. Pojęcia owe odzwierciadliły się w znanym przysłowiu: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”, ich wyrazem są liczne uchwały sejmowe, zabraniające przyjmowania tytułów zagranicznych pod groźbą infamji, głoszące zasadę równości i braterstwa wszystkiej szlachty Rzeczpospolitej Polskiej.

Mowa posłow ziem pruskich do króla Kazimierza Jagiellończyka

na zjeździe krakowskim miana, w której proszą, aby ich Król ten w wiarę i poddaństwo Królestwa polskiego przyjąć raczył r. 1454 w Wigilję Św. Piotra.

Najjaśniejszy Królu. Pradziadom, Dziadom i Ojcu Waszej Królewskiej Mości już było wiadomo, jak okropne okrucieństwa, jak brzydką niewolę, jak niegodne obejścia od mistrza i zakonu Krzyżaków w Prusiech ponosiliśmy, tak nie jest to tajnem, ani Radom Waszej Królewskiej Mości, ani nawet sąsiedzkim z nami narodom. Z tylu gwałtów i nieprawości, wymieniamy tylko niektóre, aby ogrom krzywd i miarę cierpliwości naszej okazać. A najprzód mistrz i sam zakon, zawsze niestały i chwiejącej się wiary, przez zbrodnie i nieprawości Pomorską ziemię oderwali od Królestwa Polskiego. Zerwawszy potem sojusz z Kaźmierzem Wielkim Królem, jedyną pałając żądzą opanowania Ziem do korony Waszej Królewskiej Mości należących, podnieśli oręż i najprzód ziemię Dobrzyńską, potem Kujawy kusili się opanować. Lecz przez ojca Waszej Królewskiej Mości straszną zgromieni klęską, miasta i grody Pruskie przymuszeni ustąpić, skarani utratą miasta i powiatu Nieszawskiego i zapłaceniem 160 tysięcy groszy szerokich. Niedługo atoli w pokoju pozostać umieli. Zerwawszy bowiem z Ojcem Waszej Królewskiej Mości mir świeżo uczyniony, oni znów Kujawy i ziemię Dobrzyńską, ogniem spalili. Gdy i wtenczas zbici, gdy ziemie ich mieczem i ogniem przez Polaków spustoszonemi ujrzeli, poznali Boga mściciela wiary złamanej i czwarty już pokój zawrzeć przymuszeni byli. W wojnach zaś, przez lat tyle z Królestwem twoim toczonych, ileż sieroctwa w rodzinach, z dzieci, towarzyszów i sług, ile pożarów gro-

dów zamożnych, ile strat w majątkach świeże wszędy okazują ślady.

Te wszystkie klęski, nie tak dotkliwemi nam były przez to, że je musieliśmy ponosić, jak przez to, że nas przymuszano do łamania świętych traktatów, do toczenia wojen niesprawiedliwych, do tracenia żywotów naszych w złej i niesłusznej sprawie. Nie wstydno było komendatorom i posiadaczom zamków zabierać majątki nasze bez żadnej przyczyny, bez żadnego poprzedniego sądu, nie było wstydno zakonnikom żony i córki nasze uwozić. Żalących się na takie obelgi, niesprawiedliwość, ścinanie głów, wzięcie majątków czekało. Uciśnieni okrucieństwy takiemi uczyniliśmy między sobą związek, by się od nich zasłonić. Mistrzowie dawni zdawali się go cierpieć, lecz mistrz dzisiejszy usiłował go zniszczyć. Wytoczyła się sprawa przed cesarza Fryderyka, ten nie wysłuchawszy naszych najsprawiedliwszych żalów i przyczyn, zniósł związek nasz, nadto, jak gdybyśmy byli winnymi, rozkazał nam 600.000 złotych Mistrzowi i zakonowi zapłacić. Tym sposobem przedano nas jak niewolników. Któż uwierzy! nie przestali na tem prokuratorowie i mistrzowie zakonu, chcieli, by trzechset mężów naszych głowy swoje pod miecz katowski podało. To okrucieństwo i niesprawiedliwy wyrok cesarza przywiodły nas do ostatniej dla uciśnionych ucieczki; wypowiedzieliśmy posłuszeństwo, podnieśliśmy oręż. Nie tylko mężowie, same niewiasty wzdrygały się w haniebnej żyć dłużej niewoli. Nie odmówiła nam Boska Opatrzność łaskawego wsparcia swojego. W przeciągu dni dwudziestu dwadzieścia zamków legło pod orężem naszym.

A zatem, gdy jest rzeczą światu całemu wiadomą, której sam nawet Mistrz i Zakon Krzyżacki nie przeczy, że Wasza Królewska Mość jesteś zwierzchnim Panem kraju tego, opiekunem Zakonu, dawcą wszelkiego ich dobra, gdy światu wiadomo, że ziemia Pomorska, Chełmińska i Michałowska, napaścią od Królestwa Polskiego były oderwane, my obywa-

tele pruscy przychodzimy upraszać Waszą Królewską Mość, byś nas za wiecznych swoich i Królestwa swego wiernych poddanych przyjąć i powracających do tego Królestwa, z któregośmy wyszli, odpychać nie raczył. Pod rządy, wiarę i opiekę Twoją dobrowolnie przychodzim, Tobie nas samych, żony, dzieci nasze, Tobie miasta, grody, włoście, zamki zdobyte, lub jeszcze zdobyć się mające oddajem. Niech proźby nasze, niech proźby tych, w których przychodzimy imieniu, zmiękczą Cię Królu. Albo będziemy Twoi, jeźli nas przyjmiesz, albo nieprzyjaciół, jeźli odrzucisz. Przecież nie wzgardzisz nami, rękojmią nam tego twoja cnota, twe męstwo! Odbierz, co było twojem i od Czarnego do Bałtyckiego morza panuj szeroko. Niech cię nie zastanawia zawarte z nimi przymierze: zgwałcili je Mistrz i zakon, nowe spiski naprzeciw Cię knując. Nie było dla nich wstydem, Twoje i Królestwa Twego ziemie to zdradą, to orężem najeżdżać i zatrzymywać, a Ty Królu będziesz się wahał przyjąć do łona Królestwa Twego te ziemie, które odwiecznie były Twoimi!

Niech Cię więc poruszą proźby nasze, niech Cię zmiękczą te łzy, które wylewamy, nietylko my sami, lecz i ci, którzy pozostali w domach, między nadzieją a trwogą powrotu naszego czekają. Od Twoich odpowiedzi, królu, zawisło szczęście nasze, lub ciężki smutek i rozpacz.

Żona Aleksandra Jagiellończyka

przez Juljana Bartoszewicza.

Nie dobrze było Litwie, bo graniczyła z Moskwą. Ciągłe wojny pograniczne i napady wzajemne niszczyły kraj, ubożyły lud. Udzielni książęta na Siewierzu, w Czernichow-

skiem lgnęli do Moskwy: z panującymi na Moskwie wiązało ich wspólne pochodzenie z domu Ruryka i wiara wschodnia. I Litwa była w wielkiej części greckiego wyznania, ale w Litwie panował ród Giedymina i przeważał katolicyzm. Kazimierz św. już w tych stronach wpływem swoim przeważył zwycięstwo na stronę katolicyzmu, a jednak pomimo dzielności hetmanów litewskich Moskwa wygrywała ciągle, Litwa ciągle traciła. Całe księstwa i ziemie to poddawały się Iwanowi dobrowolnie, to z musu ulegały jego przewadze. Czuł to krytyczne położenie swojej ukochanej Litwy, do której tyle przywiązał się, Kazimierz Jagiellończyk; widział on, że kocńa wojnom nie będzie i stratom; widzieli to i panowie litewscy. Otóż i w głowie króla i w głowie bojarów Litwy urodziła się myśl, że potrzeba szukać z Moskwą jakiegoś familijnego przymierza, żeby położyć koniec temu niepewnemu stanowi rzeczy. Moskwa pobudzała na Litwę Tatarów krymskich, wchodziła w związki przeciw Polsce z Wołochami. Nie było innego sposobu, jak przedłożyć carowi Iwanowi projekt zupełnie nowy, oryginalny, to jest projekt ślubów małżeńskich pomiędzy jedną z jego córek, a synem którym Kazimierza. Że Kazimierz o tym myślał, na to pewnego nie mamy dowodu, ale wnosić wolno, że tak było, bo zaledwie król umarł, a już napotykamy ślady tajnych układów o małżeństwo, które zdaje się było już dalszym ciągiem poprzednich narad.

Królowie nasi i książęta Piastowego rodu żenili się zawsze z niemkami i rusinkami. Poza granicami Niemiec i Rusi trudno nawet im było szukać związków familijnych. Już ten sam fakt dowodzi, że małżeństwa naszych książąt, miały zawsze cel polityczny. Z Niemiec, córki cesarzów i margrabiów miały nam przynosić spokojność, a często przynosiły wojny i rzucały nieporozumienia pomiędzy jednorodnych książąt Lechji. Związki z Rusią daleko były korzystniejsze: księżniczki ruskie zbliżały pomiędzy sobą dwa wiel-

kie plemiona słowiańszczyzny i ród Piastów wiązały ciągle z rodem Rurykowym. I prędko dały się widzieć skutki tego powinowactwa: Halicz, Przemyśl, Lwów, Trembowla, Włodzimierz, Bełz, prawem spadku i krwi przechodziły w ręce książąt naszych; Lechja przyswajała sobie plemiona ruskie, zaznajamiała się ze swemi braćmi, pokochała ich i rosła ciągle, póki połączona z Litwą nie urosła na Polskę.

Jagiellonowie żenili się tylko z niemkami i włoszkami, bo ruskich księstw już nie było, a na wschodzie wznosiło się tylko jedno W. Ks. moskiewskie. Zwyczaj chciał, żeby księżniczki ruskie, idąc za mąż za książąt polskich, przemieniały swój obrządek na rzymski. I jeden tylko z czasów Jagiellońskich mamy przykład królowej rusinki nie katoliczki, jedyny przykład, w którym wyraźnie miano związek polityczny na celu. Królową, o której mówimy, była to Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka.

Jako córka Iwana III Wasilewicza, w. kniazia moskiewskiego i Zofji, córki Tomasza Paleologa, który był bratem rodzonym Konstantyna, ostatniego cesarza rzymskiego, miała w obojgu rodzicach ród sławny i znakomity. Iwan III stanowi epokę w dziejach wielkiego księstwa moskiewskiego; rozwinął on na tronie szereg przymiotów rzadkich i dokonał dzieła, rozpoczętego jeszcze w XIV wieku przez Iwana Kalitę. Jedną ręką kasował dzielnice rozrodzonych książąt plemienia Rurykowego i wstrząsał Nowogrodem, drugą niszczył potęgę Mongołów i obalał ich władzę nad słowiańskiemi ziemiami. Szukał on związków familijnych w Europie; chciał państwo swoje, które wzrosło na innych zupełnie pierwiastkach, zbliżyć do zachodu. Papieże uchwycili dogodną sposobność; im szło tak jak dawniej, o to, żeby Moskwę i księstwa jej podległe skłonić do przyjęcia unji z kościołem rzymskim. W tym celu zawiązali układy z Iwanem i za żonę przedstawiali mu wychowaną w Rzymie Zofję, córkę Paleologów. Pochlebiało to dumie wielkiego kniazia i w r. 1472

ożenił się z Zofją. Wielkie księstwo moskiewskie obchodziło wielkiemi obrzędami tę pierwszą, jedyną prawie w dziejach swoich uroczystość. Zofja w posagu przyniosła mężowi jakieś pretensje na Konstantynopol, herb dwugłowego czarnego orła oraz zawiązki sztuk i nauk.

Córka tej cesarzówny rzymskiej zasiadła teraz na tronie wielkoksiążęcym Litwy. W tak dawnych czasach wola rodziców stanowiła o losie córki, Helena nie znała co to jest miłość; powody polityczne wywarły wielki wpływ na jej przeznaczenie: ojciec jej kazał być wielką księżną litewską i Helena została żoną Aleksandra. I nagle z Moskwy przeniesioną została do Wilna, ze wschodu na zachód Europy, z innego życia w całkiem nowe życie. W Moskwie widziała wspaniałe cerkwie z pięciu kopułami, metropolitów i archimandrytów z wysokiemi kłobukami na głowie i świaszczenników w długich czarnych i szerokich rasach; a tutaj w Wilnie spotykała księży łacińskich i biskupów, co świecili fijoletami, i tłumy mnichów rozmaicie poprzebieranych, postrojonych: ten czarno, tamten biało, w trzewikach i trepkach, z krzyżem lub różańcem u pasa. Były i w Wilnie cerkwie, były i w Litwie całej; ale Litwa miała osobnego swego metropolitę, co się tytułował kijowskim, a mieszkał w stolicy Wielkiego Księstwa. Litwa ze swoją wiarą wschodnią już coś odrębnego przedstawiała od Moskwy, a przytym w Litwie panował obrządek łaciński; dlatego Litwa za czasów Heleny bawiła swą różnorodną postacią; wszystko tam było pstre, wszystko jakby w pomieszaniu, w nieładzie. Ale Helena miała zostać królową polską. W Krakowie ani śladu nie było greckiego obrządku; tu zwyczaje, sposób życia, cała cywilizacja narodu miała na sobie tak inną, tak odrębną cechę. Nic tutaj Helenie nie przypominało, nie mogło przypominać Moskwy rodzinnej. Przeniesiona w zupełnie nową dla siebie sferę życia, wielka księżna i inne na Litwie widziała cuda. W Moskwie, w pałacu kniazia, widziała ona tłumy bojarów

strojnych w szaty długie, jedwabne, ze wschodu, a tłumy te stały w milczeniu, z pokorą i grupowały się około osoby wielkiego kniazia czekając na jego skinienie; w Moskwie wszystko było milczące, uroczyste; jedno słowo wielkiego kniazia stanowiło o losie poddanych i poddani słowo to czcili jak świętość. W Litwie widziała także bojarów z długiemi brodami i w czapkach sobolowych na głowie; ale ręce tych bojarów wsparte były na mieczu, a w ręku ich spoczywała pieczęć, albo buława, a szli ci bojarowie na dwór książęcia służyć mu albo doradzać. Prawda, że na Litwie słowo panującego było jeszcze wszechmocne, ale już straciło wiele na swoim znaczeniu, bo wszelkiemi szczelinami do Litwy przeciskały się urządzenia polskie. Nie miała nigdy Moskwa Glińskich, Radziwiłłów, Chreptowiczów, książąt Olelkowiczów, co wpływem swoim i powagą nieraz przeważali szalę rządu na swoją stronę; a w Polsce miała już zobaczyć Helena posłów sejmowych i dzielną szlachtę, która dbała o swoje swobody i grody murowane, takie jak Lublin i Piotrków...

W Moskwie wszystko było inne, na Litwie i w Polsce wszystko inne. W Moskie kobiety pilnowały domu, były zamknięte, jak niewolnice w haremach, u nas było inaczej: kobiety, oddane zawsze do woli rodziców, to mężów potym, miały przecież nierównie więcej wolności. Bywały przykłady, że intrygi kobiet zawichrzały nieraz obrady publiczne i zmieniały stosunki Rzeczypospolitej.

A tak wszystko było inne w życiu Moskwy, Wilna i Krakowa. W Wilnie zdaje się były dwa światy pomieszane w jedno.

Żmudź

przez Antoniego Prochaskę.

Żmudź była podówczas nawskroś odmienną ziemią od Litwy. Te same wprawdzieć olbrzymie lasy, te same bory i puszcze, ten sam posępny koloryt nieba i ta sama niezbyt płodna ziemia, jako i w Litwie, co więcej, ci sami ludzie o wyrazistych i surowych rysach twarzy i jednej, lubo trochę odmiennej mowy, lecz jakżeż to wszystko odmienne od Litwy i Litwinów. Podczas kiedy właściwa Litwa porzuciła swych pogańskich bogów i przyjęła od Polski świętą wiarę, trwa obecnie na Żmudzi kult Perkuna i starych bogów litewskich. Tu w żaden sposób lud nie daje się przekonać o nicości i błędach swej wiary. Litwinów, którzy przyjęli „polskiego boga", uważają za odstępców. Lud też żmudzki żywi w całej nieświadomości dziewiczej, z najczystszym sercem wiarę w ulubionych a pokonywanych bogów. Odstępców przeklina tu Kriwe Kriwejto; kapłani-wajdeloci głoszą chwałę boga ognia. W niedostępnych borach, na szczytach pagórków i gór nad rzeką Niewiażą, płonie olbrzymi stos wiecznego znicza. To najcelniejsze bóstwo Żmudzinów; granic tych borów nie przekracza nie-czciciel jego lub odstępca; tu się odbywają tajemne narady zgromadzonego ludu. Kapłani głoszą tu rozkazy książąt, podsycają zapał do wojny przeciwko strasznemu wrogowi, przeciwko „Niemcom". A gdziekolwiek stąpiłbyś nogą, wszędy napotykałeś jakąś świętość. Do Niemna wpada rzeka Święta, do Bałtyku tuż obok granicy ówczesnej od Inflant również święta rzeka A; nad Niewiażą mnóstwo świętych lasów, borów, gajów. Jeden z nich „Wentis", nad Niemnem leżący, do późna przechował pogańskie swe święte miano. W tych borach i lasach wszystko było nietykalne. Mnóstwo dzikiego zwierza, w jakie obfitowała ówczesna Żmudź, a co było głównym pożywieniem ludu, zamieszkuje te świętości.

A jak świętą jest ziemia żmudzka, jej rzeki, bory, lasy, tak świętym i nietykalnym jest Żmudzin. Nadzwyczaj też trudno przychodziło kapłanom polskim nawrócić ten lud do chrześcijańskiej wiary. Żmudzin słuchał kazania, w głębi duszy krytykował, nie dowierzał i rad był, kiedy księża bez skutku nazad wracali, pozostawiając go przy starych świętościach. Przytrafiło się Wężykowi, kaznodziei królewskiemu, że gdy począł prawić Żmudzinom o tajemnicach wiary i o stworzeniu świata, jeden z pilnych słuchaczów temi słowy przerwał kazanie. „Kłamiesz księże, skoro twierdzisz, jakoby ten nasz świat miał być stworzony. Pomiędzy nami są także starzy ludzie, starsi od ciebie, bo przeszło stuletni, a tego nie zapamiętali, jakoby wasz Bóg miał ten świat stworzyć." Skoro nadto nauki takie zwykły się były dziać przez tłomaczów, skoro Polska zabiegi swe około nawracania do św. wiary na właściwą Litwę skierowała, nie dziw, że Żmudź przy swej wrodzonej oporności była siedzibą kultu pogańskich bogów.

Właściwym wrogiem Żmudzinów był „Niemiec", tak bowiem nazywali oni Krzyżaków tak pruskich, jak inflanckich, czyhających na ich zagładę. Czy to instynktem wiedzeni, czy tradycją historyczną, przeczuwali oni dobrze, że zakonnym rycerzom nie idzie o to, „aby niemiecki bóg" zapanował w ich ojczystej ziemi. Wiedzieli aż nadto dobrze, że niemiecki miecz i niemiecki język ma według planu Krzyżaków zająć miejsce żmudzkiego.

Troki

przez Władysława Syrokomlę.

«Patrz, oto pyszna Kiejstutów stolica
To ich dzierżawy, kędy zajrzysz okiem.
Nad zamkiem wieża — to pogan kaplica;
Tam między gęstym kadzidła obłokiem
Boga piorunu szczerozłote lica
Patrzą się jasnym brylantowym okiem.
Widzisz to wielkie błękitu przestworze?
To Trocki zamek — a to trockie morze.»

J. Słowacki.

Nazwisko Trok po raz pierwszy na schyłku XII stulecia wspomniał Sturlezon, Islandczyk, autor ciekawej dla północnych dziejów kroniki, w której zostawił wspomnienie o Wilnie i Trokach. W tymże czasie, a może i pierwej, miała istnieć, gdzie dzisiaj Stare Troki, litewska osada, gdzie był gród litewskich książąt, świątynie bogów i mieszkania ludu, które ciągnąc się aż do Wilna, jakby jedno miasto z Wilnem tworzyły. Wiedząc, jak mało była osiadłą Litwa, nie możemy wcale przypuszczać, że pasmo tych domów nie przerywało się zgoła; owszem, wśród gór wysokich, wśród poplątanych brzóz, dębów i sosen, były to polanki wyrobione na uprawne pole kamiennemi młotami i drewnianemi patyki, wpośród których wznosiły się wioseczki małe Litwinów, lub pojedyńcze ich chaty, z pasiekami pszczelnemi, z gajami poświęconemi bogom, ze świętemi wężami, co się tu swobodnie lęgły, chaty, nad któremi unosiła się wiecznie struga dymu świętego znicza. Były to karczowiska, trzebieże wśród lasów, po litewsku *trakas*, które dały gotową naturalną nazwę osadzie.

Osada skutkiem najść nieprzyjacielskich upadła za swojemi świątyniami bogów — nazwa Trakas (trzebież) pozostała w ustach ludu. Tak ją zasłyszał kronikarz islandzki—tak ją

znalazł w sto lat zgórą Giedymin, kiedy 1321 roku przybył w te strony na łowy, a upodobawszy miejscowość, tu z Kiernowa przeniósł swoją stolicę.

Niewymyślna to była stolica wielkiego państwa; ale mądra zaprawdę była myśl wielkiego bojownika Litwy, to przenoszenie swych stolic z miejsca na miejsce. Znaczyło to: skupić rozpierzchłą ludność kraju w pewne wydatniejsze punkty, stawić w tych punktach warownie, któreby osłoniły głowę i własność ludu od zaborów nieprzyjaciela, a nieprzyjaciołom stawiły tamę do dalszego plądrowania po kraju. Zbudował tutaj zamek, otoczył go przykopem i wałem, skupił ludność—słowem, uczynił co mógł dla Starych Trok dzisiejszych; a pędzony myślą ożywienia swego kraju, znowu gdzieindziej przeniósł swoją stolicę.

Na ten raz niedaleko od dawnej. Oko barbarzyńcy Giedymina umiało na swej ziemi dośledzić miejsca, gdzie urocza przyroda połączona z wojenną obronnością, mogła zapewnić mieszkańcom piękne i bezpieczne schronienie. Znalazł takie miejsce nieopodal nad szerokim, jak morze, nad sinym, jak niebo, jeziorem Galwa. Skinął na lud swój, dał hasło do roboty mnogim brańcom wojennym, nanoszono kamieni, napalono cegieł, i stanęło obronne zamczysko nad samym jeziorem; nazwał to miejsce Nowemi Trokami i tam przeniósł swój pobyt.

I tu niedługo gościł Giedymin; w rok czy we dwa rzucił fundamenty nowego grodu i w Wilnie już założył swoją trwalszą stolicę. Troki jednak nie zostały osierocone. Gdy po zgonie Giedymina 1341 roku dwaj jego synowie, Olgierd i Kiejstut, podzielili się panowaniem nad szerokiemi ojcowskiemi państwy—Olgierd został, jako wielki książę, przy Wilnie, Kiejstut otrzymał Żmudź i Troki z okolicami.

I w Trokach, a nie w Wilnie, było *Sanctum sanctorum* Litwy. Tam przy Olgierdzie tłoczyli się i święta Ruś i święta Łacina, i Lach, i Niemiec, bogom Litwy poczęło być

ciasno; — tu w Trokach Perkun nie miał współzawodnika. Nie w sercu Olgierda, przystępnym czy nie umiejącym oprzeć się nowościom, było serce Litwy; Kiejstut był wyrazem swojego narodu. Wierny czciciel swoich bogów, sam dochodził apoteozy u dzieci Litwy. I szanowali go bogowie jak szanowali dzieci Litwy; ani Perkun, ani jego ofiarnicy, ani lud podwładny nie śmieli mu się sprzeciwić, kiedy raz, jeden raz w życiu targnął się na wolę bogów. Było to wtedy, gdy powracający z wojennej wyprawy poznał i pokochał w Połądze piękną Birutę, ofiarnicę bogini Priawimy, a nie zdoławszy jej nakłonić do złamania uczynionej bogom przysięgi, uwiózł ją gwałtem do Trok i tam poślubił. Niebiosa chętnie snadź przebaczyły płochości swojego bojownika i obrońcy, skoro potomkiem tego związku był bohaterski Witold, chluba i osłona Litwy. W tym oto starym, zachowanym w gruzach do dziś dnia lądowym zamku Trockim ujrzał on światło dzienne w roku 1344—u tego to jeziora igrało przeżegnane przyszłą świetnością chłopię, — z tych okien spoglądała tęskna i łzami zalana jego matka, gdy wojujący wciąż z Krzyżakami Kiejstut trzykrotnie dostał się w ich niewolę. W Trokach, gdzie wspomnienie Kiejstuta, Biruty i Witolda snuje się po gruzach zamczysk, szumi w powietrzu, widzimy zda się, Birutę, jak z okna jednej z tych strzelnic poglądając w dal szeroką, wylewa swą tęsknotę w starych rzewnych litewskich piosenkach.

Niejednokrotnie zamek Trocki odpierał oblężenie Krzyżaków. Tutaj to miał miejsce po spaleniu miasta przez Krzyżaków traktat przymierza, zawarty pomiędzy Litwą a Zakonem. Znużyły się ręce w obustronnym boju, klęski zadawane z obojej strony przechodziły wszelką miarę, miecze nie osychały ze krwi, Litwa i Prusy nie ostygały z pogorzelisk. Kiejstut i Winryk z Kniprode, dwaj śmiertelni wrogowie, podali sobie w Trokach rękę zgody. Stanął traktat, podpisany ze strony Litwy przez Jagiełłę, Kiejstuta i Witolda. Marne

umowy, które pisaćby na wietrze i wodzie — bo chwilowa tylko była ich trwałość!

Witold, o ile okoliczności i czynny jego charakter pozwalały, lubił przebywać w Trokach. Osadził on tu Tatarów, wybudował kościół katolicki i wzmocnił oba zamki, to jest leżący na wyspie i lądowy. Tutaj to umarł Witold 1430 roku na rękach Jagiełły, w tych Trokach, w których ujrzał światło dzienne. Ciało jego przez dni osiem wystawione było w jednym z zamków trockich na widok publiczny, poczym odwieziono go do grobu w katedrze wileńskiej.

Kazimierz Jagiellończyk stale polubił, ozdabiał i swoim pobytem zbogacał Troki. Nawet po wstąpieniu na tron polski, połowę czasu siedząc na Litwie, najczęściej przemieszkiwał w Trokach.

Od połowy XVI w. przestały być Troki miastem pierwszorzędnym, bo pozbawione ważności położenia gieograficznego, usunięte zostało od dróg łączących inne miasta. W roku 1655 najście Rosjan ostatecznie zubożyło miasto. Runął zamek, a miejscowy mieszkaniec nie umie nawet opowiedzieć ani historji tych ruin, ani historji bytu swych przodków.

Runął zamek, śpią jego bohaterowie, minęły ich wieki—przeszłość świeci martwym szkieletem. Tylko jedna i ta sama fala, zawsze żywa, zawsze ruchoma, od kilkuset lat podmywa jeden i ten sam kamień—nieraz przed wieki oblany krwią swoich i obcych.

Życie rycerskie

przez Józefa Szujskiego.

Nim życie publiczne, sejmowe ogarnęło cały naród szlachecki, wojenność, obozowość była główną tego życia cechą. W ciągu stu dwudziestu lat (około XV stulecia) rzadko roku bez wojny. Jakoż była ona ulubionym narodu zajęciem.

Długoletnia wojna z Zakonem, ciągłe utarczki z Tatarami, wymagały nieustannego życia na koniu, z bronią w ręku. Pospolite ruszenie było długi czas jedynym rodzajem wojny, jak było jedynym szlacheckim obowiązkiem. Nie przestając na domowej usłudze wojennej, wychodzili polscy rycerze walczyć pod innemi sztandary, pod innemi panami, jak sławny ów Zawisza Czarny i Ścibor ze Ściborzyc. Sława broni polskiej wcześnie się Turkom straszną stała. Rycerski duch z czasów Jagiełły utrzymywał w turnieju i w boju prym przed rycerstwem innych narodów. W zdziczeniu swoim, przy wielkiej onego czasu przedsiębiorczości, rzucają się rycerze do wypraw na własny rachunek, zostają często rozbójnikami, na wzór niemieckich raubritterów, jak za Kazimierza Jagiellończyka Piotr Szafraniec z Pieskowej Skały i tylu innych. Dwie nawet kobiety, Włodkowa i Rusinowska, rozbijają, po rycersku przebrane. Ale owo życie rycerskie ustawnie do boju gotowe, utrwala się i rozwija najpiękniej na Podolu i granicach Rusi Czerwonej, gdzie domy Leliwów, Kmitów, Buczackich, Tęczyńskich, z rycerstwem zaczynają stanowić żywy wał przeciw napaściom Wschodu. Tam to wyrabiał się ów polski animusz rycerski, któremu Polska tyle świetnych nad Półksiężycem zawdzięcza tryumfów. Za panowania Aleksandra kroniki wspominają dwuch braci Strusiów, którzy w pięćdziesiąt tylko koni wybrali się na „kozactwo", to jest na ochotnika w celu odzyskania zagarnionego przez Bohdana Pokucia. Jeden z nich zginął, drugi, gdy go do ucieczki napominano, rzekł: „Niech Bóg broni, bym miał przeżyć miłego brata mego!", a rzucając się między wrogów, także głowę położył. Z takich to ochotników, animuszem wojennym wiedzionych, powstał później rdzeń, dusza kozaczyzny zadnieprskiej, tacy wiedli prym w ustawnym boju „na kresach".

Rycerskość polska posiadała wszystkie zalety prawdziwej chrześcijańskiej. W bojach z Zakonem świetnie wystę-

pują przymioty ludzkości względem jeńców, honorowości w dotrzymaniu układów, tym piękniej, że na przeciwników gruby często cień pada. Słuchanie mszy św., spowiedź, pieśni do Bogarodzicy uprzedzały bitwy — a przed bitwą grunwaldzką Jagiełło z własnego natchnienia powiedział krótką, a rzewną modlitwę.

Dom szlachecki z piętnastego wieku jest zawsze obronnym. W obejściu równoległobocznym dwie ściany zajmuje szczupłe, zwykle piętrowe mieszkanie z bramą, dwie drugie ściany okalają wewnętrzny dziedziniec ze stajniami. Nawet drewniane (modrzewiowe) otwory strzegą ostrokoły i most zwodzony. Dla ścisłego zamknięcia zwano takie dwory zamkami.

Życie rycerstwa zrazu skromne i surowe, zmieniać się zaczyna od wojny pruskiej. Długosz zauważył, że się wkrada zniewieściałość, próżność, zbytki. Na dworach bogatych panów nie brakowało nigdy zbytków. Orszak panów, towarzyszący królowi na zjazdach z innemi monarchami, zaćmiewał bogactwem inne narody. Duchowieństwo samo grzeszyło zbytnim przepychem. Historyk zapisał biskupowi Strzępińskiemu jako cnotę, że w ciemnej tylko chodził sukni.

Przedsiębiorczość, ruchawość, która wiodła do boju, wiodła za granicę do poznania świata i nauki. Wolność udawania się na inne dwory była gwarantowana przywilejami. Ziemiańskie domatorstwo, w XVII i XVIII wieku tak powszechne, w XV-ym zaledwie w Wielkopolsce było obyczajem. To rozbudzenie ducha narodowego, które nie czemu innemu, jak widokowi wspaniałego rozwoju potęgi polskiej przypisać należy, to rozbudzenie, mówię, objawia się na wewnątrz gorącym swobód i wolności pragnieniem, a zdobywszy sobie plac popisu w sejmie, podzieliło się odtąd na dwa kierunki życia, wojenny i parlamentarny. Sejmy przedłużają się do kilku tygodni — oratorstwo przeradza się w namiętność. W pełnym kwiecie staje to życie w Zygmuntowskim

wieku. Pisarze za Zygmutów z tęsknotą wspominają dawny czas rycerski, pełen prostoty i hartu.

Rzemiosła i ustrój cechowy

przez Zofję Daszyńską Golińską.

Cechy spotykają się we wszystkich krajach Europy. Wraz z niemieckim prawem miejskim przechodzą do miast polskich i rozpowszechniają się tu nietylko po stolicach i miastach handlowych, ale docierają nawet do małych miasteczek. W Niemczech i w innych krajach Europy zachodniej isnieje pod koniec wieków średnich i w początku nowych czasów dążność łączenia się w cechy wśród wszystkich warstw ludności miejskiej. Poza cechami nie było już w mieście rzemieślników ani kupców, to znaczy, że każdy rzemieślnik i kupiec musiał należeć do cechu. Nawet takie warstwy miejskiej ludności, jak ubodzy, tworzyli cechy.

Cechy w miastach rzeczypospolitej miały trojaki charakter.

Cech był orgauizacją obywateli ku obronie murów miasta i dla spełniania obowiązków publicznych. W tym celu cech każdy w miastach otoczonych murami posiada swoją basztę, w której kolejno członkowie jego czuwają. Posiada on również zbrojownie, a w razie potrzeby wystawić może oddział uzbrojony. Do cechów należało również utrzymywanie straży pożarnej.

Cech stanowił również korporację religijną. Jako taki, każdy cech miał swojego patrona, a często i ołtarz lub kaplicę w parafjalnym kościele. We wszystkich procesjach i przy każdym obchodzie religijnym cechy występowały z chorągwiami, na których znajdowały się ich godła, np. u ślusarzy — klucze, u kowali — młot i kowadło, u krawców — nożyce i t. p.

Podobnie obowiązkiem wszystkich członków cechu było uczestniczyć w pogrzebie „brata cechowego". Pogrzeby odbywano z wielką okazałością, zwłaszcza w Krakowie, gdzie w statucie piwowarskim czytamy, że „siła panów radziec i z człowieka pospolitego wkupuje się do cechu dla uczciwości pogrzebowej".

Najważniejszym zadaniem bractwa cechowego była wszakże obrona interesów rzemiosła i rzemieślników, jako zawodowych jego wykonawców. Chodziło tu o postęp rzemiosła, czyli o udoskonalenie jego techniki. Do rzemiosł zaliczały się także sztuki piękne, malarstwo, rzeźba, budownictwo. Wykonawcy ich, zgodnie z duchem epoki, łączyli się w cechy i podlegać musieli ich przepisom. Cech dbał także o uczciwość rzemiosła. Cechmistrze nadzorowali, ażeby robota była dobrą, odpowiadała naznaczonej wadze i mierze, aby odbiorca nie płacił zbyt wysokiej ceny. Cech roztacza nad członkami swojemi nadzór moralny i towarzyski. Moralnie poszlakowanych ludzi do rzemiosła i cechu się nie przyjmuje. Kto się raz do cechu zapisze, a ma ślubną żonę, musi ją w ciągu paru tygodni lub miesięcy sprowadzić, nieżonaty powinien się ożenić. Cech bowiem ściśle zespolony jest z miastem i dba o to, ażeby córki mieszczańskie wychodziły za mąż. Stosunki towarzyskie zacieśniały się podczas uczt cechowych, obowiązujących przy każdym ważniejszym akcie, jak wyzwoliny, pozyskanie mistrzostwa, stypa pogrzebowa i t. p.

Zakazanemi były swary, kłótnie i bójki; przy wszelkich schadzkach członków cechu nie wolno nawet przynosić noża ani miecza. Przepisy przyzwoitości i moralności cechowej znajdują się w licznych statutach i dotyczą nietylko samych braci cechowych, ale i osób należących do ich rodziny, np. żony. I tak za obmowę jednej kobiety przez drugą naznacza się kara jeden grosz.

W taki sposób cech obejmował całe życie należącego

doń brata, który znaleźć mógł w każdym wypadku radę, opiekę, pomoc, przepisy, według których miał się zachować. Było to bardzo ważne, zwłaszcza, że cech ratował rzemieślnika nawet wtedy, gdy z jakichś powodów zbiedniał, obdarzając go warsztatem, namawiając, aby został czeladnikiem, o ile już własnej pracowni mieć nie może, dbając o pielęgnowanie go w chorobie, sprawiając pogrzeby.

Ważniejszym jeszcze było, iż cech pilnował, aby każdy należący doń rzemieślnik miał dość roboty, któraby mu zapewniała utrzymanie. W tym celu cech dbał, ażeby rzemieślnik, nie należący do cechu, żadnej nie wykonywał roboty. Organizacje cechowe stanowiły podporę stanu miejskiego, który wobec swawoli szlacheckiej występował jak zwarte i zespolone ze sobą ciało, rósł w zamożność i oświatę. Z tego powodu cechy stają się już od XVI stulecia celem prześladowań ze strony szlachty, która liczne ich zakazy u monarchów wyprasza. Epokę rozwoju cechów stanowi wiek XV i XVI, przypada ona na czasy najwyższego rozkwitu w przemyśle i rozgałęzionego handlu zagranicznego w Polsce.

Organizacja cechu czyli bractwa ogarniała wszystkich uczestników zawodu, a nie dopuszczając do roboty partaczów, wywierała przymus należenia na każdego, co w obrębie miasta chciał zawód wykonywać. W cechu znajdowali się tedy mistrzowie, pomocnicy ich, zwani towarzyszami, a dziś czeladnikami, oraz uczniowie, znani również pod nazwą chłopców. Mistrz nie mógł trzymać dowolnej liczby czeladników, najczęściej miał ich dwuch, rzadko zaś więcej niż 4 lub 6-ciu. Chodziło o to, ażeby jeden rzemieślnik zbytnio się nie bogacił, nie przyjmował za dużo obstalunków, przez coby inni biedę cierpieć musieli.

Ważną chwilą w życiu rzemieślnika cechowego było otrzymywanie mistrzostwa. W tym celu towarzysz wykonać musiał t. zw. sztukę (majstersztyk), t. j. pod nadzorem mi-

strzów i w określonym czasie wyrób ślusarski, bednarski, krawiecki lub inny przepisany. W cechu złotniczym w Krakowie wykonać musiał np. puhar srebrny, oprawić kamień w złoto, pieczęć z herbem i napisem zrobić na cześć cechu i miasta.

Ustrój cechowy wnosi porządek i organizację do życia przemysłowego w mieście średniowiecznym. Wykonywany jest ściśle i ku ogólnemu zadowoleniu, dopóki rzemieślnicy pracują wyłącznie w drobnych warsztatach. Gdy rozmiary ich rosną, a obok rzemiosła zjawia się maszyna, cechy podupadają. Klęski ogólne, wyludnienie, zubożenie miast przyczyniają się do upadku cechów, o dawnej zaś ich świetności świadczą dotąd przechowywane księgi i przywileje.

Zygmunt Stary

przez Jana Czarnowskiego.

Równy w mądrości Kazimierzowi Wielkiemu, lecz mniej surowy, a może zanadto dobrotliwy, Zygmunt I zbliżył dla Polski i Litwy wiek złoty, jakim się cieszyły za niego i syna jego panowania. Spokojna jego dusza nie znała ni chciwości, ni zazdrości; serce proste i otwarte, zdolne zjednać nieograniczone zaufanie. Nie brakło mu męstwa, chociaż miłość pokoju do bezczynności go przywodziła. Stąd Zygmunt łatwo się skłaniający, powolny aż do opieszałości, łagodny aż do pobłażania. Rosja, Prusy, Turcja, Węgry i Austrja różnemi sposobami doświadczyły tych usposobień jego, niekiedy do słabości i cierpliwego krzywd znoszenia posuniętych. Lecz każdy krok Zygmunta wolny był od szorstkości wieku, wolny od dzikich uprzedzeń, tchnął majestatyczną powagą i łagodnością; nigdzie z drogi zacności nie schodził, nie skaził się dziwacznemi lub poniżającemi kroki. Był na-

bożny, do zasad kościoła przywiązany, nowości religijnych nie chwalił, ale wiedział, iż przekonania siłą nagiąć niepodobna. Użył wprawdzie miecza w Gdańsku, ale nie za przyjęcie przez oskarżonych innych zasad religijnych, lecz za targnięcie się na władzę.

Zygmunt Stary.

Zygmunt zapewnił na długie lata pokój narodowi, zjednał sobie wszystkich dworów przyjaźń i wysokie poważanie. Szwedzi po wypędzeniu króla Christiana chcieli Zygmuntowi oddać koronę, a stronnictwa w Węgrzech i Czechach po

śmierci synowca Ludwika ofiarowały mu berła tych królestw; lecz zanadto kochał Polskę, aby przez wojny o dobijanie się obcych tronów miał jej siły wyczerpywać. Bez wielkich przedsięwzięć, bez wielkich wypadków, bez rażącego blasku, panowanie jego w mierności, jak niczym nieprzyćmione światło, równym blaskiem pogodnie jaśniało. Granic wprawdzie Zygmunt nie rozprzestrzenił, chyba przyłączeniem Mazowsza, ale dźwignął kraj na stopień potęgi i pomyślności, dał czas do rozwinięcia się talentom i usposobienia do przyszłego znaczenia. Potrzeba było jego powolności, jego łagodności i baczności, by kierować i prowadzić zcicha, lecz niebezpiecznie poruszanym statkiem.

Przy czerstwości umysłu przeżywszy lat osiemdziesiąt, jeszcze na śmiertelnym łożu starzec czynnie załatwia sprawy narodu. Żaden też z królów nie był tak żałowany, jak Zygmunt Stary, lubo, w ostatnich latach przez zbytnie pobłażanie dla nadużyć królowej, oburzył naród na siebie i zjednał licznych nieprzyjaciół; jednak po śmierci przypomniano sobie dobrodziejstwa i zasługi jego, a szczery żal świadczył o wdzięczności i przywiązaniu narodu.

Rok cały trwała żałoba, nawet lud prosty bez jej oznak nie wychodził na ulicę i wstrzymywał się od wszelkich uciech i wesela.

Mazowsze i Mazury

przez Juljana Bartoszewicza.

Co głównie uderza w dziejach Mazowsza, to starodawność plemienia i jego ogromne rozwinięcie się na przestrzeń. Życie odrębne Mazowsza jest prawie spółczesne cywilizacji Polan nadwartańskich. Mazurowie posiadają swoje własne legiendy, opowiadania historyczne, sięgające VI i VII wieku;

a przestrzeń, jaką zajmowało mazowieckie plemię, była ogromną, szła od Pilicy na północ, aż po rzekę Preglę, gdzie spotykała się z przednią strażą litewszczyzny, z plemieniem arcypobożnym i arcywojowniczym Prusów. Więc nie dziw, że z czasem wyrobił się tak doskonale lud mazowiecki, że mógł stać się sercem i ogniskiem Polski jagiellońskiej. Całe dzieje i położenie gieograficzne ziemi złożyło się na taki rezultat.

Prawda, że to położenie gieograficzne ważną i bodaj czy nie najważniejszą tu grało rolę. Tu trzy rzeki główne całej Polski zbiegły się razem, Wisła, Bug i Narew. Każda płynie z innych okolic i tu na Mazowszu zbiegają się: Wisła z ziem koronnych, Narew z Litwy, Bug z Rusi. Nigdzie tak szeroko te rzeki jak na Mazowszu nie płyną i nigdzie tak wielkich a dobrych ryb nie posiadają. Wisła, ta ogromna rzeka całej Korony, w największej części jest mazowiecka. Kraj cały znakomicie lesisty, a od strony Prus obfity w zwierzynę wszelkiego rodzaju. Mazowsze, to ojczyzna turów, których tu gęsto było niegdyś po wszystkich puszczach i dlatego nie było nigdzie łowów tak sławnych jak w Mazowszu, nawet na tej dzikiej, jak za Jagiellonów, zarosłej i mało uprawnej Litwie. Mazur lubił bory, bór nazywał swoim dobrodziejem, bo i rzeczywiście w czasie wojny najlepsze w nich znajdował schronienie; kiedy wróg palił i łupił wsie i miasteczka, Mazurowi spokojnie i wesoło było w lasach. Toć miał tam całe państwo swoje, rozliczne gromady ptaków i pszczoły, a pszczoły w całym Mazowszu mają ojczyznę. Dodajmyż, oprócz rzek i lasów, urodzajność ziemi wielką, mnóstwo zboża i bydła, a przekonamy się, że mało gdzie tak kraj bogaty na świecie. Cała Polska schodziła się tu Wisłą na Mazowsze. Flisy na galarach wieźli z sandomierskiego i z krakowskiego najpiękniejszą pszenicę, z Litwy i z Rusi płynęły burty i komięgi ze zbożem, z drzewem i innemi towarami. Po Wiśle same stacje flisów bywały po

wielkich grodach mazowieckich, Warszawie i Płocku, droga zaś prosto prowadziła aż pod Gdańsk i na morze.

To zamożność i bogactwo kraju, a jakież wzamian tego razem i klęski! Na tej środkowej ziemi i za dawnych i za późniejszych czasów wszystkie zlatywały się wojny polskie. Były to na nieszczęście i wielkie wojny i częste. Kraj dziwów pełen i nierozjaśnionych tajemnic. W czasach przedhistorycznych nawet, już tutaj na mazowieckiej ziemi plemiona prowadziły ze sobą boje, tu ścierali się później Jadźwingowie, Prusowie, Litwini, Krzyżacy, różne plemiona lechickie, które prowadziła pod swoją chorągwią Polska. Tutaj później Szwed z Niemcem spotykali się z ludami północy.

Mazur silny, pracowity, wesoły na zabawie, na wojnie bitny, ziemię swoją kochał i chętnie za nią oddawał życie. Wszędzie i zawsze serdeczny w złej i dobrej przygodzie. Mazowiecka piosnka, mazowiecki taniec stał się narodowym pląsem całej Polski, a dzisiaj szeroko o nim i poza morzami wiedzą. Mazur nie był mściwym, to fałsz tylko rozrzucili o nim po świecie, że zawzięty. Tych plotek narobił sąsiad długo nieżyczliwy, Litwin, z którym się nieraz spotykał Mazur na Podlasiu. Prawda, że w bardzo dawnych czasach dał się ogromnie we znaki Prusom i Litwie, i to stąd różne o nim przez zemstę gawędy. Toć Mazur pierwszy z Lechitów był, co wyciągnął rękę, chociaż chrześcijanin ku pogańskiej Litwie. Książęta mazowieccy Piastowie, pierwsi się żenili z Trojdenównami, Kiejstutównami; toć książęta ci, a nie kto inny ukazali wielkiemu królowi Łokietkowi drogę do sojuszu całej Polski z Litwą, wyrażonego naprzód przez małżeński związek królewicza Kazimierza z Anną Aldoną. Czy przed zemstą zakonu szukać schronienia, czy przed wrogiem, czy w rodzinie, nigdzie, jak na Mazowszu, niema gdzie uchronić głowy książętom litewskim. A później Mazowsze i Mazury, to pierścienie ogniwa, po którym przez Kiej-

stuta, Witolda, Michała Zygmuntowicza, siostrę Władysława Jagiełły, Litwa coraz wyraźniej zaprzyjaźniała się z Polską.

Mazur był najdłużej niepodległy w Rzplitej. Wszystkie inne części kraju polskiego dawno się już zlały w jedną całość, w potężne państwo, tylko na Mazowszu jeszcze odrębne przechowywało się życie. Dlaczego to? Oto Polska cała szanowała Mazurów przez przywiązanie do krwi Piastów, którzy nad niemi panowali.

Mazur dojrzał do pojęcia całej Polski i pod tym względem wyprzedził o wiele trzy województwa pruskie z Rzplitej i Litwę. Te kraje nie mogły się oswoić z myślą utracenia pozorów jakiej takiej odrębności politycznej, tymczasem Mazurowie żądali uroczyście na sejmie elekcyjnym Henryka Walezego, żeby zniesiono ostatki ich udzielności, namiestnikostwo mazowieckie i porównano dawne księstwo warszawskie, w owej chwili województwo, z innemi województwami Korony. Na takie bohaterstwo patryjotyczne nie zdobyli się ani Prusacy polscy, ani Litwini.

W owej to epoce, po sejmie unji lubelskiej Mazurowie dalej odgrywali swoją historyczną rolę, tylko w innej formie, na rozleglejszą nierównie skalę. Dotąd zbliżali do siebie ziemie i plemiona, teraz, kiedy się wszystkie zlały w jedną Rzplitą, życie polskie rozszerzali po wszystkich kraju prowincjach. Wtedy życie narodowe w jednej tylko odzywało się szlachcie, bo takie było prawo nasze kardynalne. Kraj jaki, im więcej miał szlachty, tym samym więcej pokazywał polskiego życia. Nigdzie tak gęsto, jak na Mazowszu, nie rozsiadły się szlacheckie zaścianki, tu prawdziwie, można powiedzieć, herbami ziemię wybrukowano. Tej drobnej szlachty całe oddziały toczyły w bojach krew za ojczyznę. To w dobie wojny, a w dobie pokoju rozchodziła się ta drobna szlachta po całej Rzplitej, szukając chleba i przytułku, bo na rodzinnej zagrodzie licznemu gronu braci utrzymać się było trudno. Szła sługiwać po dworach, służyć wojskowo,

czasami uprawiać rolę, nabywać ziemię. Drobnej szlachty mazowieckiej dużo schłopiało na Rusi. Te wędrówki Mazurów na Ruś trwają od bardzo dawna, bo jeszcze Kazimierz Wielki sprowadzał ich za San, z przeludnionych okolic mazowieckich wyprowadzał ziemie na puste obszary Rusi halickiej, zniszczone przez Tatarów. Za Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego napływała do Polski ludność niemiecka, ale kiedy się kraj wzmógł w siołach, Mazurowie ten zbytek ludności swojej rozsyłali na wszystkie strony: za Jagiellonów—na Podlasie i Ruś Czerwoną, ale po sejmie lubelskim, szersze granice otworzyły się zacnemu wychodztwu. Toć kraj za Podgórzem Krakowskim osiedlony jest dziś Mazurami, toć po dzisiaj dzień nawet po lasach litewskich osiedli tak nazwani budnicy, pamiętają, że wyszli z Mazowsza, z dalekiej i ukochanej ojczyzny swojej.

Mazurowie zatym wszędzie są, całą Polskę oblecieli, wszystkie prowincje kraju krwią swoją zlutowali, narodowość polską rozprzestrzenili, zjednolicili Rzplitą. Ta wielka praca ludu mazowieckiego trwała całe wieki.

Wawel

przez Ambrożego Grabowskiego.

«Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
Nasza przeszłość w swoim łonie,
Jako stara sława płonie:
To jedź, bracie, do Krakowa!»
Wincenty Pol.

Z którejkolwiek strony zbliżysz się do Krakowa, ujrzysz wznoszące się nad miastem wzgórze, zwane Wawel, a na nim katedrę i starożytny zamek, niegdyś książąt i królów polskich siedlisko.

Niewiadomo, kiedy w tym miejscu pierwsza powstała osada. Starożytne podanie mówi, że Krakus, wódz Chrobatów, upodobał sobie ten obszerny i rzeką oblany wzgórek, z którego piękny dokoła roztacza się widok na urodzajną równinę i że tutaj na mieszkanie dla siebie zamek drewniany wystawił. W ciągu wielu wieków książęta i królowie polscy pierwotny zamek coraz bardziej rozprzestrzeniali i obwarowywali, aż

Wawel.

wreszcie z biegiem czasu, dla pomieszczenia coraz liczniejszego dworu, całą zabudowali górę.

Wielu władców mogło w świetniejszych przemieszkiwać gmachach i górować nad skromnym życiem królów naszych przepychem dworu, wytwornością sprzętów i zbytkiem stołu; lecz nie wiedzieć, czy który monarcha miał mieszkanie, odznaczające się piękniejszym położeniem, niż zamek krakowski.

Składał się on niegdyś z licznych i wielkich gmachów, a z rozległości swej raczej do miasta, niż do zamku był podobny. I teraz wznoszą się na Wawelu obok kościoła katedralnego i dawnego pałacu królewskiego liczne inne gmachy, które już później powstały. Mur, okalający niegdyś górę od strony południowej i zachodniej, już nie istnieje, tylko stoją baszty czyli wieże zadziwiającej wysokości, które służyły jako więzienia. Właściwy pałac królewski, zajmujący blizko trzecią część powierzchni Wawelu, tworzą gmachy o dwu piętrach, galerjami opasanych; stoją one w czworobok około obszernego dziedzińca, będącego w środku.

Z całego dawnego przepychu zamku krakowskiego utrzymał się bez uszkodzenia tylko kościół katedralny, świątynia najwspanialsza z kościołów krajowych, pobożnością monarchów wzniesiona i ozdobiona. Obejmuje ona 18 kaplic, w których się mieszczą wspaniałe grobowce i pomniki królów, niemniej pomniki, uwieczniające pamięć mężów sławnych dziełami cnoty, nauką lub walecznością.

Pośrodku kościoła wznosi się, jakby kościół w kościele, kaplica św. Stanisława, patrona Polski, okryta kopułą wyzłacaną, wspartą na bronzowych słupach. Na ołtarzu jej, w srebrnej trumnie, unoszonej przez aniołów, złożone są kości świętego biskupa.

Bywała ta katedra królom naszym kolebką ich chwały za życia, a teraz jest miejscem spoczynku ich popiołów. Wychodząc z rycerstwem na obronę granic, tu oni uzbrajali się błogosławieństwem niebios, a powracając, tu dawcy zwycięstwa składali dziękczynienia i znaki tryumfów na ścianach jej zawieszali.

Pod posadzką świątyni spoczywają prochy mnogich książąt i królów polskich, oraz ich rodzin; najbliżej wejścia leżą obok pogromcy Turków, Jana III, w marmurowych grobowcach śmiertelne ostatki Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. W r. 1890 złożono też w osobnej

krypcie zwłoki Adama Mickiewicza, największego naszego poety narodowego.

Równie ważnym i oglądania godnym jest skarbiec, w którym znajdują się szacowne pamiątki starożytne, jak ubrania kościelne, krzyże, kielichy i t. p. sadzone perłami i drogiemi kamieniami, przypominające dawną zamożność oraz pobożność książąt i biskupów, z których daru pochodzą.

Przy wielkich drzwiach kościelnych, wznoszą się dwie wieże, a trzecia obok zakrystji. Na tej znajduje się dzwon największy w Polsce, zwany Zygmuntem. Ma on blizko osiem metrów w obwodzie, a do poruszenia go ośmiu silnych ludzi potrzeba. Majestatyczne, donośne jego brzmienie rozlewa wdzięczną i dla słuchu wielce miłą harmonję nad całym miastem i dalszą okolicą.

Sławna w dziejach bajecznych Polski „Smocza jama" w skalistym łonie Wawelu ręką przyrody wydrążona, znajduje się od jego strony zachodniej, t. j. od Wisły. Wejść do niej można po drewnianych schodach. Jest ona zupełnie sucha, ma kilkadziesiąt kroków długości i znaczną zajmuje przestrzeń.

I tak co krok niemal napotkasz tu na jakąś szacowną sercu drogą pamiątkę; Kraków bowiem, a w szczególności Wawel jest tym dla Polaków, czym Rzym dla świata.

Dzwon wawelski

przez Edmunda Wasilewskiego

I.

Onego czasu król dzwon kazał ulać
I wybudował mu wieżę wysoką.
A król potężny miał sławę szeroką —
Chciał by swobodnie i dzwon mógł pohulać:

Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By większe echo aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił
I w twarz północy dzwonił jego chwałą!
I dzwon ulany, na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu:
I wylał z siebie w przepaści błękitu
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę w pełnych, brzmiących kołach
I wstęgę dźwięków jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po gór chmurnych czołach
I do stóp Boga zapłynął!
A od imienia króla mu nadano
Na tym chrzcie „Zygmunta" miano.

II.

Słyszycie? — w Zygmunta dzwonią!
Powietrze wstrząsły rozdźwięki,
I ciężkie poważne jęki
Falami Wisły się gonią
W miedziane dachy uderzą,
Walą się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą.
A huk się wzmaga — podrasta,
Drżący wzlatuje nad wieżą
I w czarnej chmury uścisku
Pochwalne pieśni brzmi niebu,
Czy smutne psalmy pogrzebu?
Czy straszne krzyki ucisku?
. . . . . .

Słuchałem długo wieczorem;
Duch mój tak wsłuchał się cały,
Że dźwięków tych rozhoworem
Dziwne w nim pieśni zagrały:
To się w przeszłości zagłębił,
To w blasku słońca zapalał,
Szumami wichru rozszalał
I w chłodach grobów zaziębił.

A dzwon mi mówił powieści,
Jak wiele razy w przeszłości
Brzmiał rozgłosami wielkości,
Tryumfu, wesela, chwały!
I takim jękiem boleści,
Że go dwa morza słyszały! —
Słuchałem dzwonu — i na przemiany
To się płoniłem — to bladłem;
Potok przeszłości płynął wezbrany
Przed mojej duszy zwierciadłem.
Jak w zachwyceniu — jak w śnie proroka,
Jasne obrazy — miłe rozgłosy
Tak się cisnęły do ucha, oka,
Spadały w duszę kroplami rosy — —
Że odświeżona z tęsknoty pleśni,
Z przeszłości, jakby z pajęczych tkanek,
Snuła nić dźwięków, wiązała w pieśni,
Jak kwiaty w wonny błyszczący wianek.

Księstwo pruskie

przez J. Mycielskiego.

Obfitym w walne polityczne skutki był dla Jagiellońskiej monarchji „wieczysty pokój", zawarty w Toruniu 1466 roku. Odzyskała nim Polska wszystkie w wieku XIII i XIV na rzecz Zakonu utracone bogate krainy — zbliżała się nareszcie do morza, które ją z Zachodem łączyło, które musiało handel jej, przemysł i bogactwa pomnażać, zyskiwała ujścia Wisły, tak bardzo dla handlu tego pożądane, pozbywała się nakoniec długoletniej wojny, wiszącej, jak miecz Damoklesa, nad jej zachodniemi prowincjami, a szerzącej na ich granicach przez dwa wieki blizko mord i pożogę. Zyskując pod swe bezpośrednie rządy dawniej utracone kraje pruskie zachodnie, stając się zwierzchnikiem bogatego biskupstwa Warmińskiego, wchodziło zarazem państwo polskie

w lenny stosunek z pokonanym przez siebie Zakonem, którego wielcy mistrzowie hołd poddaństwa składać mu byli winni.

Tak w Zakonie jednak, który powoli znów do sił przychodził, jak i w pokrewnych mu Niemczech, poczęto z czasem starać się o możliwość uwolnienia się od zależności polskiej, poczęto myśleć o uratowaniu, bądź co bądź dawnej, wschodniej zdobyczy giermanizmu.

Jako jeden ze skutków tych starań występuje w roku 1511 wybór siostrzeńca króla polskiego Albrechta Brandenburskiego na wielkiego mistrza Zakonu. Dopuszczenie do tego wyboru, na który mógł i Zygmunt swój wpływ niezawodnie wywrzeć, było błędem z polskiej strony. Albrecht, przyjmując ofiarowaną sobie godność, wymógł na cesarzu obietnicę wspierania jego i Zakonu przeciw Polsce wszelkiemi środkami i drogami, a pozatym we włóczędze swej po Niemczech wszędzie wyżebrywał pomocy dyplomatycznej, by uwolnić się od hołdu Polsce winnego.

Reformacja, szerząca się już wówczas znacznie i w Prusiech królewskich, na zakonnym terytorjum także zwolna robiła postępy; zeświecczenie i demoralizacja wyrodzonych rycerskich mnichów walną tu jej były podporą. Gdy też z rokiem 1525 skończył się rozejm Polski z Prusami, i gdy wskutek niedoszłych starań arbitrów popularna w Polsce wojna z Zakonem nad ogołoconym z wszelkich materjalnych zasobów mistrzem wisiała, — zjawiła się po raz pierwszy jawnie myśl sekularyzacji i hołdu Albrechta jako świeckiego księcia. Układy pełnomocników wielkiego mistrza z polskiemi urzędnikami toczą się naprzód w Krakowie, potym w Bytomiu, nareszcie przychodzi do zgody, a wynikiem ich staje się uznanie Albrechta świeckim pruskim księciem przez Polskę i hołd zlutrzałego ex-mnicha Zygmuntowi, w Krakowie w dniu 10-go kwietnia w poniedziałek po palmowej niedzieli wykonany. Księstwo zostawało lennem Polski, a król obie-

cywał płacić swemu siostrzeńcowi, który w senacie polskim obok niego na pierwszym zasiadał miejscu, pensję dożywotnią w kwocie 4000 zł.

Król, który myślał niezawodnie o ostatecznym podbiciu Zakonu i o zagarnięciu zupełnym ziemi pruskiej, miał zrazu wielkie bezwątpienia uczucie wstydu z tego, co się stało, z czasem zaś i poczucie popełnionej winy. Wiedział, że się nie stało to, co się stać było powinno, gdy pisząc do swego posła na dworze hiszpańskim i tłomacząc fakt sekularyzacji dodawał, „iż nadużył obecnego stanu zepsutych tych czasów na korzyść pokoju, skoro sprawa żadnym innym sposobem przeprowadzoną być nie mogła.” Sąd narodu całego o fakcie zbadać się dziś nie da; zdaje się jednak, że korzystnym on być nie musiał, zważywszy choćby tylko wielki zapał do wojny z Prusami w całym społeczeństwie pod koniec r. 1524 i chęć zakończenia sprawy ostrzem oręża, zakończenia, do którego nie przyszło, a któremu całkiem przeciwne z rokiem 1525 dyplomaci polscy narodowi pokazali. I w łonie senatu miał fakt sekularyzacji wielu przeciwników, głosujących za wojną. Sekularyzacja Prus była istotnie fałszywym krokiem przez Polskę uczynionym i miała głębokie znaczenie w samych swych ujemnych stronach współcześnie i na przyszłość.

Polska mogła była stale i trwale połączyć ze sobą bogaty kraj nadmorski, połączyć w sposób stosunkowo łatwy, za pomocą krótkiej niezawodnie wojny z wycieńczonym i wyrodzonym Zakonem, którego wówczas nikt nie byłby wspierał. Pozyskanie pod bezpośrednie rządy nowej tej prowincji niezliczone mogło przynieść korzyści. Łączyło ono Polskę całym długim wybrzeża pasem z morzem, mogło wskutek tego wzrost handlu polskiego w miastach nadmorskich pruskich pociągnąć za sobą—mogło może nawet z czasem i siłę morską wytworzyć, na której państwu zawsze zbywało. Ustępując Prus książęcych, traciła Polska te wszystkie korzyści

odrazu, popierała sama niejako wpływ dalszy giermanizmu w jego wschodniej kolonji, oddawała nabyte nie tak dawno Prusy królewskie na pastwę niebezpiecznego wpływu niemieckiego, który je obejmował, jak w kleszcze, działając przez dwie nań ściany od wschodu i od zachodu.

Wrażenie, jakie fakt sekularyzacji Prus w ówczesnym świecie europejskim wywołał, było najgorsze i stało się powodem znacznego obniżenia Polski wobec całego katolickiego zachodu. Powaga króla Zygmunta I była wielką na zachodzie, Francja nieraz proponowała mu przymierze w swej walce z Habsburgami, państwo jego uchodziło za przedmurze przed potęgą turecką i wzrastającym w siły państwem moskiewskim. Sam Zygmunt także wiedział o tym swoim poważnym stanowisku, czuł się moralnie wyższym od współczesnych mu europejskich monarchów — to było niezawodnie jednym z powodów licznych jego medjacji w sprawach europejskich.

Przez sekularyzację tracił król i państwo jego tę powagę w oczach całego niemal zachodu. I nic też dziwnego, że traciło na powadze państwo, które, gdy Europa cała na wielkie wojny wysilać się była w stanie, przekładało nad dobycie oręża krótkowidzącą politykę zgody, poświęcało wielkie polityczne korzyści miłemu pokojowi i owemu „jakoś to będzie” przyszłości. Król o czystym dotąd, jak łza, uczuciu moralnym, zamykał oczy niejako przed publicznym krzywoprzysięstwem, jakiego się w obecności jego otwarcie nowy wasal dopuszczał. Nie widział, że odbierając hołd i przysięgę lennej wierności od swego zdyskredytowanego wszędzie siostrzeńca, sankcjonował przez to złamanie przezeń przysięgi innej, wykonanej władzy wyższej od jego królewskiej doczesnej—władzy kościoła. Król, jak widzieliśmy już, czuł niezawodnie co uczynił, i wstydził się tego; świetne otoczenie jego może się także wstydziło, choć tego starało się nie dać poznać po sobie. Zygmunt żałował swego kroku tym-

bardziej, że w dodatku sam doświadczał niewdzięczności swego siostrzeńca o coraz to większe prerogatywy w państwie się dopominającego—krok ten fałszywy miał niebawem cały szereg dalszych magnetycznie niemal pociągnąć. Te w części mogli byli i powinni dyplomaci polscy pierwszej ćwierci wieku XVI obliczyć i osądzić, jak je sądził młody jeszcze podówczas sekretarz królewski, a późniejszy wielki książę kościoła polskiego, Hozyusz, gdy łaciński wiersz swój o sekularyzacji kończył ostrożną do czytelnika apostrofą:

„Lecz bodaj myśl twa w rzecz wejrzeć umiała,
„Zrozumiesz, jak się owa sprawa stała.”

Gospodarka królowej Bony

przez Kazimierza Pułaskiego.

Żadna z królowych w Polsce nie wywierała tak przeważnych wpływów na sprawy, szczególnie wewnętrzne w kraju, jak druga żona Zygmunta I Bona, pochodząca ze znakomitego rodu włoskiego Sforzów. Imię to, znaczące tyle co „dobra”, nie odpowiadało przecież charakterowi. Gwałtowność usposobienia, chciwość, przebiegłość, żądza władzy, nieprzeliczenie w środkach: oto główne cechy charakteru królowej Bony. Nie miała też ona miru wśród szlachty, ale nagradzała sobie tę niechęć i umiała wyminąć następstwa owej nieżyczliwości zacniejszych i wpływowszych postaci w kraju, grupując około siebie grono stronników pozyskanych umiejętnym szafowaniem najrozmaitszych przywilejów, które za jej wolą z kancelarji królewskiej były wydawane. Znienawidzona przez wielu, przez kraj niemal cały, rozsławiona wskutek zajść rodzinnych tak dalece, że przypisywano jej nawet śmierć niemiłych sobie synowych, Bona nie ustępowała przecież nikomu, szczególnie za życia jeszcze Zygmunta I, który

pod koniec, przyciśnięty wiekiem, nie był w stanie ograniczyć jej działalności i zostawiał żonie coraz szerszy zakres wpływów otwartych i pokątnych. Śmierć króla przerwała nagle tę wszechpotęgę królowej Bony, która odtąd panowała tylko na swych dzierżawach tak wielkich, że zebrane razem przeniosłyby ze sto razy owo księstwo barskie we Włoszech, które w swoim czasie tyle wrzawy narobiło. Bona dużo złego zrządziła Polsce, wnosząc do kraju niemało obyczajów z dawna cechujących wytworne, lecz w najwyższym stopniu niemoralne dwory włoskie XVI wieku. Nie wszystko jednak zaszczepić się dało na gruncie polskim. Sam nawet Zygmunt August, choć przez nią chowany, nie w sposób sarmacki, lecz miękko i zniewieściale, nie dał się jednak przerobić całkiem na krój włoski, zachowując w pamięci rzeczywiste ówczesnej Polski zadanie.

Nie spotkać też na tronie polskim królowej, któraby tak zawzięcie i tak upornie dobijała się osobistych zysków, coraz to większych posiadłości. Chciwość Bony była bez granic, łatwo też przychodziło jej wyrabiać sobie u króla coraz to nowe zapisy, oprawy, przekazy, dzierżawy i t. p. Spekulowała też bezustannie, jedne sprzedawała, drugie nabywała posiadłości, mieniała mniej korzystne na intratniejsze, zaokrąglając w ten sposób swe dzierżawy.

Zadziwiającym jest, iż Włoszka przywieziona do kraju zupełnie dla niej obcego, nie znająca ani języka, ani zwyczajów i obyczajów, ani stosunków miejscowych, tak umiejętnie potrafiła się rządzić i tak zręcznie administrować posiadłości tak rozległe. Wprawdzie nie odrazu rozwinęła Bona tak świetną i korzystną gospodarkę; nie odrazu też była panią tak obszernych dzierżaw. Lat nie mało potrzeba było, aby ściągnąć w swe ręce równie rozległy zarząd. Powoli też, stopniowo, wyrastały jej włości i przyznać należy, że wszędzie przykładny był ład i porządek; miasta się podnosiły, ziemie puste zaludniały, dobrobyt kwitnął; zamki nawet

budowała Bona, szczególnie na kresach, dając z siebie przykład gorliwej staranności o zwiększenie środków obrony krajowej.

Niepospolitych bez zaprzeczenia zdolności w każdym kierunku, królowa Bona wielkie oddać mogła usługi krajowi,

Królowa Bona.

gdyby z tym krajem więcej zespoloną była sercem, gdyby zamiast dumy, chciwości, samolubstwa i samowoli, dawała przystęp szlachetniejszym uczuciom. Strat innej natury, zrządzonych Polsce przez Bonę, nagrodzić nie mógł ów chwilowy postęp niektórych miejscowości. W każdym jednak razie

uderzyć on musi w oczy, gdy bliżej wglądniemy w gospodarkę jej obszernych i rozległych dzierżaw. Na Rusi szczególnie pozostawiła Bona dużo śladów gorliwej staranności o ziemie i ludność jej pieczy powierzoną, to też pod tym względem oddać należy sprawiedliwość, że w Polsce współczesnej nikt lepiej od Bony nie rządził się na starostwach i królewszczyznach. Nierzadko się zdarzało, iż inni dzierżawcy, zdając włości, które trzymali, oddawali je w najsmutniejszym stanie zniszczone. Co więcej, sami dzierżawcy lub ich namiestnicy nadużywali swej władzy, wymijając prawo i przyjęte zobowiązania w stosunkach swych z ludnością miast i włości, stąd ciągłe skargi, zażalenia i komisje. W dzierżawach królowej Bony nic takiego nie widzimy. Przeciwnie, rozporządzenia jej i ustawy, lub też pod jej wpływem wydawane przywileje królewskie, mają na celu zapewnienie dobrobytu i spokoju wszystkim klasom ludności, a namiestnicy z jej ramienia ustanawiani nie dają nigdzie powodu do skarg lub nieporządków.

Skrzętnie i zapobiegliwie gromadziła Bona grosz polski, aby potym, po trzydziestu ośmiu latach swej gospodarki w Polsce, wywieźć ogromne skarby w kraje „zamorskie". Ów wyjazd Bony stał się „wielką sprawą", bo nie chciano zrazu wypuścić z kraju tak znacznych funduszów, bogactw tak wielkich. Ileż bo to zaciężnych pułków opłacićby można było skarbami, które zapobiegliwa Włoszka wywoziła z Polski, ilu zapobiec nieporządkom, wynikającym z niedostatku pieniędzy? Dwadzieścia cztery poszóstnych wozów naładowanych złotem, srebrem i klejnotami, wiozło w ślad za królową owe skarby nieprzebrane. Za Wiedniem w górach dzisiejszego Semmeringu, nowy trakt kuto w skałach, aby wozy te bezpiecznie iść mogły. O skarbach wywiezionych naówczas, przechowały się aż dotąd podania narodowe. Wyrażenie „sumy neapolitańskie" dotąd jeszcze oznacza u nas maximum bogactw i skarbów; a przecież owa pożycz-

ka, udzielona przez Bonę Filipowi II, była tylko drobną zaledwie cząstką uciułanych w Polsce skarbów. Dało to początek usilnym zabiegom Zygmunta Augusta i dalszych królów o spadek po królowej Bonie: daremnie jednak rozprawiano na sejmach o owych sumach neapolitańskich aż do ostatnich lat Rrzeczypospolitej, daremnie przez półtrzecia wieku czyniono wszelkie zabiegi dyplomatyczne i zużywano najzdolniejsze talenty w licznych poselstwach dla odebrania sum owych, które zaginęły bezpowrotnie. Oprócz wiadomej pożyczki królowej Bony, pozostałe skarby rozdzielili między siebie truciciele Bony i fałszerze jej testamentu. Pepagoda hojnie opłacać musiał wspólników, bo ze śmiercią królowej i śladu nie zostało ani jej klejnotów, ani sum pieniężnych. Pracowała więc Bona przez lat tyle, używała wszelkich godziwych i niegodziwych środków dla zrealizowania jak największych bogactw, aby potym stać się ofiarą chciwości własnych swoich powierników. Taki koniec sprowadziło uczucie, albo raczej namiętność, której przez całe życie hołdowała.

Połączenie się Litwy z Polską

przez Wandalina Szukiewicza.

W dziejach ludzkości mało znamy przykładów takich związków, w utworzeniu których grałyby rolę względy nie wyłącznie politycznej lub ekonomicznej natury. To też zawsze były i pozostaną wzorem jasności niezrównanej, dowodem wyższości ducha nad przemocą takie związki dobrowolne, jak szwajcarski i polsko-litewski. W związku drugim z początku przeważały względy polityczne, z czasem jednak, gdy stosunki się ułożyły, gdy zaszło powinowactwo dusz, nie targane żadnym działaniem, mającym na celu wywalczenie przewagi jednych nad drugiemi, związek ten przeszedł w czy-

sto duchowy, utrzymywany następnie nietylko w dni powodzenia i chwały, lecz także w czasach klęsk i upadku.

Początki, jak również istota tego związku, wypływają z warunków gieograficznych i politycznych obu narodów, oraz tej ich doli wspólnej, która zmusiła do wytężania wszystkich sił w walce z zalewem giermanizmu. Ta to walka nie pozwoliła Litwie rozwinąć się w samoistny silny ustrój społeczny. Przyparta — można rzec — jak do muru, do Bałtyku przez rozwijające się w lepszych warunkach narody słowiańskie, długie wieki żyła w odosobnieniu zapomniana od świata, skupiona w sobie. Dopiero chciwość niemiecka, rzucająca się na dziewicze ziemie Litwinów, obudziła ich z drzemki wiekowej, wysunęła na widownię dziejową. Lecz niestety, w walce, jaka powstała o każdą piędź ziemi przed najazdem wrogów, straciła Litwa swoje najlepsze siły: Prusowie zostali wycięci w pień, Łotwa jęczała pod panowaniem Kawalerów Mieczowych—została więc tylko część Litwy nadniemeńska, słaba, uboga, nękana ze wszech stron. To rozstrzygnęło o jej losach. Nie mając podstaw, na których dałyby się oprzeć szersze plany organizacji państwowej w duchu narodowym, musiała z konieczności zwracać wzrok tam, skąd mogła oczekiwać poparcia. Była to konieczność, chodziło tylko o wybór. Czy mógł on być innym, niż ten, jaki uczyniła Litwa? Warunki ówczesne odpowiadają, że nie. O zbliżeniu się do Niemców i mowy być nie mogło. Przez tyle wieków gnębiła Litwę przemoc Krzyżaków, że wszystko, co tylko pochodziło od nich, uważane było za wrogie, za zgubne.

Plany Krzyżaków zanadto zresztą były widoczne, ażeby mogły kogokolwiek w błąd wprowadzić. Nie ukrywali się oni wcale z zamiarami zagarnięcia ziem i zgiermanizowania lub wytępienia ludności. Dążyli do tego z całą brutalnością i zaciekłością. Tymczasem zaś, mając ujścia rzek litewskich w swym ręku, wyciskali z Litwy co mogli, doprowadzając kraj przez nasyłanych handlarzy do nędzy ostatecznej.

Kronikarze zaświadczają zgodnie, że zwłaszcza w wieku XIV nędza doszła tu do takich granic, iż ludność zmuszoną była tłumnie wychodzić z kraju. Wszelkie przeto stosunki z Niemcami mogły tylko wyjść na zgubę Litwie.

Sąsiednia Ruś nie przedstawiała dla Litwy żadnego oparcia. Rozdrobiona na słabe, warcholące się z sobą państewka, stała się wprawdzie łatwym łupem Litwy, lecz zarazem i wielkim dla niej ciężarem. Jakkolwiek bowiem pod przewodnictwem swoich książąt rozwinęła Litwa niesłychaną potęgę, to jednak długo w tym napięciu trwać nie mogła. Za mało miała sił do utrzymania w ryzach dążności autonomicznych Rusi, za mało kultury, ażeby narzucić jej swoją przewagę. Co więcej, Ruś litewska miała niebezpiecznych sąsiadów: z jednej strony Tatarzy przecięli jej handel i wszelkie zgoła stosunki ze wschodem, grożąc co chwila zalewem, z drugiej znów Moskwa, rojąc szerokie plany na przyszłość, ścierała się na każdym kroku o wpływy z Litwą. Chcąc przeto być samoistną i utrzymać nadto swoje zdobycze, Litwa musiała rozwinąć olbrzymie siły, walczyć na trzy fronty: z Niemcami, Tatarami i Moskwą — a tego zdziałać nie mogła. Gienjusz Giedymina, Olgierda i Witolda potrafił wprawdzie wykrzesać z narodu swego potęgę niebywałą, lecz tenże gienjusz przewidywał snać, że skoro wielkich przewódców zbraknie, upadnie wraz z niemi tak świetnie zapoczątkowane dzieło, bo naród w nędzy, ciemnocie i niewolnictwie żyjący, dalej prowadzić go nie zdoła, a co gorzej, ulegnie przemocy czyhających na Litwę sąsiadów. Te względy zniewoliły niejako Litwę do przyjęcia wyciągniętej ku niej przez Polskę ręki, a następnie do szukania trwalszego z nią sojuszu.

Z początku związek miał cechę unji osobistej, jako ufundowany na małżeństwie Jagiełły z Jadwigą, nie przedstawiał więc wielkiej rękojmi trwałości. Owszem, luźność jego zaznaczyła się nawet odrazu przy zatargach, wszczętych między Witoldem a Jagiełłą. A jednak, kto wniknął głębiej

w treść tego wiekopomnego faktu, ten odnalazł w nim myśl wyższą nad poziom pojęć ówczesnych, ten zrozumiał, że związek małżeński panujących był tylko narzędziem, wcielającym tę myśl w rzeczywistość.

Pojął wszystkie korzyści, jakie mogły spłynąć na Litwę z zapoczątkowanego związku największy z rodu Giedymina i najgienjalniejszy z mężów ówczesnych, w. ks. Witold. Był on z krwi i kości Litwinem, kochał swój kraj gorąco i pragnął wywyższenia go ponad wszystkie potęgi świata. Dążył do tego ideału z nieugiętą energją, obliczając naprzód każdy krok swego przedsięwzięcia. I tu wielki mąż, ta chluba Litwy, przecież za podstawę swego działania wziął ścisły sojusz z Polską. Czy był do tego zmuszonym? Wcale nie. Był czas, że Witold, gdyby myślał tylko o sobie, o wywyższeniu swego rodu, nie zaś o dobru Litwy — mógł wstąpić bezpiecznie na inną drogę. Chytry i przeniewierczy Zygmunt Luxemburczyk obiecał mu przecież koronę królewską, za cenę zerwania z Polską, a jednak nie skusił go, nie odwiódł od powziętych zamiarów. Rozum polityczny Witolda obejmował szersze widoki nad ciasne zadowolenie wygórowanych ambicji. Pragnął on, ażeby Litwa była potężna, nie tą siłą pozorną, wykazującą się w ilości zbrojnego ludu, lecz siłą kultury, któraby jej dała poczesne miejsce wśród ludów Europy. Nie zadawalniał się tytułem despoty wschodniego, któryby mu łatwo było osiągnąć, chciał, owszem, panować nad ludem swobodnym i szczęśliwym. Te jego pragnienia ujawniły się potwierdzeniem unji małżeńskiej, a następnie jeszcze raz unją obu narodów, zawartą w Horodle w roku 1413.

Wiekopomny ten akt skierowany był głównie ku podniesieniu kulturalnego poziomu Litwy, zrównaniu jej w tym względzie z Polską. Spotykamy tu więc następujące uchwały: 1-o uwolnienie ludu z niewolnictwa, udzielenie mu praw publicznych; 2-o nadanie bojarom litewskim praw, jakie przy-

sługiwały szlachcie polskiej; 3-o zaprowadzenie na Litwie polskiej organizacji urzędów państwowych; 4-o zobowiązanie ziem litewsko-ruskich do wierności Witoldowi i Jagielle, jako współwładcom państw zjednoczonych; 5-o zobowiązanie się Polaków i Litwinów do obierania przyszłych władców, za zgodą obu narodów i t. d. i t. d. Dla tym silniejszego związku rody szlacheckie polskie zbratały się z litewskiemi,

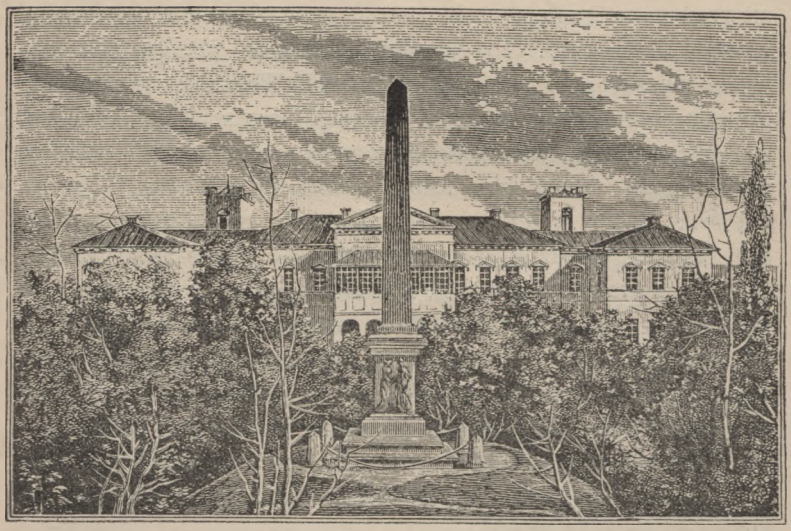

Pomnik Unji Lubelskiej w Lublinie.

przyjmując ich do pokrewieństwa, herbu i nazwiska. W ten sposób węzeł braterstwa krwi, zadzierzgnięty przez Litwę, Ruś i Polskę na polach Grunwaldu, otrzymał tu swe zatwierdzenie w oczach Europy całej.

Wprawdzie nie odrazu stosunki się ułożyły, owszem, naprężały się czasem tak dalece, że już groziły zerwaniem. Dało się to zauważyć zwłaszcza wówczas, gdy Jagiełło w pierwszych latach swego panowania w Polsce zaniedbywał

interesy litewskie, a Witolda chciał widzieć swym lennikiem. Ale były to nieporozumienia, które nie wpłynęły ujemnie na przebieg całej sprawy zjednoczenia.

Nie można powiedzieć, aby Witold nigdy nie żywił pragnień zupełnej odrębności Litwy. Owszem, przed bitwą nad Worsklą, marzyło mu się olbrzymie państwo litewsko-ruskie, ale i w tym razie nie chciał on ostatecznie zrywać stosunków przyjaznych z Polską, uważając ją zawsze za sprzymierzeńca w walkach z Zakonem i za pośrednika pomiędzy Litwą i Zachodem. Po upadku szerokich planów Witoldowych, zniszczonych przez pogrom nad Worsklą, zwrócił się on całą duszą znów do swej dawnej przyjaciółki. Plan się zmienił: gdy się nie udało stworzyć olbrzymiego państwa wschodniego, trzeba było znów oprzeć się o Polskę, bo przez nią tylko Litwa mogła się ucywilizować, czego gorąco pragnął Witold. Widział jego gienjusz te pierwiastki dobra, tkwiące w duszy polskiej, objawiające się w każdym jej postępowaniu szczerym i otwartym, widział ową wolnomyślność wysoką, jak na owe czasy, która przemówiła przez usta wysłańca Polski na sobór do Konstancji, rektora akademji krakowskiej Pawła, potępieniem gwałtów, czynionych nad poganami, widział i rozumiał to wszystko i wybrał kulturę polską ponad inne i dla niej ustąpił nawet w części ze swoich popędów despotycznych.

Jakkolwiek Witolda należy uważać za głównego działacza w sprawie unji Litwy z Polską, to jednak myliłby się ten, ktoby sądził, że społeczeństwa nie brały w tym żadnego udziału. Przeciwnie, ogół interesował się unją bardzo i popierał dążenia Witolda z całych sił. Bojarom uśmiechało się posiadanie praw, jakie przysługiwały szlachcie polskiej, a które zostały im zapewnione w Horodle; lud był zadowolony, że przyznano mu prawa człowieka, znosząc niewolnictwo—jednym tylko książętom dzielnicowym nie uśmiechała się unja, gdyż stawała ona w poprzek ich uroszcze-

niom do udzielności i ograniczała samowolę przez nadanie praw narodowi. To też oni tylko byli przeciwnikami zjednoczenia. Wogóle Litwa cała przylgnęła, rzec można, do kultury polskiej, bo nie widziała poza nią zamaskowanej onej siły brutalnej, któraby ją mogła straszyć wynarodowieniem.

Dowodem najlepszym, że idea unji nie była zjawiskiem przemijającym, zależnym — jak traktaty zawierane między obcemi mocarstwami — od potrzeb chwili, jest ten fakt, że przetrwała ona swoich twórców i w dalszym ciągu rozwijała się, aż nareszcie jeszcze raz została potwierdzoną ostatecznie przez wspaniały akt w Lublinie. Została potwierdzoną wreszcie całym szeregiem czynów wspólnie podjętych, wspólną dolą i niedolą przecierpianą w ciągu wieków całych, krwią przelaną w obronie wspólnych świętych praw, braterstwem dusz obu narodów.

W ten sposób wielka myśl, rzucona przez grono panów małopolskich, a podjęta przez dwór wielkoksiążęcy w Wilnie, przyjęła się na podatnym gruncie i wykwitła wspaniale w jedności kulturalnej trzech narodów. Historja postawiła ten akt na wyżynie ideałów ludzkości, jako nie znajdujący w dziejach równoznacznego przykładu. Wprawdzie z owoców unji w przyszłości miała korzystać przeważnie Polska, ale nie doszła ona do tego drogą gwałtu, jeno ową wyższością serdeczną, która jedna dusze ludzkie i przywiązuje do siebie węzły nierozerwalnemi.

Zygmunt August

podług Seweryna Gołębiowskiego.

Wśród najpiękniejszych postaci naszych dziejów jaśnieje Zygmunt August. Z dziejami ostatniego z Jagiellonów związany jest ściśle największy, najwspanialszy moment na-

szej historji: dobrowolne połączenie się węzłem unji dwuch państw i dwuch narodów, Polski i Litwy. To wielkie zdarzenie, które na całej historji naszego narodu kładzie nigdy nie zmazaną aureolę chwały, jest dziełem Zygmunta, plonem jego osobistych, długoletnich wytrwałych zabiegów. W przeprowadzeniu unji okazał się on nietylko monarchą miłującym swoje narody i dbałym o ich szczęście, ale i mężem politycznym wielkiej miary. Doprowadzenie do skutku unji stawia Zygmunta w rzędzie posągowych postaci dziejów.

Tym dziwniejsze to, że całe wychowanie króla nie zdawało się wróżyć nic dobrego. Zamiast, żeby młody królewicz miał hartować się na głód, niewygody, sypiać na twardej ziemi, uczyć się wojennego rzemiosła i trudnej sztuki rządzenia, przestawać z dzielnemi ludźmi, on sypiał na miękkich pierzynach, jadał łakocie, uczył się tańców i muzyki, do 16-go roku życia mieszkał przy matce między kobietami, które o ieściły i psuły.

Polakom trzeba było króla wojaka, bo Polska to kraj otwarty. Panowie i rycerstwo kilkakrotnie na sejmach prosili starego króla, żeby więcej dbał o wychowanie syna, przyszłego króla wielkiego narodu — a gdy prośby nie pomagały, w r. 1535 odebrali Zygmunta Augusta od matki i dali mu za ochmistrza Piotra Opalińskiego. Już było zapóźno—niepodobna już było naprawić tego, co matka w przeciągu lat 15-tu zepsuła.

To też prawnuk Jagiełły nie był królem wojennego ducha, kochał się raczej w naukach i sztukach pięknych, przytym jednak odznaczał się wielką sumiennością w pełnieniu swoich obowiązków monarszych, a w sprawach państwowych był niespracowany.

Lękał się każdego śmiałego kroku, długo wahał się i odkładał, i dlatego nazywano go królem dojutrkiem. Nieskory do namysłu, był zacięty w raz obranym zdaniu. W traktowaniu ostrożny, dawał obojętne albo dwuznaczne odpowie-

Zygmunt August (z miedziorytu 1554 Virgiliusa Solis).

dzi. Znał dość dobrze obce kraje, doskonale własny naród. Mówił, że zna Polaków i więcej u nich może jednym uchyleniem czapki, niż drudzy królowie u swoich poddanych

strachem i groźbą. Wymowy był takiej, że mało kto mógł mu dorównać w języku ojczystym, który całym sercem ukochał. Po łacinie, po włosku, po niemiecku mówił z wielką łatwością, ruskiego pisma nie umiał. Znał gieometrję, o magję i alchemję z ciekawością się wypytywał, w muzyce dziwnie się kochał. Na dworze miał znakomitych artystów, a przecież z zajęciem słuchał śpiewu chłopskich dumek. Dzielił przesądy wieku, wierzył w czary i naukę gwiazdarską. Mistrz Proboszczowicz, astrolog, miał u króla wielkie zachowanie. Za jego radą kilka razy podróż zmieniał i wesele z Katarzyną odkładał.

Posądzono go, że sprzyja nowym wyobrażeniom o wierze. Rzeczywiście, w jego towarzystwie można było spotkać ludzi różnych wyznań; powiadał, że to wszystko jeden Bóg i jedna wiara. Sam zachowywał jednak naukę kościoła katolickiego.

Sprowadzał zdatnych cudzoziemców—artylerzystów, rzeźbiarzy, jubilerów. W „strzelbę" się fundował, lał działa w Wilnie i we Lwowie; z wileńskiej ludwisarni opatrywał zamki litewskie i ruskie. Budował zamki i dwory. Trzymał stada koni, a dla polepszenia polskiej rasy sprowadzał konie ze wschodu, z Hiszpanji, z Neapolu i z Mantuy. Do koni miał takie przywiązanie, że to była rzecz niesłychana, żeby komu konia darował. Na klejnoty tracił wiele pieniędzy, a jednak szkatuły królewskie były pełne, a sreber, prócz używalnych, leżało w skarbcu 5000 funtów, między niemi naczynia misternej roboty.

Sposób życia Zygmunta Augusta różnił się od przyjętego powszechnie. Zimą wstawał koło godziny trzeciej zrana, latem o drugiej—jadał obiad przed ósmą, wieczerzę o czwartej — kładł się spać o siódmej. Mało jadał, nie pijał piwa, ale dosyć często małym kieliszkiem stare węgierskie wino. Jadał zwyczajnie sam jeden, wyjąwszy na polowaniu, albo na ucztach. Za młodu miał wielkie upodobanie w myśliw-

stwie i jeżdżeniu konno, osłabienie i podagra przykuły go do miejsca. Miał też upodobanie w świetnym stroju — od śmierci jednak Barbary nosił odzienie długie i czarne, przesiadywał w pokojach kirem obitych.

Zygmunt August miał słabości, ale przed sądem potomności okupił je wielkiemi cnotami. Nie pamiętał urazy, krzywdy ludzkiej na sumieniu nie nosił, nie chwytał się gwałtownych środków dla utrzymania swej powagi, a nadewszystko kochał całą duszą swój naród i swoją ziemię.

Reformacja w Polsce

podług Teodora Wierzbowskiego i W. Zakrzewskiego.

Pierwsze objawy reformacji zauważyć można w Polsce w połowie panowania Zygmunta Starego. Zaledwie rozległ się z Witembergi głos nieznanego dotąd zakonnika przeciw nadużyciom w łonie ówczesnego kościoła katolickiego, znalazł on uznanie i oddźwięk także w Rzeczypospolitej, podobnie, jak w wielu innych krajach. Drogę do Polski utorowało nowościom, czyli, jak je nazywano nowinkom religijnym przedewszystkim mieszczaństwo niemieckiego pochodzenia, które zasilając się coraz to nowym przypływem świeżych przybyszów z Niemiec, utrzymywało ciągłe z krajem tym stosunki, zarówno rodzinne, jak handlowe. Najwcześniej też występuje reformacja w większych miastach, a zwłaszcza w samej stolicy, w Krakowie. Szlachta, stan panujący, nie okazywała nigdy wielkich sympatji dla herezji, przychodzących z Niemiec. Poddawała się raczej wpływom czeskim i szwajcarskim.

Różne wchodziły w grę przyczyny, dla których „nowinki” religijne znajdowały grunt podatny wśród szlachty polskiej. Był to właśnie czas, gdy szlachta łamała coraz po-

tężniej władzę królewską i utrwalała swój wyłączny wpływ na sprawy publiczne. Chwyciła się więc skwapliwie reformacji dla okazania swej wolności także na polu religji. Niemałą rolę grała również rozpowszechniona niechęć do duchowieństwa, powstała z ustawicznych sporów z nim o dziesięciny i o przywileje sądownictwa kościelnego, niemniej, jak z powodu usuwania się duchowieństwa od danin i ciężarów na rzecz państwa. Wreszcie nie bez wpływu zostały coraz częstsze w tych czasach wyjazdy młodzieży szlacheckiej na wyższe studja za granicę. Ustalił się już był w Polsce zwyczaj, że zamożniejsza młodzież udawała się do obcych, by szukać nauki na głośnych uniwersytetach włoskich i niemieckich, lub nabierać większej ogłady i znajomości świata na dworach monarchów zagranicznych. W wędrówkach tych musiała się nieraz zetknąć z krzewicielami reformacji, wśród których byli głośni w całym świecie mężowie i niejeden młody Polak ulegał nowym zasadom, a za powrotem do kraju szerzył je sam wśród krewnych i znajomych. Nakoniec ułatwiało wzrost protestantyzmu i to, że duchowieństwo polskie, zwłaszcza wyższe, podobnie zresztą, jak na całym świecie, nie odznaczało się gorliwością religijną i dbając przedewszystkim o materjalne swe uposażenie, nie posiadało w sobie należytej siły moralnej, żeby stawić opór odszczepieństwu.

Stronnicy nowej idei skupiają się w Krakowie, jako w stolicy kraju i w stolicy życia umysłowego. Bardzo przychylnie usposobioną jest dla nowego kierunku szlachta małopolska, szczególnie młodsze pokolenie. Coraz więcej księży każe w duchu protestanckim, krytykuje kościelne obrzędy i urządzenia. Nietylko w Krakowie, ale w wielu innych miastach drukują się dzieła teologiczne protestanckie i broszury na ideach reformacji oparte, lub satyry na duchowieństwo, przyczym po raz pierwszy łacina ustępuje w druku miejsca językowi polskiemu, jako powszechniej zrozumiałemu, gdyż

każdej stronie chodzi o to, aby jaknajwięcej ludzi przekonać i pociągnąć za sobą. Protestant Mikołaj Rej z Nagłowic ogłaszał pierwszą książkę polską. Wkrótce w obozie reformacji mieli się znaleźć przedstawiciele pierwszych rodów Rzeczypospolitej: Tęczyńscy, Górkowie, Ostrorogowie, Stadniccy, Szafrańcy, Radziwiłłowie, Kiszkowie, którzy innowiercom użyczali możnej swej opieki. Występuje na widownię Jan Łaski, jeden z najświetniejszych umysłów swego czasu, który pastorał biskupi porzuca i staje się głosicielem nowej nauki. Mnożą się sekty: obok luteranów bracia czescy, kalwiniści, socynianie. Myślano o połączeniu ich i stworzeniu wspólnego „kościoła narodowego", niezależnego od Rzymu.

Wolność, jaka panowała w Polsce, pociągała także wielu cudzoziemców, którzy szukali tutaj schronienia przed prześladowaniem we własnej ojczyźnie. Tutaj z góry mógł liczyć na gościnne przyjęcie każdy, ktokolwiek czuł się powołanym do głoszenia tego, co za prawdziwe uważał, bez względu na to, czy odstępowało to od norm katolickich, lub protestanckich.

Lecz właśnie owa wolność, jak ułatwiała pierwotnie rozwój reformacji, tak z drugiej strony stała się powodem, że Polska łatwo wróciła do katolicyzmu. Niesnaski wśród różnowierców zgotowały koniec sto lat trwającemu odstępstwu. Rozerwany wewnętrzną niezgodą protestantyzm polski nie mógł wywalczyć sobie prawnego uznania w kraju i pod tym względem jednolity w swym składzie kościół katolicki miał nad nim zawsze wyższość, która mu też niemało pomogła do odniesienia stanowczego i trwałego zwycięstwa.

Pojęcie ojczyzny jako czynnik moralny w dawnej Polsce

przez Adolfa Pawińskiego.

Jednym z tych znamion ogólnych, które niby piętno wyciśnięte ukazuje się na różnorodnych kierunkach życia publicznego w dawnej Polsce, jest szczytne pojęcie ojczyzny i wzniosłe, szlachetne uczucie miłości dla kraju, dla rzeczy ogólnej, czyli pospolitej. Jak cała społeczność ówczesna polska ma wyrobione, wykształcone pojęcie o wielkiej wspólności idealnej, o tym związku, który się ojczyzną zowie, tak i w drobnym, niewielkim zgromadzeniu sejmikowym odzywa się w całej pełni głosu to samo wzniosłe uczucie i to słowo czarowne. Nie jest ono obcym tej społeczności powiatowej, wojewódzkiej. Owszem rozlega się wpośród niej hasłem żywym, zrozumiałym dla wszystkich, popularnym. Nie jest ono właściwością tylko jednostek, stojących wysoko na stanowisku społecznym, nie oświeca ono jak poranne słońce tylko wysokości gór, ale przeciwnie, ono się załamuje w każdym sercu, jak każdy przedmiot, zarówno w wielkim, jak i małym zwierciadle. Nie lekceważmy sobie znaczenia tego pojęcia. We Francji powstało ono bardzo późno, dopiero sto lat temu w epoce wielkiej rewolucji. A przedtym nie było prawie znanym, chyba filozofom tylko. W innych społeczeństwach spotyka się ono również rzadko, w niektórych przyswojono je sobie nie wcześniej, jak w bieżącym stuleciu. U nas echem silnym rozlega się to wzniosłe słowo — ojczyzna, już w XV wieku, a wypowiadają je, między innemi, tak pięknie Ostroróg, a jeszcze piękniej Długosz, głosem tak czystym jak dźwięk najszlachetniejszego kruszcu. W XVI wieku podnosi się ono i rozbrzmiewa coraz głośniej, lśni, jak tęcza różnobarwna w słonecznym promieniu. W następnym stuleciu rozlega się także często, choć słabiej. Niekiedy już

nawet na pozór zamiera, jakby konało, ale znów pod koniec życia Rzeczypospolitej zapala się i przy zachodzącym słońcu przyświeca złocistym blaskiem jak gwiazda wieczorna.

Jakiekolwiek uczucie wyrażało to pojęcie, pełniejsze, bogatsze, lub mniej treściwe, czcze albo puste, zawsze było ono godłem wielkim i wzniosłym i nie traciło swego znaczenia w życiu politycznym i społecznym. „Słowo to, powiada jeden francuski pisarz, tylko w rzadkich i uroczystych chwilach jest używane we Francji, a szkoda, że nie słyszymy go częściej, nietylko dlatego, że należy do stylu szlachetnego, wzniosłego, ale że tak jasnym, przystępnym jest dla każdego.” U nas w Polsce, gdzie się to uczucie miłości ojczyzny w prawdziwie starożytnym stylu tak pięknie rozwinęło w lepszych czasach, miało ono jeszcze wśród najcięższego upadku tę wartość, że utrzymywało poziom moralny na pewnej wysokości. W pewnych jaśniejszych epokach oczywiście pojęcie to wzniosłe stroiło się jak kwiat wiosenny we wszelkie ozdoby. Miało ono swój powab, siłę i duszę. A była nią ofiarność, poświęcenie, zaparcie się, bezinteresowne oddanie się na usługi całości. Idea ta wymaga zawsze miłości czynnej, a ta miłość wyraża się w ofierze mienia, zdrowia i życia. Do tego wysokiego stopnia podnosi się ona niekiedy w chwilach klęsk i nieszczęść, nawiedzających Rzeczpospolitą. Później przyszły chwile, kiedy liście podsychać zaczęły w tym pełnym, bujnym kwiecie, kielich się rozpadł, zwiędła korona, i z pięknej, zachwycającej rośliny sucha pozostała łodyga.

W pojęciu miłości ojczyzny mieści się, jako jeden z najsilniejszych pierwiastków, cześć dla przeszłości, dla starych, dobrych czasów, dla wielkiej cnoty przodków, jednym słowem, uszanowanie tradycji. Zacne, szlachetne, podniosłe czyny przodków, ich poświęcenie, ofiarność na rzecz ogółu uważane są za wzory, które naśladować jest obowiązkiem. Szczególniej w aktach zawiązywanych konfederacji uwydatnia się silnie to uczucie solidarności, uczucie tego związku, jaki

zachodzi między współczesnym a dawniejszym pokoleniem, między synami ojców, dziadów, pradziadów. Moralna konieczność zniewala potomków naśladować „sprawy i porządki onych cnotliwych przodków”, których się mienią być własnemi a poczciwemi następcami. W ciężkich opałach wśród najazdu różnych nieprzyjaciół ratowała Polskę, jak opiewa instrukcja jednego z sejmików z 1628 r., „starych Polaków cnota”, „zdrowa rada” starożytnej Polski. „W słodkiej pamięci” chowa szlachta z początku XVIII wieku „odważne godnych antecesorów czyny”, których „nieodrodnemi sukcesorami” się mianuje.

Tę miłość ojczyzny, tę cześć dla tradycji zrozumieć łatwo. Nie opierała się ona bowiem wyłącznie tylko na podstawie idealnej, na bezinteresowności, ale miała w sobie także silną przymieszkę materjalną. Bo ta matka wspólna, ta ojczyzna pieści nad wszelki wyraz swe dziatki. Ona daje przywileje, prawa, swobodę, panowanie, ona staje się źródłem nietylko szczęścia moralnego, ale dostatków i bogactw. Na tym gruncie idealno-realnym, na tych dwuch pierwiastkach: moralnym i materjalnym opierało się i rozwijało pojęcie ojczyzny i miłości dla niej, na takiej podstawie spoczywała cześć dla przeszłości, dla tradycji. Pod tym względem pojęcie ojczyzny w Polsce nie wzniosło się wyżej ponad stanowisko, z jakiego spoglądano w świecie starożytnym u Greków i Rzymian na to, co nazywali *patria*, na obywatelstwo. Dziś inne już wszędzie rozpowszechniło się zapatrywanie — wyższe, idealniejsze i szersze, które ogarnia nietylko wybranych, ale obejmuje miljony bez wyjątku i opiera się nietylko na miłości tego, co było, na poczuciu wspólności w bieżącej chwili, ale zarazem i na nieustannej dbałości o dobro następnych pokoleń. Ale jakakolwiek zachodzi różnica między pojmowaniem ojczyzny i obywatelstwa we współczesnej dobie a sposobem zapatrywania się w Polsce w ciągu poprzednich wieków, jakkolwiek było ułomne, zbyt ciasne, jednakże

stanowiło ono rdzeń ciała społecznego i duszę układu politycznego, a tym samym, jako pierwiastek moralny było dodatnią stroną życia i rozwoju staropolskiego.

Z dziejów obyczaju w Polsce

podług St. Windakiewicza.

Polacy w XV i XVI w. zbliżyli się nadzwyczajnie do zachodu i przyjęli jego cywilizację. Stali się Polacy, a właściwie panowie nasi, Europejczykami czystej krwi, o kosmopolitycznych pojęciach co do języka, stroju i obyczajów. Dziwnie to wygląda, gdy czytamy, że dla odpoczynku po trudach wojny moskiewskiej, Stanisław Niemojowski, kasztelan elbląski, wybrał się roku 1617 do Włoch; gdy w Padwie zdybiemy na kuracji Piotra Kochanowskiego, sławnego tłomacza Tassa i Aryosta.

Ulubionemi miejscami pobytu zagranicznego dla Polaków w XVII w. był Paryż, a jeszcze bardziej Rzym i Padwa. W Rzymie około kościoła Św. Stanisława i szpitala polskiego, założonego przez Hozyusza, zbierała się w tym czasie dość liczna gromadka Polaków, czego pamięć zachowały liczne nagrobki, które zmarłym daleko od ojczyzny przyjaciele postawili. Napływ ten był nieustający i powoli tworzyła się nad Tybrem osada polska, która urządzała nabożeństwa dziękczynne i żałobne dla uczczenia ważniejszych wypadków życia narodowego, a czas spędzała wcale wesoło.

Lecz wszystkie te miejsca co do przyjemności przewyższała Padwa, którą współcześnie zwano kwiatem i oczkiem miast włoskich. Uważano natenczas, że Padwa leży w środku między równikiem a biegunem północnym, tak, że niema tam ani zbyt dojmującego zimna, ani zbyt przykrego gorąca, a powietrze panuje szczególnie miłe. To też i Polaków

w Padwie przebywała znaczna liczba. Panowie polscy „częścią dla żywności snadnej, częścią dla wesołego i spokojnego mieszkania" ściągali się do niej, a przejezdnych to już zawsze tłum przez to miasto przeciągał. Odwiecznym rzeczy porządkiem przykład starszych działał zawsze na młodzież. Od tego czasu datuje się u nas moda niepotrzebnego siedzenia za granicą i tracenia pieniędzy na wybrykach wśród obcych, bo w domu i nie można i nie wypada. Jeśli wierzyć satyrze, to stosunki przedstawiały się doprawdy smutno. Młodzież polska cudzoziemczała na obczyźnie, czas, miasto na nauce, przepędzała na pijatyce i pohulance, a nauczywszy się skakać po włosku i najadszy się pasztetów i tortów we Francji, znikczemniała wracała do ojczyzny. Może być, że poeta użył nadto jaskrawych barw w owym przedstawieniu, przecież zatuszowawszy je nawet, obaczymy przykrą prawdę na dnie.

Zasilała jeszcze ruch Polaków za granicą inna przyczyna. Rozkrzewiające się w XVII w. uczucie religijnej dewocji uwidoczniło się między innemi także w pielgrzymkach, podejmowanych do miejsc świętych. Co prawda, podróże tego rodzaju nie są zbyt częste, stanowią jednak stały i charakterystyczny objaw. Ubodzy, księża, zakonnicy, kobiety, profesorowie akademji i senatorowie zdążają gwoli zadosyćuczynienia swym ślubom lub wewnętrznej potrzebie do Loretu, Rzymu, Padwy, a nawet Jerozolimy. Wobec takich potrzeb duchowych, wyjazdy Polaków za granicę przybrały w XVII w. szerokie rozmiary. Ani niewygody w drodze, ani obawa przed rozbójnikami, ani zaraza nie potrafiły powstrzymać podróżników. Zaopatrzywszy się w jakie *viatorium*, płynęły tłumy Polaków w daleki świat, panowie bogaci w poszóstnych karocach, w otoczeniu licznej a szumnej drużyny służby, majętna młodzież pod przewodnictwem „maggior domów", a ubogi student samnasam na koniu z mieczem przypasanym do boku.

Z natury rzeczy wynikało, że w miejscach, gdzie się zbierała stale większa gromadka współziomków, powstawać musiały dla obrony własnych interesów stowarzyszenia które z pewną dozą pretensjonalności, ale zarazem dumy i przywiązania nazywano „pielgrzymującą nacją". Były to przytuliska dla biednych i potrzebujących, przystanie dla wycieńczonych przykrą i długą podróżą, oazy swojszczyzny wśród żywiołów obcych. Polacy, przybywający do cudzoziemskiego miasta, musieli witać z prawdziwą radością mieszkanie przewodniczących tych stowarzyszeń, na których wywieszano ojczyste herby Polski i Litwy.

Handel polski

przez Zofję Daszyńską.

Miasta są zawsze środowiskiem handlu—podobnie było od czasów najdawniejszych i u nas. Wraz z otrzymaniem prawa niemieckiego miasto dostaje przywilej urządzenia paru lub kilku jarmarków w roku, oraz tygodniowych targów. Na jarmarkach wolno obcym kupcom sprzedawać swoje towary, w inne dni roku prawo to zastrzeżone jest wyłącznie dla kupców miejscowych. W dni targowe przybywa ludność okoliczna, ażeby sprzedać swoje produkty i zaopatrzyć się w towary potrzebne. Podczas targów i jarmarków ożywiały się place miejskie i ulice i pojawiali się na nich ludzie wszelkiego stanu, a nawet różnej narodowości. Miasta polskie bowiem, a głównie Wrocław, Toruń, Gdańsk, Poznań, Kraków, Lwów, Warszawa, stanowiły ważne punkty handlu zagranicznego. Polska już przez swoje położenie gieograficzne leży między wschodem a zachodem. Stanowi również drogę dla towarów idących z południa na północ.

Już od XIV wieku utrzymuje Polska stosunki z miastami nad morzem Czarnym. Miasta te, założone przez potężną republikę włoską, Gienuę, ożywiony prowadziły handel, przewożąc produkty azjatyckie do Europy. Najsłynniejszym z nich była Kaffa, skąd szły przez miasta polskie, zwłaszcza przez Lwów, konopie i jedwab. Lwów był niewątpliwie jednym z najważniejszych punktów na europejskim kontynencie, prawdziwym emporjum wschodu, a jako etap przewozowy miał niemal światowe znaczenie. Od wkroczenia Turków do Europy, z upadkiem Kaffy i innych osad Gienueńskich na północnym wybrzeżu morza Czarnego, upadł do reszty Lwów i na długo stracił swoje handlowe korzyści. Po upadku Kaffy, pozostali Ormianie osiedli we Lwowie i byli stałym ogniwem między targiem lwowskim a najdalszemi stronami Orjentu. W ich ręku spoczywała głównie organizacja handlu wschodniemi towarami, oni utrzymywali regularną komunikację karawanową, z której korzystali nietylko kupcy lwowscy, ale gdańscy, krakowscy, kolońscy i norymberscy. Wyjeżdżający ze Lwowa Ormianie i ci co się do nich przyłączali, aby pod ich opieką odbyć wyprawę, np. do Stambułu, gromadzili się w Krzywczycach i tu żegnali ich krewni i przyjaciele wśród udziału całej niemal ludności lwowskiej, która później wybiegała naprzeciw, z równym zajęciem, gdy to całe grono wracało już formalną długą karawaną do Lwowa, z pakami drogich towarów i osobliwości Wschodu.

Ożywiony niezmiernie handel prowadziła Polska z Węgrami. Z Węgier szła miedź, żelazo, srebro, wino, oliwa, wosk i futra — do Węgier wysyła Polska sól i ołów. Najważniejszym dla handlu z Węgrami centrem jest Kraków — Krakowa ominąć nie wolno, bo kupiec naraża się na odebranie towaru. Ważnym centrem dla handlu ze Śląskiem jest Wrocław, który handluje suknem i piwem na wszystkie miasta śląskie. Tu również jest środek handlu polską solą i wołami. Dla handlu zbożem, które Polska od XIV wieku

za granicę wywozi, centrami są Elbląg, Toruń i Gdańsk, jeden z najważniejszych portów nad morzem Baltyckim. Do Gdańska też idą towary z miast wielkopolskich, wytwory Warszawy, która już od XVII wieku posiada charakter miejscowości przemysłowej. Zaopatruje ona nietylko dwór królewski, ale miasta polskie i litewskie w swoje wyroby.

Z przebyciem drogi, opłaceniem żądanych na niej ceł nie kończyły się uciążliwości, nakładane na kupców. Gdy znalazło się na ich drodze miasto większe, jak np. Kraków, Lwów, zmuszeni byli wyładować towary. Było to tak zwane prawo składu, którego nikomu uniknąć się nie udawało. Towary wystawione być musiały na sprzedaż lub złożone do składów. Korzystało na tym miasto, mogąc je nabywać i goszcząc karawanę kupiecką. A zatym ze wschodu i Węgier szły towary na północ i zachód. Kupcy polscy dostarczają towarów wschodnich, głównie miedź do miast Flandrji— wiozą je również do miast niemieckich i śląskich. Wywóz produktów rolnych z kraju, drzewa, wołów, a zwłaszcza zboża, zwraca się na północ do Gdańska, a stamtąd aż do Anglji. Zboże polskie wychodzi w wielkich ilościach za granicę, a Polskę zwą spichlerzem Europy.

Między sobą prowadzą miasta handel krajowy. Najważniejszemi wśród przedmiotów wewnętrznego handlu była sól i sukno. Szły też do Polski sukna ze stron dalekich: ze Śląska, z Niemiec, a nawet z Francji. Ale obok tych sukien w gatunkach cienkich i wyborowych, wyrabiano również sukna w kraju i handlowano niemi po całej Polsce. Ośrodkiem handlu sukiennego był Kraków, jak o tym do dziś świadczy olbrzymi, stojący na środku rynku budynek, zwany Sukiennicami. Tutaj zaopatrywali się w sukno kupcy wędrowni i rozwozili je dalej po jarmarkach.

Stan kupiecki podupada w XVII w., a przyczynia się do tego nie mało prawo, które orzeka, że na towarze krajowcowi zarobić wolno 7%, przybyszowi 5%, a niewiernemu

tylko 3%. Ta pozorna opieka prawa nad kupiectwem krajowym doprowadza do tego, że najtaniej sprzedają Żydzi, u których też najchętniej zaopatrują się mieszkańcy w towary i że oni ostatecznie biorą handel w swoje ręce. Dodajmy do tego pozwolenie dla szlachty sprowadzania towarów z zagranicy bez opłaty cła, a zrozumiemy, że stan kupiecki po miastach stanowczo był podkopany, a handel krajowy utracił zdrową podstawę.

Wojskowość w Polsce

przez Adama Szelągowskiego.

Pierwotnie służba wojskowa w Polsce opierała się na zasadzie osobistej i nie miała żadnego związku ani z pochodzeniem, ani z posiadaniem ziemi. Rycerstwo było tak dobrze rzemiosłem, jak i każde inne zajęcie, podobnież rycerze rekrutowali się z różnych warstw ludności. Rycerze dzielili się na pułki i byli rozmieszczeni po różnych grodach, jak naprzykład w Gdeczu, Poznaniu i t. p.

Ale prócz tego stałego wojska cała ludność dostarczała żołnierzy na obronę granic lub w razie potrzeby i na dalsze wyprawy na nieprzyjaciół. Dopiero z czasem ludność poddańcza została uwolniona od obowiązku służby wojskowej i innych ciężarów wojennych, jak naprawy zamków, stróży i t. p. Natomiast służba wojskowa przeniesiona została na tych, których książęta obdarowali znaczniejszemi obszarami ziemi. Odtąd zawód rycerza stał się jednoznacznym z zawodem ziemianina, a pojęcie służby wojskowej związało się z pojęciem władania dziedzicznego ziemią. Już statut Kazimierza Wielkiego przywiązał obowiązek służby wojennej do posiadania wolnego ziemi, w odróżnieniu od po-

siadania miewanego przez kmieci. Chłopi byli przeto od tego obowiązku uwolnieni.

Wyrazem tej obrony krajowej stało się pospolite ruszenie. W razie koniecznej potrzeby król, później zaś sejm, powoływał wszystkich obywateli do obrony granic. Zwoływano pospolite ruszenie za pośrednictwem wici. Była to pierwotnie zwykła laska, którą na znak niebezpieczeństwa podawano sobie z rąk do rąk, od powiatu do powiatu. Później ta nazwa przeszła na listy królewskie, powołujące pospolite ruszenie do broni. Wici musiały być trzykrotnie rozsyłane. Czasem pierwsze dwie wici rozsyłano jednocześnie, a to dla przyśpieszenia procedury. Za trzykrotnym wezwaniem każdy powołany do pospolitego ruszenia siadał na koń i śpieszył pod chorągiew kasztelańską. Kasztelanowie znów gromadzili swe zastępy pod chorągwię wojewódzką. Wreszcie wojewodowie stawali w oznaczonym miejscu pod wodzą samego króla. Obowiązek pospolitego ruszenia był określony co do czasu, i tak: dłużej nad dwa tygodnie pospolite ruszenie nie było obowiązane pełnić swej służby. W zasadzie obowiązek pospolitego ruszenia był bezpłatny. Ale już Ludwik węgierski przyrzekł wykup jeńców i zwrot szkód, na wojnie poniesionych. Biedniejsi ziemianie, jak szlachta zagrodowa, składali się na dostarczenie jednego żołnierza. Oprócz pospolitego ruszenia, rozwinął się w Polsce na wzór węgierski zwyczaj wystawiania hufców na własną rękę przez możnych ludzi. W Węgrzech nazywały się te hufce prywatne banderjami. Blizki stosunek Polski i Węgier w wieku XIV wprowadził ten zwyczaj i do Polski.

Do największych braków należy zaliczyć powolność pospolitego ruszenia. Już sam sposób jego zwoływania przez trzykrotne wici nie pozwalał na doraźną i szybką obronę państwa w czasie nagłego jakiegoś najazdu. A do tego pospolite ruszenie samo potrzebowało paru tygodni, nieraz miesiąca i więcej czasu, ażeby się stawić w oznaczonym

miejscu. Brakowało także należytego wyćwiczenia żołnierzowi pospolitemu. Umiał on wprawdzie władać bronią, jeździć konno, ale ataki, marsze i tym podobne ruchy wojskowe, zależące od musztry, ćwiczeń, których żołnierz pospolity nie odbywał, wychodziły daleko gorzej. A wkońcu trzeba dodać jeszcze jedną wadę kardynalną żołnierza pospolitego — brak karności, która zawsze jest obcą żywiołowi niedyscyplinowanemu, nawpół ochotniczemu. Ten system obrony przetrwał do samego końca istnienia Rzeczpospolitej, ale zeszedł już w wieku XV na plan drugi, ustępując miejsca wojsku zaciężnemu lub stałemu.

Już w bitwie pod Grunwaldem obok pospolitego ruszenia i chorągwi magnackich występują wojska najemne lub zaciężne. Właśnie w wieku XIV na Zachodzie wytworzył się nowy żołnierz, który służbę wojenną traktował jak rzemiosło i brał za nią zapłatę. Wojsko zaciężne nie miało żadnego charakteru narodowego, a raczej była to mieszanina wszelkich narodowości, która za żołd przechodziła z jednego obozu do drugiego przeciwnego. Organizacja tego wojska polegała na systemie rotmistrzów, którzy prywatnie zaciągali na swoją służbę żołnierzy, sami zaś umawiali się z królem co do wysokości żołdu kwartalnego i co do liczby żołnierza. Od dostatku towarzyszy zależała jakość wystawionego pocztu. Jednostajności nie było żadnej ani w uzbrojeniu, ani w umundurowaniu. To wojsko zaciężne było główną siłą bojową Polski, naprzykład w czasie wojny 13-stoletniej. Wadą tego wojska była jego niestałość. Zaciągano je tylko na pewien termin, po upływie którego żołnierz zaciężny rozpraszał się i znów Rzeczpospolita zostawała bez obrony granic. Dlatego na sejmie w roku 1562/3 utworzono stały zaciąg wojenny, pod nazwą „obrony potocznej”. Odtąd na kresach Rzeczpospolitej na Podolu i Ukrainie miała przebywać pewna liczba żołnierzy dla obrony granic od nieprzyjaciół, zwłaszcza Tatarów. Ponieważ podatek prze-

znaczony na ten cel zwał się kwartą, przeto i wojsko wzięło od niego nazwę wojska kwarcianego. Składało się to wojsko z piechoty i konnicy. Ta ostatnia przeważała, jako że pełniła służbę w polu, piechota zaś rozmieszczoną była po zamkach. Wojsko to zostawało pod dowództwem naczelnym hetmana.

Jazda stanowiła główną, zasadniczą część wojska polskiego. Ona też w większości wypadków rozstrzygała bitwy i ona to przysporzyła najwięcej chwały imieniowi żołnierza polskiego.

Elekcja

przez Wacława Sobieskiego.

Do Warszawy na elekcję niebawem zaczęły napływać fale za falami, ciągnęły niezliczone rzesze senatorów i szlachty i wojsk najemnych i cudzoziemskich posłów. Zapełniło się tak miasto i wszystkie przedmieścia, że kwaterować musiano aż po dalekich wsiach okolicznych. Warszawa w czasie elekcji przedstawiała widok niepowszedni, w Europie zgoła nie widziany.

Boć takiego ludnego, a wolnego obierania króla nie w murach, ale w polu, jakie bywało u Polaków, ziemia żadna nie miała na świecie. Na Woli zakwitło nagle tysiące namiotów, szałasów, taborów, formowały się całe obozy, jakby z pod ziemi wyrastało nowe miasto. Każdy magnat otaczał się osobno, każde województwo stawało oddzielnie. Przy panach rozwinęły się w różnych barwach liczne hufce zbrojne, a każdy wielmoż prześcignąć chciał drugiego przepychem zbroi i stroju swych orszaków, olśnić wspaniałością ozdobnych namiotów. Cała Rzeczpospolita, jak długa i szeroka, wysłała tu pod Wolę, wszystko, co miała najznamienitszego

i najświetniejszego, swój wybór i kwiat, na pokaz przed Europą i jej wysłańcami. Najznamienitsze rody, wybitne, z wszystkich województw szlachta, wszyscy biskupi i dostojnicy i pierwszorzędnych miast przedstawiciele, wszystko ściągało do Warszawy. Nigdy Warszawa nie mogła o sobie powiedzieć szczerzej, że jest sercem całej Rzeczypospolitej, jak właśnie w czasie bezkrólewia, kiedy to ważyły się w niej jej przyszłe dole i niedole.

Śród tak wielkiego rojowiska ludów i zgiełku nie obeszło się oczywiście w mieście bez ciągłych bijatyk, strzelaniny i morderstw. Często mieszczanina przebudzał w nocy huk strzałów, krzyków i odgłos gonitwy. Nietylko w nocy, ale i we dnie nieraz człek idzie sobie albo jedzie, aliści kule z półhaków mimo ucha lecą.

Błonie pod Wolą zdawało się jak wielkie jakie targowisko. Miano targować na nim o rzecz cenną, o djadem niemałej wartości, bo o koronę polską. Na środku pola wznosiła się buda ogromnych rozmiarów, pokryta tarcicami i otoczona parkanem i rowem. Była to „szopa” senatorska. Do niej to śpieszyli posłowie zagraniczni, niby kupcy ze stron dalekich, by się panom polskim pokłonić, zachwalać swoich „kompetitorów” i wyliczać zyski.

Z dalekich krain, od wielkich potentatów Wschodu i Zachodu dążyły ku tej szopie poselskiej orszaki, i nuncjusze papiescy i poselstwa cesarza rzymskiego Rudolfa, i wysłańcy trzech arcyksiążąt rakuskich, Ferdynanda i Ernesta, Maksymiljana i Macieja, i poselstwa od elektorów czeskich, i z Madrytu od władcy państw na obu półkulach ziemi rozsiadłych, i z Moskwy dalekiej, i od króla szwedzkiego.

Wreszcie i od władcy islamu z Carogrodu biegł tu poseł turecki. Przypędził nawet wysłaniec od chana tatarskiego z listami, w których ośmielał się polecać siebie na tron. W listach tych, które wywołały homeryczny śmiech w senacie, wskazywał władca Krymu, ile skarb Rzeczypospolitej

zaoszczędzi wydatków na wojsko, bo stanowić je będą sami Tatarzy, którzy przecież skromne mają potrzeby, bo sami sporządzają sobie łuk i strzały, a żywią się tylko mięsem końskim. W razie wyboru obiecuje zmienić wiarę tak, aby był „twój papież, mój papież".

Od Krymu aż po daleki Madryt, wszystkie potęgi w Europie: Rzym, islam i protestantyzm wytężyły z niepokojem wzrok ku tej szopie senatorskiej, w której rozgrywały się wypadki dziejowego znaczenia. Szala układu politycznego państw europejskich zależała od tego, na którą stronę przechyli się to rojowisko szlachty rozprawiającej pod gołym niebem pod Warszawą i kogo posadzi na tronie jednego z najobszerniejszych mocarstw Europy. A na los tego wyboru wpływał głos choćby najuboższego szlachcica, choćby chodaczkowego.

Tej najuboższej mazowieckiej szlachty szaraczkowej przybyła na obecną elekcję [1]) z najbliższych okolic Warszawy spora gromadka, bo 2000. Wprawdzie bogata szlachta śmiała się z ich nędzy: szydząc, przypominała, jak to ci Mazurowie w czasie pierwszej elekcji Henryka Andegaweńskiego zwali tegoż „panem Gaweńskim", a arcyksięcia Ernesta, panem „Rdestem" lub „Ogrestem". Wytykała im, że mało nie wszyscy są o kijach, że niektórzy z nich mają szyszaki z łubu świerkowego, a gęsie pióra na wierzchu dla swojej ważności. Ci jednak, nie zważając na te drwiny, obstąpili okop senatorski i wołali głośno, że nie chcą mieć królem, tylko Moskwicina, a co rychlej o niego prosili. A gdy wśród nich niejaki „Podowski", starosta nurski, zachwalał Niemca, a samej mazowieckiej szlachcie przymawiał i radził jej raczej orać, niż króla wybierać, wołając na głos: „Przystojniej wam grabarka patrzy z oczu, niźli elekcja" — stał się huk, zaburzyła się krew w Mazurze, owoż mało mu jeden nie dał

[1]) Po śmierci króla Stefana.

stołkiem, drugi siekierką, prawie dobrze oszczepami go przykryli i zaledwie go panowie niektórzy wywiedli, że na miejscu nie ostał."

Zbliżało się głosowanie, które roztrzygnąć miało o losie tylu ścierających się tu z sobą dążności politycznych Europy, tylu krzyżujących się z sobą interesów tak rozległego, a tak różnorodnego państwa. Nic dziwnego, że chwila zagajenia przybierała charakter chwili istotnie poważnej, pełnej uroczystego namaszczenia i oczekiwania.

Stefan Batory

z «Biesiady literackiej».

Po Francuzie na tron polski powołano Węgra. Trudno wyobrazić sobie dwuch ludzi bardziej niepodobnych do siebie, jak Henryk Walezjusz i Stelan Batory. Tamten zniewieściały, ten zaprawiony wcześnie w walkach i niedoli. Tamten przyjął koronę, bo mu wybór pochlebiał, nie rachując się ze swemi siłami; ten wziął ją z rąk narodu, bo czuł, że godnie nosić ją będzie; tamten uląkł się trudów panowania i uciekł pokryjomu z Polski, ten, choć równie jak tamten obcy pochodzeniem, ukochał nową swą ojczyznę i miał zupełne prawo powiedzieć: „Polacy! moja sława jest waszą, a wasza moją..."

Stefan urodził się w Węgrzech w 1533 r. z ojca Stefana de Somlio i matki Katarzyny Telegdy. W młodości zawiedziony w nadziejach, jakie w Ferdynandzie Węgierskim pokładał, rzucił niewdzięcznego króla i przeszedł na dwór Jana Zygmunta Zapolji, księcia Siedmiogrodu. Wysłany do Maksymiljana II popadł w niewolę, choć jako poseł winien być nietykalnym. Trzy lata przesiedział w więzieniu, studjując dziejopisów, szczególnie Cezara, poczym do Siedmio-

grodu powrócił i w 1571 roku został obrany księciem Siedmiogrodu po śmierci Zapolji.

Stefan Batory.

Po haniebnej ucieczce Henryka, pomimo intryg stronnictwa austryjackiego, które popierało Maksymiljana II, za

radą Zamojskiego obrano królową polską Annę Jagiellonkę, siostrę Zygmunta Augusta, kobietę już niemłodą, ale wielce cnotliwą, przeznaczając jej za męża Stefana. Ten przystał na wybór, przybył do Polski i w dniu 1-ym maja 1576 roku wraz z Anną odbył koronację.

Przebiegając dziesięcioletnie jego panowanie przyznać trzeba, iż ogólne mniemanie, że Stefan byłby ochronił Polskę od upadku, gdyby nie śmierć przedwczesna, jest zupełnie słusznym. Znakomity wojownik, przytym uczony, sprawiedliwy i nadzwyczaj ludzki, w chwilach stanowczych nieugięty jak skała, umiał lepiej utrzymać powagę tronu, niż jego poprzednicy, królowie z królów lub jego następcy.

Wybrany przez szlachtę, nie stał się jej narzędziem, umiał pozyskać sobie nieprzychylny senat i zjednać duchowieństwo. Sam gorliwy katolik, nie prześladował różnowierców, którzy dlań byli takiemi samemi poddanemi, jak katolicy, i w roku 1581 zapewnił wszystkim wolne wyznanie wiary. „Ja panuję nad ludem, a Bóg nad sumieniem" mawiał do tych, którzy mu radzili naśladować rządy Filipa II w Niederlandach.

Dzielną wyprawą na Gdańsk, który nie chciał go uznać, niszczy jednym zamachem austryjackie intrygi, niweczy niemieckie zamiary, poczym podejmuje program narodowej polityki i zabezpiecza się od Wschodu i Zachodu. Równocześnie stara się przywiązać do siebie senat, ukrócić dumę możnowładztwa, otacza się takiemi ludźmi, jak Zamoyski. W Turcji widzi raczej sprzymierzeńca, niż wroga, nie podejmuje więc bezcelowych wypraw, które kosztowały Polskę za wiele i odwracały oczy jej od groźniejszego nieprzyjaciela, lecz pozostaje z nią w przyjaznych stosunkach. Dzięki tej polityce odzyskuje wydarte mu Inflanty i hołd pod Połockiem odbiera.

Zwolna zaczyna się zacieśniać stosunek między tronem a narodem, szlachta dotąd samopas idąca, zaczyna przywy-

kać do karności, „magiczny węzeł przyjaźni wiąże króla bohatera z bohaterskim narodem”, na zachmurzonym niebie zjawia się tęcza, zwiastunka pogody.

Batory idzie dalej swą drogą. Urządza kozaczyznę, w kraju porządek zaprowadza, ścigając winnych i karząc ich surowo a sprawiedliwie, bez względu na to, kto jest tym winnym: spada głowa Samuela Zborowskiego, Krzysztof Zborowski staje przed sądem.

Wtym nieubłagana śmierć w końcu 1586 roku wydziera go krajowi w chwili, gdy był najpotrzebniejszym. Naród pozostaje znowu bez pana, następuje najpierw bezkrólewie, a potym równie długie, jak niefortunne rządy Zygmunta III.

„I tak, mówi Szujski, praca dziejowa Batorego pozostała w historji jak złamana kolumna, jak berło olbrzyma, którego nikt po śmierci właściciela dźwignąć nie umiał. Niepopularna polityka Zygmunta III, zamiast w karby brać naród, drażniła go tylko do oporu, a sam pomocnik prac Batorego Zamoyski stanął przeciw tronowi, którego był dotąd podporą...”

Batory jako wojownik

przez S. Zakrzewskiego.

Król Stefan Batory kierunek spraw wewnętrznych zostawiał Zamoyskiemu, sam chętnie o nich zapominał; natomiast sam był kierownikiem zupełnym, nieograniczonym, wszystkich spraw zewnętrznych i wielkiej polityki zagranicznej.

Stefan Batory osobiście bynajmniej nie myślał unikać wojny; przeciwnie, pragnął jej zawsze sam gorąco i w niej się lubował. Wśród wojny, w obozie, czuł się król w swoim

żywiole, tam dopiero był zupełnie swobodny i nawet zdrowszy. Niechętnie słuchał głosów, które się odzywały, że powinienby wojnę prowadzić przez zastępców; nie dał się nigdy powstrzymać, żeby nie miał ruszyć sam na wyprawę.

Sławy i chwały pragnął Stefan Batory. Sam temi uczuciami przejęty głęboko, starał się je rozbudzić wśród swych poddanych, niejednokrotnie napominał, żeby je pielęgnowano. Bo chwały pożądał osobiście dla siebie, ale przedewszystkim chciał chwały i sławy dla państwa, na którego stał czele. Żeby chwałą okryć swe państwo, w tym widział niejako swoją misję. W misję tę wierzył głęboko, ufał mocno w pomoc Bożą, a o Boskiej opiece i pomocy dla swych zamiarów i przedsięwzięć wojennych odzywał się nieraz z namaszczeniem formalnym. Wojnę pojmował przedewszystkim śmiałą, zaczepną; raz podjętej zakreślał zaraz szerokie rozmiary, dawał się nawet unosić zapałom wojowniczym. „Bóg mi świadkiem, że gdyby baczono na potrzeby Rzeczypospolitej, nietylko pomyślałbym o podboju Moskwy, lecz o podboju całej północy", wołał do senatorów na sejmie 1581 roku, żądając znaczniejszych środków pieniężnych. Gdy nie wojował, snuł plany przyszłych wojen rozległe. Z wojennych też działań pomyślnych zasłynął, jak wiadomo, przedewszystkim.

Za Stefana sposób prowadzenia wojny jest zupełnie odmienny od dotychczasowego. Dotąd wszelkie tryumfy odnoszono ze strony polskiej w otwartym polu. Natomiast wielkie wojny Stefana Batorego noszą całkiem różny charakter. Niema tu bitw wielkich, lecz cały szereg oblężeń warownych miast i zamków; oblężenia te kończą się prawie zawsze pomyślnie. Tu większa zgodność ze sposobem wojowania gdzieindziej; i na zachodzie w drugiej połowie XVI wieku wojny były głównie oblężniczemi, a walki w otwartym polu wyjątkiem. Inne teraz niż dawniej występują rodzaje broni, piechota i artylerja większą nierównie odgrywają rolę, a u nas zjawiają się one dopiero za Stefana. W armjach

jego widać też nieznaną przedtym w Polsce rozmaitość: obok jazdy polskiej dawnej, obok nowej polskiej piechoty, walczy tu piechota węgierska hajduków, jazda niemiecka rajtarów, wreszcie ogromny mają udział włoscy artylerzyści i inżynierowie, których król sprowadzić najlepszych się stara. Tym rodzajem broni król się osobiście zajmował ze szczególnym interesem; podobno jego własnym wynalazkiem były niektóre udoskonalenia dział i pocisków; przynajmniej za niego użyto po raz pierwszy owych kul ognistych, które taką trwogę budziły wśród walecznych obrońców twierdz moskiewskich i które rzeczywiście dla zamków drewnianych stały się nieraz zgubne.

Wojny, które Stefan Batory prowadził, nie były wynikiem tylko jego woli. Nie miał on wolnego wyboru, kiedy przybył do Polski. Najbliższe wojny były mu niejako narzucone, czy walka z Gdańszczanami, czy też główne jego wyprawy, wielkie i sławne wojny moskiewskie. Jednej, jak drugich uniknąć nie było żadnego sposobu, bez poświęcenia wobec Gdańska wyników unji Lubelskiej, bez poświęcenia wobec cara Iwana posiadania Inflant. Wojnę moskiewską musiał prowadzić poniekąd mimowoli; prawda, że gdy się raz zdecydował na nią, to do rychlejszego wybuchu przyczynił się i osobiście.

Sejm polski

prze Helenę Witkowską.

Sejm polski składał się z króla, senatu i izby poselskiej. Był on najwyższym zgromadzeniem prawodawczym w Rzeczypospolitej, wydawał ustawy ogólne, obowiązujące kraj cały.

Sejm tylko mógł udzielać szlachectwa nieszlachcicowi

(„nobilitacji") i szlachcicowi zagranicznemu („indygenatu"), pociągać do odpowiedzialności wysokich urzędników, sprawować sądy w sprawach najważniejszych. Sejmy zgromadzały się na wezwanie królewskie; wyjątkowo tylko w czasie bezkrólewia zwoływał je prymas. Prawo z roku 1573 obowiązywało panującego do zgromodzenia sejmu co dwa lata, względnie częściej, gdyby wymagały tego sprawy publiczne. Pierwsze z nich, tak zwane sejmy zwyczajne lub ordynaryjne trwały sześć tygodni, drugie — nadzwyczajne lub extraordynaryjne trwały tylko dwa tygodnie. Miejscem zbierania się sejmów w wieku XVI było miasto Piotrków, potym Warszawa i Grodno. Sejm zwoływany przez prymasa po śmierci króla, nazywano konwokacyjnym, po nim następował sejm elekcyjny, a wreszcie trzeci koronacyjny, który zgromadzał się zwykle w Krakowie. Senatorowie i posłowie otrzymywali w miejscu obrad mieszkania bezpłatne, wyznaczone im przez marszałków. W ciągu trwania sejmu osoby ich były nietykalne i wolne od odpowiedzialności sądowej, wszelkie ich sprawy ulegały zawieszeniu pod nieważnością wyroków.

Członków senatu mianował król; liczba ich zmieniała się lub powiększała w miarę przybywania nowych prowincji i rozszerzania się granic państwa polskiego. Przy końcu istnienia Rzeczypospolitej senat liczył 146 osób, a mianowicie dwuch arcybiskupów (gnieźnieńskiego i lwowskiego), 15 biskupów, 37 wojewodów, 82 kasztelanów i 10 ministrów koronnych i litewskich.

Porządek sejmowania określony był szeregiem ustaw i zwyczajów. Sejm rozpoczynał się uroczystym nabożeństwem oraz kazaniem, po którym posłowie udawali się do swojej izby i wybierali nowego marszałka. Wykonywał on przysięgę i otrzymywał laskę, jako godło swej władzy. Marszałek przewodniczył obradom, otwierał i zamykał posiedzenie, poddawał wnioski pod głosowanie. Wybierano jeszcze sekretarza i deputatów do spisywania uchwał sejmowych, poczym

następowały rugi, czyli sprawdzanie ważności wyborów; robiono zarzuty posłom, których obiór uważano za nieprawny i usuwano z izby tych, co się nie zdołali obronić. Po rugach, posłowie z marszałkiem swoim na czele udawali się do izby senatorskiej dla powitania króla i tu stawali przed tronem wedle porządku idących po sobie województw, ziem i powiatów. Marszałek wygłaszał mowę powitalną, odpowiadał na nią kanclerz, poczym następowała ceremonja całowania ręki królewskiej.

Przez kilka dni następnych odbywały się w izbie senatu wspólne posiedzenia senatorów i posłów; kanclerz odczytywał wnioski od tronu, mające być przedmiotem obrad sejmowych, pisma tajne, oraz wskazówki udzielane posłom wysłanym zagranicę; przedstawiano królowi kandydatów na opróżnione godności i starostwa, wysłuchiwano sprawozdań posłów zagranicznych, skarg mówców wyznaczonych od wojska koronnego i litewskiego, kontrolowano rachunki urzędników i t. p. Po załatwieniu spraw powyższych posłowie, udawali się do swej izby i obradowali oddzielnie; wówczas rozpoczynała się dopiero właściwa czynność ustawodawcza sejmu. Wnioski do praw mógł stawiać nietylko rząd, ale i każdy poseł, nazywało się to „oddaniem wniosku do laski marszałkowskiej". O przyjęciu wniosku roztrzygał powszechny okrzyk „zgoda!" Sekretarz zapisywał go a potym odczytywał głośno przed całym zgromadzeniem, poczym przystępowano do innej sprawy. Jeżeli zgoda nie była powszechną, wniosek upadał, choćby miał za sobą większość głosów. Nieraz dla osiągnięcia jednomyślności posłowie rozchodzili się i obradowali osobno poza izbą, aby tylko osiągnąć pożądaną zgodę powszechną i przeprowadzić wniosek, który uważali za potrzebny.

Posłowie kończyli zwykle swoje czynności na pięć dni przed terminem zamknięcia sejmu i znowu udawali się do Izby senatorskiej, aby uzyskać jej zatwierdzenie dla praw

świeżo uchwalonych. Marszałek odczytywał kolejno każdą uchwałę czyli „konstytucję” i nad każdą zosobna toczyły się rozprawy; skoro nie można się było porozumieć w pewnej sprawie, to uchwała taka upadała. Ostatniego dnia marszałek winszował królowi szczęśliwego zakończenia obrad, na co odpowiadał mu kanclerz, wreszcie przypuszczano posłów do ucałowania ręki królewskiej na pożegnanie, i zamykano sejm nabożeństwem uroczystym.

Rządy sejmikowe w Polsce

podług Adolfa Pawińskiego.

I.

Sejmik jest zasadniczą jednostką organizacji Rzeczypospolitej polskiej, jej działalności, jej życia. Z takich kil kudziesięciu jednostek złożony jest organizm państwa polskiego. W układzie jego sejmik tak wydatne zajmuje miejsce, że nietylko spełnia na rzecz jego posługi, ale wznosi się niekiedy na stanowisko równorzędne, na takie samo, na jakim państwo stoi, dochodzi do takiego wpływu, że przybiera charakter jakby niezawisłego terytorjum. Wskutek nadmiaru znaczenia sejmików przeobraża się postać państwa, które przygniecione ich przewagą, traci możność swobodnego rozwoju.

Składowe pierwiastki sejmiku były bardzo proste i jednorodne. Od najdawniejszych czasów sejmik był zjazdem wszej szlachty województwa lub ziemi, był zgromadzeniem stanu szlacheckiego. Wśród różnych przekształceń, jakim podlegał w rozwoju dziejowym, istota jego pozostała prawie ciągle niezmienną, utrzymała się nienaruszoną. Przez całych lat trzysta sejmik odznacza się wielką spoistością swej

budowy. Obce pierwiastki przedostać się nie mogą. Zamyka się przed niemi szczelnie, jak żółw w skorupie; składa się ze szlachetnie urodzonych zarówno właścicieli ziemskich, jak i niewłaścicieli, podstawę przeto najogólniejszą stanowi przywilej urodzenia, obok posiadłości gruntowej. Majątkowe stanowisko żadnej nie sprowadza różnicy między składowemi żywiołami sejmiku. Wszystko poddaje się pod jeden strychulec: każdy w gminie szlacheckiej ma głos równy, jednakowy. Co głowa—to głos, byle głowa szlachecka. Tak więc sejmik przedstawia się nawskroś jako gmina szlachecka, mocno wewnątrz spojona blizkim powinowactwem swych cząstek składowych. W tym tkwiła jej siła żywotna zachowawcza, jej długa odporność.

II.

Najprzedniejsze prawo sejmiku polega na udziale w sejmie walnym, w osobie upełnomocnionych przez niego przedstawicieli czyli posłów. Sejmik jest czynnikiem ustawodawstwa całej Rzeczypospolitej. Bez jego udziału żadne nowe prawo uchwalonym być nie może. Gdyby ten udział polegał był na zasadzie, iż większość głosów rozstrzyga i woli tej większości musi się mniejszość poddać, wówczas sejm walny byłby mógł skutecznie strzec dobra całości, dobra Rzeczypospolitej.

Stanęło temu na przeszkodzie *ograniczenie* przez sejmiki *władzy poselskiej*. Poseł, udając się imieniem swego województwa na sejm walny, wiózł ze sobą w kieszeni dokładne wskazówki od swych wyborców, czyli „instrukcje”, których musiał się trzymać mniej lub więcej ślepo. Gdy z takiemi instrukcjami stanęli na sejmie posłowie z kilkudziesięciu sejmików, wytworzenie jednej woli, któraby jako prawo obowiązywała wszystkich, było bardzo trudne. Wprawdzie niekiedy ograniczenie dotyczyło tylko najważniejszych

spraw; bywały też instrukcje, które pozwalały posłom z zupełnej korzystać swobody, bywały lata, kiedy sejmiki, ożywione większym do króla zaufaniem, poddawały się bez zastrzeżeń uchwałom, jakie za porozumieniem się wzajemnym i ogólnym zapaść miały; jednakże z reguły, to ograniczenie władzy poselskiej, to stawianie powagi sejmikowej na równi z powagą sejmu Rzeczypospolitej, przynosiło z sobą pierwiastki rozkładu, stanowiło przeszkodę, która wstrzymywała prawidłowy rozwój najwyższego ciała ustawodawczego.

Rozumieli to dobrze nawet współcześni. Starano się odwalić ten kamień Syzyfa, który staczał się ciągle, za każdym razem, na każdym sejmie. W orędziach królewskich brzmi silnie domaganie się, aby na sejm przysłani przedstawiciele byli przedstawicielami prawdziwemi, którzyby reprezentowali nie interes wyłącznie jednego województwa, lecz całej Rzeczypospolitej. W licznych głosach, jakie podnoszą ludzie gorącego serca, słychać domaganie się, aby wyrzucić zawadę, tamującą swobodny bieg życia publicznego. Jan Zamoyski, Karnkowski arcybiskup, Warszewicki, Górnicki i inni pisarze nacierają na zgubne uprzywilejowanie sejmików, a szczególniej Skarga miota pioruny swej kaznodziejskiej wymowy w tę niespożytą hydrę nierządu. Ale daremne były wszelkie usiłowania. Tu i owdzie zmięknie zatwardziałość sejmikującej szlachty, tu i owdzie ulegnie ona żądaniu króla, lecz pozatym nie da się wyparować z mocnej warowni swej udzielności.

W związku z tą prawodawczą władzą sejmików, pozostaje sprawa *jednomyślności* w stanowieniu uchwał sejmowych, również nieszczęsnej w swych następstwach. Aby jakakolwiek rzecz mogła być uchwaloną na sejmie, musiała pozyskać zgodę wszystkich bez wyjątku posłów. Łatwo zrozumieć, jak trudno było wobec tego o prawidłową pracę sejmu, gdy jeden głos niesforny wystarczył, by obalić wolę wszystkich pozostałych. O zasadzie większości miano zu-

pełnie jasne pojęcie, o potrzebie jej rozprawiano na sejmach i w pismach dość głośno i szeroko. Joachim Bielski kronikarz, który raz i drugi posłował na sejmach za Zygmunta III, bardzo ostro potępiał jednomyślność i oświadczał się za przyjęciem większości głosów. Nie brak zdrowych rad i trafnych wskazówek w literaturze. Tu i owdzie nawet w samych laudach sejmikowych odnajdują się wnioski, popierające zasadę większości. Niestety, głosy te nie osiągnęły skutku. Wprawdzie praktyka sejmowa łagodziła tę szorstkość partykularyzmu, wprawdzie wypadki zewnętrzne, niebezpieczeństwa najazdu nieprzyjacielskiego, ułatwiały swobodny rozwój jednomyślności, ale zasada sama pozostała nietknięta w swej istocie, niespożyta, niestrawiona. Ani przewidzieć było można, jak i kiedy posłuży ona za płaszczyk, pod którym ukryje się prywata, ambicja osobista.

Posłowie sejmowi przybywają więc na sejm z instrukcjami, które wyrażają niekiedy kategorycznie wolę i żądanie sejmiku, a gdy napotykają na opór, wówczas tamują bieg rozpraw sejmowych, dopóki nie stanie się zadość ich żądaniu. Od czasów Jana Kazimierza opozycja doprowadza też coraz częściej do *zrywania sejmu.*

Na tej podstawie wykształca się *liberum veto.* Osławione „nie pozwalam” przechodzi teraz w fazę dalszego rozwoju, kiedy poseł na swoją własną odpowiedzialność, bez wyraźnej woli swego województwa, mógł, nawet wbrew instrukcji, posunąć swoje *veto* aż do zerwania sejmu. Powstała i wykształciła się cała teorja, cała nauka o zbawiennych skutkach *liberum veto.* Rozpowszechnia się definicja tego prawa i przywileju wolności. Nazywa się ono „źrenicą wolności”. Wraz z elekcją uważane jest za filar wszelkch swobód. Na tych dwuch podstawach oparł się cały gmach nieszczęsnej „wolności” polskiej.

Od Jana Kazimierza ustawicznie wisiała nad krajem, jak miecz Domoklesa, wielka klęska, grożąca upadkiem,

ruiną, śmiercią. Sejm miał wielkie obowiązki, wielkie zadanie do spełnienia względem Rzeczypospolitej, względem jej przyszłości. Nie mógł nic przedsiębrać, był ubezwładniony.

III.

Po dwustu latach swojego bujnego rozwoju, poczynając od pierwszego bezkrólewia, kiedy się nowa rozpoczęła epoka w wewnętrznych dziejach Polski, gmina szlachecka kończy na wszystkich polach swej działalności — bankructwem.

Dawna Polska stała rycerstwem, szlachtą, temi samemi gminami szlacheckiemi, które ją rozszerzyły i wielką uczyniły, ale szlachtą zbrojną, orężną, do boju wprawną, tą szlachtą rycerską, na której barkach spoczywała siła państwa, bezpieczeństwo całości, nietykalność jej granic. Jeżeli nie starczyła rojna siła jej kopji, łuków i koni, składała wtedy na ołtarzu dobra ogólnego część swoich dochodów własnych. Z biegiem czasu jednak zaczęła się gmina szlachecka uchylać od tych dwuch obowiązków, które stanowiły podwalinę gmachu, nie założywszy natomiast innych, również trwałych fundamentów. Pospolite ruszenie doprowadziła szlachta już w XVI wieku do takiego rozprzężenia, że z jego istoty tylko złudny cień pozostał. Organizacja najemnego rycerstwa, która była nieodzowną koniecznością, powinna się była oprzeć na zwiększonym ciężarze podatkowym, lecz gminy szlacheckie wyprzęgszy się z jednego jarzma, i z drugiego wyzuć się usiłowały. I dopięły swego.

Dokoła Polski rośli tymczasem w siłę i znaczenie możni sąsiedzi; zaprowadzono wszędzie armje stałe, na których oparły swą potęgę rządy nowożytne. U nas skarb był pusty, wojsko nieliczne i licho płatne; zarówno hetman, jak podskarbi, o grosz każdy, o każdą rotę żołnierza z każdym sejmikiem osobno musieli się porozumiewać. Wobec podobnych stosunków Polska zdobyć się nie mogła na żadne

działanie polityczne; wytworzyło się o niej smutne przysłowie, że „nierządem stoi”; kasy wojewódzkie, zarówno jak skarb państwowy, świeciły pustkami, a niepłatny żołnierz często podnosił bunty.

Upłynęło dwieście lat takiego powolnego rozkładu, takiego wysnuwania wątku zgubnej zasady, aż gmach państwa runął, grzebiąc pod gruzami nietylko nadmiar wolności, ale i wolność samą.

Jan Zamoyski

z «Biesiady literackiej».

Po raz wtóry Polska po śmierci ostatniego z Jagiellonów znalazła się bez dynastji. Nie była to jednak już Polska Piastów, podzielona i mała, ale Rzeczpospolita jednolita, rozrosła i majestatyczna. Korona Kazimierza Wielkiego, zacieśniona nie do wszystkich nawet ziem czysto polskich, dziś miała stać się udziałem króla, który stawał na czele państwa, sięgającego od Baltyku do morza Czarnego, na czele nie jednego, lecz dwuch potężnych narodów, zlanych w jedną nierozerwalną całość.

Nie tylko pod tym względzm zmieniła się Polska. W okresie Piastów starszyzna wszystko sprawowała: ona zgadzała się na wybór Ludwika węgierskiego, jako następcy Kazimierza; ona wybrała Jadwidze Jagiełłę za męża; po śmierci Zygmunta Augusta stoi stan rycerski czyli szlachta niemniej potężnie i silnie. W epoce Jagiellonów stan ten wyrobił się i zmężniał, a niosąc podatek krwi dla kraju, zajmując stałe miejsce w sejmowym kole, nie mniejsze od magnatów miał prawo do udziału w obiorze króla. Jagiellonów obierano w izbie senatorskiej, ich następców musiał obierać naród, którego przedstawicielem była szlachta.

Bezpotomna śmierć Zygmunta Augusta znalazła kraj nieprzygotowanym; nie wiedziano, kto ma prawo obioru króla i w jaki sposób obiór uskutecznić; wahano, się którą pójść drogą: czy tą, która prowadzi do przewagi arystokracji, czy też tą, która na czele państwa stawiała demokrację szlachecką. Zwołano sejm konwokacyjny, na który jako poseł, przybywa Zamoyski, a którego ideałem była Rzeczpospolita. Zamoyski chwili się nie waha i stawia wniosek, aby nietylko senatorowie i koło poselskie, ale cały naród, to jest stan szlachecki, jako obowiązany stawać osobiście w obronie kraju, miał prawo obierania króla. Wniosek ten przyjęto i starosta bełski stał się najpopularniejszym wśród szlachty.

Wpływ i wzięcie Zamoyskiego rosło z każdą dobą, naród szedł za jego radą. Jego wysłano po Henryka do Paryża; Piasta domagała się szlachta po ucieczce króla, gdy Zamoyski Piasta popierał. Nie pomogły zabiegi i starania przeciwników, szlachta obrała Piasta, którym była Anna Jagiellonka, nie młoda już, lecz cnotliwa siostra Zygmunta Augusta. Zamoyski działał tu z planem: Obiór Anny był pośrednią drogą, po której na tron Polski miał wejść przyjaciel jego serdeczny, towarzysz studjów uniwersyteckich w Padwie, dzielny i rozumny Stefan Batory. Zamoyski wiedział, że tylko taki człowiek jak Stefan może pchnąć Rzeczpospolitą na właściwe tory, przeprowadzić wewnętrzną jej reorganizację, osłaniać od zewnętrznych wrogów i dlatego Stefana przez małżeństwo z Anną na tronie polskim osadził. Z chwilą objęcia rządów przez Batorego Zamojski robi się jego nieodstępnym towarzyszem i wspólnie z królem nad dobrem Rzeczypospolitej pracuje. Król, pomny dawnych stosunków przyjacielskich, dawnych dysput i studjów, ocenia należycie Jana i szybko go prowadzi po drodze dostojeństw. Kanclerz, odziedziczywszy buławę hetmańską, składa świetne dowody, że równie dobrze umie zwyciężać, jak radzić w spokoju. Wierny idei demokratycznej szlachty, Zamoyski, jako

starosta krakowski, ściąć każe Samuela Zborowskiego, za to, że ten złamał prawo narodowe, i daje tym poznać, że przed trybunałem prawa wszyscy są równi. Poczęto krzyczeć, że

Jan Zamoyski.

król i Zamoyski wolność uciskają, gdy oni ścigali tylko samowolę.

Przedwczesna śmierć Stefana nie pozwoliła przeprowadzić reformy prawodawstwa. Zamoyski odczuł ten cios po-

dwójnie: jako przyjaciel króla i jako Polak, ale nie opuścił rąk bezczynnie. Nienawidząc domu austryjackiego i dwulicowej jego polityki, kanclerz opiera się obiorowi arcyksięcia z domu rakuskiego, przeprowadza elekcję Zygmunta Wazy w nadzei, że w młodym królu znajdzie sprzymierzeńca do pracy. Nadzieje jednak zawiodły. Zygmunt III, zapominając, że Zamoyskiemu głównie zawdzięczał koronę polską, nie pomnąc zwycięstwa pod Byczyną, z pewnym niedowierzaniem od pierwszej chwili patrzał na kanclerza. Spostrzegli to nieprzyjaciele Zamoyskiego i nie omieszkali z tego skorzystać. Zamoyski ze smutkiem przekonał się, że wpływ jego słabnie, że uparty królewicz szwedzki nie myśli słuchać rad jego, mających na celu dobro Rzeczypospolitej, że zniechęca się ku królowi serce narodu i że sam się zniechęcił do króla. Przenosi się więc do Zamościa i zaczyna pracować nad planem reformy Rzeczypospolitej bez króla, a widząc, że Zygmunt III coraz gorzej poczyna, powołuje go przed sejm inkwizycyjny, jako łamiącego wolę narodu. Nie zgubił jednak króla, choć mógł z łatwością to uczynić.

Przeciwny pierwszemu małżeństwu Zygmunta z Anną austryjacką, sprzeciwiał się powtórnym jego związkom z kobietą z tego samego domu. Zygmunt, jak wprzódy, tak i teraz nie usłuchał rady sędziwego kanclerza. Wiadomość o małżeństwie króla z Konstancją doszła go niespodziewanie, wówczas, gdy wzywał szlachtę, aby nie dopuściła małżeństwa. Był to straszny cios dla kanclerza, ostatnie jego nadzieje pierzchały bezpowrotnie; nie mógł go przenieść spokojnie i umarł z żalu d. 3 czerwca 1605 roku.

Zamoyski żył lat 64 i cały się Rzeczypospolitej poświęcił. Był to, jak o nim pisze Bartoszewicz, „wielki narodowy człowiek, jeden z największych, jakich kiedykolwiek miała Polska, wszechstronny, znakomity, do szpiku kości narodowy. Typ czysto starożytny, a tym wspanialszy, że działał w ogromnym państwie, nie w Atenach, nie w Sparcie.”

Piotr Skarga

przez Maurycego Dzieduszyckiego.

Chociaż żył na dworze królewskim, w niczym jednak Skarga zakonnych swych zwyczajów i obowiązków nie odstępował. „Kto wszedł do celi jego, mówi Birkowski, dziwował się, iż tak ubogie łóżko, ławki, stoliki nieprzybrane widział.” Mógł mieć z hojności królewskiej na potrzeby swe i wydatki, ileby tylko zażądał, nigdy przecież więcej przyjąć nie chciał nad to, bez czego ściśle obejść się nie mógł, a ze wszystkiego, cokolwiek dostał, co rok dokładny rachunek dobrowolnie zakonnym swym przełożonym składał. Kiedy inni ubiegali się o tytuły i dostojeństwa, on nigdy nawet tytułu kaznodziei królewskiego nie używał, tak, że tylko na kościelnej mównicy poznać było można, że to jest królewski kaznodzieja. W ubogiej swej celi codzień jedną godzinę poranną poświęcał rozmyślaniu, ile mu czasu stało, a zawsze w południe i w wieczór sumienie swe roztrząsał. Najzazdrosniejsze oko żadnej w nim nigdy skazy upatrzyć nie mogło. Żyjąc jak zakonnik, uważał przecież zawsze pobyt swój na dworze jako świetne wygnanie i wzdychał nieustannie do klasztornej zaciszy.

Lecz mógł że Zygmunt przenieść na sobie oddalenie świętego kapłana, co stał się jakoby członkiem jego rodziny? On chrzcił i grzebał najdroższe mu osoby. On przygotował na śmierć i pocieszał w ostatniej chwili królewską ciotkę Annę Jagiellonkę, na jego rękach skonała pierwsza małżonka Zygmunta Anna Austryjaczka, na jego rękach pierworodne dziecię ich Anna Marja, on chrzcił Jana Kazimierza. A jeżeli w Zygmuncie przywiązanie i wdzięczność stała na przeszkodzie najgorętszym życzeniom Skargi, to niemniej ważne powody pobudzały wszystkich prawych obywateli do oporu w tej mierze. Widzieli przy boku królewskim męża,

którego niepodobna było zastąpić, który przy najwyższych umysłowych zdolnościach pałał najżywszą miłością Boga i bliźniego, przenosił dobro ojczyzny i wiary nad wszystko, który przy staropolskiej prostocie i szczerości, przy miękkim i czułym sercu, miał niezrównany hart duszy, nieustraszoność, zręczność i potęgę woli, który, jednym słowem, był według przykazania Zbawiciela mądrym jak wąż, a prostym jak gołębica. Mając największy wpływ u monarchy i najpierwszych magnatów, biskupów i senatorów, mógł, zdaniem powszechnym, osiągnąć, czegoby tylko zapragnął, a on nie pragnął niczego i tak był na wszystkie światowe rzeczy obojętnym, jakoby o nich nic nie wiedział. Do żadnych intryg ani dworskich matactw nie mieszał się. A co rzadsza u dworu: czynił, jak mówił. Nie oglądał się na osoby, ale na dusze i nie mniejsze okazywał wylanie się i gorliwość względem najuboższych i opuszczonych, jak dla możnych i bogaczów. Wbrew przyjętemu na dworach obyczajowi, był przystępnym i łaskawym dla ubogich i nizkich, a śmiałym, otwartym i szczerym dla króla, magnatów i panów; jedno bowiem, jak drugie, poczytywał sobie za obowiązek tej miłości bliźniego i tego miłosierdzia, które w ojczyźnie naszej tak widocznie utwierdził i rozkrzewił, że z imieniem jego wiecznie żyć będzie.

Pracowitość jego była tak wielka, że mimo tylu napisanych dzieł, kazań, podróży i tysiącznych roztargnień, znalazł dość chwil wolnych do robót ręcznych: robił kałamarze i szkatułeczki pisarskie, oprawiał papiery i książki, kleił teki, szył dla siebie lub zakonnych nowicjuszów koszule i chustki, lub lał świece woskowe.

Takiego to męża posiadał dwór Polski przez lat dwadzieścia i cztery. Na wiosnę 1612, skończywszy lat 76, tak był już zapadł na siłach, że nie podobna było odmówić mu upragnionego dawno i zasłużonego odpoczynku. Piątego kwietnia uwolnił go król w Warszawie od obowiązków,

a 22 t. m. miał tam w sam dzień Wielkanocny ostatnie swoje na dworze kazanie, gdzie, żegnając się z królem, królową, senatem i dworem, wyznawał się być sługą nieużytecznym i prosił o przebaczenie win w czasie długiego swego urzędowania popełnionych. Wszyscy zalewali się łzami, w całym kościele św. Jana panowało grobowe milczenie, przerywane tylko czasem westchnieniami i łkaniem. Stanęło im teraz przed oczami całe życie jego, jego cnoty, jego miłosierdzie, nauki, jakie dawał, proroctwa, które wyrzekł... stanęła przed oczami przeszłość z wielkiemi onemi postaciami, których on był towarzyszem, stanął Batory, Zamoyski, Hozjusz, Karnkowski, stanęła znów z drugiej strony przyszłość. Wiedzieli, kogo i co tracili!

Żył lat 76. Wieść o jego zgonie obiegła błyskawicą całą Polskę. Zewsząd podniósł się jeden jęk żalu, jedno uczucie uwielbienia, jedno przekonanie o jego świętości. Co o nim cała myślała ojczyzna, pokazało się naocznie na pogrzebie, który odbył się nazajutrz po jego śmierci. Niesłychane mnóstwo ludzi wszystkich stanów, każdego wieku i płci cisnęło się na ten smutny obrzęd; wystąpiła cała akademja, wszystkie zakony, a wiele najznaczniejszych osób ubiegało się o zaszczyt niesienia z kolei na własnych barkach tych szanownych zwłok do wspaniałej świątyni św. Piotra i Pawła, która, za jego wstawieniem się wzniesiona, miała być ostatnim jego mieszkaniem. Ozwał się pewnie w ten czas i ów olbrzymi dzwon Zygmuntowski, rozwodząc ze szczytnej królewskiej wieży swe jęki po całej okolicy nadwiślańskiej. Ale nie sam tylko Kraków obchodził ten smutny obrzęd. Zabrzmiał i Wileński akademicki kościół żałobnemi pieniami i mowami na cześć rodaka, co pierwszym był tej słynnej uczelni rektorem. Nie milczały i inne miasta polskie: Warszawa, Lublin, Lwów i t. d., gdzie w bractwach miłosierdzia i innych podobnych zakładach były nieustające pomniki cnót zmarłego kapłana i jakoby stóp jego ślady...

Nie możemy nie zastanowić się nad tym duchem proroczym, którym był w niepoślednim stopniu dany. Duch ów najdobitniej ukazuje się w Kazaniach jego sejmowych i we „Wzywaniu do pokuty”. W czasach, kiedy ojczyzna stała na wysokim szczycie potęgi i należała do najpierwszych mocarstw Europy, kiedy z jednej strony opierała się o Karpaty i Czarne morze, z drugiej o Baltyk, Dźwinę i Dniepr, on zastosowywał do niej straszne wyrazy Jeremjasza, Ezechiela i Izajasza; on pokazywał rycerstwu w złocie i djamentach świecącemu, niewolę, wygnanie, nędzę i tułactwo jego prawnuków; on czytał najwyraźniej jakby z długiego krwią i łzami zroszonego pergaminu całą treść dziejów...

Bitwa pod Kirchholmem

przez kapitana F. Kudelkę.

Wczesnym rankiem wyszło wojsko szwedzkie w liczbie 11000 piechoty i 3000 jazdy pod wodzą Karola Sudermańskiego ku Kirchholmowi, aby napaść garstkę Polaków i Litwinów. Gdy Szwedzi uszykowali się do boju, wywiódł Chodkiewicz swoich na wzgórze, tak, że wojska mogły się nawzajem niemal twarzą w twarz oglądać. Cały ranek zajęły harce zawsze pomyślne dla Litwinów. Żywa otucha napełniała ich serca. Podczas chwilowej przerwy przemówił Chodkiewicz do wojska, wystawiając smutne położenie Inflant, po czym dał swoim niecierpliwie oczekiwany znak do boju.

Straszne i krwawe było starcie. Małe ściśnięte hufce polskie rozwinęły się w długie linje i z okrzykiem „Jezus Marja” wśród odgłosu trąb i kotłów, rzuciły się na wroga. Nie wszyscy wpadli odrazu w ten las nadstawionych pik, lecz jedni, idąc za przykładem przodujących, cisnęli się w poczynione wyłomy, inni straciwszy konie i wystrzeliwszy pistole-

ty, siekli szablami lub koncerzami piki wroga, miejsce sobie czyniąc. Dzielni pikinierzy szwedzcy, choć nieodpowiednie uszykowanie i uzbrojenie zwyciężyć im nie pozwoliło, tyłu zrazu nie podali, bronili się, kłując długiemi spisami na konie i ludzi nacierających, padali na miejscu w szeregach jeden obok drugiego, pod kopytami końskiemi i razami koncerzów, krzywych szabel i obuchów, gotowi lec, a nie ustąpić.

Ostatnie świeże chorągwie rzucił król Karol w ten wir walki, a przecież nie potrafił przechylić szali zwycięstwa na swą stronę. Przeciwnicy zwarli się jak dwie chmury; bój trwał chwilę, szeregi były pomieszane, ledwie swój swego w tym zgiełku rozpoznał; tutaj tylko świeże siły mogły rozstrzygnąć. Szwedzki wódz nie miał już ani jednej świeżej roty, lecz miał ją Chodkiewicz! Przezorny hetman, którego bój dłużej trwający sprowadził na miejsce niebezpieczeństwa, zaklinał swoich, by wstrzymywali chwilkę jeszcze tę nawałę, a widząc moment ogólnego przesilania, pchnął gońca do Lackiego, do walnego hufu, który dotychczas stał na miejscu — *propter omnes casus* — na rozkazy hetmańskie oczekując.

Poinformowany Lacki przez gońca hetmańskiego o stanie walki, objechał ze swą 200-konną chorągwią cmentarz, zachodząc tym manewrem w bok lewy nieprzyjacielski, tam, gdzie tenże stał najgęściej, a rozwinąwszy swój ściśnięty dotychczas huf, wpadł jak piorun na nieprzyjaciela.

Pod tym natarciem runęła cała masa pomieszanych jeźdźców i rajtarów w kierunku wskazanym przez uderzenie Lackiego na lewe skrzydło piechoty szwedzkiej, która dotychczas jeszcze czoło stawiała. Przeszło 2500 koni cwałujących szwedzkich i polskich, gnanych i gonionych, okropnym naciskiem wpadło na piechotę i roztratowało ją; reszta jej rozprysła się. Wtedy „skończyła się bitwa i rozpoczęła się straszliwa rzeź.”

Jenerał Brandt daremnie wzywał i wstrzymywał ucie-

kających, sam wkrótce dostał się w niewolę, a husarja polska „zagrała gonionego" (ruszyła w pogoń). Zapominał w takiej chwili lekko postrzelony o swej ranie, o znużeniu, całodziennym wysiłku; konie nawet, widząc to ogólne polowanie, nabierały świeżych sił, gnały, póki nie padały pod swemi jeźdźcami Żaden husarz nie pomyślał, że konia swego wartującego i 200—300 czerw.-złotych w tej gonitwie postrada, kredensował bowiem na czele hetman, książę Kurlandzki i pułkownik; któż to wtedy mógł zostać w tyle i nie wypić czary zwycięstwa do dna? A cóż to za radość napawa jeźdźca, gdy widzi po całodziennej pracy cel osiągnięty — uchodzącego wroga! To żniwo! Muzyki marsowe, surmacze, trębacze i kotły grały na tryumf, rozlegały się echa zwycięstwa po lasach i borach, dodawały ducha, a syn sarmacki tańczył do upadłego „gonionego". Energiczna musiała być pogoń, skoro Karol Sudermański z kilku zaledwie najlepszych jeźdźców z trudem dostał się do floty i wsiadł na okręty.

Ku wieczorowi nie było nieprzyjaciela w Inflantach! Jakby na urąganie, towarzyszyła brzegiem Dźwiny konnica polska płynącej flocie aż do ujścia morskiego, strzelając z łuków i pistoletów.

„Bitwa Kircholmska, dzieło to wprzód rąk Boskich — mówił Jakób Sobieski na pogrzebie hetmana Chodkiewicza— a potym męstwa, dzielności wojska naszego. Dziwują się podziśdzień cudzoziemscy hetmani, pełne są odgłosów sławy zamorskie kroniki. Kilkanaście tysięcy ludzi zbrojnych znieść *ad internectionem* tak małą garścią ludzi, z tak małą swoją szkodą; bardziej się mu potomne wieki dziwować, aniżeli wierzyć będą."

Stanisław Żółkiewski

podług Seweryna Gołębiowskiego.

Jeden z największych mężów stanu, wodzów i patryjotów, jakich kiedykolwiek Polska wydała, zwycięzca z pod Kłuszyna, gdzie w 6,000 rycerstwa na głowę pobił osiem razy liczniejszą armję Wasyla Szujskiego, pogromca kozaków i Tatarów, pradziad Jana III, wielki hetman i kanclerz koronny, Stanisław Żółkiewski, świeci niby gwiazda wspaniała na niebie polskiej historji, a długi jego żywot pozostanie na zawsze niedoścignionym wzorem, jak ofiarnie, wytrwale i z miłością służyć należy ojczyźnie.

Wszystkie też rysy charakteru jego składają się na dziwnie świetlaną całość. Wychowany w zasadach głęboko religijnych, rozumiał, że „wiara bez uczynków martwa jest", i tego przestrzegał zawsze, to też życie jego było ciągłym wyznaniem wiary, jaśniejącej w czynach. Wielkie zaszczyty i wielkie zasługi nie wbiły go w dumę. Sam prosty i daleki od pychy, miał odwagę wytykać drugim błędy otwarcie, ale bez namiętności. Radził zwięźle i jasno. W boju z odwagą żołnierską łączył zimną krew i rozwagę starego wodza. Siebie nie oszczędzał, wojska bez potrzeby nie narażał i z małemi siłami wygrywał bitwy, w których jeden człowiek bił ośmiu. W czasach, w których swawola szlachecka brać poczynała górę, w których Rzeczpospolita chwiać się zaczynała dla braku silnej władzy, a król coraz to mniej znaczył, był jednym z nielicznych, co rozumieli, iż wzmocnienie tronu dać może ostoję zachowania nabytej przed wiekami wielkości, a poniżenie jego powagi i ubezwładnienie go rozpęta bezrząd i sobkostwo szlacheckie na zgubę ojczyzny. Przy tronie też i przy ojczyznie mocno stał Żółkiewski przez całe życie. Jako polityk snuł potężne i daleko sięgające plany ugruntowania wpływu Polski na słowiańskim wschodzie

przez osadzenie dynastji Wazów na tronie moskiewskim. W czasie pokoju był skrzętnym gospodarzem, dbał o oświatę, zakładał szkoły. Nadewszystko przecież był żołnierzem.

Miał przeczucie, że śmierć w boju go spotka; powtarzał to nieraz i takiej śmierci pragnął, jak największego szczęścia. „Daj to Boże—powiadał — żebym się tak fortunnie urodził, żebym położeniem żywota mógł posłużyć Rzeczypospolitej i zacnej sławie narodu naszego." W testamencie tak o tym wspomina: „Sławniejszy żywot i śmierć Władysława, co u Warny zginął, niż wiele innych, co na ich nagrobki patrzymy. Życzę sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej i dla ojczyzny, ale nie wiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien." I dodaje jeszcze te piękne słowa: „Jeślibym w potrzebie, (t. j. w bitwie) umarł, miast aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna pokryta będzie szkarłatem na znak wylania krwie dla Rzeczypospolitej, a to nie dla chluby żadnej, lecz dla pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla ojczyzny."

Synowi daje takie napomnienie i naukę: „Nie zostawiam ci włości i majętności wielkich, choć z krwawej wysługi miałem dochód niemały; wszystkom obracał na służbę Rzeczypospolitej i część majętności ojcowskich uprzedałem, ale mi tego nie żal. I mnie i tobie to nie zginie... Mnie wierz: z nauki wielką pomoc do godności, do służby Rzeczypospolitej i do uczciwego życia mieć będziesz, próżnowania się strzeż, jak powietrza, mistrzem zaraz być nie chciej, byś nie pobłądził... Niech przez ciebie nie będzie polżona, ale owszem pomnożona uczciwa sława moja."

Ten wódz znakomity, ten obywatel wielki zginął chlubnie i zaszczytnie, jak żył: na polach cecorskich, kładąc siwą głowę w boju z nieprzyjacielem ojczyzny.

Przed bohaterstwem i wielkością Żółkiewskiego ukorzyli się nawet ci, z któremi walczył, a jeden z ówczesnych poetów tureckich sławił wierszami jego pamięć. Uciętą

głowę hetmana prosto z obozu pod Cecorą wysłano do Stambułu, gdzie na znak radości ze zwycięstwa nad niepokonanym dotąd wodzem zawieszoną została u stropu sułtańskiego pałacu. Pozostała wdowa hetmańska Regina z Herburtów, straciwszy męża, który poległ, i syna, który pojmany został w niewolę, zniosła ten cios podwójny, rozdartym, ale mężnym sercem. Wykupiwszy zwłoki hetmana z rąk wrogów za olbrzymią sumę 200,000 czerwonych złotych, złożyła je w grobie rodzinnym w Żółkwi i ku pamięci męża wzniosła pomnik, na którym wyryte zostały owe przepiękne wyrazy: „słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę" i inne jeszcze, jakby w prorockim jasnowidzeniu tu położone: „z kości naszych powstanie mściciel".

List hetmana Żółkiewskiego do żony

pisany w przeddzień śmierci z obozu pod Cecorą

„Miłościwa Jejmość Pani, a Pani małżonko ma, sercem ukochana i wieczyście miła!

Tak było i tak będzie: aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, Pan Bóg Wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec, i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała, nieprzyjaciołom tamę w bitwach stawiać rada była. Jakoż, kiedyśmy się zabierać radzi do utarczki z poganem, tego świtania odebrałem pisanie Waszej Miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej małżonki, toż pociechą słówek kilka, a kto wie, może być, że i ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że Waszmość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić [1]) starca i sił mych, a cho-

---

[1]) Żałować, oszczędzać.

ciażby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie mym, jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcąc koniecznie odchodzić od sprawy[1]), że onych ledwo uhamować mogłem. Skinder basza i Gałga nie chcą już wiedzieć o układach i gotują się dać stanowczą bitew. Przetoż nie turbuj się Waszmość, najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami, a choćbym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już nie zdatny, a Pan Bóg wszechmocny da, że i syn nasz miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pogan zaprawi, i chociażby tak było, jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek, jako bądź, załączam WMości najukochańszej małżonce miłość dziatek, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitej. Co Pan Bóg chce z swej łaski dać, niech się stanie, a wola jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tym mnie modlitwom i łasce Waszmości najukochańszej Jejmości polecam, i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam.

W obozie pod Cecorą dnia 6 października 1620 roku. Jejmości do zgonu kochający małżonek i ojciec, *Stanisław Żółkiewski hetman W. K.*

Kobieta w Polsce

podług Zyg. Kaczkowskiego i Wł. Łozińskiego.

Gdyby jedyną i rozstrzygającą cechą obyczajowej kultury było stanowisko kobiety, to szlacheckiej Polsce należałby się może z tego tytułu prym między narodami. Stanowisko żony i matki było w całym znaczeniu tego słowa dostojne;

---

[1]) Odstąpić od bitwy.

wpływ kobiety wielki, często nawet przemożny. Żona „klejnot drogi", żona „miły i wdzięczny, a tobie równy towarzysz", żona „ozdoba mężowi", żona „głowy korona"—wszystkie te nazwy spotykane ustawicznie u naszych starych poetów i pisarzy, począwszy od Reja i Kochanowskiego, a skończywszy na najpóźniejszych, to nie były czcze tylko słowa, to była cała prawda. Jestto rys naprawdę charakterystyczny, że żonie dawano zazwyczaj nazwę „przyjaciela". Nietylko szlachta, ale i wielcy panowie, którzy łatwiej i wcześniej odbiegali od staropolskiego obyczaju, przyjacielem mianują żonę. Janusz Radziwiłł, prosząc króla Władysława IV o pomoc do ręki panny Potockiej, zaklina go, aby nie odmówił, bo tu „nie o urząd, nie o wakancje idzie, ale o wiecznego przyjaciela".

Pod tą nazwą przyjaciela kryje się wyraz emancypacji kobiety w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. Widząc w żonie przyjaciela, wymagano od niej nietylko sentymentu, ale i męstwa, nietylko serca, ale rozumu i czynu. Roztropną i serdeczną wiedziony miłością wdrażał mąż żonę we wszystkie swe sprawy, obznajmiał ze stanem majątku, z trybem gospodarstwa, ze stosunkami i naturą swoich podwładnych, i wyręczał się nią nawet wtenczas, kiedy był w domu. Toż, kiedy mu wypadło oddalić się z domu, ona zdrowa i silna na ciele, czerstwa i trzeźwa umysłem, a obznajmiona ze wszystkim, obejmowała rządy domowe i gospodarskie i prowadziła je tak, że lepiej nie potrafił mężczyzna. Owoczesne kobiety miały zupełne uzdolnienie po temu, bo je w nich wyrabiano od dziecka, i czy go było potrzeba, czy nie, ciągle utrzymywano.

I przeszło to potym w obyczaj i dochowało się przez wszystkie wieki aż do czasów ostatnich. We wszystkich wiekach, podczas najdłuższych pozadomowych wojen, nie podupadały u nas gospodarstwa ziemian-rycerzy, bo je prowadziły kobiety. Daleko też więcej znajdujemy wspomnień

o gospodarności kobiet, niż mężczyzn. Żywiąc w swych sercach ducha dawnych tradycji, które przynosiły wieść o dawnej jedności narodu, o równości rycerza i kmiecia, o ich związkach rodzinnych i braterskiej miłości, w której ze sobą żyli, utrzymywały one te tradycje w rzeczywistości i przywiązywały do siebie lud wiejski zwyczajami i obrzędami, pochodzącemi z dawnych czasów, a noszącemi na sobie charakter prawie rodzinny. Kobieta nie była nigdy ciemiężycielką poddanych, przeciwnie, była ona zawsze ich ochronicielką przeciw ciemięstwu mężów, jeżeli ci sami trudnili się gospodarstwem. Daleka od wszelkich nadużyć swej władzy, owszem usiłowała ona zawsze im ulżyć poddańczego ciężaru, a gdzie tego było potrzeba przychodziła im z macierzyńską pomocą.

Kobiety w ojczyźnie Anny Chrzanowskiej często dorównywały mężczyznom energją czynu i męstwem, a w regule przewyższały ich ambicją. Frycz Modrzewski ubolewa nad tym, że „niewiasty polskie zwykły się hardziej, niż przystoi, przeciwko mężom zachować". Nie szukając innego przykładu, cóż to za wspaniała w swoim rodzaju postać dziewczyny polskiej, ta w cichym Samborze wychowana wojewodzianka sandomierska, późniejsza carowa Maryna, która z przedziwną energją i niepokonaną niczym siłą ambicji stawi czoło najgroźniejszym przygodom swego awanturniczego losu, która ubrana w zbroję husarską wpada do koła rozwichrzonego polskiego żołnierstwa i postawą i mową „siła towarzystwa na swoją stronę buntuje", która uciekającym z wałów oblężonego przez Moskwę Dymitrowa zabiega drogę, wołając: „Co czynicie, źli ludzie! Jam białogłowa, a serca nie tracę!" — a staroście uświeckiemu Sapieże, kiedy ją chce zatrzymać w drodze do Kaługi, rzuca wyzywające słowa: „Mam półczwarta sta Dońców! gdyby mi do tego przyszło, dam ci bitwę."

Wpływ kobiet polskich przekraczał często granice

świata domowego, w którym królowały, sięgał w życie publiczne i jego najważniejsze nawet sprawy. Obok licznych innych mamy tego najwymowniejsze może wskazówki w raportach posłów i agientów cudzoziemskich, którzy obliczając szanse swojej misji i akcji, biorą w rachubę także opinje i sympatje dam polskich, małżonek dostojników koronnych. Nie inaczej bywało i później; w czasie czteroletniego sejmu wpływały na bieg rzeczy publicznych w znacznej mierze i damy polskie.

W życiu codziennym i praktycznym, w sprawach administracji fortun, w akcjach procesowych a nawet w zajazdach i wojnach domowych kobiety odgrywają często rolę energicznych i śmiałych adwersarek lub aljantek.

Warszawa i Kraków

przez Juljana Bartoszewicza.

Kraków i tak już niedogodny był na stolicę królestwa, pod koniec panowania Piastów. Kiedy Śląsk odpadł stanowczo do Czech za Kazimierza Wielkiego, Kraków już był na pograniczu, nie w środku ojczyzny. Za Jagiełłów, kiedy Polska stała się na chwilę ogniskiem życia słowiańskiego, kiedy wywierała wpływ wielki na Czechy i Węgry, kiedy korony obce spływały do niej i służyły Jagiellońskiej dynastji, Kraków, chociaż na pograniczu, był jeszcze punktem dogodnym; tłumaczy się to, dlaczego w nim jest stolica. Ale za Zygmuntów Niemcy już panują w Czechach i Węgrzech, i Kraków osamotniony stoi prawie na pograniczu, jak wprzódy za Kazimierza Wielkiego lub za Jadwigi. Ognisku życia narodowego najwłaściwiej być w środku kraju.

Kiedy sejmom wspólnym Małej i Wielkiej Polski za oddalonym punktem był Kraków, jakże niedogodne tej sto-

licy położenie było względem Rusi i Litwy! Z początku nie raziło to jeszcze; Ruś nie ma oddzielnego bytu narodowego, Litwa zaś, chociaż przez unję złączona z Koroną, oddzielny ma swój rząd, oddzielnego wielkiego księcia i oddzielną stolicę w Wilnie.

Chociaż Litwa ma zupełną wolność i swobodnie się porusza, ale ulega mimowolnie parciu wyższej cywilizacji i powoli przyjmuje barwę, narodowość polską. W miarę tego, jak Litwa się przeradza, w miarę tego, jak zbliża się unja rzeczywista, Kraków tracić musi na swoim znaczeniu, już dla tego samego, że jest punktem pogranicznym, gdyby nawet innych przyczyn nie było. Jeżeli mu niezręcznie być stolicą np. dla ziem pomorskich, jak ma być stolicą dla Ukrainy, dla Białej Rusi? Ma Kraków wszystko co mu potrzeba dla zachowania swego majestatu; mieszkają tam i koronują się królowie, którzy po śmierci nawet stale się już chowają na Wawelu i te groby królewskie są nową pamiątką, nowym uświęceniem Krakowa. Sejmy także często, pomimo zwyczajowy przywilej Piotrkowa, gromadzą się i radzą w Krakowie około rzeczy publicznej. Ale i Litwa potrzebuje jakiegoś poświęcenia się, jakiejś ofiary ze strony Polski. Piastom Kraków wystarczył, ale Jagiellonowie, co nic dziwnego, ciągną, tęsknią do Litwy. Ludwik węgierski jakby zapowiadał tę nową epokę, w którą ojczyzna polska wkroczy, bo zaniedbywał Kraków; ale Jadwiga, która ciągle w stolicy tej przesiadywała, ściąga do niej Władysława Jagiełłę. Za przykładem ojca, rządzą w Krakowie Koroną Warneńczyk i Kazimierz, potym Jan Olbracht. Ale potrzeba ściślejszej unji Polski z Litwą wywołuje nową potrzebę składania sejmów wspólnych.

Pierwszy sejm taki odbywa się w Horodle na pograniczu Korony i Litwy, w Rusi Chełmskiej; następne sejmy składają się już na północniejszym nieco pograniczu.

Kraków tracić już wyraźnie zaczął na pozorze stołecz-

nym za panowania Zygmunta Augusta. Młody król pierwsze lata rządów swoich, w których się zaprawiał, przebył na Litwie i mieszkał w Wilnie, które się za niego wielce podniosło. Tutaj pierwszy raz odetchnął spokojnie, zwolniony z ciężkiej opieki matczynej. W Wilnie pokochał silną miłością swoją Barbarę, najdroższe jego wspomnienia tu zostały.

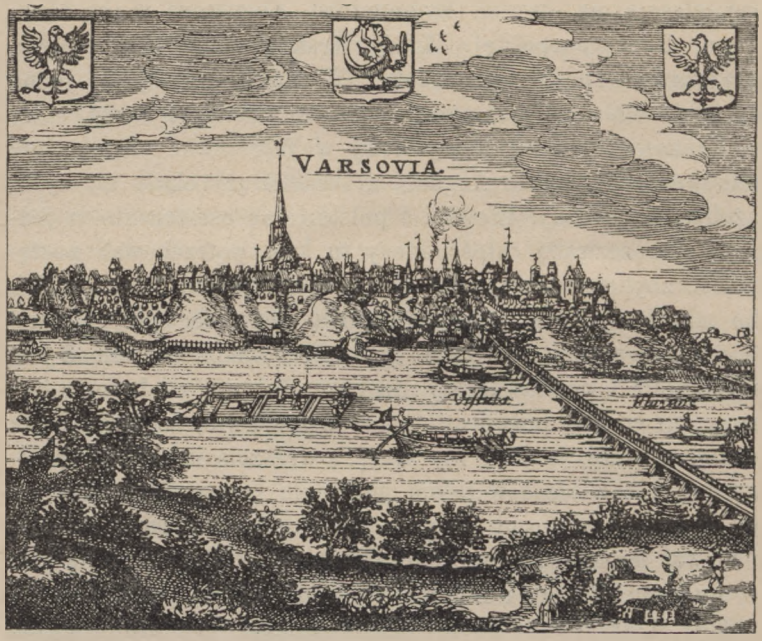

Dawny widok Warszawy.

Zygmunt August niezmiernie koczujące prowadził życie, zupełnie jak dziad jego, Kazimierz Jagiellończyk. Ale Kazimierz biegał wszędzie, bo czynny miał umysł, lubił myśliwstwo; Zygmunt August jeździł, ażeby uciekać przed troską, która go wszędzie ścigała. Szukał samotności, ustronia. W ostatnich chwilach, Wilno nawet, dawniej tak kochane,

już go raziło. Polubił król mianowicie Warszawę, a pod koniec życia Knyszyn na Podlasiu. Warszawa, aczkolwiek stolicą była jednej dzielnicy książąt mazowieckich, miała podówczas pozór jeszcze bardzo wiejski i skromny; spokojniejsza daleko była od Wilna, a cóż dopiero od dumnego Krakowa! Ani się równać wtedy nie mogła historycznemi wspomnieniami swojemi lub murami z Krakowem; ale znalazła się właśnie na drodze Zygmuntowi Augustowi i, jak zobaczym, Rzeczypospolitej. Kiedy Kraków upadł znaczeniem, Warszawa wznosić się poczęła. W miarę jak epoka jedna życia narodowego ustępowała drugiej, marniał świat stary w Krakowie, rozrastał się nowy w Warszawie. Kiedy całe panowanie Zygmunta Augusta głównie krąży około tej myśli, ażeby dwa narody, litewski i polski, zlać ostatecznie w jedną i nierozerwaną całość, kiedy tu król potrzebował postępować zbyt ostrożnie, żeby nie obrazić żadnej narodowości, bo chociaż Litwa już spolszczała zupełnie, przynajmniej w stanach swoich wyższych, rządzących, jednakże dumna jest i zuchwała i poddawać się nie chce Koronie na łaskę, a Korona znowu zna prawo swoje i wyższość, wie, że Litwie dała wiarę, oświatę, język i literaturę, a wreszcie instytucje i wolność,—otóż właśnie w takim położeniu rzeczy, Mazowsze jako kraj neutralny, ni litewski, ni krakowski, cudownie się nadawał do nowych przeznaczeń narodu. Nim unja nastała w Lublinie, Polacy i Litwini zbierali się do Warszawy na układy, którym król zwykle przewodniczył. I stało się, jak chciał król: Warszawa zaczęła znaczyć wiele w narodzie. Odtąd układy o unję toczą się ciągle w Warszawie. Aż niedługo zbiera się wiekopomny sejm lubelski i cała Rzeczpospolita, na nim zjednoczona, postanawia, że odtąd wszystkie sejmy zwyczajne zbierać się mają i obradować w Warszawie. Piotrków, Lublin, Parczów i t. d., a nawet Kraków rade nie rade zrzekają się prawa swego; jedynym miastem sejmowym dla całej Rzeczypospolitej staje się Warszawa.

Ostatek życia wielki król Zygmunt August przepędził w Warszawie. Tutaj przyjmował posły zagraniczne, o Inflantach radził, stąd datował swoje ostatnie rozkazy, tutaj widywał się z siostrą jedyną, co mu pozostała na świecie, tutaj się dowiedział o śmierci żony i tutaj zapadł na ostatnią chorobę.

Z Warszawy wreszcie wyjechał król na to, żeby tylko umrzeć w Knyszynie. Ostatnie myśli ostatniego Jagiellona goniły w Warszawie za przyszłością ciemną narodu.

W Warszawie to, a nie gdzieindziej zgromadza się w najpierwszym bezkrólewiu sejm walny, lubo dla niego tyle już miejsc i w różnych stronach kraju wyznaczono. Moc szlachty napełnia całkiem miasto i przedmieścia, a codzień wzrasta napływ ludności, która się rozsiadła po namiotach na polach okolicznych. Most nowy na Wiśle ułatwia związek lewego brzegu rzeki z prawym. Most ten zbudował ostatni Jagiellończyk, jakby dlatego, żeby ściśle zespolić w Warszawie Litwę z Koroną, jest to więc symbol polityczny, bez którego dawniej Rzeczpospolita ostać się mogła. Jak konwokacja, tak i elekcja odbywa się w Warszawie, pod Warszawą.

Widzimy tedy, jak ku Warszawie przeważa się coraz więcej ognisko życia narodowego. Naprzód to życie przyszłej Polski bije w Mazowszu słabym pulsem, ale krew narodu spływa niedługo silniej po tej arterji i pokazuje przed czasem, że tutaj kiedyś będzie serce. Więc stają w Warszawie sejmy; potym najważniejszy objaw wszechmocnego majestatu Rzeczypospolitej, elekcje królów, ten najpoetyczniejszy, najwonniejszy kwiat przeszłości naszej, nie gdzieindziej, tylko w Warszawie zdradza się życiem. Teraz, jak Rzeczpospolita długa i szeroka, zna każdy szlachcic Warszawę chociaż z opowieści, Warszawa w ustach wszystkich.

W krótkich chwilach spokojności, pomiędzy jedną a drugą wojną, król zjeżdża na sejmy do Warszawy, a do

Krakowa wcale nie zaglądał nawet, gdy mu na to nie starczyło czasu; dawne miasto królów prawie osierociało, osamotniało, pokryło się smutkiem. Na sejmach warszawskich król żądał od stanów podatków na wojnę moskiewską, sądził sprawę Zborowskich. Wszystkie monarchiczne wspomnienia Batorego są już w Warszawie, nie w Krakowie. Ujazdów za niego podnosi czoło i zastępuje Łobzów lub Niepołomice. Wtedy to na wesele Zamoyskiego grają w Ujazdowie „Odprawę posłów greckich". Więcej jeszcze królewskiego uroku rzuca na Warszawę pobyt w niej długi i rząd macierzyński Anny Jagiellonki.

I kiedy królowa siedzi w Warszawie i rzadko bardzo przejeżdża się do Krakowa, król tymczasem nie ma swej stolicy, a raczej obrał ją sobie w nowym zupełnie miejscu. Szedł tutaj za pociągiem serdecznym Zygmunta Augusta. Na pograniczu Litwy upodobał sobie jedno miasto szczególniej, t. j. Grodno.

Kraków już od lat kilkudziesięciu przed wstąpieniem na tron Zygmunta III przestał być stolicą kraju *de facto*.

Gdy Zygmunt August i Stefan przejeżdżali się ciągle po kraju, Zygmunt III pierwszy stale zamieszkał w Warszawie i stolicę Mazowsza zrobił swoim miastem rezydencjonalnym. Doradzano królowi wtedy Lwów i Lublin, aż skończyło się na tym, że Zygmunt „do Warszawy pojedzie jako do miasta niemal w pośrodku królestwa położonego". Ciągły pobyt królewski i dworu w zamku niezmiernie podnosił Warszawę. Trzeba to najprzód powiedzieć, że samo miasto było bardzo małe i nędzne i że w powierzchowności swojej niczym jeszcze nie zdradzało rezydencji królewskiej. Sam obręb jego był szczupły. Cóż mówić o powierzchowności? Starczyła dawnym stosunkom. Domy wązkie o trzech oknach a wysokie, bo o sześciu piętrach, ściśnięte, zwalone jeden na drugi, brudne i ciemne.

Teraz na tych przedmieściach właśnie powstawała nowa

stolica, inna Warszawa. Panowie budować się zaczęli przy królu obok dworu, a że w mieście nie było placów, wznosili wspaniałe gmachy na przedmieściach, niby wille, które się potym łączyły coraz więcej z sobą rzędami kamienic. Najświetniejsze przedmieście rozciągające się w stronę Krakowa rychło bardzo zamieniło się w ulicę: były wprawdzie tu i owdzie przerwy, ale powstawał powoli, rozwijał się i łudził oko przechodnia poważny rząd pałaców poprzedzielanych dworkami. Obok gmachów i domów mieszkalnych powstają szybko nowe kościoły, klasztory i kaplice.

Miłośnik sztuk pięknych, król w śliczne malowidła stroi zamek swój ulubiony i urządza sobie muzykę włoską, ale tak świetnie dobiera do niej głosów i narzędzi, że muzyka ta słynie po wszystkich dworach europejskich. U św. Jana występuje nieraz wśród uroczystego nabożeństwa. Zazdroszczą nam tej muzyki cudzoziemcy, którzy coraz częściej nawiedzają Warszawę i opisują jej bogactwa i pamiątki i piękności. Napływ Włochów, artystów mianowicie, jest wielki; ściąga ich król i panowie za przykładem króla. Już współczesny Zygmuntowi III gieograf niemiecki Jerzy Braun wspomina, że niemasz miasta nietylko w Polsce, ale w całej Sarmacji, któreby z Warszawą porównać można.

A patrzmyż teraz, co za ogromne wypadki nowego panowania i jak znakomicie podnoszą urok Warszawy w oczach, w przywiązaniu narodu! Brakowało mazowieckiemu miastu wielkich wspomnień historycznych, tego cudownego uroku, w który tak był bogaty Kraków. Z kolei i na to kolej nadeszła. Sejmy więc jeden za drugim, ważne stanowią prawa; było ich w Warszawie za Zygmunta trzydzieści, więc rok jeden prawie nie upłynął bez zjazdu panów i szlachty do Warszawy. Raz w czasie pewnego sejmu hetman Żółkiewski przed tron Zygmunta przyprowadził Wasyla, cara moskiewskiego i brata jego Michała i błagał dla nich króla o miłosierdzie; a kiedy jeńcy pomarli, buduje się dla carów

kaplica prawosławna w Warszawie, żeby gdzie było zwłoki ich pochować. Skarga wymownym słowem grzmi z kazalnicy, natchniony, wielki; raz już skończył mowę swoją, aż tutaj wieść nadbiega o zwycięstwie pod Kirchholmem i znakomity kaznodzieja pada na kolana i jeszcze wymowniej głosi błogosławieństwo boże nad ziemią ojczystą, i głosem proroczym przywołuje naród do pokuty. Elektor brandeburski hołd publiczny oddaje majestatowi Rzeczypospolitej na ulicy przed Bernardynami. Z Warszawy królewicz Władysław wychodzi na zdobycie tronu moskiewskiego.

W miarę tego, jak Warszawa się podnosi pod względem materjalnym i duchowym, Kraków w coraz większe popada zapomnienie; wszędzie szczerby czasu na nim widoczne; zostają mu tylko wspaniałe kościoły, świadki przeszłości sławnej i akademja średniowieczna bez życia. Wśród murów Krakowa srożą się walki różnowiercze i dysputy bez treści. Król Zygmunt jeździ już do dawnej stolicy tylko na pogrzeby, bo na Wawelu zostały zawsze groby królewskie, jako strażnica nietykalności narodowej. Co za różnica miast, obydwu stolic, Krakowa i Warszawy! Tutaj grób wielki, tam gwar i nieustanne życie, tutaj wspomnienia, tam mieszkanie królewskie, stolica.

Kiedy Stanisław August pierwszy raz odwiedził za swojego panowania Kraków, a dawna siedziba królów szczątkami już ostatnich swoich wielkości błyszczała; wszędzie znać było rozwaliny i siłę niszczącego czasu. Nędza, ubóstwo, opuszczenie bez granic.

Lwów dawny

przez Wł. Łozińskiego.

W mieszczaństwie lwowskim dawnych wieków jest urok wielki dla każdego, kto kocha życie i przeszłość polską, urok bardzo pozytywnego a dumnego stanu, mocnego samym sobą i zadowolonego z siebie, stanowiącego świat swój całkiem własny i całkiem osobny. Badając życie i sprawy tego mieszczaństwa z dobrej epoki, ma się zarazem i żal i radość odkrycia, że były czasy, tak krótkie niestety, kiedy poza szlachtą, a nawet obok szlachty znajdował się jeszcze odrębny stan z dobrobytem, oświatą i cnotą.

Były czasy, kiedy wszystko się waliło na Rusi polskiej, a Lwów stał prosto, jedyna przystań dla rozbitków wśród burzy. Wśród zamieci kozackich buntów, kiedy w odmęcie strachu i pożogi zniknęło wszystko, co w tej części ziem polskich było władzą, ładem, bezpieczeństwem i nadzieją jakiegoś jutra, Lwów jeden widniał na horyzoncie, a jego baszty i wieże unosiły się jak arka na falach potopu.

Niemniej słynna, jak waleczność, była oświata lwowska. Wśród mieszczaństwa, które wydało tylu znakomitych uczonych pisarzy i poetów, niemal każdy większy kupiec był za dobrych czasów doktorem filozofji, a każdy doktór praw lub medycyny także kupcem. Nie miał Lwów tych samych środków naukowych co Kraków, ale szkoła miejska przy farze, której rektorami bywali znakomici i głośni swego czasu mężowie, była zakładem wybornym i dawała dobre podstawy wiedzy, którą rozszerzał następnie Kraków, a uzupełniały Bononja, Padwa, Rzym i Paryż.

Wiedzy pragnęli niemal wszyscy zamożniejsi, i nie znamy prawie patrycjuszowskiej rodziny we Lwowie, któraby nie wysyłała swych synów za granicę. Było to tradycją rodową, a zarazem ambicją osobistą każdego młodego patrycjusza, aby

być doktorem, przyczym doktorat nie odwodził od handlu. Jeszcze z początkiem XVII w. każdy z tych patrycjuszów lwowskich byłby szczerze powiedział, iż gdyby nie był mieszczaninem, chciałby nim zostać. Szlachta i szlachectwo długo mu nie imponowały; miał swoje cenne przywileje, majątkiem i oświatą stał wyżej od szlachcica miernej kondycji, czasem nawet od senatora, nie kontentował go klejnot szlachecki.

Szlachta często ubiegała się o córki mieszczańskie, nawet jeszcze w XVII wieku, kiedy mieszczaństwo upada, a szlachta przebiera w bucie; ale za pierwszej epoki, t. j. do pierwszych dziesiątków lat XVII-go stulecia, nie spotykamy śladów, aby mieszczanie lwowscy uważali to sobie za szczególny zaszczyt.

Te „łyki" lwowskie bogate i rozumne, opasane warownemi murami i basztami, obeznane równie dobrze z wagą, jak z armatą, władające równie dobrze łokciem, jak mieczem, a co także znaczyło dużo, piórem i językiem, budziły w średniej i małej szlachcie zazdrość i szacunek. Jeszcze do pierwszych lat XVII-go stulecia niema otwartego antagonizmu między mieszczaństwem a szlachtą, przeciwnie, dostrzec można ślady wzajemnych sympatji i ufności.

Lwów przybiera pozory jakiegoś całkiem samoistnego, niemal udzielnego organizmu, jakby był kupiecką republiką włoską—jest też, aż do swego upadku, dla mieszczanina ojczyzną, Rzeczpospolitą, światem całym. „Ma to miasto wszystko — pisze ówczesny historyk—co tylko do ludzkiego użytku jest potrzebne." Tu byli wszelkiego rodzaju rzemieślnicy o wielkiej biegłości w swojej sztuce, tu były składy hurtowne wszelkich możliwych towarów, olbrzymie piwnice win greckich, włoskich, węgierskich i wołoskich, bogate kramy, obfitujące w najkosztowniejsze i najrzadsze przedmioty zbytku. Złotnicy i jubilerowie lwowscy sławni byli z doskonałości w swojej sztuce, architekci włoscy, niemieccy

i polscy, osiedli we Lwowie, na daleki promień dokoła wznosili kościoły, zamki i pałace; ludwisarstwo dochodziło do wysokiego rozwoju — Lwów odlewał działa, dzwony, a nawet śpiżowe pomniki dla znacznej części Polski; tu wykonywano wspaniałe hafty, aplikowano pyszne namioty, wyrabiano sławne złociste rzędy, oprawiano prześliczne szable. Gdy chodziło o szybkie wyekwipowanie wojska, żadne miasto polskie wyrównać nie mogło łatwością i szybkością dostaw Lwowowi, a było to niejako dobrą tradycją i dumą rzemieślników lwowskich okazywać swoją dzielność w śpiesznym dostarczaniu oręża.

Lekarze lwowscy słynni byli w całej Polsce, garnęła się do nich najznakomitsza magnacka klijentela, a wielu z nich było lekarzami nadwornemi. Miał Lwów zawsze drukarnie; księgarze zaopatrywali ludzi czytających w nowe księgi, a na słynne jarmarki lwowskie zjeżdżali zawsze księgarze z Krakowa, Gdańska, Lubeki i t. d.

Magnat i szlachcic mógł tutaj wydzierżawić dobra, sprzedać produkty, wypuścić stawy, znaleźć przedsiębiorcę do eksploatacji lasów, a jego żona i panny znalazły tu wszystko, czego zapragnąć tylko może serce elegantki, począwszy od gronostajów i soboli, od indyjskich pajęczych tkanin, wschodnich złotogłowiów, gienueńskich aksamitów, aż do pereł, niderlandzkich koronek, francuskich pończoch i perfumowanych rękawiczek.

Lwów był niewątpliwie pod względem handlowym jednym z najważniejszych punktów na europejskim kontynencie. Na Lwów prowadziła główna lądowa droga handlowa na wschód — tu była stacja handlowa wschodnich kupców. Niemcy przez długi czas nabywali tu wszystko, czego im potrzeba było z dalekiego wschodu, nawet Włochy były niekiedy ograniczone do przewozowego szlaku, który na Lwów przechodził.

Co się tylko gromadziło na cypryjskim targowisku:

wino, bawełna, balsamy, korzenie, drogocenne złote i jedwabne tkaniny, co tylko szło na Trapezunt z produktów najdalszego wschodu, z Persji, Indji, Chin, jak drogie kamienie, perły, korale, kość słoniowa, kobierce, znajdowało się na składzie w emporjum lwowskim. Nawet haniebna strona gienueńskiego handlu, ów eksport niewolników do handlowych republik włoskich, który długo stale był prowadzony, opierał się niekiedy o Lwów, jak tego pozostały ślady w najstarszych aktach miejskich.

Mieszczaństwo lwowskie za dobrych swoich czasów miało wszystkie wyższe instynkta i zamiłowania patrycjatu włoskiego i niemieckiego, te same upodobania w sztuce i zbytku. Domy patrycjuszów odznaczały się bogatą architekturą i prawdziwie niekiedy artystyczną dekoracją. Okryte szczodrą aż do przesady rzeźbą, z dumnie sklepionemi sieniami i z krużgankami o kamiennych arkadach od podwórza, nie ustępowały najpiękniejszym mieszczańskim domom zagranicy. Najbardziej ulubionym motywem dekoracyjnym był lew, herb i mianodawca miasta, ukochany przez wszystkich Lwowian, jako symbol siły i waleczności ojczystego grodu. Niestety, pożar i wandalizm zarówno wysilił się na to, aby zniszczyć najpiękniejsze domy patrycjuszowskie. To, co się zachowało, świadczy dobrze o lwowskim mieszczaństwie, a nie zapominajmy, że żyło ono tuż u „paszczęki tatarskiej”, że było załogą fortecy, w którą tak często biły kule oblężnicze.

Zewnętrzne dekoracje przygotowywały na coś jeszcze bogatszego w samym wnętrzu domu, w komnatach pana i pani. Poza rzeźbionemi obramieniami drzwi i okien uderza prawdziwie mnogość olejnych obrazów, która się znajdowała w każdym patrycjuszowskim domu. Lwów posiadał zawsze dobrych i średnich malarzy, głównie portrecistów, o czym świadczą dochowane do dziś portrety patrycjuszów. Przy niektórych znajdujemy wyraźne objaśnienia, że malowane przez włoskich lub niderlandzkich malarzy. Zdumiewające

jest prawie bogactwo obić, makat i kobierców. Nigdzie zapewne na całym obszarze Rzeczypospolitej tak się nie miłowano w kobiercach wschodnich i tyle ich nie posiadano, co we Lwowie, który miał je sam z pierwszej ręki, a zaopatrywał w nie najdalsze strony nietylko Polski samej, ale prawdopodobnie i Europy. Obijano niemi ściany i podłogi; każdy sprzęt, każdy zydel i stół nakryty był kobiercem wschodnim. Najwyżej, oczywiście, cenione były jedwabne na złotym tle. Obok najróżniejszych kosztowności, jak meble rzeźbione, ozdabiane intarsją z kości słoniowej, złociste łoża i zwierciadła, szafy norymberskie i gdańskie, świeczniki zawiesiste z bronzu; także najzacniejszy sprzęt w domu cywilizowanym: książka zajmowała szanowne a obszerne miejsce w mieszkaniu patrycjusza lwowskiego, który uważał to za dumę i za obowiązek swojego stanu być miłośnikiem nauk i oświaty. Każdy mieszczanin ma w swoim domu zapas książek, niektórzy posiadają obszerne bibljoteki.

W społeczeństwie tak zamożnym, cywilizowanym i zamiłowanym we wszystkim, co upięknia i uszlachetnia życie, kobieta niewątpliwie musiała mieć tyle pozycji, ile jej potrzeba, aby rozwinąć w pełni nietylko urok, ale i godność płci swojej. Mieszczanin lwowski posiadał w znacznym stopniu zmysł rodzinny, a szukać żony znaczyło dla niego tyle, co szukać „przyjaciela". Mieszczka lwowska nie ustępowała wykształceniem swoim szlachciance, tak, jak nie ustępowała jej pewnie elegancją stroju, a przewyższała niewątpliwie praktyczną znajomością życia, bo umiała zastąpić męża za ladą sklepową i przy księdze rachunkowej. Rozumiała dobrze handel i potrafiła robić pieniądze. Zimorowicz pisze, że od czasu założenia szkół we Lwowie i dziewczęta miejskie szczebiotały po łacinie. Sławne były mieszczki także z elegancji; przepychem swoich strojów i bogactwem klejnotów budziły zazdrość szlachcianek. Zdaje się, że mieszczki lwowskie, kiedy były w pełnej toalecie, musiały wyglądać,

jak madonny bizantyńskie, tyle było na nich złota, pereł i brylantów.

Cudzoziemcy, osiadający we Lwowie, a osobliwie Niemcy i Włosi, szybko i szczerze przywiązywali się do miasta i zlewali się z jego społeczeństwem. To samo powiedzieć można o Grekach, którzy ruszczyli lub polszczyli się zaraz w drugim pokoleniu. Aż do pierwszych lat XVII wieku było w mieście wiele rodzin włoskich, greckich i angielskich nie chwilowo, lecz stale osiadłych, utrzymujących wprawdzie ciągłe stosunki z ojczyzną pierwotną, ale mieszczan zaprzysięgłych, ożenionych z Lwowiankami, mówiących i piszących tak dobrze po polsku, jak po włosku lub po angielsku.

Niestety niedługo trwa ta świetność handlowa i mieszczańska Lwowa. Jeszcze nim go powaliły katastrofy wojen kozackich, upadek jego handlu i dobrobytu staje się coraz widoczniejszy. Koniec to już Lwowa, jako silnego i bogatego miasta; wraz ze schyłkiem XVII wieku upadek dojdzie do ostatecznego ubóstwa.

Kozaczyzna

przez Marjana Dubieckiego.

Wyraz „Kozacy" spotyka się już w ostatnich dwudziestu latach XV wieku. Owi „Kozacy", wspominani w ówczesnych aktach kijowskich, byli to przybysze ze stepu, zawsze z nad Dniepru, bądź z północy, bądź z południa, do Kijowa. Jedni trudnili się handlem i dlatego do Kijowa zajeżdżali, drudzy żyli w stepie, utrzymując się z myśliwstwa i rybołówstwa. Okolice Kaniowa i Czerkas i dalsze ku południowi, więcej od innych nęciły rozlicznych włóczęgów i „ludzi swawolnych", którzy w stepie wolni byli od wszelkiej zwierzchności, wszelkiej odpowiedzialności i jakiejkolwiek władzy. Resztki dawnych Połowców, Rusini, Polacy, Litwini, Tatarzy,

każdy kraj sąsiedni dostarczył trochę zbiegów dla zaludnienia stepów dnieprowych. Wszyscy tu byli wolni, wszyscy równi, każdy panem stepu, przestrzeni, jak okiem sięgnąć. Rzecz naturalna, że zlewały się tutaj szumowiny każdego społeczeństwa, często zbiegi przed zasłużoną karą, złoczyńcy, ludzie bez domu i bez ziemi. Tu dla wszystkich było przestronno i swobodnie. Imiona i nazwiska tych Kozaków, spotykane po źródłach w aktach z XV i XVI stulecia, świadczą o swej różnorodności pierwiastków składowych, owej mieszaninie plemion ras i wyznań.

Gdy „Kozacy" do Kijowa przychodzili, pilnie ich strzeżono, bo byli to ludzie rozpustni, do wszystkiego gotowi, na wszystko się odważający. Samo wyrażenie „kupiec chrześcijanin" i „kupiec Kozak" wymownie świadczy, jaką czyniono różnicę i jak się zapatrywano na tych wędrowców ze stepu. Wyraz Kozak oznaczał pod tę porę, jak to potym wykładał Gwagnin, dając mu pochodzenie tatarskie, „chudy pachołek, zdobyczy sobie szukający, nikomu nie poddany, a za pieniądze komu chce służy." I w rzeczy samej długo Kozacy dnieprowi nikomu poddani nie byli, ale są pewne już ślady, że pod koniec wieku XV-go ulegać poczęli zwierzchności urzędników królewskich, a nawet używani już byli do wypraw przeciw Tatarom. Przedtym jeszcze Kozacy, nieraz znudzeni rybołówstwem i handlem, w liczniejsze zbierali się gromady i biegli daleko na Wschód, szukać łatwych zdobyczy i łupów, albo też czynili zasadzki, aby obdzierać kupców, jadących wzdłuż Dniepru. Od wieków szła tamtędy droga handlowa z Kijowa na Wschód, tamtędy ciągnęły karawany, wiozące produkty wschodnie; wprawdzie nie był to już Kijów dawnych czasów, zawsze przecież utrzymywał stosunki ze Wschodem, korzystali więc z tego Kozacy, aby złupić jak się uda, prowadzone towary. Pokrzywdzeni wynagrodzenia znikąd otrzymać nie mogli, póki na kresach dnieprowych silniejsza zwierzchność ustanowioną nie była.

Zmieniły się rzeczy, odkąd namiestnicy królewscy, osiadszy po główniejszych stacjach drogi dnieprowej, a mianowicie: w Kaniowie i Czerkasach, usiłowali utrwalić tam pewną władzę, ba, nawet podciągnąć owych Kozaków i ludzi swawolnych pod swój zarząd i swoją zwierzchność. Kiedy to nastąpiło, jacy to byli owi pierwsi starostowie królewscy, w jaki sposób wzięli się do dzieła, to wszystko najzupełniejsza pokrywa ciemność, tyle tylko wiemy, że nie tak łatwo im przyszło poskromić te tłumy niesforne, zaprowadzić pewien ład i porządek. Dobrze przed końcem XV wieku myślano już o uorganizowaniu obrony kresowej za pomocą Kozaków, używano ich do walk z Tatarami, lecz długo jeszcze nawyknąć nie mogli do posłuszeństwa. Za Zygmunta I poczęto po zamkach, szczególniej na pograniczu, stale trzymać załogi, tak zwany *lud służebny, draby*, *pachołki* i innych nazwisk, które to załogi, uzbrajane kosztem skarbu, były zawsze w pogotowiu do obrony zamku lub do zaciągnięcia w pole. W Kaniowie i Czerkasach załogi zamkowe rekrutowały się głównie wśród Kozaków, od czasu do czasu jednak przysyłano tu żołnierzy polskich. Ciągłe boje z Tatarami ułatwiały drogę do wyniesienia się, mnóstwo też jest przywilejów donacyjnych na grunta nad Dnieprem dla wysłużonych żołnierzy kresowych. Z czasem kozactwo dnieprowe i kozactwo niżowe zlewać się zaczyna w jedną całość, a przeprowadzona potym organizacja tworzy odrębne ciało, opatrzone prawami i prerogatywami za przyrzeczoną służbę.

Z usadowieniem się namiestników królewskich u kresów dnieprowych rozpocząć się musiała kolonizacja. Wcześnie zapewne rozdawać poczęto puste uroczyszcza, i rzecz naturalna, że wojewodowie kijowscy, jak i królowie, gorliwie wspierali kolonizację nad Dnieprem, z osiadających tu bowiem ziemian, powiększała się straż kresów ukrainnych. A że ziemie te wcześnie już nęciły przybyszów urodzajnością i żyznością, a „taniec" z pohańcami otwierał drogę do sławy

i zaszczytów, zawsze przeto znajdowali się ludzie, którzy chętnie tutaj osiadali. Aby zaś zachęcić do tego, zwalniano nowych przybyszów od różnych powinności i zobowiązań. Tak np. ci, którzy zajmowali dalsze *„pustowszczyzny stepowe"*, wolni byli na czas pewien od wszystkich opłat i danin, stąd wyraz „słoboda", który aż dotąd się przechował jako nazwa rozlicznych osad na Ukrainie. Starostujący po ojcu w Kaniowie i Czerkasach Aleksander Wiśniowiecki gorliwie

Sicz zaporoska (z dawnej ryciny).

wspierał kolonizację na kresach i mnóstwo miast i włości zakładał. Przy miastach wznosiły się zamki, przy nich skupiały się siły obronne danej miejscowości; z powiększeniem się więc osad i miasteczek wzrastała obrona kresów ukrainnych. Z tej przyczyny, kolonizacja przedsięwzięta przez Wiśniowieckiego, gorliwie była wspieraną przez Stefana Batorego i Zygmunta III. W akcji tej chodzi głównie i jedynie o zwiększenie sił obronnych, o skupienie jak najwięcej rąk

do obrony kresów. To też ostatnich lat XVI wieku całkiem inny już widok przedstawia kraj dnieprowy, o wiele różny od tego, cośmy tutaj widzieli w wieku XV. Prawda, że jeszcze dużo jest stepów, bo tak wielkie przestrzenie nie łatwo zaludnić, ale już niema jednego wielkiego stepu wzdłuż Dniepru, od Kijowa aż po Oczaków,— już niema bezludnych „dzikich pól", a większe lub mniejsze osady, rozrzucone choć zrzadka, lecz na całej przestrzeni. Mimo najazdów, mimo ciągłych bojów z Tatarami, kraj się zaludnia, uprawia, wzbogaca i wzmacnia. Jeszcze przez parę dziesiątków lat XVII już wieku widzimy ten sam postęp. Nagle praca się urwie, a kraj dnieprowy krwią zlany, spustoszony, wyludniony, znowu pustką zabłyśnie, znowu tylko „dzikim zwierzętom bezpieczne ukochanie dawać będzie." Burza kozacka zniszczy dwuwiekową pracę, zniszczy owoc długoletnich trudów. Z czasem raz jeszcze rozpocznie się kolonizacja, ale nie tak już jednolita, nie tak ogólna — a żywioły niszczące raz po raz przerywać będą tę pracę i wysiłki.

Obyczaje Kozaków

przez Kazimierza Pułaskiego.

Miano Sicz dawano każdemu miejscu, gdzie był stały tabor kozacki. Nie nazywano Siczy ani miastem ani też wioską, bo w gruncie rzeczy wcale to nie było ani miasto ani też wieś, ale coś w rodzaju obwarowanego obozowiska. Nazwa pochodziła od wyrazu „siec", oznaczała zaś miejsce obwarowane, „zasieczone" ściętemi drzewami lub pniami, rodzaj zasieku, podobnie jak od słowa „grodzić" pochodzi „gród", miejsce ogrodzone. Sicz była to główna siedziba Kozaczyzny zaporoskiej; tam jakby wśród obejścia klasztornego, otoczeni niby klauzurą, przepisami istniejącemi w tra-

dycji, w obyczaju przechodzącemi w ciągu stuleci od pokolenia do pokolenia, mieszkali wspólnie wszyscy siczownicy i tworzyli pewien rodzaj gminy orężnej, rycerskiej, ale też zarazem nieco mniszej.

Główne zasady, na których opierała się cała „reguła" tej rycersko zakonnej drużyny, były następujące: wspólność życia, wspólność celów, posłuszeństwo bezwarunkowe zwierzchności, celibat i wreszcie jedność wyznania. Kto nie poddawał się przepisom „reguły" rycersko zakonnej, kto nie przebył lat próby, t. j. pewnego rodzaju rycerskiego nowicjatu, kto nie został zaliczony uroczyście do rycerskiego bractwa, czyli, jak nazywano, do „towarzystwa", ten nie miał prawa mieszkać w Siczy. Były to warunki konieczne, niezbędne, na ich wypełnieniu opierała się cała odrębność Kozaczyzny Niżowej.

Przypatrzmy się każdemu z rzeczonych głównych przepisów „reguły" siczowej.

Wspólność życia orężników w Siczy najwyraźniej przypomina nam życie klasztorne. Jednostka nic tam nie znaczyła, wszystkim była korporacja, bez względu, czy to był zwykły orężnik siczowy, czy też kto ze starszyzny—ataman, koszowy, bądź też innego miana zwierzchnik. Każdy, jeżeli działał, to w imieniu całej korporacji, w imieniu „towarzystwa". W każdej większej i małej sprawie odwoływano się do całej orężnej siczowej gromady, ona tylko każdą kwestję mogła rozwiązać, i rzeczywiście ostatnią, najwyższą była instancją. Korporacja zaś siczowa nietylko składała się ze starszyzny i zwykłych siczowników, ale i z tak zwanego „pospólstwa". Zwykli to żołdacy, owo „pospólstwo" siczowe. Nawet obce mocarstwa, które pisały do Siczy, nigdy nie zabaczały, aby nie wspomnieć w tytułach o „towarzystwie siczowym", lub o „pospólstwie", czyniąc w ten sposób zadość przyjętej zasadzie, iż korporacja tylko cała tworzy Sicz, i jako całość reprezentuje interesy Wojska Niżowego.

Cała gromada siczowa, czyli tak zwane „towarzystwo" dzieliła się na „kurenie" t. j. ogniska. Każde ognisko miało swego atamana, pod jego przewodnictwem członkowie „kurenia" pędzili życie wspólne, niby członkowie jednej rodziny, jednego ogniska rodzinnego; wszelki indywidualizm ginął. Orężni członkowie „kurenia" posiadali wspólne mieszkanie, wspólną kasę i wspólny stół. Pod przewodnictwem „ojca atamana kurennego" nietylko razem szli do boju, ale w czasie pokoju spożywali codzienne wspólne obiady; przypominało to poniekąd refektarz klasztorny.

Jedną tylko rzecz posiadał własną w „kureniu" każdy siczownik. Było to legowisko, miejsce, na którym mógł spoczywać po trudach: takie miejsce wyznaczał ataman koszowy, w chwili, gdy młody nowicjusz stawał po raz pierwszy w szeregach Siczy. „Masz tu siedem stóp wzdłuż, a cztery wszerz, to twoja *domowinka* (trumna) — mawiał koszowy, instalując młodego orężnika w kureniu — gdy zaś umrzesz, jeszcze ci mniejszą przestrzeń wydzielimy". Poza tym ubogim legowiskiem pojedynczego siczownika, żadnej osobistej własności nikt nie miał. Wszystko było wspólną całego „towarzystwa" własnością.

Cały ten ustrój wspólnego życia był wynikiem wspólności celów, które legły podwaliną siczowej instytucji. Walka z niewiernemi, na którą zapatrywano się, jako na rzecz miłą nie tylko ludziom, ale i Bogu, była głównym celem. Owi pierwsi założyciele bractwa siczowego na Niżu, kierując szable zdziczałych tłumów ku walkom z pogaństwem, wytworzyli cel dla swej istytucji, natchnęli jej uczestników duchem chrześcijańskim.

Posłuszeństwo bezwarunkowe zachowywano i surowo takowego przestrzegano. Na czele Siczy stał ataman koszowy, dlatego tak nazywany, iż Sicz „koszem" mieniono. Koszowy posiadał władzę nieograniczoną: prawo miecza i łaski spoczywało w jego dłoni. Władza ta jednak trwała zwykle rok

tylko, koszowego bowiem co roku obierano i zresztą wszelką możliwą jego samowolę ograniczała „wojskowa rada”, złożona ze starszyzny i z „towarzystwa”; był to więc pewien rodzaj sejmu, który niekiedy kontrolował obszerną władzę koszowego. Kurennych wybierano wśród najwybitniejszych siczowników. Gdy nie stało w późniejszych latach istnienia Siczy, ludzi polskiego pochodzenia, obierano na kurennych lud siermiężny, lecz umiejący patrzyć w oczy śmierci i uczący przykładem, jak słuchać głosu obowiązku i umierać. Szedł on pospolicie na czele swego kurenia w pierwszym szeregu i tak wystawiony na pociski nieprzyjacielskie, padał najczęściej w walce jeden z pierwszych.

Celibat, który od pierwszych chwil istnienia Siczy w niej się spotyka, zachowywano ściśle, szanowano ów przepis gorliwie i rozumiano jego znaczenie w zakresie nader szerokim. Reguła Niżowców, wprowadzając bezżeństwo do swego rycerskiego bractwa, zalecała zarazem pilnego unikania kobiet. Przestrzegano tego ślubu z całą skrupulatnością. W Siczy przeto nie widziano nigdy ani jednej kobiety: pod żadnym pozorem, ani starej ani też młodej niewiasty stopa nie mogła przestąpić bram siczowych. Gdyby który z orężników przekroczył ów najcelniejszy przepis reguły Niżowców, śmiercią byłby ukarany. Wszelkie wprowadzenia do Siczy przez orężnika, związanego ślubem bezżeństwa, własnej matki, siostry, córki, ciotki, również karą gardłową zagrażało. Wzniosła idea celibatu, niezbędna dla ludzi, którzy samych siebie niosą w ofierze na ołtarz dobra powszechnego, nie skądinąd też przyszła na Niż, jak z Polski, z dziedziny pojęć cywilizacji zachodniej, katolickiej. Jest ona jeszcze jednym z dowodów, kto rzucał podwaliny społecznego ustroju Zaporoża.

Poza Siczą, poza siedzibą orężników siczowych, zdala od szeregów wojska Niżowego, w futorach, w tak zwanych „zimownikach”, w samotnych siedzibach nad ruczajami, lub

w pojedynczo rozsianych lepiankach, w cieniu wiśniowych sadów, spotykano kobiety. Były to żony lub córki tych Zaporożców, co sławy wojennej syci, bojowemi trudy znużeni, do walki już niezdolni, w kole rodzinnym odpocząć pragnęli. W takim razie występowali z szeregów siczowych, opuszczali Kosz, dążyli na futory, żenili się tam i zakładali gniazda rodzinne. Ożenienie się stawiało już ich stanowczo, nieodwołalnie poza Koszem, paliło mosty odwrotu do Siczy.

Zdarzało się przytym wielekroć — i to było jednym z bardziej charakterystycznych znamion życia siczowego — iż siczownik szukał ciszy domowej, pociech, radości życia rodzinnego bez niewiast. Występował on niekiedy z szeregów wojska Niżowego, osiadał w ustronnej lepiance, z bojownika rolnikiem się stawał; otaczał się przybraną dziatwą, wyłącznie chłopcami; opiekował się niemi, darzył ich miłością rodzicielską, wychowywał na przyszłych siczowników; ale stopa niewiasty nie przekraczała nigdy progu jego obejścia. Przez całe życie nie przyzwyczajony do widoku kobiety, Niżowiec i w tych ostatnich latach życia nie chciał na nie patrzeć; przybrani synowie, dziarskie chłopięta, wychowane w twardej szkole trudu rolniczego, których rzadko było więcej niż dwuch pod strzechą Zaporożca rolnika, wystarczali mu za całą rodzinę, stawali się źródłem pociech i radości życia rodzinnego. Urósłszy na męża bojowego, wśród tysiącznych prywacji, prac i prawdziwie krwawego znoju, Niżowy orężnik, który podczas długich lat życia siczowego niczego w swym „kureniu" nie posiadał, co mienićby mógł swoją własnością, niewiele pragnął, niewiele wymagał od życia. Sielanka, którą Niżowcy w ten sposób na resztę swych dni urządzali, uderzała prostotą zaiste pierwotną; tkwi jednak w niej rys jeden charakterystyczny — miłość przyrody i życia rodzinnego, miłość niewyziębiona ani istnieniem na wpół dzikim, ani ciągłym obcowaniem z tatarskiemi czambuły, ani też brakiem wrażeń podnioślejszych i żywiołów dodatnich umoralniających.

Ukraina

z «Pieśni o ziemi naszej» W. Pola.

Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód twe kroki zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty
Step rozległy, świat otwarty!
Wóz twój biegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza,
I krew raźniej ruszy w żyłach,
I koń czujnie strzygnie uchem;
Drogę swoją po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości.
Hej, ku morzu, ku Czarnemu,
Ku Limanu szerokiemu,
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj koniu po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Ponad Dnieprem między jary
Zasiadł dumnie Kijów stary:
Tam złocone monastery,
A w nich czerńce staro-wiery.
A gościńcem do Kijowa
Płyną maże z miodem, zbożem,
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.

Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A mołojec każdy wojec,
Raźny, harny; a od lica,
W sercu śmiałym, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew Koszowych.
A jak krew w ich żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśni żyje:
Jak stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...

Zdobycze pługa polskiego

przez Karola Szajnochę.

Z dwuch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskim i zajęciach rolniczych?

Za czasów Kazimierza Wielkiego, cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów, dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony krakowskie, sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmią gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodnio-polskich siół i miasteczek, cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — w t. zw. Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam, oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych, zaledwie tu owdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkiemi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzane błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskiemi gdzieniegdzie zgliszczami na Podolu, i trawne oczerety, a stepy ukraińskie. Stąd, kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemnogie wsie i miasteczka.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnym dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich szły nietknięte stopą ludzką zarośla co prędzej pod uprawę, gromadziła się zewsząd zwołana czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedliły się z kolei: Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donatarjusze rozległych włości i jak szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepełnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiełłą i panującym na Bełzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenty ówczesne poświadczają niezmierną ich

mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czym innym się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę, — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsie i miasteczka. Drobna szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopa.

Przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającemi się w nim targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku.

Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie, z małym wyjątkiem. Z trzynastu obwodowych miast dzisiejszej, austryjackiej Galicji, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełskiego i podolskiego, tylko trzy stare grody: Lwów, Przemyśl i Sanok znane były jako miasta za Kazimierza Wielkiego. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

Zenitem tej skrzętności kolonizacyjnej był wiek XIV,

wzmagała się ona w wieku XV, upadła w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podnietv nierównie liczniej powstających dokoła wiosek. Ileż tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenty fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania, ani nazwisk ich założycieli. Byli niemi w największej części zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie, cisnęli się tłumnie w stronę województw ruskich i zapewne w nierównie większej połowie rękami swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonemi swoim staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Dokonane dalej dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnież szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej, niż uprawa Rusi Czerwonej, świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczenia nierównie większe trudności, niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama blizkość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie znała wcale zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu na kresach ukrainnych toczyła się nieustająca walka między nowemi osadnikami, a najeżdżającym ich z pobliża Tatarstwem pogranicznym. Były to napady każdodzienne, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyluż chrześcijan. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadawało to osobliwszy urok tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej się w równym stopniu do pługa, jak do oręża. Ostatecznie atoli do-

znawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmiernego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawiane.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłościcy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnym spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny.

Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężka Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgliszcza. Sami Tatarzy przeszło miljon spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu.

Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczodrze uposażona od Boga, miała zostać pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowuż zjawiał się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dnieprowe, ani powstrzymywała przemoc człowiecza, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę.

Kulminacyjnym punktem tej kolonizacji ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII. Najskuteczniejszym środkiem osiedlania ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową słobodę na różnych miejscach tłumnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych prażnikach -- gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi.

W moc takowych warunków, uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat, co właśnie nazywało się słobodą czyli swobodą. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu jawne

być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siołu, wbijano na wygonie słup na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wykręcano jeden kołek, a gdy wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności.

Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swojej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie osiedlona została przez szlachtę polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czy to na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania, tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów.

Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie.

Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historji.

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu z sobą zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość, broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawiał ją i osiedlił. Oba żelezca okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych.

Władysław IV

przez Wiktora Czermaka.

W pośród naszych królów elekcyjnych o trzech tylko właściwie powiedzieć można, że jest w ich postaciach coś, co na pierwszy rzut oka pociąga, ujmuje i usposabia dla nich sympatycznie, a bliższe poznanie się z niemi pierwszego tego wrażenia nie rozprasza. Mamy na myśli Stefana Batorego, Władysława IV i Sobieskiego. Nie są oni sobie równi: Stefan Batory łączył w swej osobie więcej świetnych zdolności, znamionujących dobrego wodza i statystę, niż dwaj tamci, ale za to mniej miał od nich przymiotów towarzyskich, mniej ciepła i serdeczności w pożyciu z ludźmi, mniej ognia i zapału w tym, co czynił, lub o czym rozmyślał. A nadewszystko brak nam w nim tego, co stanowiło i stanowi w Sobieskim i nawet we Władysławie IV główną siłę przyciągającą ducha narodowego. Trudno o tym zapomnieć, że Batory był z pochodzenia Węgrem, że języka poddanych swego królestwa nie znał, lecz przemawiał do nich martwym językiem klasycznym. Sobieski i Władysław byli natomiast Polakami z krwi i kości. Władysław IV był najbardziej polskim wśród Wazów: urodził się w Rzeczypospolitej, na ziemi mazowieckiej wychował się i kraj rodzinny kochał całą duszą. Jako żywe uosobienie wszystkich właściwości narodowych, zawsze najbliższym sercu naszemu, będzie Sobieski: przerastał on Władysława IV także zacnością charakteru, płomienną miłością ojczyzny i tym wyższym nastrojem, który sprawiał, że kładł zawsze całą duszę w to, co czynił i gotów był bez namysłu głowę położyć tam, gdzie godziło się ją narazić dla publicznej sprawy.

Inaczej Władysław. Ten zdawał się stworzonym na króla. Miał w swojej postawie, w ruchach, w sposobie obejścia się z ludźmi, a nadewszystko w myślach i słowach coś

Władysław IV.

z naturalnej, wrodzonej powagi monarszej: i można powiedzieć, że na tronie polskim czuł się skrępowanym. Jemu potrzeba było władzy swobodniejszej i bardziej otwartego

pola do działania. Pociąga nas ku niemu zwłaszcza świadomość, że jako król, dorastał do swoich zadań, był pełnym dobrej woli, zdolności i energji — a dziwnie się mu nie wiodło, nie szczęściło... Zdawało się, jakby miał z urodzenia nieszczęśliwą rękę, bo wszystko mu się w ręce psuło i rozpadało. Ileż to śmiałych rozumnych projektów, ileż to przedsięwzięć, podjętych przezeń z zapałem, podtrzymywanych długo, z podziwienia godną wytrwałością, chybiło celu, ostatecznie, nie z jego winy, ileż dzieł rozpoczętych dobrze i przez pół dokonanych, runęło i poszło na marne!

Już sama powierzchowność króla, znana z kilku dobrych portretów i rycin, robi sympatyczne wrażenie. Urok jego osoby polegał nie na samej tylko pięknej powierzchowności, lecz także, i to głównie na zaletach usposobienia i charakteru. Mimo otyłości, był żywego usposobienia, skłonny do wesołości, rozmowny, towarzyski, lubiał widzieć dokoła siebie twarze rozpogodzone, nie znosił, aby ktokolwiek odchodził odeń z żalem w sercu. „Posiada w wysokim stopniu" — są słowa nuncjusza Visconti — nie wiem, czy sztukę zadziwiającą, czy dar przyrodzony jednania sobie umysłów. Jest tak wymowny, iż zdaje się, że mu płyną z ust słowa, jak ogniwa złotego łańcucha owego Herkulesa dawnych Gallów, któremi krępuje uwagę słuchaczy. Ci nawet, co go nie znają, nie mogą uniknąć sideł tej czarującej wymowy." Nie miał w sobie nic ze sztywności i wyłączności ojca: przeciwnie, robiono mu nawet zarzut z tego, że nie przebierał w towarzystwie, poufalił się łatwo z ludźmi niższego stanu, i chętnie zaglądał nawet do niechlujnych chat wieśniaków. W tej chęci zjednywania serc, zobowiązywania dla siebie ludzi, było zapewne źródło nadzwyczajnej szczodrobliwości, o której wszyscy współcześni świadkowie mówią z naciskiem, jedni jako o zalecie, drudzy jako o głównej wadzie króla. W hojności posuwał się tak daleko, że sam na tym nieraz cierpiał, bo pozbawiał się niekiedy po prostu

ostatnich zapasów, jakie miał w prywatnej szkatule. Było zatym w tej rozrzutności coś bezinteresownego i poczciwego: rozdawał co mógł, bo nie miał serca nikomu odmawiać.

Umysły wyższe, mające bardziej wygórowane wymaganie, także umiał sobie zdobywać, bo sam był umysłem wyższym, posiadał liczne, wybitne zdolności, które go wynosiły ponad tłum ludzi zwyczajnych. Inteligiencją przewyższał z pewnością ojca i braci, i pod tym względem śród królów elekcyjnych stał odeń wyżej może jedyny Batory; Sobieski, ani nawet Poniatowski pewnie mu nie dorównywali. Umysł jego bystry, rzutki, jasno rzeczy widzący i łatwo orjentujący się we wszelkich okolicznościach, nie zasklepiał się w żadnej jednostronności, lecz obejmował szersze widnokręgi. Jako monarcha, był równie biegłym dyplomatą, jak wodzem i strategikiem. Poświadczyć mu można, że sam rządził Rzeczpospolitą, sam był poniekąd swoim kanclerzem, podskarbim i hetmanem. Szczególnie dobrze znał się na rzeczach wojskowych: podczas wojny smoleńskiej sam nieraz stawał na czele wojska, lub osobiście kierował robotami inżynierskiemi. W młodszych latach posiadać miał Władysław nadto nadzwyczajną łatwość pracy; przerzucał się swobodnie od spoczynku do pracy, od rozrywki do działania. Posiadał także niepoślednie wykształcenie. Władał językami: niemieckim, łacińskim i włoskim tak dobrze, jak swoim. Podróżując po cudzych krajach, porównywając rzeczy obce ze swojskiemi, wydoskonalił swe przyrodzone zdolności, wzbogacił umysł wiadomościami o każdym przedmiocie, przez co pięknie odbija od stopnia oświecenia swego kraju i królów swoich poprzedników." W istocie interesował się zawsze żywo rzeczami literatury i sztuki; czytywał dużo, chętnie obcował z artystami i uczonemi i lubił się niemi otaczać. Znanym jest jego zamiłowanie w muzyce i sztuce teatralnej; i nietylko zamiłowanie, ale prawdziwe, wykwintne znawstwo. Wszak on to pierwszy utworzył stałą trupę operową na

swoim dworze, a orkiestra jego uchodziła za jedną z najlepszych w Europie. Wiemy skądinąd, że król utrzymywał stosunki z wielu literatami i artystami obcemi. Korespondował z Galileuszem. O. Walerjan Magni, zakonnik, dyplomata, fizyk i astronom w jednej osobie, przebywał długie lata na dworze królewskim i informował Władysława o postępach nauk ścisłych; przezeń i przez dwór warszawski rozpowszechniła się w Polsce pierwsza wiadomość o barometrze. Uchodzić za mecenasa sztuki i nauki, to była jedna z ambicji króla, bo miał ich więcej i sięgających daleko wyżej. Miał ambicję, aby się okazywać królem w każdym calu; co więcej, aby zrównać się w mierze z największemi monarchami świata. Rzecz to stwierdzona, że dążył do skupienia na swojej głowie koron: polskiej, szwedzkiej i rosyjskiej, że marzył nawet o władzy cesarskiej.

W relacjach świadków współczesnych, nie brak, obok słów uznania, także i zarzutów; ale jest ich wogóle niewiele, i najmniej zwłaszcza ważnych i uzasadnionych. Najsurowszy, jaki mu czyniono, to zarzut rozrzutności. Obwiniano Władysława IV także o upór i zaciętość. Miał się król dąsać, gdy mu się kto sprzeciwiał, i niechętnie odstępował od swego zdania. Zarzut to, który najczęściej spotyka ludzi prawdziwie zdolnych i wyjątkowych, od tych, co im zdolnościami i wiedzą nie dorastają. Jeszcze bardziej błahemi i mniej uzasadnionemi są inne zarzuty, jak zarzut porywczości w gniewie, zbyt łatwego poufalenia się z podwładnemi, lub wreszcie życia rozwiązłego. Władysław IV lubił huczne zabawy i uczty. Miał namiętne upodobanie w myśliwstwie i dla rozrywek łowieckich nigdy nie brakowało mu czasu. W pamiętnikach kanclerza litewskiego Albrechta Radziwiłła dosyć dużo jest wzmianek o udziale Władysława IV w sutych ucztach, libacjach i tańcach. Ale gdy się rozważy, w jakich czasach żył Władysław IV, jakie były obyczaje ówczesnych Polaków, jakie obyczaje zresztą dworów i wyższych sfer

społecznych w całej Europie XVII wieku, to wszystkie wyżej wyliczone i wogóle mało znaczące zarzuty powinny zmaleć jeszcze bardziej w oczach nieuprzedzonych.

Władysław IV dostrajał się upodobaniami poniekąd do społeczeństwa, w którym mu działać wypadło; ale też z drugiej strony pod niejednym względem otoczenie swoje przerastał. Światło, które bije od jasnych stron jego charakteru, rzuca pogodny odblask i na ciemniejsze strony, i zdaje się, jakby urok, który padał od tej sympatycznej postaci na współczesnych ludzi, zdobywał królowi jeszcze z za grobu serca potomnych.

Dwór królewski

przez Wiktora Czermaka.

Władysław IV rezydował podobnie, jak ojciec, w Warszawie, która ze wstąpieniem na tron Wazów stała się właściwą stolicą królestwa. Mieszkał chętniej pod miastem, w Ujazdowie, niż w samej stolicy; ale i tu przebywał często i długo, zwłaszcza od czasu, kiedy postawił sobie pod zamkiem osobny pałac. Obie miejskie rezydencje wyglądały około roku 1648 prawdziwie po królewsku: zamek — dzięki staraniom Zygmunta III, nowy pałac — dzięki nakładom i dobremu smakowi artystycznemu Władysława IV. Za Władysława IV miał gmach kształt pięciokątu i był otoczony podwójnym murem i fosą. Rogi ozdobione były małemi wieżyczkami; z pośrodka wystrzelała duża wieża kamienna, z zegarem, pokryta dachem miedzianym i zakończona gałką pozłacaną. Za zewnętrznym, czworokątnym dziedzińcem, mieściły się kuchnie i mieszkania dla służby, nad kuchnią nadto łaźnia z wyłożonym cyną basenem, w podziemiach piwnice i sklepy. Ogród, przylegający do zamku od strony Wisły,

był niewielki; ale nie brakło w nim, prócz kwiatów, także drzew owocowych. Wysoki mur zabezpieczał sutereny zamkowe od wylewów rzeki. W gmachu samym największym przepychem urządzenia zwracały na siebie uwagę sale: zwierciadlana i balowa; nowością była sala teatralna ze sceną, zaopatrzoną w sztuczne maszynerje, które umożliwiały nietylko stosowanie wszelkich zmian, dekoracji i światła, ale także wprowadzanie zjawisk napowietrznych, postaci, unoszących się w przestrzeni, lub też zapadających w podziemia. W ścianach widowni znajdowały się loże. Apartamenty mieszkalne były obite kosztownemi materjami.

Poza obrębem Warszawy najbardziej ulubioną rezydencją króla był nowy pałac w Ujazdowie, wzniesiony przez Władysława IV dopiero w roku 1637.

Takie były zwyczajne widownie życia królewskiego i zarazem dworskiego, bo jedno od drugiego było nieodłączne. Król wyjątkowo tylko mógł wieść życie odosobnione, zamknięte w sobie; wzgląd na stanowisko naczelne w państwie uczynił koniecznym otaczanie się ceremonjałem majestatycznym, a więc i licznym dworem. Jak wszędzie w monarchjach, tak i w Polsce, było to otoczenie królewskie dwojakie; jedno honorowe, złożone z wysokich dygnitarzy od uroczystych wystąpień, i drugie stałe, zwyczajne, noszące charakter służby obowiązkowej.

Dwór honorowy stanowili marszałkowie wielcy i nadworni, podskarbiowie nadworni, kuchmistrze, krajczowie, podczaszowie, koniuszowie i kilku innych dygnitarzy, osobnych dla Korony i dla Litwy. Z wyjątkiem marszałków i podskarbich, byli to sami dygnitarze tytularni, którzy asystowali królowi tylko przy wielkich uroczystościach i przy publicznych wystąpieniach, jak np. przy koronacji, ucztach koronacyjnych, ślubach, otwieraniu sejmów, przyjęciach monarchów postronnych i t. d. Marszałkowie wielcy byli w takich wypadkach mistrzami ceremonji, organizatorami i dyrygientami obrzędów;

podczaszowie, krajczowie usługiwali królowi przy stole, koniuszowie podprowadzali konia. Do usług osobistych, prywatnych, wchodzących w zakres życia domowego, miał król u nas, jak miewali królowie wszędzie indziej, ów cały dwór osobny, ściślejszy, złożony z urzędników, funkcjonarjuszy i usług najróżnorodniejszych kategorji.

Główną w nim kategorję stanowili oczywiście dworzanie, których zadaniem było nie tyle spełnianie jakichkolwiek funkcji służebnych, ile głównie nadzór nad pewnym działem porządku czy gospodarstwa domowego i usługi przybocznej, jakoteż asystowanie królowi w ciągu jego zajęć codziennych. Z wykazów wynika, że właściwych dworzan i służących dworskich było na usłudze Jana Kazimierza razem okrągło osób 330. Można przyjąć prawie za pewne, że na usłudze dworu, około połowy XVII wieku, było mniej więcej tysiąc ludzi, to jest 330 dworzan i służby właściwej, około 70 śpiewaków i muzykantów, i przeciętnie jakichś 600 żołnierzy w gwardji przybocznej. Na czele całego zastępu dworskiego stał podkomorzy nadworny, prywatny niejako majordom i wielki ochmistrz pałacowy. Jemu podlegali wszyscy inni dworzanie jako podwładni. Wśród tych podwładnych najbardziej samodzielnemi i najściślej do osoby samegoż króla przywiązanemi byli niezawodnie jego lekarze, sekretarze i kapelani. Królowe miewały swój osobny dwór, o wiele mniej liczny. Zdaje się, że na usłudze Ludwiki Marji nie było więcej nad sto osób.

Właściwy dwór królewski około połowy XVII w., a więc i za czasów Władysława IV był, jak z powyżej zestawionych danych wnioskować można, stosunkowo wcale nielicznym, skoro po za służbą na etacie pensyjnym nie znajdowało się więcej nad trzydzieści kilka osób, a służba cała (po za gwardją i kapelą) składała się co najwyżej z trzystu osób. Nuncjusz Visconti pisze, że król „nie bardzo dba o liczną kompanję, żeby nie mieć subiekcji i żyć swobodniej.” Natomiast

w wyjątkowych wypadkach, w chwilach uroczystych, w czasie sejmu, czy jakiegobądź obrzędu, wymagającego publicznego wystąpienia króla, postać dworu zupełnie się zmieniała. „Kiedy szlachta zjedzie się na sejm—są słowa tegoż Viscontiego — lub z innej okazji, wtenczas dopiero ludno i huczno na dworze: kto go tedy widzi, ma się na co napatrzeć. Polacy bowiem lubią się pokazać z wielkim przepychem i są z niemałym uszanowaniem dla króla, którego sobie sami obrali. Samych pokojowców uwija się wtedy często kilkadziesiąt koło króla; jest to bowiem urząd, czyli raczej funkcja honorowa, jakby nowicjat dworski, do którego król wybiera bez oznaczenia liczby z pośród najprzedniejszej młodzieży krajowej. Ci mogą wejść wszyscy do pokoju, gdzie się król ubiera, tak, iż często pomieścić się nie mogą i wtedy nieraz zdarza się, że dla zbytniej liczby sług, źle jest usłużony."

Jeżeli wogóle w kreślonych przez cudzoziemców opisach publicznych wystąpień naszych królów i uroczystości dworskich, spotykamy się z wyrazami podziwu dla świetności i przepychu dworu i orszaku królewskiego, to niezawodnie blasku tego dodawały dworowi głównie wspaniałe świty panów polskich, z których niejeden był bogatszym od króla. Panowie polscy lubili i umieli „pokazać się"; była między najmożniejszemi domami pod tym względem zawsze pewna emulacja, żeby nie dać się zaćmić innym, a wszystkim zaimponować. Splendor dworów wielkopańskich spływał się wówczas ze splendorem królewskiego dworu i składał się razem na widowisko, które widzom, nawet przybyszom z Paryża, niezatarte pozostawiało wspomnienia. Świetność przyjęcia, jakiego np. doznała Ludwika Marja w Polsce w 1646 roku, wprawiła nawet ją samą w zdumienie.

Wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu

przez Ludwika Kubalę.

Przygotowania do podróży nie trwały długo, chociaż król kazał, a poseł chciał wystąpić z przepychem. Miał on reprezentować majestat największego monarchy północy, pana trzech koron, króla polskiego, szwedzkiego i cara moskiewskiego.

Dobrał sobie Ossoliński najprzód dworzan odznaczających się pięknością męską, dobremi obyczajami, ludzi zasobnych i wykształconych, iżby każdy z nich przedstawiał również godnie osobę posła, jak on osobę króla, i aby z nich dobre wyobrażenie o całej szlachcie polskiej powziąć było można.

Postanowił wystąpić z całym dworem w stroju polskim, chcąc okazać wojowniczego ducha narodu i nowością widoku pobudzić ciekawość Rzymian. Nie chcąc zaś w niczym ustąpić Francji, której posłowie z wielkim przepychem w Rzymie występowali, postanowił iść wzorem posłów francuskich, ale co oni mieli ze srebra, on to chciał mieć ze złota, co oni ze złota, on z drogich kamieni, gdzie tamci mieli drogie kamienie, on chciał mieć djamenty. Zdaje się, że skarbiec królewski i mennica przyszły mu w pomoc tam, gdzie jego własne środki nie wystarczały.

Jako prezent od króla Władysława dla papieża wziął z sobą wielki przywilej Konstantyna, autentyk, którym cesarz ten kościołowi miasto Rzym darował. Przywilej ten dostał się po zdobyciu Konstantynopola do skarbca carów Moskwy, a po zdobyciu Moskwy przez Żółkiewskiego do rąk polskich — piękny zaprawdę upominek dla papieża, a sławny dla Rzeczypospolitej.

Ukończywszy wszystkie przygotowania i wziąwszy ustną i piśmienną informację od króla przed wyjazdem tegoż na

wyprawę moskiewską, wyruszył Ossoliński z początkiem września w drogę, prowadząc z sobą 300 ludzi, 20 powozów, 30 koni wierzchowych, 10 wielbłądów i stosowną ilość bryk ładownych. W krajach cesarskich nie zatrzymywał się prawie nigdzie, dopiero na ziemi włoskiej jechał wolniej, przyjmując zaproszenia na różne bale i festyny, któremi go szlachta włoska uczcić pragnęła. Gdzie tylko przejeżdżał, wszędzie tłumy ludu zabiegały mu drogę, ciekawe widzenia nieznanych strojów i poznania dzielnego narodu, który niedawnemi zwycięstwy nad dwoma wielkiemi mocarstwami niezmiernie swą sławę podówczas był rozmnożył.

Wszyscy kardynałowie, posłowie monarchów zagranicznych, książęta rzymscy i prałaci dworu papieskiego, wysłali dwory swoje z powozami na siedem mil włoskich naprzeciw Ossolińskiego, który ujrzawszy zdaleka kopułę św. Piotra, kazał zatrzymać powozy, „ukląkł na ziemi prosząc Boga, ażeby najwyższą swą ręką kierować raczył sprawami Rzeczypospolitej."

Gdy stanął przy pierwszej bramie, wyjechali naprzeciw niego sekretarze poselstw zagranicznych z powitaniem w imieniu swoich patronów. Dziękował im i odpowiadał po włosku, po hiszpańsku, po francusku i po niemiecku z wielkim podziwieniem obecnych. Wjechał do miasta przez bramę „del popolo", a za nim jakich 160 karet—w towarzystwie kardynała de Torres, protektora Polski.

Papież Urban był ujęty poważną uprzejmością Ossolińskiego. Rozmawiał z nim z wielką ochotą i radził po przyjacielsku, aby po trudach podróży odpoczął i uroczysty wjazd na kilka dni odłożył.

27 listopada, dzień niedzielny, przeznaczony do wjazdu, wcale nie wróżył pogody. Niebo pokryte chmurami lada chwila ulewnym deszczem groziło. Ossoliński i cały dwór jego nie bez przykrości wyglądał przybycia dworzan kardynalskich i urzędników poselstw zagranicznych i szlachty

rzymskiej, którzy go wedle zwyczaju do miasta prowadzić mieli. Przybyli jednak wszyscy z wielką wystawą, za niemi wielu prałatów, biskupów, opatów, książąt, margrabiów i hrabiów, dwory poselstwa francuskiego, hiszpańskiego, cesarskiego i wielkiego księcia Etrurji, i przedstawiali się kolejno posłowi, który każdemu coś uprzejmego powiedzieć umiał. Tymczasem niebo się wypogodziło. Nadeszli szwajcarzy papiescy z muzyką i pochód ruszył w przepisanym porządku bramą flamińską. Tutaj czekał nań marszałek dworu papieskiego z licznym orszakiem prałatów i szlachty, i przywitawszy w imieniu papieża, do pałacu go prowadził najdłuższą drogą przez najrozmaitsze ulice, ażeby pokazać ludowi tę niewidzianą pompę.

Przez cały ten czas służyło jak najpiękniejsze powietrze, słońce niemal lipcowe. Ulice zapchane były karetami i tłumami ludu; na balkonach, w oknach, na dachach nawet mnóstwo było widzów.

Pochód otwierali pachołkowie po polsku ubrani, na dzielnych koniach, za niemi muły i wielbłądy dźwigały tłumoki posła. Mundury polskie z niebieskiego aksamitu, sahajdaki i łuki berberyjskie w srebro oprawne, czapraki czerwone, konie kasztanowate, rząd na nich srebrny, na nich białe pióropusze z piór strusich. Dalej prowadzili masztalerze 6 koni tureckich tak pięknych, jakich jeszcze nigdy w Rzymie nie widziano. Rzędy szczerym złotem kowane, strzemiona złote, czapraki djamentami, rubinami i szmaragdami haftowane. Na czołach sztuki klejnotów, z których każdy wart był 20000 szkudów (10000 dukatów), mieniły się przy blasku słońca, a kiedy dwie podkowy umyślnie w tym celu złamane i na łup gminom się dostały, podwoiła się uwaga i szmer tłumu, który sobie tę nowinę z ust do ust podawał. Jechał za temi końmi koniuszy, trzymając srebrną buławę w ręku, a za nim orszak dobranej młodzieży dworskiej, która urodą i zręcznością nader przyjemne wrażenie

robiła. Wszyscy w perskich złotogłowiach, jednakowo ubrani, szable, handżary i siedzenia lśniły od złota. Drugi ten oddział pochodu zamykał orszak dworzan posła hiszpańskiego i kardynałów.

Następowali w niejakiej odległości świeccy i duchowni urzędnicy poselstwa i przyjaciele posła, pojedyńczo jeden za drugim, każdy prowadzony przez dwuch kawalerów rzymskich. Ci tak bogato i wspaniale wyglądali, że wszystko poprzednie gasło.

Nadjechał zwolna wspaniały orszak młodzieży pierwszych domów polskich, przybyłej umyślnie do Rzymu, aby wjazd obecnością swą uświetnić. Nie świecili złotem ani jaskrawością kolorów, i zaledwie bliżej stojący mogli dojrzeć bogactwo, które się w przepysznych koniach, spinkach, guzach i sobolach ukrywało.

Huczne okrzyki i cisnące się tłumy oznajmiały zbliżenie się posła. W ruchomym szpalerze szeroko rozstawionych szwajcarów, poprzedzony kompanją piechoty polskiej w mundurach niebieskich z guzami i piórami srebrnemi, jechał Gembicki, sekretarz poselstwa; tuż za nim dwuch prałatów strojnych we fijolety, a w pośrodku nich Ossoliński. Ubiór jego w odległości szary, za zbliżeniem rozrzucał iskry djamentów. Wyglądał jak szary zmierzch. Suknia na czarnym jedwabiu w złote łuski haftowana, bogatym futrem ozdobiona, miała u spięcia po 20 szerokich pętlic djamentowych i tyleż guzów sporych, każdy z jednej sztuki djamentu. Karabela klejnotami sadzona na 20000 szacowana, czołdar (czaprak) perłami i rubinami posuty. Siwy koń świecił chryzolitami, strojny w czarne pióra, przy uszach czuby gęsto djamentami przeplatane; siedzenie na nim, a nawet strzemiona drogiemi kamieniami sadzone. Ten strój djamentowy dodawał blasku poważnej urodzie posła. Łagodnym uśmiechem okazywał swą wdzięczność ludowi, który go wśród radosnych okrzyków do

poselskiego prowadził pałacu. Tam, gdy wjeżdżał, powitał go huk armat z zamku św. Anioła.

To był ów sławny wjazd, który uwiecznił pamięć Ossolińskiego i wsławił jego imię. Przepych Ossolińskiego był czynnikiem polityki królewskiej. Zresztą to, co najwięcej wrażenia robiło, to najmniej kosztowało. W skarbcu królewskim było dość djamentów, a mennica mogła bez wielkich kosztów wykuć kilkanaście podków złotych. Sam poseł był oszczędnym i próżnej wystawy nie lubił; ale jak widać, umiał korzystać ze sposobności, a jeśli jedna podkowa, wartująca jakie sto dukatów, mogła go okryć taką sławą, to nie jego o czczą próżność obwiniać należy, jak to uczynił Krasicki, ale tych, którzy go później z tego jedynie powodu sławili.

Jasna Góra

przez Władysława Zawadzkiego.

Ze wszystkich ziem dawnej Polski, a nawet z dalszych krajów, od wielu wieków rok rocznie śpieszą do klasztoru Ojców Paulinów na Jasnej Górze pobożni, ciągną liczne tłumy pielgrzymów, szukając ulgi w cierpieniu lub składając dzięki za doznane od Opatrzności łaski. Tu królowie polscy we wszystkich ważniejszych chwilach dążyli z modlitwą i prośbami do najwyższej Królowej niebios i ziemi; tu hetmani po szczęśliwie ukończonych wyprawach składali dziękczynienia, jakoteż zdobyte na nieprzyjaciołach sztandary i różne bogate wota.

Na północny zachód od Krakowa, na drodze wiodącej ze Ślązka ku Warszawie, nad rzeką Wartą, wśród szeroko ciągnących się równin leży Częstochowa, której założenie sięga niepamiętnych czasów. O pół mili od tego starożytnego miasta wznosi się Jasna Góra, na której szczycie są wa-

rowne mury Ojców Paulinów i kościół, gdzie się znajduje ów słynny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Mury klasztoru były niegdyś silną warownią i niejednokrotnie oparły się szturmom wojsk nieprzyjacielskich. Dziś pozostały już tylko szczątki dawnych fortyfikacji.

Przez cztery bramy i mosty, niegdyś zwodzone, wchodzi się w dziedziniec klasztorny. Nad czwartą, głęboko sklepioną bramą w ostatnim wale, wymalowany jest wizerunek Władysława, księcia opolskiego, który na dłoni trzyma kościół częstochowski, na znak, że on to kościół ten założył i w nim sławny ów obraz umieścił. Wokoło kościoła i klasztoru ciągną się zabudowania różnego kształtu i przeznaczenia, jako to: sala do bierzmowania, zbrojownia, pokoje królewskie, apteka, stajnia, słowem, całe miasteczko, pancerzem obronnego muru objęte.

Pielgrzym, wszedszy do kościoła, dąży jak najśpieszniej do kaplicy, w której znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, wymalowany na cyprysowej desce, według podania, przez św. Łukasza. Tłok pobożnych, któremi zawsze przepełniona jest kaplica, z trudnością dozwala zbliżyć się do jej wnętrza. Przed ołtarzem wisi osiem lamp srebrnych, z których jedna jest darem króla Jana III. Sam obraz obwieszony jest kosztownemi darami, klejnotami i drogiemi kamieniami. Równie bogate są mnogie dary królów i panów, z czcią największą przechowywane w skarbcu klasztornym. Jest tam krzyż srebrny i takaż monstrancja, dar Zygmunta I; pomiędzy wielu ornatami szczególną na siebie uwagę zwraca ornat perłami wyszyty własną ręką królowej Jadwigi; znajduje się sztandar turecki i zegar bronzowy, ofiarowany przez Sobieskiego, jako zdobycz wyprawy pod Wiedeń. Są tam kosztowne buławy hetmanów, np. Stanisława Rewery Potockiego, a obok nich widzieć można także skromny kij pielgrzymi, z którym Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką, odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej, do grobu Zbawiciela.

Tak to łaskami i przywilejami monarchów i hojnemi darami i ofiarami pobożnych pielgrzymów wzbogacony, wzrastał klasztor coraz bardziej i stał się z czasem najświętszym i najdroższym miejscem dla wszystkich ziem polskich.

Ostra Brama w Wilnie

przez St. Tarnowskiego.

Z życia, z opowiadań i opisów przedstawia sobie każdy człowiek Ostrą Bramę inną zupełnie, niż jest w rzeczywistości. W głębi ulicy długiej, staroświeckiej i bardzo cichej wyobraża sobie bramę wysoką, wązką, daleko smuklejszą może, niż Florjańska w Krakowie, prawdziwie „ostrą"; w niej wysoko nad ludźmi przez otwarte okna z ciemnego wnętrza kaplicy połyskują marmury, świeci złoto, iskrzą się drogie kamienie, migają światła lamp srebrnych; na górę prowadzą po dwuch stronach schody kamienne, a na każdym stopniu grupy klęczących, które spływają aż na ulicę; brama może być poczerniała i obdarta, ale musi nosić widoczne ślady wielu wieków. Czyż nie prawda, że jest się przygotowanym na coś bardzo malowniczego, a w tej malowniczości przeważają dwa pierwiastki—starożytność i przepych?

Rzeczywistość jest zupełnie inna. Jedziesz ku miastu ulicą, podobną do wszystkich najpospolitszych małomiejskich ulic, ani długą, ani piękną, dość nową, aż ujrzysz się przed kwadratową, ciężką basztą, bramą zapewne, skoro się pod nią podjeżdża; ta brama, bez stylu i bez cechy starości, bo ją zawsze bielą i mażą, pomalowana jest rosyjską modą na żółto, gzymsy na niej i Pogoń nad otworem bramy wysmarowane wapnem na biało. Nie wiesz, na co patrzysz i gdzie jesteś, kiedy widzisz naraz, że twój dorożkarz zdejmuje czapkę, że na ulicy wszyscy bez czapek, że niektórzy klęczą na

bruku... już wiesz, co to za brama! Zrywasz czapkę i ty, chcesz dojrzeć obrazu „Panny świętej, co w Ostrej świeci Bramie”; widzisz tylko kapliczkę, przystawioną do bramy tak, że zdaje się być jedną ścianą, widzisz z trzech jej okien największe środkowe narozcież otwarte, a za tym oknem firanki, które zasłaniają obraz. Ale napróżno szukasz przepychu lub starożytności; owszem, nic skromniejszego, powiedzmy po prostu, nic uboższego jak ta budowa, dostawiona do bramy tak, że zdaje się być jej facjatą, a tylko z za dwuch boków trójkąta, który stanowi szczyt kaplicy, wyglądają dwa rogi właściwej, kwadratowej baszty. Inaczej świeci obraz Częstochowski ze swej Jasnej Góry, której wieże i baszty na kilka mil widne dokoła; i zdaleka już można mu się pokłonić.

Ostra Brama w Wilnie.

Sama kaplica może mieć długości kroków kilkanaście, szerokości ledwo kilka; na pokój nie byłaby bardzo duża.

Nie częstochowskie tu bogactwa i wspaniałości. Tam Matka Boska na swojej wysokiej górze, w swojej obronnej fortecy, w swojej wspaniałej kaplicy wygląda jak królowa na

majestacie; tu w tych prostych, białych murach w tej ciasnej przestrzeni, w tym otoczeniu ubogim wygląda sama jak w więzieniu, w ucisku, w ubóstwie. I w obrazach samych podobna różnica. Częstochowski ma oblicze surowe i groźne, tak, że mu w oczy patrzeć trudno: — ten patrzy tak łagodnie, tak łaskawie, a tak smutno, jak gdyby sam chciał płakać nad sobą; a widząc go w tym ubóstwie, w tym ucisku, myśli się o Matce Bolesnej, jak z pod krzyża wróciła do swojej izdebki, a za nią mała garstka wiernych, płaczących niewiast i uczniów. I tu tak ciasno, i tu tak mało ludzi wejść może, a ci ludzie, co są, płaczą tak często i to nie nad sobą tylko, ale, jak tam, po powrocie z Golgoty, i nad Najświętszą Panną także, że taka biedna i nad jej Synem, że zelżony i umęczony przez Heroda i Piłata!...

Taki jest charakter Ostrej Bramy, taki rodzaj czci, którą tam Matka Boska odbiera, i takie wrażenie. I gdyby na tym miejscu stanął przybytek tak wspaniały, jak niema żadnego na świecie; gdyby go wszystkie skarby świata zdobiły; gdyby najzawołańsi śpiewacy od rana do nocy śpiewali, jak anioły, a setki tysięcy ludzi klęczały dokoła, nie robiłby ten przybytek większego wrażenia, jak robi dziś w tej swojej biedzie i przez nią.

Jan Kazimierz

przez Tadeusza Korzona.

Jan Kazimierz Waza nie żywił nigdy uczuć patryjotycznych; nie był nawet Polakiem. Krew Jagiellońska babki jego Katarzyny znikła w mieszaninie krwi szwedzkiej i niemieckiej a wychowanie na dworze ojca dokonało zcudzoziemczenia natury jego. Mówić po polsku umiał, i nawet z efektami oratorskiemi, ale myśleć logiką narodową i ko-

chać ojczyznę sercem polskim nie był w stanie; nauczył się tylko obłudnie używać terminologji narodowej. Dziwnie skojarzone w nim były najszkodliwsze dla kraju przymioty i wady; wspaniałość i duma monarsza, obok niezrozumienia godności osobistej, do tego stopnia, że nie wstydził się żebrać i wyłudzać pieniędzy u swoich poddanych lub u obcych monarchów; srogość w karaniu niższych oficerów i żołnierzy, obok pobłażliwości dla możnych zdrajców ojczyzny; ruchliwość i gotowość do wypraw wojennych, obok lenistwa i nieudolności w dowództwie i rządach; dewocja, prześladowanie różnowierców, obok poniewierania przykazaniami, sprawiedliwością i świętością przysięgi. Nie można go o to winić, że miał głowę słabą, że wszystko dał sobie wmówić i myśl przez kogoś podaną uznawał za własną, ale mniej zrządziłby nieszczęść, gdyby słabość umysłu i charateru nie łączyła się w nim z uporem i zawziętością, gdyby nie kłamał, gdyby miał serce dobre.

Ówcześni Polacy niesłusznie upatrywali w królu początek wszelkich nieszczęść. Jan Kazimierz odebrał od wyborców swoich królestwo już spustoszone w trzeciej części przez Chmielnickiego i zniesławione klęską piławiecką. Nie od niego wyszedł początek sprawy kozackiej i zepsucia w stanie rycerskim. Pod Beresteczkiem Jan Kazimierz bądź co bądź odważnie i chlubnie przewodniczył w zwycięskim boju obrońców cywilizacji z hordami stepowego hultajstwa. Do ściągnienia najazdu szwedzkiego przyczyniły się wielce jego wady i winy, ale więcej zawiniła szlachta pod Ujściem. Po ustąpieniu za granicę Jan Kazimierz wrócił przecież na pole walki, chociaż nie z własnego popędu, i sławnym uniwersałem z dnia 20 listopada 1655 roku powołał na obronę ojczyzny już nie samą szlachtę, lecz „ludzi wszystkich kondycji i stanu", wszystkie klasy i warstwy narodu.

Pierwszy z Wazów naraził Polskę na utratę Inflant, połączonych z nią przez Zygmunta Augusta, odzyskanych

staraniem Stefana Batorego; ostatni wyzwolił niebezpiecznego Brandeburczyka z węzłów lennictwa, i przez odciągnienie sił wojennych od teatru wojny moskiewskiej spowodował oddanie Moskwie Smoleńszczyzny, województwa czernihowskiego, Ukrainy zadnieprzańskiej z Kijowem. Nad grobem Jana Kazimierza należałoby zamiast napisu, umieszczonego w kaplicy Wazów na Wawelu, wyryć gorzką skargę z Psalmodji Kochowskiego „Niedawno od Czarnego morza aż do Baltyckiego oceanu ciągnęły się wzdłuż okolice nasze. Teraz spustoszone jedne, drugie zawojowane kraje, a my we środek zamknięci, kurczymy się, jak skóra od ognia, albo krew, zbiegająca ku sercu. Któż nam wróci przeszłych zwycięstw ozdoby? Kto odnowi złote lata pokoju, cnotą i szczęściem kwitnące?"

Po śmierci naród przebaczył mu, bo sprowadził zwłoki jego z ziemi obcej do Krakowa i złożył je w grobach królewskich na Wawelu; ale zadanych przez niego klęsk materjalnych i umysłowych naprawić nie zdołał. Rozstrojona, sfanatyzowana, ociemniała, zdemoralizowana politycznie Rzeczpospolita staczać się będzie w otchłań całym ciężarem win tego nieszczęsnego panowania.

Śluby Jana Kazimierza

przez Henryka Sienkiewicza.

Dzień był mroźny, jasny; drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego, w półszubach błękitnych, bramowanych złotem i pół regimentu węgierskiego wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach, przed niemi, nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i wpoprzek oficerowie z trzcinami w ręku.

Pomiędzy dwoma szpalerami płynął jak rzeka do kościoła tłum różnobarwny. Więc naprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistemi na szyjach i ze świecami w ręku; a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między niemi wielu Ormian w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innemi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze, szychtarze, płatnerze, kordybanci, miodowarzy, i ilu tylko jeszcze było; z każdego cechu ludzie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczym dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w kapotach, w kożuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopi. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelkich stanów.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały drzwi główne, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczali muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary. Zajechał król z nuncjuszem, potym arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czartoryskim, potym ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego rodzaju dworacy utworzyli jakoby nowe wojska, stojące z boku katedry.

Ze mszą św. wyszedł nuncjusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem. Dla króla urządzono klęcznik między wielkim oltarzem a stallami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki.

Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie. Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorów, ukryte w cieniu kanonickich krzeseł, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fijolety. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga. Wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się: błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed Majestatem Bożym. Wreszcie wydobył ksiądz nuncjusz z cyborjum kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejącą twarzą, rozległ się głos nuncjusza: „Ecce Agnus Dei” i król przyjął komunję.

Przez jakiś czas klęczał schylony, nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce. Uciszyło się nagle w kościele, tak, że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętemi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

— „Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla Królów i Pana mojego, i Twoim zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królowę dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernichowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystko Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia

w teraźniejszym utrapieniu królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę..."

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele ciągle cisza trwała śmiertelna; więc wstawszy, tak dalej mówił:

— „A że wielkiemi Twemi dobrodziejstwy zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie moim, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu, Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać; a gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam zwycięstwo nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mym odprawiała się solennie do skończenia świata rozpamiętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!"

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos króla wnet go uciszył i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

— „A że — z wielkim tu żalem serca mego uznaję — dla jęczenia w ucisku ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę, przez siedem lat w królestwie moim różnemi plagami trapiącą nas wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czym, Matko Miłosierdzia, Królowa i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego votum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję."

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który naprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potym stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozpłakane głosy powtarzały: „Amen!

amen! amen!" — na świadectwo, że swoje uczucia i wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca, które zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Zaczym radość niepojęta jako czysty płomień rozpaliła się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po ukończonym nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków „Zwycięstwo, zwycięstwo! niech żyje!" jechał do grodu i tam konfederację Tyszowiecką podpisał.

Czarniecki i jego wojska

przez Wiktora Czermaka

Służył w drużynie Czarnieckiego przeważnie żołnierz dawnej daty, wypróbowanej wierności i odwagi, doświadczony w boju, ostrzelony z niebezpieczeństwem i oswojony ze szczękiem broni, świstem kul i hukiem dział i samopałów. Widziało się tam wiarusów, co przebyli wszystkie wojny za Jana Kazimierza, rąbali się z Kozactwem i Tatarami, mierzyli z Niemcem, Węgrzynem i Szwedem i nieraz zaglądali w oczy sąsiedniej Moskwie. Bywalcy nie ladajacy, zbiegli chyba więcej, niż pół Europy; przejechali całą Rzeczpospolitą od końca do końca, zachodzili do Węgier, Austrji, Brandeburgji, pływali po duńskich Zundach; rzekłbyś, że na morzu równie im było swojsko, jak na lądzie. „Gdziem nie był" — powiada typowy Pasek—„trudno o tym pisać, bo ja przez wszystkie wojny trzymałem się Czarnieckiego, z nim zażywałem czasem okrutnej biedy, czasem też i rozkoszy."

Nieustanna praktyka wojenna i długotrwałe życie obozowe, twarde i przykre, coprawda, ale za to ruchliwe i towarzyskie, wytworzyło w ludziach Czarnieckiego ten prze-

dziwny hart natury, tę pewność siebie zuchwałą, a stateczną, i to szęśliwe usposobienie, zawsze równe, pogodne i wesołe, będące właściwością prawdziwych mężów czynu. Była tam i pewna rubaszna swoboda i zuchwałość, była owa jakaś napół rycerska, napół zawadjacka fantazja i nareszcie ten zdrowy, jędrny, niczym nieskrępowany humor, co to nie dopuszcza do długich, gnębiących refleksji, rozprasza czarne przeczucia i obawy i opromienia jasnym światłem nawet smętne obrazy śmierci i zniszczenia.

W obozie, czy na polach bitew, w bezpiecznym schronieniu, czy pod największym ogniem, zawsze gotów tam każdy sypnąć pełną garścią dowcipów i żartów, wybuchnąć szczerym, niewymuszonym śmiechem. Śmierć rzeczą dla nich powszednią; patrzą jej w oczy spokojnie, a figle, które mu nieraz płata ta nieodłączna siostrzyca wojny, przyjmują łatwo i obojętnie. „Zwyczajnie, tam gdzie rąbią drwa, tam i trzaski padają”—filozofują po prostu, poddając się zrządzeniu bożemu.

Jeżeli co do tego chwackiego, wesołego ducha w wojsku, nie różniła się dywizja Czarnieckiego zasadniczo od innych oddziałów ówczesnej armji polskiej, bo usposobienie tego rodzaju było wrodzoną właściwością całego narodu, to natomiast co do porządku, ładu i karności, co do wewnętrznej łączności i solidarności między podwładnemi samemi z jednej strony, a podwładnemi i wodzem z drugiej, górowała ona bezsprzecznie nad wszystkiemi.

A skoro tak rzecz miała się w istocie, nie niczyjej zasłudze wypada to przypisać, lecz tylko staraniom i wpływom samegoż wojewody i *de facto*, choć nie z tytułu, trzeciego, nadliczbowego hetmana koronnego, Stefana Czarnieckiego.

Była to już wtedy znakomitość wojskowa uznanej wielkości i sławy. Wojny kozackie, moskiewska i szwedzka, a w tej ostatniej przedewszystkim wyprawa duńska, uczyniły imię wodza rozgłośnym w całej Europie.

Stefan Czarniecki.

Mężczyzna silnej budowy ciała i wspaniałej statury, postacią swoją robił wrażenie starca spartańskiego, ra-

dzącego o losach Hellady w kole gieruzji. W kształtach i ruchach pełen wrodzonej jakiejś grandezzy i uroczystej powagi, miał oblicze o wejrzeniu pogodnym i otwartym, o czole wyniosłym, mocno sklepionym i porytym głębokiemi bruzdami, które snać przedwcześnie wyżłobił na tej głowie ciężar poważnych myśli, twardych trosk i ustawicznych niewczasów: siwiejąca już podówczas pełna broda okalała twarz jego imponującą a sympatyczną. Prawdziwy rycerz z powołania i usposobienia, ukochał Czarniecki zawód swój nadewszystko; w nim żył i dla niego, przezeń rósł w zaszczyty i sławę.

Znał wyśmienicie obowiązki prostego żołnierza z doświadczenia, bo je sam chętnie dzielił i wypełniał. „Ani o domie, ani o żonie, ani o dzieciach, ani o zbiorach nie dbając" — powiada Jerlicz — „żywot swój tak prowadził i skończył: zawsze dzień i noc na koniu, nie dbając ani o namioty, ani o karety, ani o wyśmienite potrawy i trunki; ale pogoda, czy nie pogoda zawsze jednako; pokarm onego, jeżeli jest, wędzonka, a napój woda, pościel—wojłok, a wezgłowie siodło, takie spanie onego było. Nie czekając dnia, ale o północy nieprzyjaciela łowił i znosił..."

Ledwie wyszedł z dzieciństwa, już się oddał służbie wojskowej. Był też „wodzem manjery owych wielkich wojowników i szczęśliwym". Sztuki wojennej uczył się nie z książki, lecz na polach bitew; nie umiał na pamięć katechizmu taktyki strategicznej, ale działał zawsze tak, że czyny jego stały się dla współczesnych i potomnych trwalszemi wzorami niż wszelkie teoretyczne wywody.

Miał to spojrzenie jasne i bystre, że dość mu było rzutu oka, by ogarnąć plac bojowy, przejrzeć i zrozumieć całą sytuację i ocenić wartość przeciwnika, dosyć jednej chwili, aby stworzyć, zbadać i rozwinąć wielki plan wojenny. Nienawidził kunktatorstwa i tej anemji woli, co pobudza do działania dopiero po niewczasie i po szkodzie: myśl

była dlań bezpośrednią przedstawniczką czynu, czyn błyskawicznym wcieleniem woli.

Skuteczność działań jego leżała w nagłych, szybkich, gwałtownych ruchach, ciosy swe rozdzielał niespodzianie. Spadał znienacka, cofał się i znowu spadał, jak strzała raz po razie, nie dając przeciwnikowi wolnej chwili do zebrania sił i wytchnienia. Był „jako piorun straszny"—powiada Jemiołowski.

Nie w samej tylko tej energji do czynu i rozwadze w działaniu leży jego tajemnica powodzenia.

Czarniecki był w wojsku swoim i narodzie popularnym tak, jak żaden z wodzów polskich przed nim i jak po nim bardzo niewielu. Zjednywał serce każdego, ktokolwiek się doń przybliżył. Szlachta, krzywo zwykle patrząca na magnatów, jego kochała, podziwiała i wielbiła. Posiadał bezwarunkowe zaufanie wszystkich swych podwładnych; polegali na nim jak na Zawiszy.

Gdy on przybył, opuszczała wojsko obawa i niepokój. Wszystko czuło się bezpiecznym. Zdawało się, że nic nie może zajść nadzwyczajnego, nic niespodziewanego, póki on w obozie. Zasypiano spokojnie: Czarniecki wszystko przewidzi, będzie o wszystkim wiedział i pamiętał. Łączył żołnierza jakiś dziwnie serdeczny stosunek ze „szczęśliwym iście wodzem"; rzekłbyś, że jego rzeczą było nie dowództwo, lecz ojcowanie. „Dziadem" nazywa go niekiedy z ujmującą poufałością i prostotą serdeczny Pasek.

Wojewoda znał swoich ludzi na wylot. Nie stronił od nich z wyniosłą oziębłością, jak to czynili inni; przeciwnie, chętnie się stykał z podwładnemi bezpośrednio. Przechadzał się po obozie, stawał tu i owdzie, rozmawiał z każdym, kto się doń garnął. Waleczni byli zawsze pewni jego przyjaźni i protekcji. Miał dobre słowo i żart wesoły na zawołanie.

A kiedy stanął na czele swoich chorągwi, wojsko wpatrywało się weń jak w tęczę, czekając z radosnym drżeniem

z ust jego hasła bojowego. Umiał Czarniecki znakomicie zagrzać i porwać za sobą żołnierza. Przemawiał krótko, ale od serca.

„Miłażto jest wojna pod dobrym wodzem" — mówi Pasek—„by i najcięższe ponosić prace i przykrości: nie straszne są rzeczy ochotnemu sercu przez ognie i miecze, przez srogie burze i nawałności za dobrym wodzem piąć się ku celowi dobrej sławy."

Żołnierze cenili sobie wysoko zaszczyt służenia pod takim panem. Nazywali się z dumą Czarniecczykami. Kiedy jeden z nich, niejaki Wolski, stchórzył (a był to rzadki wyjątek), „kazano mu zaraz z wojska wyjechać i nie powiadać nigdy, żeby kiedy służył w dywizji Czarnieckiego. Taka była dbałość o honor i dobre imię wojewody."

Życzliwy i łaskawy, jak ojciec, wymagał Czarniecki, jak ojciec, bezwzględnego dla siebie posłuszeństwa. „Taka była karność w naszej dywizji", świadczy tenże sam pamiętnikarz — „że Panie zachowaj oddalić się na dłuższy czas od chorągwi, albo na stanowisku okazji omieszkać: zaraz sąd, zaraz pokuta, zaraz do artykułów; i jużby to nie był oficer, coby ich zawsze w kieszeni nie miał."

Krótko, ale wybornie powiedział też Kochowski, że jeśli późniejsze powodzenia w wojnie szwedzkiej były głównie zasługą Czarnieckiego, to dokazał tego wojewoda właśnie:

„Czułym dozorem, rządem i karnością,
„Prędką odwagą, odważną prędkością."

Jaką sympatją, uznaniem i szacunkiem cieszył się ten człowiek u spółczesnych i potomnych, widać to z niejednej karty Pamiętników XVII wieku, widać zwłaszcza z owego szczegółu, który opowiada Pasek w relacji z czasów bezkrólewia po Janie Kazimierzu. Wśród szlachty wielkopolskiej, wspominającej z żalem zmarłego niedawno bohatera, miały się wówczas takie objawiać opinje: „Nam nie potrzeba

bogatego pana, bo on będzie bogatym, gdy zostanie królem polskim. Nie trzeba nam z innemi spokrewnionego monarchami, bo to jest niebezpieczeństwem wolności; ale nam trzeba męża dzielnego, męża walecznego. Gdybyśmy byli mieli Czarnieckiego, pewnieby usiadł na tronie..."

Chłop polski w walce przeciw Szwedom

przez Józefa Chociszewskiego.

Rok 1655 jest dla Polski nietylko nieszczęśliwym, ale nawet upokarzającym, gdyż kilkanaście tysięcy Szwedów zawojowało Polskę prawie bez wystrzału. Szlachta porzuciła prawowitego króla Jana Kazimierza, uznając za swego pana Karola Gustawa, króla Szwedów. Tylko duchowieństwo polskie dochowało przeważnie wierności prawemu monarsze. Ksiądz Kordecki dzielną obroną Częstochowy pobudził naród do obrony. Chrobry Stefan Czarniecki, jeden z największych polskich wojowników, zwyciężał Szwedów w licznych potyczkach. Przykład jego pobudził nietylko szlachtę, ale także mieszczan i chłopów do walki ze Szwedami.

Żył podówczas na pomorskiej ziemi młynarz Michałko, którego Szwedzi przemocą do swego wojska zabrali. W krótkim czasie dostąpił on stopnia kaprala, gdyż był pojętnym i walecznym. Po niejakim czasie powiedział sobie wieśniak Michałko, że jako Polak powinien bronić Polski, dlatego zebrał kilkudziesięciu ludzi, a stanąwszy na ich czele, wystąpił do walki przeciw Szwedom. Przebywał on najchętniej w borach tucholskich, gdzie znał dokładnie wszelkie ścieżki i manowce. Napadał z szybkością błyskawicy małe oddziały szwedzkie i w pień je wycinał. Przez długi czas nie wiedzieli Szwedzi, kto im wyrządzał wielkie szkody. Gdy mu się sprzykrzył pobyt w borach, postanowił zająć jakieś obron-

ne miasto. Wśród ciemnej dżdżystej nocy uderzył na Człuchów, a choć załoga szwedzka stawiła dzielny opór, zdobył gród warowny, gdzie założył główną swą kwaterę. Posiadając warowne miejsce, wojował z większym powodzeniem, tymbardziej, że nawet szlachta śpieszyła w jego szeregi, nie uważając sobie za hańbę służyć wojskowo pod dowództwem młynarza. W niedługim czasie zdobył jeszcze Starogard i Lipinki. Stał się odtąd strasznym dla Szwedów przeciwnikiem. Korzystając z swej znajomości okolicy, pojawiał się nagle tam, gdzie go się najmniej spodziewano, a poruszał się tak szybko ze swoim oddziałem, jak gdyby w jednej i tej samej chwili w kilku naraz znajdował się miejscowościach.

Przeważniejszych liczbą oddziałów szwedzkich nie zaczepiał nigdy w otwartym polu, ale w lasach i pomiędzy górami rzucał się na dwójnasób większe siły. Nieraz docierał do samych murów miasta, gdzie przebywali szwedzcy żołnierze, szerząc pomiędzy niemi popłoch i zamieszanie. Z Człuchowa przeniósł swą główną siedzibę do Starogardu. Szwedzi dowiedziawszy się, że Michałko posiada tylko szczupłe siły, gdyż znaczną część swego oddziału wysłał na zniesienie hufca nieprzyjacielskiego, zebrali znaczne wojsko i otoczyli zewsząd Starogard. Michałko poznał, że trudno się bronić długo przeciw przemocy, dlatego choć z bólem w sercu rozpoczął układy z wrogami. Szwedzi nadspodziewanie położyli łagodne warunki, gdyż pozwolili opuścić Starogard całej polskiej załodze z bronią w ręku, a żądali tylko wydania zuchwałego wodza. Michałko przystaje na ten warunek, nie zważając ani na prośby swych towarzyszy, którzy nie chcieli go odstąpić w niedoli, ani też na to, że jako zbieg od szwedzkich sztandarów idzie na śmierć oczywistą. Oddał się więc sam dobrowolnie w ręce mściwych Szwedów. Uradowani tą zdobyczą odwieźli go pod zbrojną zasłoną do Malborga, gdzie go czekała śmierć niechybna i męczarnie. Jednakże dawniejszemu młynarzowi przyświecała szczęśliwa gwiazda, gdyż

Polacy, dowiedziawszy się o jego pojmaniu, uwiadomili Szwedów, że jeżeli zamordują jeńca lub męczyć go będą, odpłacą się podobnie jeńcom szwedzkim, a że nawet znakomici jenerałowie przebywali w polskiej niewoli, przeto Michałko został obdarzony wolnością wzamian za kilku jeńców szwedzkich. Upominali go jednakże usilnie, aby porzucił rzemiosło wojskowe i przestał nadal Szwedów niepokoić.

Michałko nie miał wcale ochoty słuchać tej rady, gdyż wnet zebrał znaczny oddział, zaczął walkę na nowo i stał się nawet jeszcze straszniejszym dla Szwedów, niż dawniej. Przy oblężeniu Grudziądza dokonywał cudów waleczności i jego to głównie było zasługą, że ta warownia wpadła w ręce polskie. Doczekał się Michałko tej pociechy, że król Jan Kazimierz zamianował go rotmistrzem jazdy.

Dzielny ten wojownik jest prawie nieznanym naszemu narodowi. Pochodzi to stąd, że polscy pisarze prawie nic o nim nie wspominają. Anglik Gordon, który walczył w szwedzkim i polskim wojsku, poznawszy osobiście Michałka, opisał jego czyny dość obszernie, przecież pamiętnik Gordona dopiero przed niedawnym czasem został drukiem ogłoszony, zatym nie rozkrzewiła się jeszcze w narodzie dokładna wiadomość o dzielnym Michałku, co zapisał swe imię bohaterskiemi czyny na kartach naszej przeszłości.

Wewnętrzny upadek Polski

przez Michała Bobrzyńskiego.

W pośrodku rosnących militarnych potęg ujrzała się Polska w połowie XVII wieku bez żadnej wewnętrznej organizacji, bez energicznej władzy, bez odpowiedniego wojska i podatków, i co gorsza, z zagrodzoną drogą wszelkiej w tym kierunku reformy.

Dziwna ciemnota ogarnęła umysły polskie, niegdyś tak garnące się do światła, tak chciwie, gorączkowo przyswajające sobie wyniki powszechnego postępu i wiedzy. Przestała młodzież polska, synowie szlacheccy, jeździć po naukę na uniwersytety zagraniczne, bo czegóż się na nich mogła nauczyć? Mogła nabyć na nich lepszych i zdrowszych pojęć politycznych, a powróciwszy do kraju, dążyć do przeobrażenia i zmiany stosunków ojczystych. Tego nie chcieli ojcowie, trzymali ją więc zdala od nauki tak „niebezpiecznej", kształcili ją w kraju, a jeśli już, co rzadko się działo, wysyłali ją zagranicę, to jedynie dla nabrania zagranicznego zepsucia, języka i mody.

Nie posiadając szkół odpowiednich duchowi czasu, naród przez sto pięćdziesiąt lat nie mógł się moralnie i umysłowo odrodzić, lecz z każdym pokoleniem coraz to głębiej upadał.

Nauczanie jezuickie trzymało młodzież zdala od wszelkiej samoistnej wiedzy. Cofnęło się też społeczeństwo nasze szlacheckie w oświacie swojej daleko po za inne europejskie narody, za któremi niegdyś tak śmiało i odważnie kroczyło. O prawdziwej oświacie nie miało ono teraz ogółem pojęcia, a literatura polska ówczesna nie mogła zdobyć się w żadnym kierunku na oryginalność. Podstawą wykształcenia jezuickiego było nizkie współzawodnictwo, nadzieja odznaczeń i nagród. Nie z poczucia obowiązku, nie dla służenia krajowi, miała się uczyć młodzież, ale dla próżności i egoizmu. Możnaż się dziwić, że ta młodzież wyrastała w nadęte pęcherze, które odrzucały wszelką myśl wyższą, w obywateli, którzy w życiu swym publicznym, tak samo, jak na ławkach szkolnych, pragnęli odznaczeń i nagród, urzędów i intratnych starostw, a nie mogąc ich wszyscy otrzymać, mścili się na królu, rozdającym wakanse i na Rzeczypospolitej. Pojąc dalej młodzież śmiesznym uwielbieniem szlacheckiego klejnotu i połączonej z nim złotej wolności, ucząc ją wzgardy dla

wszystkiego, co nie było szlachcicem, umieli Jezuici przygotowywać ją już w szkole do płaszczenia się magnatom, uczyli ją, jak się przed panami poniżać, jak usuwać swe przekonanie, jak tracić swą osobistą godność. Ze szkół udawali się młodzi ludzie na dwory pańskie dla ogłady i dokończenia wychowania, dla karjery, która bez protekcji pańskiej była już niepodobną.

Społeczeństwo pozbawione w ten sposób nietylko wykształcenia, ale prawdziwej ambicji, musiało stracić chęć i siłę nawet do pracy ekonomicznej, w której niegdyś tak wysoko stanęło. W długoletnim pokoju zabliźniły się rany, zadane gospodarstwu rolnemu przez ostatnie wojny, zaludniły się znowu i zagospodarowały żyzne prowincje południoworuskie, ale ogółem biorąc, upadła w niesłychany sposób jedyna niemal podstawa ekonomiczna, rolnictwo. Wielkie przestrzenie w środku Rzeczypospolitej stanęły pustką, bo szlachcic lenił się teraz pracy, zdając zarząd majątku w ręce sług i włodarzy, chłop zaś, nie widząc żadnej dla siebie korzyści, pracował mimo srogiego przymusu źle i niedbale, jak niewolnik. Miasta królewskie, nietyle wskutek niszczących wojen, ile w następstwie zgubnej polityki ekonomicznej, upadły zupełnie. Pomimo obfitych przyrodzonych darów, nietylko więc skarb państwa pustkami teraz świecił, ale ogół społeczeństwa niezmiernie ubożał.

Wśród tak smutnych warunków łatwo sobie przedstawić nowe ugrupowanie się społeczeństwa polskiego.

Chłop utraciwszy poczucie swojej człowieczej godności, utracił oczywiście przedsiębiorczość i stał się martwą masą. Miasta wyludnione, świecące gruzami dawnej wielkości, przestały być w życiu narodu nietylko politycznym, ale nawet ekonomicznym czynnikiem. Ale i ze szlachtą stosunkowo nie działo się lepiej. Ubezwładniwszy władzę króla, wydała się ona sama na łup oligarchom. Biada szlachcicowi, któryby się ośmielił stanąć o własnych nogach, mieć swoje prze-

konanie i samoistnie działać. Gdy namowa nie skutkowała, najbliższy, urażony magnat przemocą go najechał, zagrabił, spalił i złupił, a sprawiedliwość, usłużna magnatowi, milczała.

Przestała się też szlachta grupować około pewnych politycznych zasad, ustały stronnictwa polityczne, a trzęsły całym krajem tylko stronnictwa osobiste, klijentele kilku, kilkunastu potężnych magnatów. Każdy z takich magnatów utrzymywał dwór królewski: Radziwiłłowie w Nieświeżu, Potoccy w Tulczynie, Braniccy w Białymstoku, Sieniawscy w Sieniawie, Czartoryscy w Puławach, każdy otaczał się wojskiem nadwornym, ubierał nawet w liberję oddaną mu szlachtę. Każdy magnat był więc rzeczywistą potęgą, i gdyby się wszyscy byli wzięli za ręce, gdyby się nawet byli rozdzielili na pewne partje polityczne, gdyby byli działali w pewnej myśli politycznej, byliby z łatwością stworzyli silny rząd i ocalili państwo. Tażsama jednak rdza moralna i umysłowa, która pożarła naród, nie oszczędziła także magnatów.

W czasach ogólnego skażenia i religja wyrodziła się w rękach zepsutego duchowieństwa. Niższe, niewykształcone, upadało moralnie i materjalizowało się tak samo, jak szlachta; wyższe traciło wszelkie pojęcie o swym powołaniu kapłańskim, a dbając wyłącznie o swe ogromne dochody, współzawodniczyło z magnatami w dziele politycznej anarchji i moralnego zepsucia. Ponurą tę rzeczywistość pokrywała jednak starannie przybrana maska dewocji i nabożeństwa. Za deptanie najświętszych zasad religijnych starano się przebłagać Boga odejmowaniem innowiercom wolności wyznania i praw obywatelskich, a podżeganiem ciemnych tłumów do pogwałcenia i bezczeszczenia ich nabożeństwa. Osobne konstytucje zakazywały im budowy nowych świątyń, ograniczając ich o ile można do prywatnego nabożeństwa; zwyczaj wykluczał ich od piastowania urzędów.

Działo się to wszędzie, i działo się jeszcze gorzej w Europie, gdzie jednak istniał silny rząd; tam skargi

uciśnionych nie mijały bez widocznej dla państwa szkody. W Polsce dysydenci uciekali się ze skargami swojemi do pokrewnych im wiarą sąsiadów, a mszcząc się na ojczyźnie, dawali im zawsze gotowy pozór do mieszania się w nasze sprawy.

Jan Sobieski

przez J. I. Kraszewskiego.

Ostatni to z polskich królów, który po sobie bohaterską zostawił legiendę, król-szlachcic, król kontuszowy, wojownik znakomity, mąż ze wszech miar wielki. Sobiescy, nie należąc właściwie do prastarych możnych rodów Rzeczypospolitej, związkami krwi z niemi i znaczeniem, męstwem i rycerstwem wysoko już byli wyrośli, gdy Jan miał przyjść na świat. Wyszedszy z krwi i ducha takich ludzi, jak Marek Sobieski, towarzysz Stefana Batorego, hetman Żółkiewski i Daniłowicz, ginący w boju z Turkami, — wychowany w takiej domowej szkole, Jan Sobieski, napojony wspomnieniami wielkiemi, zagrzany do ich naśladowania, nie mógł na bohatera nie urosnąć.

Wychowanie odebrał wraz z bratem Markiem nadzwyczaj trafnie zastosowane do przyszłych jego przeznaczeń, napół europejskie, ale w gruncie czysto narodowe polskie. Ani podróże, ani obcowanie z ludźmi różnych narodowości nie zatarły w nim polskości i uczucia religijnego, głębokiego, aż do egzaltacji niemal posuniętego.

Podróże z rozkazu ojca przedsięwzięte, wiodły dwuch braci najpierw do Paryża, do Anglji, Holandji, później aż do Konstantynopola. Ojciec przewidywał, że synowie będą powołani do walczenia z poganami, zawczasu więc kazał ich uczyć języka i starał się, aby kraj i obyczaj poznali. W in-

strukcji swej pilnie nastawał wojewoda na wprawianie się, oprócz łacińskiego, w bardzo potrzebny Polakom język niemiecki, a potym francuski i włoski, wkońcu dodając turecki, którego też „serdecznie" życzył się nauczyć. Wróciwszy do Polski, dwaj bracia Marek i Jan rozpoczęli natychmiast służbę rycerską w wojnie z Kozakami.

Życie Jana, niezmordowanie czynne, upływało na koniu w polu, pod namiotem, lub naostatek w wirze tych intryg, które się na dworze i przy obojgu królestwie zawiązywały i plątały. Znajomość sposobu wojowania i obyczaju Turków i Tatarów dawała mu taką bystrość oka i pewność rachuby, iż nigdy się prawie nie zawiódł i z każdego boju zwycięsko wychodził. Tatarowie i Turcy znali go dobrze; samo imię jego trwogę im wrażało; a jednak umiał nawet u tych nieprzyjaciół wyrobić sobie takie poszanowanie, że później, w wojnie 1683 r. ilekroć Turcy poddawać się musieli, na imię Sobieskiego woleli się zdać, niż na wszelkie inne. Oczyszczenie kraju z nieprzyjaciela, zdobycze zamków, odzyskanie twierdz, szczęśliwe okryły nieśmiertelną sławą imię Sobieskiego. Tyle dokonawszy dla sprawy chrześcijaństwa, dla domu austryjackiego, dla Polski nie mógł już tego zdobyć, czego najgoręcej pragnął, — nie odzyskał Kamieńca.

W Janie III jest wódz i rycerz znakomity, wykształcony w swym rzemiośle, znający doskonale wszystkie jego wymagania i warunki. Czasu pochodu nie rusza się on bez map i planów, bez inżynierów, bez doskonałej miejsca znajomości, bez topograficznych kart, które sam bada i sprawdza. Krew rycerska unosi go czasami, rzuca się nazbyt śmiało i zuchwale, jak pod Parkanami, wierząc w gwiazdę swoją, w którą ufać nie przestał i po tej klęsce, zaledwie z niej ocaliwszy życie.

W bitwie pod Wiedniem bystre jego oko,—chociaż ona na dni kilka była rozłożoną — natychmiast dojrzało wygraną i zwycięstwo, gdy nikt jeszcze nie przypuszczał, aby tego

dnia los wojny miał się rozstrzygnąć. Jest on jeźdźcem nieznużonym, rycerzem nie dającym się pohamować, który nie ogranicza się przypatrywaniem bojowi, ale sam udział w nim bierze. Z tą wiarą rycerską w siebie, razem żyje w nim

Jan Sobieski.

staropolska, głęboka wiara religijna w pomoc z nieba, w cuda i posiłki anielskie.

Z tą gorącą wiarą walczy on z pogany, a zna ich, jak nikt lepiej: język, obyczaj, charakter, co mu daje wyższość nad wszystkiemi wodzami współczesnemi. Czasu wojny nie-

wygody, głód, znużenie, pomimo wieku już późnego, nie powstrzymują go ani na chwilę. Spoczywa pod gołym niebem, po dni kilka żywi się lada sucharami, a wody pożycza u żołnierzy bawarskich.

Rysy te charakteru Jana III są dosyć uwydatnione w kreślonych jego wizerunkach; mniej za to wiadome jest to jego usposobienie, z jakim ciągle pragnął wiedzy, pożądał nauki, śledził wszystko, co się na świecie badało i odkrywało. Była w nim nienasycona ciekawość wszechrzeczy. Z ludźmi uczonemi, całemi dniami, po całych nocach gotów był rozprawiać, aby się od nich o czymś nowym a nieznanym dowiedzieć. Nowe wynalazki, pomysły, machiny, narzędzia, stare dzieje zabyte, wszelkiego rodzaju arkana i zagadki pociągały go, nęciły, nie dawały spoczynku. Korzystali z tego ludzie zręczni, stając mu się niezbędnemi. Zewsząd obdarzano go osobliwościami; w Jaworowie strusie chodziły po dziedzińcach, zwierzęta osobliwe hodowano w klatkach i wydra p. Paska musiała być królowi ofiarowaną. Pseudo-uczonych gadułów, szczególniej Włochów, woził z sobą dla gawęd i rozpraw i zamykał się z niemi. Czytywali mu oni książki nowe, objaśniali i tłumaczyli.

Chciwość ta wiedzy gorączkowa, o której świadczą współcześni, jest rysem dopełniającym fizjognomję króla, szczególniej w wieku późniejszym.

Zarzucano mu chciwość, ale ona nie płynęła z jego charakteru, była tylko grzeszną powolnością dla Marysieńki, nienasyconej, żądnej grosza, i zmuszającej króla, aby urzędów bez opłat nie dawał. W nim samym skąpstwa i żądzy zbogacenia trudno się dopatrzeć, upodobania jego wcale są inne. Kochał się w ogrodach, drzewach, owocach, kwiatach i zajmował niemi ciągle. Ogromne sumy, które się w kufrach królowej gromadziły, były owocem jej zabiegów i pod jej nawet zawiadowstwem. Frymarki wszelkie szły przez jej ręce.

Pomimo chciwości, królowa, tym dumniejsza, że pochodzeniem swym nie mogła się bardzo chlubić, lubiła przez próżność przepych i wystawę; Jan III niezbyt się w nich kochał; ale smak miał wytworny, czego dowodzą urządzone przez niego rezydencje w Wilanowie, Jaworowie, Żółkwi i innych majętnościach.

Takim wogóle przedstawia nam się król Jan, łączący w sobie największą rycerską odwagę, z niepojętym brakiem energji w stosunkach z żoną i z rodziną. Zapamiętały w boju, w walkach z nieprzyjaciółmi, w domu był powolnym i ustępującym łatwo.

Cała druga część żywota Sobieskiego, poczynająca się jeszcze przed wyprawą wiedeńską, część, w której wpływ Marji Kazimiery coraz potężniejszym się staje, mimo bohaterskich czynów, słabą stronę człowieka odsłania. Wódz, bohater, zwycięzca, jest zawsze jeszcze wielką postacią, w bojach olbrzymio urosłą; ale nie włada już sobą, ulega żonie i daje się jej powodować dla świętego spokoju. W ostatnich tych latach Sobieski zdaje się czuć cały tragizm położenia swego; zamyka oczy, aby nie widzieć i nie być zmuszonym przewidywać. Zabawia się namiętnie ogrodem, upaja rozmowami filozoficznemi, czytaniem, wynalazkami nowemi, towarzystwem uczonych cudzoziemców — byle nie myśleć o tym, czemu zapobiec nie może. W wyrywających się z ust jego wyrazach czuć niekiedy jakby gorycz i ironję. Prądu powstrzymać nie może — zapóźno — chciałby przynajmniej umrzeć, nim się nie dręcząc.

Przed samą śmiercią miał jeszcze dość siły, aby rodzinie nakazać zgodę i miłość; zaklinał królowę, aby działała w interesie dzieci. Senatorom polecił Rzeczpospolitą i zmarł spokojnie w samą rocznicę swego wstąpienia na tron.

List cesarza Leopolda do króla Jana III.

„Leopold z Bożej łaski, wybrany cesarzem Rzymian i t. d. do Króla Polskiego, wielkiego księcia litewskiego i t. d.

Wasza Arcy-*Serenitas* wielce potężny Książę, bardzo drogi nasz Bracie i Sąsiedzie!

Z niewypowiedzianą radością odebraliśmy listy Waszej *Serenitatis* z dnia 17 *Julii* w nieszczęściu, w jakie nas pogrążyły perfidja Węgrów i spustoszenia, jakich się w Austrji dopuszcza okrucieństwo Turków.

Z listów tych dowiedzieliśmy się z największą pociechą, że Wasza *Serenitas* dąży przyśpieszonemi marszami na odsiecz Wiednia, który jest szczelnie oblężony, i że Wasza *Serenitas* zaniechała wskutek tego wszelkich innych planów wojennych, gromadząc Swoje wojska ze zdumiewającą skwapliwością, aby miasto wyrwać z rąk, a raczej z paszczy nieprzyjaciół.

Rozkazaliśmy też naszemu wiernemu a ukochanemu baronowi Janowi de Zirow Zierowskiemu, naszemu doradcy i posłowi nadzwyczajnemu, aby oświadczył Waszej *Serenitati*, z jaką wdzięcznością uznajemy tę gotowość podziwu godną, która głównie jest korzyścią całego chrześcijaństwa i którą zawdzięczamy mniej warunkom przymierza między nami zawartego, jak raczej życzliwości szczególniej Waszej *Serenitatis* dla nas i naszych spraw.

Tenże sam poseł ma rozkaz wyjaśnienia wszyskiego tego, co uznaliśmy za konieczne w obecnych sprawach wojennych, a zwłaszcza co do odsieczy Wiednia; i przedstawi to świetnej przezorności i doświadczeniu wojennemu Waszej *Serenitatis*. Dlatego upraszamy Was w zaufaniu prawdziwie braterskim, abyście wysłuchali i dawali wiarę zupełną temu, co rzeczony nadzwyczajny poseł w naszym imieniu Wam powie; i zaklinamy, abyście dalej postępowali tym świetnym

torem z tymże uniesieniem, jak rozpoczęliście, a które to postępowanie zgotuje Wam chwałę nieśmiertelną, a oswobodzenie Wiednia będzie Wam w potomności nieśmiertelnym pomnikiem; a co przywiąże coraz bardziej naszą życzliwość ku królewskiej Waszej Rodzinie.

Nakoniec prosimy Pana Boga, aby raczył zlewać na Was wszelkie pomyślności.

Dan w Passau dnia 3 Augusta 1683 roku panowania naszego w cesarstwie 26, na Węgrzech 29, a w Czechach 27.

Waszej *Serenitatis* dobry brat i sąsiad."

Leopold.

Obrona Wiednia

przez Augusta Sokołowskiego.

Turcy, otoczywszy Wiedeń ze wszech stron, rozpoczęli dnia 14 lipca oblężenie, kierując atak w stronę zamku cesarkiego, którą uważali za najsłabszą. Naczelne dowództwo objął tu sam wielki wezyr Kara Mustafa, do robienia podkopów użył jeńców chrześcijańskich i prowadził dzieło zniszczenia z taką energją, że już 15 lipca ustawiono baterje z 30 dział i rozpoczęto bombardowanie. Po trzech tygodniach znajdowało się miasto w stanie rozpaczliwym.

Na wiadomość o tak groźnym niebezpieczeństwie, nie zwlekał król już dłużej z odsieczą, i nie czekając na wojsko litewskie i Kozaków, zebrał armję koronną pod Krakowem, sam podążył do Częstochowy, a pomodliwszy się przed cudownym obrazem N. P. Marji, wyruszył dnia 15 sierpnia przez Śląsk ku Dunajowi. Nieprzyjaciel, czy, że zanadto ufał swojej potędze, czy też, że nie spodziewał się tak rychłej odsieczy, nie przedsięwziął nic takiego, coby mogło utrudnić połączenie i dalszy pochód wojsk sprzymierzonych

pod Wiedeń. Bez przeszkody spotkały się obie armje, cesarska i polska, w równinie tulneńskiej i przeprawiły się na drugą stronę Dunaju. Dowództwo naczelne nad całym wojskiem objął, stosownie do postanowień traktatu, król polski i uspokoiwszy zręcznie spory o pierwszeństwo między niemieckiemi elektorami i książętami, a Karolem Lotaryńskim, zwołał radę wojenną, na której postanowiono przez góry Lasu Wiedeńskiego przeprowadzić armje na Kahlenberg i stamtąd uderzyć na nieprzyjaciela. Po bardzo uciążliwym trzydniowym marszu stanęły nareszcie wojska sprzymierzone 11 września na szczytach Kahlenbergu, skąd otwierał się wspaniały widok na oblężone miasto i olbrzymi obóz turecki. Kilka strzałów armatnich zwiastowało przygnębionym Wiedeńczykom przybycie upragnionej odsieczy, a rakiety wypuszczone z wieży św. Szczepana dały znać sprzymierzonym, że oblężeni zrozumieli umówione sygnały.

Wielki dzień 12 września 1683 roku rozpoczęło wojsko uroczystym nabożeństwem. W kaplicy św. Leopolda wysłuchał Jan III mszy św., którą odprawił kapucyn ksiądz Marek d'Aviano; pasował średniowiecznym obyczajem, na pamiątkę największego dnia w swoim życiu, królewicza Jakóba rycerzem, i dosiadszy konia, pośpieszył na pole bitwy, skąd oddawna dochodził grzmot armatnich strzałów i gęsta strzelanina z broni ręcznej. Siły wojsk sprzymierzonych wynosiły 76000 ludzi, pomiędzy temi 26000 Polaków.

Kara Mustafa wyprowadził w pole co najmniej 107000, podczas gdy reszta zajęta była szturmowaniem Wiednia. Oprócz liczebnej przewagi pomagało Turkom bardzo wiele dogodne położenie, pola pełne winnic i pagórków, utrudniające w wysokim stopniu pochód wojsk sprzymierzonych, szczególnie wojska polskiego, złożonego przeważnie z jazdy.

Około godziny ósmej zrana zeszły wreszcie chorągwie polskie z Kahlenbergu i zajęły prawe skrzydło; w środku stanęły posiłkowe wojska saskie i bawarskie, na lewym

Husarz polski.

skrzydle przy Dunaju ks. Lotaryński z armją cesarską. Wkrótce zawrzała bitwa na całej linji i toczyła się z niepewnym skutkiem aż do godziny pierwszej. Dopiero wtedy

bowiem wydostały się z winnic i leśnych wąwozów chorągwie polskie na równinę i w blaskach wrześniowego słońca zajaśniały nagle jak zorza wspaniała barwne proporce i stalowe pancerze, zaszumiały skrzydła husarzy i zagrała artylerja pod okiem Marcina Kątskiego. Na ten widok upragniony zagrzmiały w niemieckich szeregach radosne okrzyki, ks. Karol Lotaryński dał znak do dalszej walki; nieprzyjaciel zdumiony przestraszył się i zachwiał. Kara Mustafa kazał więc rozwinąć chorągiew proroka, rzucił na lewe swoje skrzydło największe i najlepsze siły i uderzył z rozpaczą na pędzące zastępy polskie. Ale tłumy muzułmańskie nie wytrzymały natarcia, którym kierował osobiście król, w najtęższym stojąc ogniu. Po krótkim boju pierzchły roty jańczarów i pułki spahów, a widok uciekających wywołał trwogę w środku bojowej linji i na prawym skrzydle tureckim; także wojska niemieckie, nie mając już z kim walczyć, biegły na pomoc Polakom.

Nazajutrz wjechał król do uwolnionego Wiednia i był witany wśród okrzyków radości i uwielbienia przez wszystkich mieszkańców..

List króla Jana III do żony

pisany z obozu pod Wiedniem.

W namiotach wezyrskich, 13 Septembra w nocy, Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko!

Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Wielbłądy, muły, bydła, owce, które to nieprzyjaciel miał po bokach, dopiero

dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą; drudzy zaś, osobliwie renegaci, na dobrych koniach i pięknie ubrani, od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospólstwem tu w mieście i u nas w obozie była trwoga, rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno że nieprzyjaciel nazad się wróci. Prochów samych i amunicji porzucił więcej, niżeli na miljon. Widziałem tu nocy przeszłej rzecz tę, którąm sobie zawsze widzieć pragnął. Kanalja [1]) nasza w kilku miejscach zapaliła te prochy, które cale sądny dzień reprezentowały, bez szkody cale ludzkiej: pokazały na niebie, jako się obłoki rodzą. Ale to nieszczęście wielkie, bo pewnie na miljon w nich uczyniło szkody.

Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego succesorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się dostały splendory, a to tym trafunkiem, że będąc w obozie w samym przedzie i tuż za Wezyrem postępując, przedał się [2]) jeden pokojowy i pokazał namioty jego tak obszerne, jako Warszawa, albo Lwów w murach. Mam wszystkie jego znaki wezyrskie, które nad nim noszą: chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziśże jeszcze posłałem do Rzymu ojcu św. przez Talentego pocztą. Namioty, wozy wszystkie dostały mi się i tysiące innych rzeczy bardzo pięknych i bardzo kosztownych, ale to bardzo kosztownych, lubo się jeszcze siła rzeczy nie widziało. Niema porównania ze zdobyczą chocimską. Kilka samych sajdaków rubinami i szafirami sadzonych, stoją się kilku tysięcy czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie więc tak, moja duszo, jako tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, żeś „ty nie

---

[1]) Pospólstwo.
[2]) Dał się przekupić.

junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił", bo ten, co zdobywa, w przedzie być musi. Mam i konia wezyrskiego ze wszystkim siedzeniem, i samego mocno dojeżdżano, ale się przecie salwował. Kihaję jego, t. j. pierwszego człowieka po nim zabiło i paszów niemało. Złotych szabel po wojsku pełno i innych wojennych rynsztunków. Noc nam ostatka przeszkodziła, i to, że uchodząc, okrutnie się bronią. Janczarów odbiegli w aproszach, których w nocy wyścinano: bo to była taka hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta; jakoż mieli czym co począć.

Ja ich rachuję prócz Tatarów, na trzykroć sto tysięcy: drudzy tu rachują namiotów samych na trzykroć sto tysięcy i biorą proporcją trzech do jednego namiotu, coby to wynosiło niesłychaną liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilka obozów. Dwie noce i dzień rozbierają je, kto chce już, i z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą. Ludzi niewinnych, tutecznych austryjaków, osobliwie białychgłów i ludzi siła [1]) porzucili [2]), ale zabijali, kogo tylko mogli. Siła barzo zabitych leży białychgłów, ali i siła rannych, które żyć mogą. Wczoraj widziałem dzieciątko jedne we trzech leciech, chłopczyka najmilejszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę. Ale to trefna [3]), że Wezyr wziął tu był gdzieś w którymści cesarskim pałacu strusa żywego dziwnie ślicznego; tedy i tego, aby się nam żywcem nie dostał, kazał ściąć. Co zaś za delicje miał przy swych namiotach, wypisać nie podobna. Miał łaźnię, miał ogródek i fontanny, króliki, koty, i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojmać.

---

[1]) Rozumie się: wziętych w niewolę:

[2]) Rozumie się: Turcy.

[3]) Dziwaczne.

Dziś byłem w mieście, któreby już było nie mogło się trzymać nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co tam miny [1]) porobiły. Z beluardów[2]) podmurowanych okrutnie wielkich i wysokich, porobiły skały straszliwe i tak je zrujnowały, że więcej trzymać się nie mogły. Pałac cesarski w niwecz od kul zepsowany.

Wojska wszystkie, które dobrze barzo swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu, a nam [3]) tę wygraną potrzebę [4]). Kiedy już nieprzyjaciel uchodzić począł i dał się przełamać, (bo mnie się przyszło z Wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło sprowadził, tak, że już nasz środek albo korpus, jako i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia i dlatego wszystkie swoje niemieckie posiłki do mnie obracały) — przybiegały do mnie książęta, jako to elektor Bawarski, Waldek, ściskając mię za szyję, a całując w gębę, gienerałowie zaś w ręce, nogi: cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerji i infanterji, wołały: „Ach unser brave König!" Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero dziś rano, książę Lotaryński, Saski, bo mi się z niemi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do pana marszałka nadwornego przydałem był kilka usarskich chorągwi; cóż komendant Staremberg tuteczny! Wszystko to całowało, swym *salvatorem* zwało. Byłem potym we dwuch kościołach. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce i nogi, suknie, drudzy się tylko dotykali, wołając: „Ach! niech tę rękę tak waleczną całujemy!" Naszych nie mało zginęło w tej potrzebie: osobliwie tych dwuch żal się Boże, o których już tam opowiedział du Pont. Z wojsk cudzoziemskich książę de Croi zabity, brat postrze-

---

[1]) podkopy, [2]) z baszt.
[3]) t. j. Polakom.
[4]) bitwę.

lony i kilku innych znacznych zabitych. Padre d'Aviano, który mię się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą nad wojskami się naszemi przelatującą.

My dziś za nieprzyjacielem się ruszamy w Węgry. Elektorowie mię odstąpić nie chcą. To takie nad nami błogosławieństwo Boże; za co mu niech będzie na wieki cześć, sława i chwała! Kiedy już postrzegł Wezyr, że wytrzymać nie może, zawoławszy synów do siebie, płakał jako dziecię. Potym rzekł do Hana: „Ty mię ratuj, jeśli możesz". Odpowiedział mu Han: „My znamy Króla; nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy się salwować mogli". Teraz dopiero znaleziono okrutną jeszcze moc wozów z prochami i ołowiem. Ja nie wiem, czym oni już będą strzelali. W ten moment dają nam znać, że ostatnie kilkanaście działek małych letkich porzucił nieprzyjaciel. Już wtedy[1]) wsiadamy na koń ku węgierskiej stronie prosto za nieprzyjacielem; i jakom dawno wspomniał, że się da Pan Bóg, w Stryju aż z sobą przywitamy, gdzie P. Wyszyński niech każe nam kończyć kominy i stare poprawiać budynki.

List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy, że to list króla do królowej. Książęta Saski i Bawarski dali mi słowo i na kraj świata iść ze mną. Fanfanik [2]) dzielny w najwyższym stopniu, na piędź mię jeszcze nie odstąpił. Ma się wybornie w takich fatygach, jakie większe być nie mogą i robi się przystojnym. Z księciem Bawarskim, który lezie wszędzie do nas i wczora przyjechał do nas od komendanta, dowiedziawszy się o mnie, (jest) [3]) jako brat z bratem. Zdobyczy mu swoje Fanfanik rozdaje ostatnie. Książę de Hesse von Cassel, którego tylko nie dostawało, przybył tu do nas. To wojsko przypo-

---

[1]) Więc.
[2]) Królewicz Jakób.
[3]) Rozumie się: królewicz Jakób.

mina bardzo zastępy, które Godfryd prowadził do Ziemi Świętej.

Jużże tedy kończyć muszę, całując i ściskając ze wszystkiego serca najśliczniejszą moją Marysieńkę. Niech się wszyscy cieszą a Panu Bogu dziękują, że pogaństwu nie pozwolił pytać się: „A gdzie wasz Bóg?" Dzieci całuję. Minjonek[1]) ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew Wezyra złamała i sławę największą u wszystkiego utrzymała wojska. Do Litwy piszę, t. j. do dwuch hetmanów, aby już nie tu, ale prosto szli do Węgier; Kozacy zdrajcy niechaj za mną idą. Te listy do hetmanów litewskich odsyłać jak najpilniej. Którędy będą mieli iść, Litwa oznajmi się drugą okazją.

Szlachta w okresie wolnych elekcji

przez Augusta Sokołowskiego

Główną cechą szlachty polskiej było od niepamiętnych czasów wygórowane o sobie mniemanie. Zasłaniając kraj własnemi piersiami przed nawałą barbarzyństwa wschodniego, urósł szlachcic polski rzeczywiście na średniowiecznego rycerza w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Był w nim animusz rycerski, połączony z łagodnością charakteru, była głęboka religijność, daleka jednak od fanatyzmu, była niepomiarkowana niczym miłość swobody, głęboko zakorzenione poczucie sprawiedliwości i słuszności, był nareszcie cały szereg cnót domowych. Cóż dziwnego więc, że ten szlachcic, wychowany wśród domowego zacisza, sposobiony głównie do rycerskiego zawodu, nasłuchawszy się od kolebki opowiadań o znakomitych czynach swych przodków i o wznio-

---

[1]) Królewicz Konstanty.

słym powołaniu swojego stanu, czuł się wyższym nad gmin pospolity? Dla charakterów szlachetnych było to przeświadczenie podnietą do czynów wzniosłych, umysł gruby i pospolity rósł, przeciwnie, w pychę i z lekceważeniem spoglądał na „plebejów", siebie samego zaś uważał za główny filar Rzeczypospolitej i stawił interes własny na równi z dobrem publicznym. Wyobrażano sobie, że król i rząd wogóle jest na to postanowiony, aby szlachcica własnym kosztem bronił, fortunę jego pomnażał rozdawaniem starostw, i wypełniał ściśle instrukcje, które województwa na sejmikach uchwalały.

Władza królewska, znacznie osłabiona i ograniczona uchwałami sejmów i postanowieniami przywilejów późniejszych, była prawie bezsilną. To też „Polak — woła Orzechowski, wybitny przedstawiciel swego czasu — zawsze wesołym w królestwie swym jest, śpiewa, tańcuje swobodnie, nie mając na sobie niewolnego obowiązku żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierzchniemu, innego winien, jedno to: tytuł na pozwie, dwa grosze z łanu, a pospolitą wojnę, czwartego nie ma Polak nic, coby jemu w królestwie myśl dobrą kaziło." Z jawnym lekceważeniem władzy szedł w parze upadek moralny społeczeństwa, szlachetna ambicja zamieniała się w pychę, chciwość i zbytek rozsiadały się w sercach ludzkich wygodnie, rugując stamtąd staropolskie cnoty i Rzeczpospolita, pomimo pozornej świetności, pomimo blasku zwycięstw odniesionych nad Moskwą, Szwedami, Wołochami i Turkami wątlała na siłach, cnoty rycerskie znikały widocznie, a natomiast występowały coraz wyraźniej wady charakteru ludzkiego, objawiał się popęd do używania dostatków, nagromadzonych pracowitą dłonią praojców, wracała dzikość obyczajów, a z nią ucisk ludu i pogarda dla plebejów. Szlachcic, łagodny z natury, stawał się zawadjaką i mężobójcą. Przesiadując po sześć lub siedem godzin przy biesiadnym stole, gdzie gęsto krążyły kielichy, lśniącym napełnione węgrzynem, ulegał wrodzonej popę-

dliwości charakteru i wśród gorącej dysputy rwał się natychmiast do szabli. Nawet umiarkowańsi w zdaniu i chłodniejsi w rozprawach nie mogli uniknąć kłótni i pojedynków. Słyszymy też w istocie bardzo często o zajazdach, zabójstwach i ciężkich zranieniach, a wszystko to uchodzi jakoś bezkarnie i nie wywołuje zgorszenia. Źródłem złego jest wadliwe ustawodawstwo; zabicie lub ciężkie zranienie człowieka pociąga za sobą, podług statutu, nie karę śmierci, lecz tylko grzywnę, lub co najwięcej więzienie.

W parze z tą gwałtownością charakteru, cechującą pokolenie ówczesne, szedł zbytek i zamiłowanie nadzwyczajne w przepychu. Narzekają na to wszyscy pisarze poważniejsi, od Reja począwszy; narzeka przed Rejem stary Długosz. Obca moda i cudzoziemskie obyczaje stały się przyczyną niebywałych zbytków i marnotrawstwa. Złe musiało się szerzyć gwałtownie we wszystkich warstwach społeczeństwa, kiedy Zamoyski w testamencie wzywał naród do upamiętania, a na kilka miesięcy przed jego śmiercią radzono długo na sejmie o ustanowieniu prawa przeciw zbytkom.

Uczciwsi i rozumniejsi ubolewali po cichu nad tym, co się działo, a głos piorunujący królewskiego kaznodziei nawoływał do poprawy, grożąc, że Bóg „przeklęctwo puści na to królestwo, w którym pożarte od nieprzyjaciół będzie.”

Czasy saskie i rozkład stosunków w Polsce

I

przez Henryka Schmitta.

Sześćdziesiąt sześć lat panowania obu Sasów przywiodły Polskę do najgorszego stanu i to pod każdym względem. Mimo różnicy, jaką spostrzegamy w usposobieniach i cha-

rakterze, obaj królowie z domu saskiego z największą szkodą narodu sprawowali swą władzę.

Pierwszy z nich Fryderyk August II zmienił wyznanie religijne, aby uzyskać tytuł króla polskiego, a następnie chciał z pomocą obcą, a nawet ze szkodą i uszczupleniem terytorjalnym Rzeczypospolitej utworzyć rządy samowładczo dziedziczne, czego nie osiągnął a naraził kraj na nieprzeliczone niedole wojny domowej i na najstraszniejsze zniszczenie, a co gorsza, utorował carowi Piotrowi I drogę do ustalenia wpływu swego na wszystkie sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej. Dwadzieścia lat wojny, której, począwszy od roku 1704, towarzyszyły wszystkie okropności wojny domowej, spowodowały takie zubożenie mieszkańców i takie zniszczenie wszystkich prawie prowincji Rzeczypospolitej, że długie lata pokoju nie zdołały zatrzeć śladu szkód poniesionych lub w części przynajmniej dawną krajowi przywrócić zamożność. Gdyby po ustaniu tej wojny król był zwrócił wszelkie usiłowania swoje ku dobru i pomyślności ojczyzny, byłoby można w krótkim czasie pogoić i zabliźnić wszystkie rany, a po przywróceniu ufności między nim a narodem, rozpocząć tak konieczną pracę około ulepszenia urządzeń publicznych. Lecz Fryderyk August nie myślał o czymś podobnym. Będąc królem, nie kochał kraju, któremu panował i nie dbał o jego dobro, podtrzymywał tym samym nieufność i rozjątrzenie przeciw sobie, co znów stawało się głównym powodem spełzania sejmów jednego po drugim.

Król, jeżeli nie był zajęty matactwami dyplomatycznemi, wyprawiał świetne uczty, polowania i manewry wojskowe, otaczał się faworytami, trwonił dorywcze skarby Saksonji i Polski, a dostojeństwa i królewszczyzny dawał albo zausznikom i dworakom, albo takim, po których się spodziewał popierania swych planów. Wszystko zatym musiało upadać, zwłaszcza, gdy prywaty możnych uniemożebniały rozpoczęcie każdej roboty, dążącej do ulepszenia czegokolwiek

w Rzeczypospolitej. Pojedyńczy, chwytając bogate starostwa, gromadzili ogromne dostatki, utrzymywali dwory liczne i świetne, tonęli w zbytkach i przepychu—a kraj ubożał coraz bardziej, przemysł leżał odłogiem, miasta chyliły się do zupełnego upadku i rolnictwo nawet nie mogło się podnieść, z braku dróg dobrych i spławów.

Nic też dziwnego, że z upadkiem oświaty ogół ziemian stracił swój dawny zmysł polityczny, a tym samym nie rozumiał potrzeb Rzeczypospolitej. Z tego wszystkiego wywiązała się owa klijentela szlachecka, otaczająca możnych, którzy z jej pomocą trzęśli sejmikami. Ogół ziemian poszedł tym sposobem w ich służbę, a z wyjątkiem niewielu, mogących utrzymać swą niezależność, pełzał przed niemi niewolniczo. Straciwszy poczucie swej godności i równości obywatelskiej, gardłował wprawdzie o swej wolności złotej, lecz zawisły od panów, spełniał ich, a nie własną wolę na sejmikach i wszelkich zjazdach, gdzie też główną dla każdego klijenta sprawą było utrzymanie przewagi swego pana, bez wszelkiego względu na dobro publiczne.

Największym złem, a oraz główną przyczyną naszego upadku był brak licznego, zamożnego i patryjotycznego mieszczaństwa. Niszczące wojny, swawola i bezkarne gwałty możnych, zatamowanie handlu, tłumny do nich nacisk Żydów i inne mnogie przyczyny przywiodły miasta do zupełnego upadku. Straciły one swą zamożność i swe znaczenie, a nawet liczba ich mieszkańców ogromnie zeszczuplała.

II

przez E. Lubowskiego.

Świetny był dwór króla Augusta Mocnego w Europie. Wszystko, co tylko błyszczało urodą, majątkiem, świetnością rodu albo zasług, co tylko było piękne, dowcipne albo znakomite, wszystko to grupowało się na tym dworze, podzie-

lonym na dwa wielkie miasta—Warszawę i Drezno. Nigdzie, w całej Europie, nie bawiono się tak wesoło, nie pokazywano się z taką okazałością i zbytkiem. Król August na swoim dworze dawał ton wszystkiemu i znaczenie. Nie państwo, ale dwór miał wiek złoty za panowania Augusta II. Co Ludwik XIV uczynił w tym kierunku dla Francji, to uczynił August dla Niemiec całych. Tak wesołego, świetnego i ruchliwego dworu, jak saski, nie miały dotąd Niemcy. Tłumy cudzoziemców, Polaków przeważnie, krzątały się u dworu; ks. Sułkowski, późniejszy wszechpotężny minister Augusta III, jedno z pierwszych miejsc tam zajmował. Wspaniałe festyny, które wydawał August, zwłaszcza podczas karnawału, ściągały szlachtę z sąsiednich krajów. Zjawiali się też często królowie i książęta.

Pomimo wielu marszałków dworu, głównym organizatorem festynów dworskich był sam król, który miał prawdziwą uciechę w układaniu planów zabawy. Był też istotnie niezmiernie miłym gospodarzem, dbającym o przyjemność swoich gości. Miedzioryty, uwieczniające te festyny, a przez niego wydane, doczekały się europejskiej sławy. Przepyszne były polowania, reduty i maskarady. Na dworze tańczono po większej części same polskie tańce. Francuska też komedja, balet i opera włoska, cieszyły się równocześnie wielką sławą. Na wszystkie te widowiska miały wejście bezpłatne wszystkie osoby przyzwoicie ubrane. Roztaczano najwyższy blask przy wszelkich nadzwyczajnych okazjach.

Nieraz król August zjeżdżał z Drezna do Warszawy i długo przebywał w Polsce. Wtenczas stara stolica weselszą postać przyjmowała. Zjeżdżali się wtedy na Mazowsze biskupi, wojewodowie, kasztelanowie, ziemscy urzędnicy, a wreszcie i ks. prymas arcybiskup gnieźnieński. Król często pokazywał się publicznie i dawał posłuchanie, a czasami prywatnie naradzał się z ulubieńcami swojemi. Więcej jeszcze życia błyszczało w Warszawie, kiedy nadchodził czas

sejmu. Dwór i sejm razem, to na czas jakiś podwajało ludność stolicy. Magnaci Rzeczypospolitej ze stron oddalonych: z Ukrainy, z Rusi, z Prus, Litwy i Żmudzi, z nad granicy węgierskiej, posłowie, panowie, przybywali, a każdy dworno i szumno. Ten przyjechał radzić, tamten pohałasować, odezwać się kilka razy z *liberum veto*, inny znowu prosić o urząd, o łaskę albo starostwo. Szli wszyscy na zamek, a król witał uprzejmie, rozmawiał z każdym, a co najlepsza, natychmiast rozdawał wakanse, gdy się o nich dowiedział. Mimo to nieraz od tronu odchodzili zagniewani, rozdąsani panowie. Nie słynął August z przymiotu, że słowa święcie dochować umie, obiecywał innym, a wynosił innych. Nieraz ulubieńcy królewscy, bez zasług dla kraju, rośli prędko w zaszczyty, bogactwa i honory, a zasłużeni wojownicy, zwodzili się nadzieją, obietnicami i posiwieli z oczekiwania.

Składał król pod koniec swego panowania częste sejmy, ale rwała je zawsze intryga i barbarzyństwo ciemnej, sfanatyzowanej szlachty. Wkońcu już nawet musieli się radni panowie przyzwyczaić do takiego załatwiania rozpraw, bo prawie przysiąc można było, że każdy sejm zerwany będzie. Lada pozór, lada uchybienie formy, a prace prawodawcze sejmu, nim się rozpoczęły jeszcze, szły w niwecz. Król więc, wydając uniwersały na obrady, bawił się i bawił Polskę. Zjeżdżali się senatorowie, posłowie, pogwarzyli trochę, pospierali się o dziecińśtwa i rozjechali się nareszcie. Każdy sejm był taki; Warszawa albo Grodno w pewnych chwilach nabierały życia na dni kilka i znowu zasypiały na długo.

Głębokie uśpienie, w jakim zostawała Rzeczpospolita pod rządem Sasów, przerywanym było jedynie ucztowemi wiwaty, biesiadnemi okrzyki lub szczękiem oręża wojsk cudzoziemskich, które wzdłuż i wszerz przeciągały przez jej obszary, niszcząc jej niwy. Gwar uczt wesołych, mów inauguracyjnych, okrzyków, zbytkownie podejmowanych przyjaciół,

stronników, klijentów zagłuszał wszelką świadomość rzeczywistej niedoli. Tamtoczesna Rzeczpospolita patrząc na to, widzieć w tym zła nie zdawała się. Strzelano rzęsiście z moździerzy na całej przestrzeni kraju z powodu zaślubin znanego rodu wojewodzianki, lub wjazdu do starościńskiego grodu nowomianowanego starosty. Na opędzenie się zaś od łupieżczych gromad hajdamaków, od czambułu Tatarzyna, od zniewag i nieustannego lekceważenia przez ościenne mocarstwa, nie było ani jednego działa, ani garści prochu, ani jednej dłoni do rusznicy lub lontu.

Ówczesny „Kurjer polski", nieprzebrany daje nam materjał do odtworzenia owych chwil życia hałaśliwego, lecz zarazem, poza temi pozorami pomyślności, życia bez treści, a rzeczywistej niedoli i łez wielu miljonów wieśniaczej rzeszy. Nędza w one dni saskie poza miedzą obejść szlacheckich była dokoła; nędza spotyka się i w kmiecych lepiankach i w dworach średniej szlachty; braki moralne i materjalne przeświecały z poza błyszczących pozorów; ogół jednak brzmiał okrzykami bezmyślnego wesela, jakby doba największej pomyślności roztaczała się przed narodem.

Rządy rosyjskie w Polsce

przez J. I. Kraszewskiego.

Przyszłe losy Polski rozstrzygały się już w chwili, gdy potęga Rosji wzmagać się zaczęła. Natura i charakter obu państw czyniły je przeciwnikami; musiały się albo zlać i połączyć, lub walczyć z sobą i łamać. Nigdy przeciwniejsze żywioły nie stanęły obok siebie. Przeszłość stworzyła z Rosji całość — w Polsce wyrobiła ona Rzeczpospolitą, w której miljon pojedyńczych głosów rozstrzelał się swawolnie w imię indywidualnej swobody. Z jednej strony stało państwo w je-

den snop ujęte, z drugiej, kraj, który mógł bezkarnie utrzymać się tylko na wyspie wśród oceanu.

Rosji skupienie władzy dawało siłę; Polsce „królewięta” ją odbierały. W walce z sobą ci mnodzy władcy Polski szukali sprzymierzeńców nawet poza granicami własnej ojczyzny, nawet u jej nieprzyjaciół. Za Sasów wprowadzeni do Polski Rosjanie nauczali się oceniać jej słabość i bezbronność. Wstąpienie na tron Katarzyny było hasłem do rozpoczęcia podboju, lecz podboju, w którym oręż grał najmniejszą rolę. Innemi środkami mogła ona opanować Polskę, mnożąc w niej rozterki.

Z drugiej strony na czatach stały chciwe rozszerzenia się łatwym kosztem Prusy, polską powolnością wyrosłe, a spanoszeniem się nagłym i szczęśliwym do olbrzymich uzuchwalone nadziei. Fryderyk II czyhał na przyległe państwu swemu prowincje Rzeczypospolitej, na dawne posiadłości Zakonu, a nie mogąc myśleć o zagarnięciu całej Rzeczypospolitej, pierwszy rzucił myśl jej podziału.

Stan wewnętrzny Polski i jej społeczeństwa posługiwał wielce widokom Rosji i nadziejom pruskim. Szlachta, która wrzekomo rządziła Rzecząpospolitą, nie była oddawna w stanie zadaniu temu podołać. Skrzywione jej wychowanie, wypaczone tradycje z innych wieków, zacofanie, czyniło ją bezsilną. Rycerstwo, wyborne przeciwko tłuszczy tatarskiej, nie mogło się już mierzyć z nowemi wojskami europejskiemi; Rzeczpospolita, silna niegdyś wśród mniej spójnych, a organizujących się państw sąsiednich, słabą się stała wśród wyrosłych i zmężniałych. Nadewszystko zaś polityka szlachetności i dobrej wiary, jaką się w sprawach publicznych zawsze rządziła Polska, nie starczyła przeciwko machjawelstwu gabinetów. Rzeczpospolita, z imienia szlachecka, spoczywała na ręku kilku rodzin możnych, które się z sobą o przewagę i znaczenie waśniły — na nie też odpowiedzialność za nieszczęścia nasze w większej części spada.

Dawny patryjotyzm ofiarny Zamoyskich, Chodkiewiczów, Koniecpolskich, co życie swe i mienie dla ojczyzny święcili, ustąpił miejsca dumie i samolubstwu pyszałków, pragnących znaczenia, choćby poniżeniem własnego kraju okupionego.

Czartoryscy, widząc niebezpieczeństwo Rzeczypospolitej pod panowaniem Sasów, chcąc wyrwać z ich rąk Polskę i przeprowadzić potrzebne reformy, pierwsi skojarzyli się z Rosją dla gospodarowania z jej pomocą w Rzeczypospolitej. Szło to Rosji na rękę, bo wezwana, uproszona, miała legalny pozór rozsiadania się w Rzeczypospolitej. Od tej chwili Rosja z każdym rokiem pozyskiwała sobie większą siłę, mnożyła zwolenników, organizowała się coraz potężniej i weszła na drogę, która ją wiodła do celu.

Początki panowania Stanisława Augusta, wybranego za pośrednictwem Rosji, zwiastowały lepsze nadzieje. Król miał jak najlepsze chęci, ideje i zaczątki zbawiennych reform rodziły się obficie, zastałą Rzeczpospolitę miano cywilizować i z gruzów ją podźwignąć, zapowiadano reorganizację wojska, akademji, skarbowości, sądownictwa — epokę rozkwitu piśmiennictwu i sztukom. Król młody, miły, pragnący i umiejący się podobać, łagodny, uczony — zdawał się ideałem panującego. Ale „nie był to sternik dla okrętu wśród burzy".

Pierwszych lat parę spłynęło w najpiękniejszych nadziejach. Czartoryscy też, którzy dotąd rej wiedli w kraju, poczęli nieoględnie upominać się zawczasu o prawa niepodległego sprzymierzeńca, nie zaś posłusznego hołdownika, jakim Polskę chciała uczynić Katarzyna. W całym ich działaniu i Stanisława Augusta czuć było pragnienie wyswobodzenia się z pod wpływu Rosji, lub oparcia się na opiece innej, by nie zostać na jej łasce. Katarzyna dowiedziała się o tajemnych króla staraniach u dworów i widziała w nich chęć zapewnienia sobie władzy większej i zmiany tronu na dziedziczny. Obrażona jej duma i obudzona nieufność zwróciły się przeciwko świeżo wyniesionemu królowi.

Rozgłoszono, iż król swobody Rzeczypospolitej chce ukrócić. Wojska rosyjskie, o których ustąpienie z kraju upominać się zaczęto, znalazły dobry powód zatrzymania się w granicy Rzeczypospolitej, gospodarując w niej coraz bezwzględniej.

Kazimierz Pułaski

przez S. Kozłowskiego.

Zbliżał się dzień, w którym bohaterską śmiercią zamknąć miał Kazimierz Pułaski tak bogaty w niepospolite czyny swój żywot. Marsz do Savannach był niesłychanie utrudzający, głównie skutkiem nadzwyczajnych upałów, panujących w tym czasie. Pomimo tego, że w wojsku łatwo było spostrzec wielkie przygnębienie, wywołane różnemi znojami i brakami, Pułaski, wypróbowany w twardej szkole życia i przywykły do ciężkiej żołnierskiej doli, wyróżniał się od ogółu towarzyszy wybornym humorem i nadzwyczajną pogodą umysłu. Nie przewidując rychłego kresu życia, układał rozmaite plany, spoglądając ze spokojem w pogodną, jak sądził, przyszłość.

Oblężenie twierdzy, bronionej przez Anglików przeciw wojskom powstańczym, rozpoczęło się w końcu września. Straszliwa kanonada robiła wrażenie, jakby niebo wyrzucało tysiące piorunów, a ziemia pękała w głębokościach swoich. Dziewiątego października Pułaski podjął czyn, który swą śmiałością, niesłychanym hazardem i pogardą wszelkich niebezpieczeństw wzbudził ogólne zdumienie. Pomiędzy okopami była w pewnym miejscu luka, tamtędy można się było dostać do miasta, ale wobec ciągłego ognia licznych kolumn nieprzyjacielskich, rażących gęstemi strzałami ze wszystkich stron, groziło to niechybną śmiercią. Gdyby jednak udało

się choćby szczupłemu oddziałowi wedrzeć do środka miasta, to zwycięstwo było pewnym. Pułaski powziął ten plan, a gdy go przedstawił komenderującemu jenerałowi Lincolnowi, ten zdumiał się wprawdzie pełną zuchwałości odwagą, ale znając Pułaskiego, jako wojownika, dla którego niemożliwość nie istnieje, zgodził się na jego pomysł. W tej chwili wybiera wódz polski z pośród jazdy powstańczej 200 co najtęższych zuchów i przyzwawszy Boga na pomoc, rusza na ich czele galopem ku miastu. Na całej linji powstańczej zaparto dech w piersiach, wyczekując wyniku tego nadludzkiego przedsięwzięcia. Tętent kopyt końskich, niezmierna, podniecona niemi kurzawa, rozświetlana tylko kiedy niekiedy ognistemi smugami, dobywającemi się z paszczy dział, oto wrażenia, których doznawali owi liczni widzowie. Przez pierwsze dwie minuty szło wszystko bardzo dobrze; dopiero, gdy oddział dostał się pomiędzy dwie baterje, sztraszliwy ogień krzyżowy, pisze pamiętnikarz ówczesny, „zmieszał hufiec, jak puszczona woda z wysoka, gdy na zamkniętą śluzę natrafi.”

W tej chwili ów wojownik przesławny, ów niezapomniany obrońca Berdyczowa i Częstochowy, Kazimierz Pułaski, padł bohaterską śmiercią.

Śmierć Pułaskiego w ten sposób opisuje świadek naoczny Maciej Rogowski: „Patrzę, o chwilo bolesna i niezapomniana nigdy! Pułaski leży na ziemi. Poskoczę co żywo i zsiadam z konia, myśląc, że nieszkodliwie ranny — aż tu wielkie nieszczęście! Kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi krew bucha także, snać od innego strzału. Gdym przyklęknął i zaczął go podnosić, wymawiał umierającym głosem: „Jezus, Marja, Józef”. Więcej nic nie słyszałem ani widziałem, bo w tym samym momencie, karabinowa kula zliznęła mi się po czaszce, krew mi oczy zalała i omdlałem zupełnie. Poczciwi żołnierze nasi, rejterując ku swoim, zachęceni przez Jerzmanowskiego, unieśli mimo rzęsistego ognia

Pułaskiego, mnie i innych rannych. Pod wieczór, gdy, opatrzony przez felczera, przyszedłem do przytomności, Jerzma-

Kazimierz Pułaski

nowski powiedział mi, że pan Kazimierz żył jeszcze blizko godzinę, ale gadał słowa tylko przerywane, jak chory w ma-

lignie. Dał także znak, aby mu podano krucyfiks z ukrzyżowanym Chrystusem, który do ust z nabożeństwem przycisnąwszy, ducha wyzionął. Tak zginął w on dzień feralny dziewiątego października 1779 roku, lat mając 36 niespełna, po Stefanie Czarnieckim największy bohater polski. Aby godnie pamięć jego uczcić i wysławić, trzebaby na to Wirgiljuszowego pióra lub wymowy onego greckiego Plutarcha, a ja oto człowiek rycerski, sercem tylko duży, a nie rozumem, czyż podołam takiemu dziełu? Nie zamilczę jednak, powiem jak umiem. Pułaski gorąco kochał Pana Boga, ojczyznę swoją i rodaków swoich — odważny był do zuchwałości i choć miernego wzrostu, w ręce siłę miał niesłychaną—a na szable bił się, jak nikt. Prywaty nie było w nim zgoła, zapominający o sobie, a wylany dla innych, tak, że z każdym ostatnią koszulę byłby podzielił. Słowem, sentymenty miał rycerskie i nieocenione; był to prawdziwy szlachcic polski, co, jak to mówią, „prędki do zwady, ale użyteczny do rady; dobry do zabawy i do sprawy—do modlitwy i do bitwy.”

Charakterystyka ta jest prawdziwa, z wyjątkiem postawienia Pułaskiego na pierwszym miejscu po Czarnieckim. Pułaski był wprawdzie znakomitym wodzem, ale, jak nad Czarnieckiego, znamienitego partyzanta, miała Polska lepszych wodzów, tak też jest wielu i w czasach niepodległości i w dobie porozbiorowej, którzy talentami wojskowemi przewyższają Pułaskiego. Pułaski, nie będąc pierwszorzędnym wodzem, męstwem osobistym, patryjotyzmem bez granic, bezinteresownością niesłychaną dorósł miary najszczytniejszych postaci dziejów naszych i najpiękniejsze minionych czasów wskrzesił wzory.

Współuczestnik walki o niepodległość amerykańską, sławny Lafayette, chlubnie wyraża się w swych pamiętnikach o naszym ziomku „Pułaski—powiada — konfederat bar-

ski, cnotliwy i nieustraszony rycerz prawym Polakiem był wszędzie."

Od śmierci Pułaskiego zmieniło się wiele na świecie, powstali nowi bohaterowie, których odbłysk sławy został na kartach dziejów, mimo jednak zmian, cześć dla imienia Pułaskiego żyje w sercach Polaków i zachowała się nietykalną w Ameryce. Na Kapitolu amerykańskim w Waszyngtonie, wśród najzasłużeńszych mężów Stanów Zjednoczonych, znajduje się biust naszego rodaka, a w mieście Savannah, gdzie znalazł grób, widnieje na rynku piękny obelisk z granitu, poświęcony jego pamięci.

Wielkość tego człowieka płynie przedewszystkim stąd, że się nigdy nie skalał służbą w szeregach ciemięzców, że swój oręż i swoją krew oddawał na usługi sprawom czystym i uczciwym. W tym względzie ucieleśnił w sobie ideję, którą się kierowała Polska w czasach swej niepodległości, która nigdy nie wydzierała cudzej własności. To przyczyna, dla której historja nasza jest piękniejsza od przeszłości innych narodów. Są w dziejach naszych błędy, brak karności i porządku, których skutki dźwigamy dotąd, ale niema śladu tych aktów wiarołomstwa i rozbojów, z jakich się składają dzieje wielu potęg świata, posiadających wszystko, prócz piętna uczciwości na czole.

Pierwszy podział

przez Walerjana Kalinkę.

Żaden dotąd sejm Rzeczypospolitej nie liczył tylu ludzi niepewnego charakteru, widzących w swym mandacie poselskim jedynie środek do zrobienia fortuny, jak ten właśnie, który miał zatwierdzić głosami swojemi rozbiór kraju. Były to, w większej części, jak mówił biskup Krasiński, ostatnie

„wybiórki" społeczeństwa, gdyż na hasło dane przez biskupa krakowskiego Sołtyka, wszystkie lepsze żywioły usunęły się zupełnie od wybrania posłów. Znalazł się naczelnik godny tego grona.

Był nim Adam Łodzia Poniński, jeden z najohydniejszych ludzi, jakich wydał w Polsce wiek XVIII, ów wiek tak bogaty w wszelkiego rodzaju ohydę! Łaknący władzy i znaczenia, lecz płochy i lekkomyślny, czynny i ruchliwy, a bez żadnego poczucia prawa i moralności, niezmiernie chciwy na pieniądz, a przytym niezmiernie rozrzutny, Poniński zrozumiał, że mocarstwa obce potrzebować będą człowieka, któryby się podjął przeprowadzić na sejmie potwierdzenie ich zaborów i na tej wielkiej niedoli krajowej oparł on plan swojego szczęścia! Marszałkiem zamianował się sam, na kilka dni przed otwarciem Sejmu, spraszając do prywatnego domu senatorów i posłów, gdzie nadzieją zysku skłonił niektórych do podpisania aktu konfederacyjnego. Te podpisy utorowały mu drogę do uznania jego marszałkostwa przez sejm, pomimo bohaterskiego oporu Reytana i czterech jego zacnych kolegów; zaczym i na królu, który długo się bronił, wymuszono akces do konfederacji. Jako marszałek wszechwładnego w Rzeczypospolitej związku, Poniński zamierzał stanąć i stanął niebawem na czele władz i magistratur. Przez dwa lata swej potęgi nadzwyczajnej, trząsł on znaczeniem i fortuną obywateli, miał w swym ręku nieledwie majątek Rzeczypospolitej. Wszystkim frymarczył, wszystko puszczał na targ; w ciągu sejmu nietylko spłacił ogromne długi, ale pomimo swej bajecznej rozrzutności, zebrał przeszło trzy miljony gotówki, w kraju powszechnie zubożałym i gdzie pieniądz tak był rzadki. Szalbierz niesumienny, w nagrodę swych zbrodni został księciem, podskarbim wielkim koronnym, okryty orderami mocarstw sprzymierzonych. A jednak, — taka jest klątwa, która ciąży na nieprawym nabytku, że nim dwadzieścia lat upłynęło, z tych bogactw, z tych

świetności nie zostało nic: Poniński umarł jak żebrak, umarł na ulicy, odepchnięty od wszystkich, u progów drzwi swego sługi dawnego!...

Któż nie wie, jaki cios, a już ostateczny, powadze państwa polskiego w Europie zadał pierwszy podział! Bez wystrzału, bez straty jednego człowieka, przystać na zabór trzeciej części swych posiadłości, to musiało wzbudzić o narodzie polskim nizkie u całego świata mniemanie. Prawda, nie mieliśmy armji gotowej, a nawet pospolite ruszenie nie dostarczyłoby siły znaczniejszej w kraju tak spustoszonym. Ale choć bronić państwa nie było czym, można było jeszcze, i należało, stać przy swym prawie — choćby z bezbronnemi rękoma. Nie łatwo obliczyć, coby się wówczas stało, gdyby król odrzucił wszelkie o podział układy i odmówił swego uznania konfederacji, gdy ta jawnie zapowiadała, że się zawiązuje, aby dogodzić życzeniom państw zaborczych? Być może, że po użyciu wszelkiego rodzaju gwałtów i nacisku dla zmiękczenia stałości króla, po kontrybucjach, grabieżach, wojskowych egzekucjach, a może i po nowym wywiezieniu kilku zacniejszych senatorów i posłów, Poniński i jego spólnicy pomyśleliby o detronizacji Stanisława Augusta. Byłaby to jednak ostateczność dla wszystkich nader przykra, tworząca mnóstwo nowych trudności i zawikłań w Polsce, kompromitująca dwory wobec Europy. Zrzucony z tronu, Stanisław August zajaśniałby w Europie szerokim blaskiem; gdziekolwiekby zaniósł swe kroki, wszędzie krzywda jego byłaby głośnym przypomnieniem niesprawiedliwości, spełnionej na Polsce; widok króla, który za swą miłość ojczyzny został przez obcych z kraju wypędzony, zmieniłby w narodzie usposobienie i możeby wywołał dla niego entuzjazm, któryby na korzyść państwa mógł się dać obrócić. Opinja publiczna już wówczas budzić się zaczynała w Warszawie i po miastach większych i rzucała głośno nazwę „zdrajców" tym, którzy wspierali Ponińskiego; ze wszystkich

posłów podziałowego sejmu jeden tylko Reytan dokupił się nieśmiertelnej czci u narodu. I być może, że w imię całości Rzeczypospolitej jeszczeby szlachta, poświęceniem królewskim rozgrzana, zdobyła się na rozpaczliwe wysilenie. A choćby ta rozpacz nie przyniosła tryumfu i choćby tylko nowe strumienie krwi wylać się miały, nie mniej przecież to dźwignienie się byłoby już wielkim rezultatem. A jeszcze dodać trzeba przypuszczenie, że dla zyskania podpisu królewskiego przyznanoby pozostałemu państwu inne warunki bytu, niż te, co na sejmie podziałowym były mu narzucone, albo też, że przy obudzonej zazdrości mocarstw, podział kraju możeby wcale nie nastąpił.

Jakiekolwiek jednak zresztą mogły być następstwa takowej króla ofiary, to wszakże niewątpliwe, że aby zdobyć się na nią, aby wytrzymać groźby i upokorzenia, aby wśród takiej walki, prawdziwie męczeńskiej, nie zachwiać się, nie cofnąć, — na to trzeba było wyższego usposobienia, niż je mógł wydać wiek XVIII. Stanisław August miał przezorność i naukę, lubił ważyć i oglądać się; decyzje jego były owocem długiej rachuby, ale silnego uczucia prawa i gorętszego nastroju duszy, tego w nim nie było.

Ów podpis pierwszego podziału, na który tyle poziomych złożyło się wpływów, jest fatalną datą w dziejach wewnętrznych naszego społeczeństwa, jest zarodem demoralizacji, która przez następnych dwadzieścia lat coraz bardziej naród otruwała, i trzeba było ciężkich boleści, srogiego poniżenia, a wkońcu dobrowolnego wylewu krwi, aby się z niej choć w części odkupić!... Zgadzają się wszyscy spółcześni świadkowie, że od chwili, gdy traktat podziału został w Delegacji przyjęty, taka lekkomyślność i takie zepsucie opanowały Warszawę, przytym tak szalony nastał w niej zbytek, że nie można było bez najwyższego wstrętu przypatrywać się temu widokowi. Nigdy w istocie, ani pierwej, ani później, nie było tak huczno w stolicy, jak przez czas trwania

Delegacji. Nieustające zabawy: bale, festyny, rauty, pikniki, polowania, a wszystko urządzone kosztownie i z wystawą. Nareszcie, owa Delegacja, w której gronie duszno było ludziom uczciwym, i której dziejów czytać nie można bez wstydu i zgrozy, skończyła swe czynności po dwuch latach (12 kwietnia 1775 r.). „Następnego dnia odśpiewano hymn ambrozjański, *Te Deum* w kościele Świętego Jana. Pod koniec sejmu tak zgubnego dla wiary, dla państwa i dla osób prywatnych, właściwiej było (mówi ówczesny legat papieski w Warszawie) odśpiewać psalmy pokutne i żale Jeremiego!"

PRÓBY ODRODZENIA.

Gospodarstwo; szkoły; reforma stosunków włościańskich

przez Augusta Sokołowskiego.

I.

Ze strasznego upadku podczas pierwszego podziału, wyszła Polska uszczuplona w swoich granicach, sponiewierana w oczach Europy, zhańbiona w poczuciu własnym, pogrążona w niemocy i bezrządzie. A jednak mimo tego smutnego, rozpaczliwego niemal położenia, nastąpił teraz właśnie 15-letni okres powolnego wprawdzie, lecz stałego dźwigania się, jakby na dowód, że żywotność narodu nawet najcięższe zdoła pokonać choroby. Na pochwałę społeczeństwa ówczesnego powiedzieć należy, że skoro tylko przeminęły pierwsze wrażenia żalu i boleści, jakie uczuwać musiały wszystkie serca zacne z powodu upadku ojczyzny, zaczęto zastanawiać się natychmiast nad położeniem Rzeczypospolitej i zamiast oddawać się bezmyślnie rozpaczy, chwycono się skutecznych środków do podniesienia kraju pod względem ekonomicznym i społecznym.

Pierwsze nieznaczne kroki w tym kierunku sięgają jeszcze ostatnich lat panowania Augusta III. Stanisław August położył także na polu przemysłowym pewne zasługi, założył bowiem dobrą mennicę i ludwisarnię, przyczynił się do wynalezienia źródeł solnych w Busku i Solcu i utworzył Kompanję manufaktur, t. j. towarzystwo wyrobów wełnianych, która jednak długo utrzymać się nie mogła. Krótko przedtym powstają wielkie fabryki żelazne za staraniem biskupów krakowskich, kanclerz w. kor. Jan Małachowski, naśladuje ich przykład i zakłada w dobrach swoich cztery wielkie huty żelazne, miasteczko Końskie staje się na długie lata ogniskiem tej gałęzi przemysłu; kasztelan łukowski, Jezierski, urządza w Sabienicach pod Warszawę fabrykę kos i zastępuje niemi wyroby styryjskie. Główną jednak pracą nad rozbudzeniem przemysłu podjął po r. 1772 Antoni Tyzenhauz, podskarbi w. lit. Otrzymawszy zarząd dóbr królewskich na Litwie i pozyskawszy w zupełności zaufanie Stanisława Augusta, zaczął on pracować gorączkowo nad podniesieniem oświaty i przemysłu, założył w krótkim przeciągu czasu 23 fabryki, które zatrudniały 3000 robotników, urządził szkołę kadetów, buchalterji i miernictwa, instytut położniczy, szkołę weterynaryjno chirurgiczno-medyczną i wreszcie ogród botaniczny, posiadający 1500 roślin zamorskich. Wszystkie te fabryki i zakłady, położone głównie w Grodnie i jego okolicy, były urządzane pośpiesznie i bez dostatecznej znajomości rzeczy. Pośpiech, z jakim działał Tyzenhauz, różnorodność przedsiębiorstw, które zakładał, brak ścisłości rachunkowej i dozoru, przyprawiły go o zgubę i stały się przyczyną jego bankructwa.

Mimo to, przykład podskarbiego i króla nie poszedł na marne, lecz pociągnął za sobą licznych naśladowców. Stan mieszczański odzyskiwał zwolna znaczenie, bo szlachta, potrzebując do przedsiębiorstw ludzi wykształconych i kapitałów, musiała mimowoli łączyć się z mieszczaństwem, zasięgać

w niejednej sprawie jego rady, korzystać z jego zasobów pieniężnych. W Kompanji manufaktur metalowych zasiadają obok Zamoyskich, Potockich i Poniatowskich, ludzie mieszczańskiego stanu, jak Tepper, Dekert, Rafałowicz, a Prot Potocki, jeden z najbogatszych magnatów, zakłada na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie sklep z towarami angielskiemi, jakoteż interes bankowy na wielką skalę. Jak bardzo zaś zmieniły się wyobrażenia nawet w kołach szlacheckich, o tym świadczy wymownie ustawa, uchwalona w roku 1774, a orzekająca, „że szlachcic wszelkiego rodzaju, kupiectwem się bawiący, szlachectwa swego utracać nie będzie.”

Że zaś pomyślny rozwój stosunków handlowych zależał w znacznej części od dobrych dróg lądowych i wodnych, które w tym czasie nietylko u nas, ale i w całej niemal Europię w opłakanym się znajdowały stanie, więc tak sejmy, jak i społeczeństwo zwróciło uwagę swoją na ich ulepszenie. Za sprawą starosty pińskiego Mateusza Butrymowicza zbudowano kosztem dziedziców i dzierżawców okolicznych (1778 — 1784) dwa gościńce przez bagna poleskie. Dla łatwiejszego połączenia z Czarnym morzem, powstały dwa kanały: jeden, łączący Szczarę z Jesióldą, wykopał kosztem 12 miljonów złp. hetman w. litewski Ogiński („kanał Ogińskiego”), drugi „kanał królewski” wykopał rząd w ciągu lat trzech (1781 — 1783).

II.

Ale powolne, ekonomiczne dźwiganie się kraju nie mogło przynieść trwałych korzyści dopóty, dopóki społeczeństwo polskie pogrążone było w ciemnocie, dopóki oświata znajdowała się w zaniedbaniu i niemal w pogardzie.

Ogół szkół krajowych w najnędzniejszym znajdował się stanie. Wprawdzie reforma nauk w szkołach pijarskich

zmusiła także Jezuitów do pewnych zmian, i oni założyli *collegia nobilium* i wprowadzili zmiany w naukach, ale sposób dawniejszy nauczania pozostał. Gorzej jeszcze przedstawiała się starożytna *Alma Mater*; Akademja Krakowska, a także i Akademja Zamoyska. Wobec takiego stanu wychowania publicznego miała Komisja Edukacyjna wielkie i trudne przed sobą zadanie, ale, że wzięła się gorliwie i rozumnie do dzieła, więc odniosła skutek niespodziewany. Wprowadziwszy ład i porządek do administracji funduszów naukowych, rozpoczęła ona wiekopomną pracę swoją od wykształcenia nauczycieli i ułożenia odpowiednich książek szkolnych.

W tym celu utworzyła ona, na wniosek Ignacego Potockiego, Towarzystwo Elementarne, które wyznaczyło znaczne nagrody za napisanie dobrych książek, szkoły podzieliła na sześć wydziałów, aby ułatwić nadzór i postanowiła zreformować Akademję Krakowską. Wysłany jako wizytator z ramienia komisji ks. Hugo Kołłątaj w ciągu lat dwuch dokonał zamierzonego dzieła. Dnia 17 października 1780 roku odbyło się uroczyste odnowienie nauk uniwersyteckich. Na katedrach zasiedli uczeni i zdolni Polacy, jak Jan Śniadecki, Czerniakowski i inni.

Po Akademji Krakowskiej przyszła kolej na wileńską, gdzie powstało znakomite obserwatorjum astronomiczne pod kierunkiem ks. Poczobuta, utrzymywane głównie hojnością Elżbiety z Ogińskich Puzyniny, która na ten cel przeznaczyła 6000 dukatów. Dla wykształcenia nauczycieli założono dwa seminarja, w Krakowie i Wilnie. Uczniowie mieli tam całe utrzymanie i obowiązani byli za to pracować przez 6 lat w zawodzie nauczycielskim.

Wszystkie szkoły połączono ściśle z uniwersytetami czyli szkołami głównemi, które miały zakłady niższe wizytować i składać szczegółowe raporty Komisji Edukacyjnej. W ten sposób powstała organizacja szkół, w całym tego

słowa znaczeniu doskonała, a Niemiec, radca pruski, Klewitz, prezydent departamentu Prus południowych w roku 1805, nie powiedział za wiele, kiedy urządzenie Komisji Edukacyjnej nazwał w raporcie, wysłanym do Berlina, „przedziwnemi prawami.”

Skutek ich był też niepospolity; w roku 1783 znajdowało się w Koronie szkół wyższych 36 i 9816 uczniów; w ziemi wieluńskiej, pomiędzy innemi, szkół elementarnych 43 i 1368 uczniów i uczennic na 40,000 ludności. Usiłowania rządu doznawały gorliwego poparcia ze strony osób prywatnych, a nawet i zgromadzeń zakonnych. Obok szkół publicznych powstawały prywatne, co chwila słyszymy o hojnych darach i zapisach na cele naukowe. Wszystkie zaś ofiary przewyższył biskup kijowski Józef Załuski, oddając ogromną bibljotekę swoją na użytek publiczny w r. 1775.

Praca około reformy edukacji publicznej i ekonomicznego, jakoteż moralnego podźwignięcia społeczeństwa wydała w krótkim przeciągu czasu jak najpomyślniejsze dla kraju owoce. Zwolna zaczęły się otrząsać umysły z pleśni odwiecznej i przyswajać sobie zdobycze cywilizacji zachodniej, podnosił się dobrobyt, rosła ilość ludności.

III.

Równocześnie, już to pod wpływem nowych wyobrażeń, już też dla podniesienia gospodarstwa rolnego i własnych dochodów, zaczęto reformować stosunki włościańskie, zamieniać pańszczyznę na czynsze, nadawać samorząd gminom wiejskim i podnosić stan kmiecy z zaniedbania, niewoli i nędzy.

Pierwszy krok w tym względzie uczynił kanclerz Andrzej Zamoyski jeszcze w roku 1760; za jego przykładem poszła Anna ks. Jabłonowska, Przebendowski, później Paweł Ksawery Brzostowski, referendarz litewski w Mereczu,

Joachim Chreptowicz w Szczorsach, ks. Stanisław Poniatowski, synowiec króla w rozległych dobrach korsuńskich, wreszcie Szczęsny Potocki, posiadający 3 miljony morgów ziemi. Niemniej względniej i łaskawiej obchodzili się z poddanemi swojemi Czartoryscy, August i syn jego Adam, marszałkowa Lubomirska, Stanisław Kostka Potocki, Jacek Jezierski, kasztelan łukowski, i wielu innych. Stopień i rodzaj tych zmian był wprawdzie rozmaity. Chreptowicz nadał wolność osobistą włościanom, zniósł robociznę, z wyjątkiem szarwarków i podwód, za używanie gruntów pobierał $\frac{1}{3}$ plonu. Brzostowski zamienił pańszczyznę na czynsz i nadał poddanym samorząd; ale w każdym wypadku dola chłopów stawała się pomyślniejszą.

Stanisław August

przez Walerjana Kalinkę.

Stanisław August miał z urodzenia niepospolite zdolności, a gruntownym wykształceniem wysoko je rozwinął. Zanim dom opuścił, władał dobrze językiem polskim i francuskim i pisał po łacinie; następnie doszedł do znacznej doskonałości w niemieckim, angielskim, rosyjskim i włoskim. Przykładał się szczególnie do historji, filozofji i wymowy; pracował nad matematyką, w rysunkach i architekturze okazywał wiele delikatnego gustu i zamiłowania. Z dzieciństwa powziął wstręt do pijaństwa i karciarstwa, lecz i polowania nie lubił i wogóle rozrywek męczących. Wychowanie domowe, które pod okiem matki do 16 roku życia odbierał, uchroniło go od wielu wad spółczesnych, lecz zarazem wszczepiło weń pewną miękkość, która go nigdy nie opuściła i nadała mu charakter człowieka, usposobionego bardziej do gabinetowej pracy, niż do czynu. Ojciec spodziewał się temu za-

Stanisław August Poniatowski.

radzić, wyprawiając go w roku 1748 na wojnę. Zawarty w Akwizgranie pokój przeszkodził zamiarowi, do którego później Stanisław nie mógł już powrócić, wystąpiwszy zbyt

wcześnie na scenę polityczną. Tak więc do śmierci pozostał obcy rycerskiemu rzemiosłu, czego sam gorzko żałował, czując, że to było, a jak w Polsce być musiało, jedną z przyczyn jego niepowodzeń na tronie.

Jak u większej części ludzi XVIII wieku, w usposobieniu Stanisława Augusta przeważał rozsądek. Do złudzeń i uniesień nie był sposobny, sądził zazwyczaj trafnie. Bystry sposrzegacz, prędko poznawał ludzi, chwytał ich słabości i przedstawiał je z pewnym humorem pobłażliwym. Żartować lubił, oburzyć się nie umiał. Był to jeden z najpracowitszych krolów polskich, przynajmniej najwięcej piszący.

Troskliwy aż zanadto o los indywiduów, marnował dla ich dobra swój czas i siły, ich prośbami pamięć swą obciążał i przymnażał sobie trudności; traciły na tym sprawy publiczne, on zaś na wdzięczności nie zyskiwał. Kto nie umie odmawiać, rządzić nie potrafi.

Jak było z jego czasem tak i z pieniędzmi. Król wylany dla krewnych i bliższych, przejmował ich długi, dawał im często gratyfikacje, to dla ratowania zdrowia, to z innej okazji; przytym dbały o tych, co mu wiernie służyli, każdego starał się zaopatrzyć w niezawisłą majętność. Był tak oblężony postulantami, że nie mógł przez jedną dobę zatrzymać czterech tysięcy dukatów, które przeznaczał był co miesiąc do własnej dyspozycji. Od roku 1790 przybyło królowi drugie tyle co miał długów, pod koniec wynosiły one trzydzieści miljonów. Król hojnością swoją dogadzał powszechnemu wówczas nierządowi. Przy wielkiej drożyźnie i zbytkach, panujących w stolicy, każdy niemal z pobliższych królowi żył nad stan, ufając, że gdy potrzeba przyciśnie, poratuje Pan miłościwy, nie lubiący wokoło siebie widzieć twarzy zasmuconych. Ta uczynność, żadną zasadą nie kierowana i ulegająca jedynie serdecznemu popędowi, stała się przyczyną, że król, mimo kilkuset miljonów, które prze-

szły przez jego ręce, mało się niemi krajowi przysłużył, a sobie zgotował zawody i poniżenia.

Jak wszyscy ludzie bujnego umysłu, a zasad niepewnych, zależał od tych, co go otaczali. Niekoniecznie z rachuby, z samego instynktu czuł on potrzebę oparcia się na charakterach silniejszych i byle oni się nie chwiali, razem z niemi odważał się na wiele. Lecz gdy, przeciwnie, czuł się opuszczony, lub gdy ci, na których polegał, nie odpowiadali ważności zadania i wszystek ciężar decyzji spadał już tylko na niego, wtedy wahał się, tracił odwagę. wpadał w rozpacz i mimo całą przezorność i doświadczenie, w ostatniej chwili do zupełnego doprowadzony rozstroju, gotów był przyjąć radę choćby najgorszą, by tylko wyjść z tej walki, którą czuł nad swe siły.

Wspomnieliśmy o jego obszernej nauce. Kochał on uczonych i artystów i przyczynił się wiele do rozszerzenia w Polsce światła, jakkolwiek niezupełnego. Literatura epoki Stanisławowskiej zawsze nas ujmować będzie trzeźwością myśli i pięknością formy; podobnie, jak w królu, nie widać w niej gorących uczuć i silnego zapału, ale dowcip, zdrowy rozsądek i wdzięczną ogładę. Pomimo staranne, jakie odebrał, wychowanie, i nieustanną w latach późniejszych umysłową pracę, zbywało Stanisławowi na głębszej moralnej podstawie.

Szkoła rycerska.

Głośna szkoła rycerska w Warszawie, w której wychowywał się między innemi Kościuszko, założona przez Stanisława Augusta zaraz po wstąpieniu na tron, nosiła urzędową nazwę „Szkoły rycerskiej J. Ks. Mości i Rzeczypospolitej". Nie

była to właściwie akademja wojenna, jakby można przypuszczać, lecz średni zakład naukowo-wychowawczy, który miał na celu dać wykształcenie ogólne, a tylko kilka przedmiotów, mogących przydać się w zawodzie wojskowym. Także organizacja jej, mianowicie podział na „kompanje”, komenda i awanse, wnosiły tu pierwiastek „rycerski”. W szkole, której komendantem był książę Adam Czartoryski, a opiekunem król, uczono języków: polskiego, łacińskiego, francuskiego i niemieckiego, stylu, historji polskiej i powszechnej, historji literatury, gieografji, sztuk pięknych, gieometrji, algiebry i arytmetyki, prawa, fizyki, ekonomji, architektury i sztuki fortyfikacyjnej. Wykształcenie było więc obszerne, program zakreślony był szeroko i wyróżniał się od szablonu szkół ówczesnych. Zobaczmy, jaki duch wypełniał formę?

Pouczy nas o tym w pierwszym rzędzie „Formularz przyjmowania kadetów do nowicjatu”, wyjęty ze „Zbioru pism tyczących się Moralnej Edukacji Młodzi Korpusu Kadetów, czyli Szkoły Rycerskiej”. Osobliwa ta książeczka zachowała nam cały wstępny ceremonjał, jaki zastosowywano do nowicjuszów, ceremonjał znamienny, bo prawie każdy jego szczegół ukrywał w sobie treść wysoce wychowawczą.

Więc w pierwszym dniu nowicjusz przedstawiał się komendantowi, oficerom i brygadzie, w której szeregi miał wstąpić. „Formularz” czyli regulamin nakazywał mu następnie uściskać każdego z przyszłych kolegów i zaznajomić się z urządzeniem zakładu, poczym następował egzamin wstępny, wedle którego przydzielano kandydata do jednej z siedmiu klas. Nakoniec odbywała się prezentacja wobec profesorów—i dzień pierwszy był szczęśliwie zakończony. Nazajutrz nowicjusz otrzymywał tymczasowy mundur z sukna granatowego — i nosił go przez cały rok, który był próbnym i rozstrzygał, czy młodzieniec, poddany raz jeszcze egzaminowi, zasługuje na to, aby być obleczonym w prawdziwy mundur kadecki.

Ceremonja ta odbywała się niezwykle uroczyście.

W niedzielę rano w kaplicy szkolnej zbierał się cały korpus, w paradnych, długich uniformach z szablami u boku. Nowicjusz — sam jeden tylko bez broni — na klęczkach słuchał mszy św. u stóp ołtarza, a ksiądz w krótkiej przemowie wyłuszczał mu, jak święte obowiązki względem ojczyzny bierze na swe barki. Poczym całe towarzystwo przechodziło na podwórzec szkolny i tu dopełniał się akt ostateczny. Przed frontem całego korpusu występował nowicjusz, prowadzony pod ramię przez brygadjera i podbrygadjera, i stosownie do przepisów regulaminu odpowiadał na szereg następujących zapytań, zadawanych przez jednego z „giefrejterów".

Pytanie: Czego Waćpan żądasz?

Odpowiedź: Byłem tak szczęśliwym, że mnie osądzono godnym noszenia munduru korpusowego; stawam teraz z prośbą, abym był uzbrojony.

Pytanie: Masz Waćpan szczere przedsięwzięcie tę broń, którą odbierzesz, zażywać zawsze na obronę ojczyzny swojej i swego honoru?

Odpowiedź: Nie inne jest przedsięwzięcie moje.

Korpus prezentuje broń, rozlega się uderzenie w bęben i najstarszy oficer przypasuje nowicjuszowi szablę i podaje mu karabin — wygłaszając przytym krótką przemowę. Nowy zaś kadet w obliczu całego zgromadzenia, wśród ciszy uroczystej, składa publiczne przyrzeczenie.

„Przyrzekam braciom moim, zbrojnie zgromadzonym, że postępkami memi ich nie zawstydzę, ani też nowicjuszom, czekającym na ten zaszczyt, który odbieram, nie dam zgorszenia przez opuszczenie się w aplikacji lub zaniedbanie powinności moich."

Z temi słowy bierze broń na ramię. I jeszcze jedno ostatnie „przyrzeczenie".

Brygadjer: Obiecujesz mi Waćpan, że w pamięci będą

u niego przyrzeczenia, któreś tu dał? Imieniem Brygady i moim pytam cię o to.

Odpowiedź: Przyrzekam na honor.

Ceremonja wyżej opisana świadczy wymownie o patryjotycznym duchu, jaki panował w tym wzorowym polskim zakładzie wychowawczym. Książki, profesorowie, koledzy — wszystko to podniecało zapał do służenia ojczyźnie.

Każdej soboty musieli kadeci wygłaszać przed swojemi brygadjerami zasady „Katechizmu kadeckiego". „Katechizm" ten, ułożony przez księcia komendanta Czartoryskiego, jest dalszym świetnym dokumentem ducha, jaki przenikał Szkołę Rycerską. Uczniowie umieli go na pamięć. Nakazywał on kochać Boga i ojczyznę nadewszystko, zabraniał pokory i służalczości wobec ludzi, zalecał pamięć o godności osobistej. Starszym obowiązany był kadet oddawać cześć be upodlenia siebie samego, padania do nóg, ściskania za kolana, całowania w ręce, zbyt nizkich ukłonów. Jedno z charakterystycznych pytań brzmiało:

— Czy może być kadet bojaźliwym lub tchórzem?

— Odpowiedź brzmiała:

— „Na to nie umiem odpowiedzieć, bo i słowa i rzeczy, które znaczą, są mi nieznajome."

W wykładach „filozofji moralnej" wszczepiano w młodzież kadecką obywatelskie cnoty i zalecano pokonywanie własnych namiętności „jako największe zwycięstwo." W wielkiej sali szkolnej, na ścianie wyryty był złotemi zgłoskami słynny hymn Krasickiego do miłości ojczyzny; profesorowie stawiali wychowańcom swoim za wzory do naśladowania postaci Leonidasa, Jana Tarnowskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego — wszystko zdążało do rozwinięcia w młodzieży niezależności charakteru, hartu, dzielności, patryjotyzmu, ambicji szlachetnej.

Sejm czteroletni

przez Augusta Sokołowskiego.

...Sejmiki odbywały się tym razem z rzadką jednomyślnością, wszędzie prawie zapadały uchwały, żądające pomnożenia sił zbrojnych, niektóre województwa uchwaliły z własnego popędu dość znaczne na ten cel podatki. Jednomyślność sejmików odbiła się w Izbie poselskiej. Bez trudności zawiązano konfederację, uchylającą *liberum veto* i zgodnie obrano marszałkiem poselskim Stanisława Małachowskiego, referendarza koronnego i posła sandomierskiego. Wybór był ze wszech miar trafny, bo Stanisław Małachowski słynął z prawości charakteru i bezstronności — nazywano go wedle znanego z cnót męża w starożytności „Arystydesem polskim".

Izba, której miał przewodniczyć, różniła się także znacznie i korzystnie od sejmów poprzednich. Na ławach poselskich zasiadali po większej części ludzie młodzi i zdolni, w nowej wychowani szkole, nowemi ożywieni zasadami, przejęci gorącym uczuciem patryjotycznym, gotowi do poświęceń i czynów bohaterskich. Wszystko, co tylko Polska ówczesna posiadała lepszego i szlachetnego, wszyscy, którzy później zasłynęli w epoce porozbiorowej i wytrwali pod sztandarem narodowym do końca, wszyscy ci znaleźli się w Izbie poselskiej Wielkiego Sejmu, złączeni głównie około ks. Adama Czartoryskiego i Ignacego Potockiego. Razem tworzyli oni t. zw. stronnictwo patryjotyczne, które miało stanowczą większość w Sejmie. Do niego należeli: Stanisław Potocki, brat Ignacego, Eustachy ks. Sanguszko, znakomity pisarz Juljan Ursyn Niemcewicz, Józef Weyssenhoff, Michał Czacki, Tadeusz Matuszewicz, Mateusz Butrymowicz, Michał Zaleski, Ignacy Zakrzewski, Piotr Kiciński i wielu innych. Na czele partji przeciwnej czyli opozycji pozostali obecnie tylko Franciszek Ksawery Branicki i Szczęsny Potocki, jawni stronnicy rosyjscy.

Patryjoci wiedzieli, że podźwignięcie Rzeczypospolitej zależy w znacznej części od niej samej, od naprawy rządu, i od utworzenia odpowiedniej siły zbrojnej. Z tego powodu też przyjęła izba już dnia 20 października z zapałem wniosek posła wojewody sieradzkiego Walewskiego o powiększenie armji narodowej do 100,000 ludzi. Przedsięwzięcie, jakkolwiek wielkie, nie przechodziło wcale sił społeczeństwa polskiego. Przy zaludnieniu wynoszącym 8,800,000 można było snadnie postawić sto tysięcy żołnierzy, gdy mniej zaludnione Prusy utrzymywały dwakroćstotysięczną armję. Trudność jednak leżała w czym innym, w niedostatecznym przygotowaniu, w braku uzdolnionych oficerów, braku pieniędzy i rynsztunku wojennego. Szkoła kadecka, jakkolwiek niewątpliwie zasłużona dla kraju, nie mogła dostarczyć ludzi praktycznie wyrobionych. Wobec powszechnego zapału płynęły na armję z początku datki dość obficie; na ołtarzu ojczyzny składali grosz swój wszyscy, bez różnicy stanów i wyznania, nawet kobiety i dzieci, ale gdy przystąpiono do obliczenia, okazało się, że w ciągu dwuch lat zebrano w ten sposób zaledwie pół miljona złp. Pozostawała więc dla sejmu jedna droga, t. j. podwyższenie ciężarów podatkowych.

Na wniosek Stanisława Potockiego uchwalono t. zw. „podatek czasowy”, ale ten jednorazowy dochód nie mógł wystarczyć. Zapadła uchwała sejmowa o sprzedaży starostw. Olbrzymie dobra starościńskie przedstawiały wartość 300 miljonów złp., dawały zaś rocznie zaledwie $2^1/_2$ miljona dochodu, sprzedając więc te obszary, można było osiągnąć co najmniej 7 miljonów zwyżki. Na ogół biorąc, nie przedstawiało się położenie finansowe Rzeczypospolitej rozpaczliwie, bo Polska była wtedy jedynym państwem, które długów wcale nie miało, a posiadało olbrzymie zasoby dotąd jeszcze nie wyzyskane. Trudność tkwiła w nałogowym skąpstwie szlachty, która, uchylając się stale od ponoszenia publicznych ciężarów, długo nie chciała oswoić się z myślą, że dla ratowania zagro-

żonej ojczyzny trzeba płacić podatki. Reformy skarbowe sejmu czteroletniego były nadzwyczaj doniosłe, ponieważ łamały przywilej stanu szlacheckiego, przez opodatkowanie powszechne dochodów z ziemi i wprowadzały zasady równouprawnienia wszystkich warstw społecznych pod względem ich stosunku do państwa. Obok starań i zabiegów o fundusze na wojsko, wypadło równocześnie pomyśleć o stworzeniu odpowiedniej władzy, któraby uchwały sejmowe wykonać zdołała.

Stronnictwo patryjotyczne przystąpiło do spełnienia najważniejszego zadania, do naprawy rządu i stosunków społecznych. Reforma w jednym i drugim kierunku była nieodzownym dla ocalenia Polski warunkiem. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Rzeczpospolita, zagrożona przez zaborcze potęgi sąsiednie, wtedy tylko może wyjść zwycięsko z nierównej walki, jeżeli będzie miała rząd silny i jeżeli wszystkie warstwy społeczne ożywiać będzie jeden duch obywatelski i jednaka dla sprawy publicznej ofiarność. Jak długo jednak mieszczaństwo i lud wiejski stanowiły odrębną i upośledzoną część narodu, jak długo jedni byli pozbawieni praw obywatelskich, a drudzy pogrążeni w ciemnocie, nędzy i niewoli, tak długo nie można było myśleć o potężnym działaniu narodowym, któreby zdołało ojczyznę z upadku podźwignąć. Pojęli to dobrze wszyscy patryjoci z epoki sejmu czteroletniego i dlatego sprawa mieszczańska i włościańska stała się wnet przedmiotem, omawianym gorliwie zarówno w literaturze, jak i w kołach poselskich.

Najpierw zwrócono uwagę na mieszczaństwo. Zamożne i potężne niegdyś, w wieku XVI jeszcze jaśniejące dobrobytem i wykształceniem, biorące udział w sejmach i wyborach króla, popadły miasta polskie, skutkiem nieopatrznej i samolubnej polityki stanu szlacheckiego w nędzę i poniżenie. Srogie spustoszenia podczas wojen szwedzkich, kozackich i moskiewskich przyśpieszyły i przypieczętowały ostateczny

ich upadek. Obecnie, gdy z Francji dochodziły co chwila wiadomości o zdobyczach t. zw. stanu trzeciego i gdy w kraju zanosiło się na reformę, powstała wśród mieszczaństwa polskiego także myśl odzyskania praw utraconych i zdobycia nowych. Pewni poparcia ze strony króla i wszystkich dobrze myślących patryjotów w sejmie, wzięli się mieszczanie raźno do dzieła.

Jan Dekert, prezydent miasta Warszawy, zamożny kupiec, a przytym odznaczający się wykształceniem jak i niezłomnym charakterem, zwołał przedstawicieli miast z Korony i Litwy i wspólnie z niemi ułożył t. zw. „akt zjednoczenia miast", zawierający żądania stanu miejskiego. Domagano się tam: bezpieczeństwa osobistego dla osób prawom miejskim podlegających, wolności zakupowania dóbr ziemskich, dosługiwania się zaszczytów i stopni w stanie duchownym i wojsku, udziału w sejmach i głosu przy zawieraniu traktatów handlowych.

W sejmie rozpoczęły się obrady nad tym przedmiotem w grudniu roku 1789. W obronie mieszczaństwa wystąpił król, marszałek sejmu i najrozmaitsi posłowie, jak Kublicki, Matuszewicz, Chreptowicz. Po długich rozprawach wybrano osobną deputację dla spraw miejskich. Powoli zaczęły też pękać lody uprzedzenia, mieszczaństwo zyskiwało niemal z każdym dniem coraz gorliwszych rzeczników w sejmie i do reszty zjednało sobie opinję publiczną, kiedy na posiedzeniu dnia 3-go marca 1790 roku złożyło oświadczenie, że miasta pragną się przyczynić do dobra Rzeczypospolitej większemi jeszcze, niż dotąd, ofiarami na rzecz skarbu.

Do kwietnia 1791 uchwalił sejm prawo o miastach, zapewniające mieszczaństwu udział w sejmie, możność awansu w wojsku, wolność nabywania dóbr ziemskich i stopniowe zrównanie ze szlachtą przez obowiązkowe nadawanie szlachectwa (nobilitację) na każdym sejmie.

Ustawa była świetnym zwycięstwem stronnictwa patryjotycznego i ważnym krokiem do uzdrowienia i wzmocnienia

Rzeczypospolitej. Doniosłe jej znaczenie ocenić można ze skutków, jakie dla kraju przyniosła: mieszczaństwo polskie okazało niebawem tyle ofiarności na cele publiczne, że dorównywało w tym względzie potomkom najstarożytniejszych rodzin.

Po miastach, przyszła kolej na sprawę włościańską, o wiele trudniejszą do rozwiązania.

W usamowolnieniu włościan widziano uszczuplenie nieograniczonej dotąd władzy pana nad poddanymi, ale i materjalną szkodę dla całego ziemiaństwa. Za panowania Stanisława Augusta, razem z rozpowszechnieniem oświaty, nastąpiła przecież zmiana w zapatrywaniach, do czego sam król z usposobienia łagodny i obeznany ze stosunkami zagranicznemi, nie mało się przyczynił; pańszczyzna złagodniała i powstały pierwsze znane nam już próby oczynszowania lub usamowolnienia włościan.

W czasie sejmu czteroletniego wystąpili jako obrońcy ludu wiejskiego: ks. Staszic i ks. Kołłątaj, a w izbie poselskiej odezwał się także w tym duchu poseł inflancki Niemcewicz. „Ja w tym miejscu — rzekł — mówić za chłopami mam za największą chlubę, bo nie mają oni posłów, którzyby się o nich domówili". „Do kogo ma się udać chłopek, jeśli pan narzuci mu podatek?" I słowa Niemcewicza trafiły do przekonania większości. Wprawdzie uchwała o „Włościanach" nie odpowiedziała życzeniom najgorętszych patryjotów, zawierała jednak znaczne ulgi i ulepszenia. Włościanin, przyjęty pod opiekę rządu i prawa, miał możność zawierania umowy z dziedzicem, a umowa taka zobowiązywała obie strony i nie mogła być wskutek samowoli pańskiej zniesiona. Zapewniono też zupełną wolność dla przybywających do Polski i dla powracających wychodźców włościańskich, co miało wprawdzie na celu przedewszystkim pomnożenie ludności, ale z czasem musiało zmienić koniecznie stosunek poddanych do panów.

Pierwszy rok sejmu czteroletniego (1788—1789) upły-

nął na opisanych już uchwałach o pomnożeniu wojska i zasileniu skarbu. Dopiero dnia 7-go września 1789 roku ustanowiono „Deputację” czyli „komisję do poprawy formy rządu”, która miała się zająć ułożeniem nowej konstytucji. Tymczasem sejm zajął się utworzeniem odpowiednich urzędów w kraju i ustanowił t. zw. Komisje porządkowe wojewódzkie, które miały czuwać także nad rozkrzewieniem oświaty w ten sposób, „aby każda wieś chowała bakałarza dla dania przynajmniej początkowej nauki młodzieży.” Ustanowione komisje były jednym z najdoskonalszych urządzeń sejmu czteroletniego i oddały w krótkim czasie swojego istnienia niemałe krajowi usługi.

Nadszedł dzień 3 maja 1791 roku. Dzień zaprzysiężenia konstytucji przez króla. Wcześnie już ulice, wiodące do zamku zaroiły się tłumnie zebraną publicznością. Gromady mieszczaństwa zajęły plac przed zamkiem królewskim, wykrzykując co chwila: „Wiwat konstytucja!” Wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, po obu stronach ustawiła się piechota pod dowództwem bratanka królewskiego, młodego ks. Józefa Poniatowskiego. W izbie sejmowej panował gwar; galerje zapełniła szczelnie publiczność, w sali pomiędzy posłami zajęli miejsca — według ówczesnego zwyczaju — t. zw. arbitrowie, w liczbie około tysiąca. Po godzinie 11-ej ukazał się król i zajął miejsce na tronie, powitany zewsząd sympatycznemi okrzykami, poczym marszałek zagaił sesję oświadczeniem, że deputacja spraw zagranicznych ma poczynić ważne przedstawienia o niebezpieczeństwach, zagrażających Rzeczypospolitej. Na zgodne zewsząd wołania, odczytał Matuszewicz, poseł brzesko-litewski, sprawozdanie deputacji, która na podstawie doniesień posłów polskich za granicą, przedstawiała treściwie stan rzeczy w Europie.

Gdy skończył rzecz swoją, Ignacy Potocki, ze zwykłą sobie wymową, zwrócił się do króla z prośbą, aby wskazał narodowi środki ratunku.

Wśród natężonej uwagi sejmu opowiedział Stanisław

August, w jaki sposób powstała konstytucja i zawezwał marszałka, aby ją odczytać kazał. Zaledwie skończył czytać sekretarz izby Franciszek Siarczyński, odezwały się zewsząd głosy: „Zgoda! zgoda!" Mimo to dopuszczono w rzeczy tak ważnej i doniosłej do obrad. Po mowach Linowskiego, Potockiego i Rzewuskiego, król polecił marszałkowi, aby zarządził głosowanie. Wtedy rozległ się w całej izbie i na galerjach okrzyk przeciągły: „Wszyscy, wszyscy trzymamy z marszałkiem! Niech żyje król! Niech żyje konstytucja!" Poseł inflancki, Zabiełło, uczynił wniosek, aby konstytucję przyjąć natychmiast i aby król natychmiast wykonał przysięgę na nową ustawę. Radosnemi okrzykami wniosek ten powitano. Zaraz król złożył przysięgę w ręce biskupa krakowskiego, Turskiego, a skończywszy wśród uroczystej ciszy i głębokiego wzruszenia obecnych, rzekł głosem poważnym: *Juravi Domino, non me poenitebit* („Przysiągłem Bogu i żałować tego nie będę"). Zwracając się zaś do wszystkich, dodał:

— „Wzywam teraz kochających ojczyznę, niech idą za mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dokonać dzieła."

Na znak dany przez króla ruszyły tłumy z sali sejmowej na ulicę. Pora już była spóźnioną, słońce chyliło się ku zachodowi, przez osiem godzin trwało bez przerwy pamiętne posiedzenie, a jednak przed zamkiem stała gromadą publiczność, oczekując ukończenia obrad.

Wiadomość o uchwaleniu konstytucji i o przysiędze królewskiej rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście i rozbudziła radość i zapał niesłychany. Wychodzących z izby posłów witano okrzykami: „Wiwat król, Wiwat sejm! Wiwat konstytucja rządowa!" Marszałków sejmowych na rękach niesiono do kościoła. Takiej chwili nie pamiętała Warszawa. Wśród okrzyków i zapału ogólnego płynęły tłumy do kate-

dry św. Jana, gdzie stała już Rada miejska warszawska, cechy i bractwa z rozwiniętemi chorągwiami, wszyscy w świątecznym nastroju, ze łzami w oczach. Oczekiwano króla. Wszedł wreszcie Stanisław August, głęboko wzruszony i stanął u stopni wielkiego ołtarza. Marszałkowie przywitali go stosowną przemową, poczym nastąpił uroczysty akt przysięgi, a biskup Gorzeński zaintonował „*Te Deum landamus*", któremu wtórował grzmot dział z terasy zamkowej.

Tak skończył się dzień 3-go maja w Warszawie.

Wprowadzona tą drogą reforma rządu i stosunków społecznych zawierała niezmiernie doniosłe zmiany: znosiła „*liberum veto*", konfederacje i elekcyjność tronu, który miał być odtąd dziedzicznym przez wybór rodzin. Na następcę bezdzietnego Stanisława Augusta przeznaczono elektora saskiego Fryderyka Augusta. Król sprawuje władzę wykonawczą razem z ministrami czyli z t. zw. Strażą praw. Władza prawodawcza mieści się w sejmie; sejm jest albo zwyczajny, co 2 lata, albo nadzwyczajny, co 25 lat dla poprawy konstytucji, przytym może być każdej chwili zwołany w razie potrzeby. Religją panującą jest religja katolicka; wszelkie inne wyznania są dozwolone i zostają pod opieką rządu; innowiercy posiadają równe z katolikami prawa w piastowaniu urzędów i w sprawowaniu mandatów poselskich.

W porównaniu z dotychczasowym stanem Rzeczypospolitej był w tych postanowieniach postęp wielki. Zresztą co 25 lat sejm miał zajmować się rewizją i ulepszeniem obowiązującej ustawy.

W ten sposób otwierała się droga do udoskonalenia rządu i stopniowego przeistoczenia stosunków społecznych według wymagań ducha czasu i postępu, a nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta droga prawidłowego rozwoju była bardzo rozumnie obmyślana, chroniła bowiem kraj i społeczeństwo od nagłych przewrotów, a dawała możność poprawy. Najznakomitsi politycy i mężowie stanu owej doby sła-

wili konstytucję 3-go maja jako dzieło wielkie, jako „wspaniałą spokojną reformę, którą mądrość rządu polskiego uskuteczniła.”

Przysięga Kościuszki

przez K. Ch.

W pierwszych dniach marca 1794 roku stanął Kościuszko na ziemi polskiej. A ponieważ stanął w uroczystej chwili, w której miał spełnić największy czyn swojego życia i postawiwszy na ostrzu miecza losy narodu, wypowiedział swojemi czystemi usty testament upadającej Polski, przeto będzie rzeczą słuszną, abyśmy starali się odtworzyć ten tajemniczy i święty nastrój ducha, w jakim Kościuszko przystąpił do spełnienia swego wielkiego zadania.

Jakkolwiek nie przywdział jeszcze wówczas sławnej sukmany racławickiej, która od tego czasu nabrała znaczenia symbolu narodowego—w duszy jego nastąpiło ostateczne uświadomienie tych konieczności dziejowych, tych żądań patryjotycznych, społecznych i moralnych, które zwykliśmy nazywać ideałami, albo programem kościuszkowskim.

Przypomnijmy sobie, jakiemi drogami szedł stopniowy rozwój jego myśli i zapatrywań. Oto przedmiotem marzeń chłopięcych nie był wielki zdobywca, ani „gienerał” ze złotemi szlifami, ani król, otoczony świetnym dworem, lecz rzymianin Tymoleon, obywatel miłujący ojczyznę i zadowolony ze spełnienia obowiązku. W szkole rycerskiej kształtowała się dalej ta dusza promienna i bez skazy, ślubując „honorowi i cnocie”.

W czasie pobytu na zachodzie młody kadet przyswoił sobie pojęcia nowożytne, które odbiegały bardzo od utartych wyobrażeń litewskiego szlachcica, pojęcia, które znalazły w nim grunt łatwy i wdzięczny. Za oceanem walczył za najwznioślejsze ideały polityczne i obcy podziwiali jego

prostotę, jego dobroć, jego hart męski, połączony ze słodyczą i skromnością. Wróciwszy z za morza, pod dachem rodzinnego dworu snuł myśli o wybawieniu ojczyzny z upadku i wcielał w czyn swoje ideały społeczne, wedle których „bogactwo tylko i wiadomości różnicę pomiędzy ludźmi czynią", aby wkrótce potym w szeregach wojska narodowego zabłysnąć bohaterskiemi dziełami w obronie zagrożonej wolności.

Na tułactwie, wśród obcych, jedyną myślą jego było ocalenie kraju od rozbicia. Te wszystkie doświadczenia, myśli, czyny, złożyły się na wytworzenie pewnego sposobu pojmowania dróg, jakiemi powinny były pójść sprawy publiczne w Polsce, aby się dało odwrócić wiszący nad nią miecz zagłady.

Zrozumiał więc Kościuszko lepiej, niż wielu innych, że życie obywatelskie płynęło w Rzeczypospolitej korytem zbyt wązkim, bo korytem jednej społecznej warstwy, że nietylko względy uczuciowe, t. j. sprawiedliwości, lecz także rozumowe, t. j. interes narodu wymagał wciągnięcia do działania miast i ludu wiejskiego, i że ojczyzna, powołując te nowe warstwy do obowiązków patryjotycznych, musi im jednocześnie zabezpieczyć udział w prawach. Kościuszko wierzył głęboko w to, że olbrzymia przemoc, zagrażająca Polsce, dałaby się odeprzeć wspólną walką całego narodu. Widział przecież na własne oczy zwycięstwo takiego narodowego powstania w Ameryce i uwzględniwszy różnice oświaty, przeszłości dziejowej, warunków gospodarczych pomiędzy Polską i kolonjami angielskiemi, doszedł do wniosku, że zwycięska wojna obywateli amerykańskich dałaby się z powodzeniem odtworzyć na ziemiach Rzeczypospolitej, jeżeliby warstwa, stanowiąca czoło narodu, znalazła w sobie dostateczny zapas ofiarności obywatelskiej.

Pozatym nie miał żadnych planów ambitnych, żadnych dążeń, ani widoków osobistych. Posiadamy dość świadectw na stwierdzenie ponad wszelką wątpliwość tego faktu, że w duszy jego gorzała tylko najczystsza bezinteresowna mi-

łość ojczyzny, że ujmując w ręce władzę naczelnika narodu, władzę dyktatorską, był takim samym najlepszym sługą swego kraju, jak ów bohater starożytny, o którego naśladowaniu marzył na ławie szkolnej u Jezuitów brzeskich.

Tadeusz Kościuszko.

W kilkanaście dni po wstąpieniu na ziemię ojczystą, jako naczelny wódz pisał: „Niech nikt, kto cnotliwy, nie pragnie władzy. Złożono ją w moim ręku na ten mo-

ment krytyczny. Nie wiem, czy na tę ufność zasłużyłem, ale to wiem, iż ta władza jest dla mnie jedynie narzędziem do skutecznej obrony ojczyzny mojej i wyznaję, iż jej końca tak szczerze pragnę, jak samego zbawienia narodu." Jeszcze później spowiada się w jednym z listów, że z tęsknotą wyczekuje chwili, w której będzie mógł „rzucić (zwycięską) broń w izbie sejmowej", a potym osiąść na wsi i oddać się ulubionemu ogrodnictwu, „abym użył w domku małym spokojności".

Te słowa pisał człowiek, przed którym świeżo (w maju 1794 roku) ukorzył się ostatni król polski i w smutnej zmienności swoich uczuć pisał, iż „władnym i znaczącym inaczej być nie pragnie, tylko wtedy i tyle, jak on (t. j. Kościuszko) z narodem osądzi".

Wyrazy takie i władza wojenna nieograniczona i uwielbienie całego narodu mogło było oszołomić ubogiego dziedzica Siechnowicz. Popularność jego, rosnąca z dniem każdym, nie miała sobie równej w Polsce od wielu pokoleń. Mógł o niej przekonać się sam podczas krótkiego pobytu w ziemiach oderwanych na rzecz Austrji, i teraz, kiedy z woli narodu wracał, aby na rynku krakowskim zaprzysiąc akt powstania.

Nic jednak nie zachwiało ani na chwilę jego wrodzonej skromności, a cała natura jego zdawała się protestować przeciwko uwielbieniu, jakie go otoczyło. Nie była to słabość. Kościuszko czuł swoją wartość, wiedział, że lekkomyślne ujmowanie steru w takiej chwili byłoby zbrodnią. Wszystkie czyny jego znamionowała zawsze rozwaga, spokój i trzeźwość. Przyjmując władzę naczelną z rąk narodu, bez pychy, ale i bez fałszywej skromności, musiał czuć, że w Polsce niema człowieka, któryby się lepiej nadawał do spełnienia obowiązku, jaki go czekał. Inaczej — nic nie byłoby go mogło nakłonić do przyjęcia wielkiej odpowiedzialności. I to skojarzenie: pewności siebie z zupełnym brakiem wysokiego rozumienia o sobie, ducha męskiego z delikatnością uczuć, majestatu władcy z prostotą i niemal pokorą zwykłego obywatela,

składa się na owe tradycyjne duchowe rysy kościuszkowskie, które niby najkosztowniejszą relikwję od stu lat w Polsce każde pokolenie przekazuje następnemu.

I takim być musiał w chwili powrotu, gdy w ręce swe ujął kierunek spraw narodowych.

Jako punkt wyjścia dla działań powstańczych wybrano Kraków. Dnia 23 marca 1794 roku, w mieście, z którego dzień przedtym wyszła załoga rosyjska na wieść o zbliżaniu się Madalińskiego, zjawia się Tadeusz Kościuszko i nie zwlekając, naznacza dzień najbliższy na uroczyste ogłoszenie aktu powstania i złożenia przysięgi. Noc schodzi mu na pisaniu aktu, dokonanego na zamku krakowskim przy pomocy Kołłątaja, Linowskiego i innych patryjotów. Drukarnia tłoczy go w wielkiej ilości dla rozrzucenia w mieście i w całym kraju. Prezydent Krakowa Lichocki zdaje władzę w ręce naczelnika, którego przybycie porusza ludność, podnieca umysły i wywołuje nieskończone objawy radości. Nakoniec wstaje nad Krakowem i Polską wielki dzień 24 marca 1794 roku. Od rana panuje ruch gorączkowy na ulicach miasta. Sklepy zamknięte, mieszkańcy przystrojeni świątecznie, młodzież i kobiety przybrani w wizerunki kościuszkowskie z napisami: „Wolność lub śmierć!” lub „Za Prawa i Wolność!” lub „Za Kraków i Ojczyznę”, albo wprost: „Vivat Kościuszko!” Na rynku przed ratuszem staje w paradzie bataljon piechoty z komendy jenerała Wodzickiego. Nieprzeliczony tłum zalega rynek i ulice przyległe.

Kościuszko w orszaku tak skromnym, jakiego nie miał żaden inny dyktator, staje przed rozwiniętą linją wojska — na miejscu, które oznacza dziś pamiątkowa płyta kamienna. Na cześć upragnionego wodza wybuchają długo niemilknące okrzyki. Naczelnik daje znak — i wśród uroczystej ciszy zaczyna się akt złożenia przysięgi przez wojsko. Zaczym stała się cisza jeszcze większa, i wśród niej w obliczu ludzi i wojska uroczysty, promieniejący, natchniony „z licem słodkim”,

„z oczyma podniesionemi w górę", Tadeusz Kościuszko odkrywszy głowę i ująwszy oburącz miecz, poświęcony w kościele Kapucynów, zaprzysiągł te słowa:

„Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, że powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania Samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Męko Syna Jego."

Wśród tłumów zerwała się burza radości. Okrzyki szczęścia i zapału towarzyszyły Naczelnikowi, który w otoczeniu jenerałów, oficerów, mieszczan i ludu udał się natychmiast na ratusz, gdzie miał być solennie ogłoszony Akt Powstania. Poprzedził go Kościuszko mową, w której wzywał do brania udziału w walce ludzi wszelkich stanów: szlachtę, księży, mieszczan, chłopów i Żydów, a oświadczywszy, że od nikogo z obywateli nie żąda przysięgi, „bo ten interes jest wspólnym interesem tak moim, jak WPanów", oddał głos Linowskiemu, który odczytał wiekopomny „Akt powstania obywatelów mieszkańców województwa krakowskiego."

Po przeczytaniu, jak świadczy p. Filip Nereusz Lichocki, prezydent miasta Krakowa, „wielki stał się z radości łoskot i różne wołania" — a na akt posypały się dziesiątki, setki i tysiące podpisów obywatelskich. Akt to był niezwykły, po raz pierwszy bowiem w dziejach Polski lud występuje w nim obok szlachty jako czynnik rozstrzygający o najważniejszych zadaniach publicznych, o bycie państwa. Po raz pierwszy obok podpisów obywateli herbowych znalazły się nazwiska tych, co dotąd przez wieki milczeć musieli. Na chwałę „szlacheckiego narodu", którego wyłączna rola dobiegała swego kresu, zapisać należy ów dokument pamiętny, spisany i ogłoszony przez szlachcica Kościuszkę przy współudziale Linowskich, Czapskich, Wodzickich — karmazy-

nów i urodzonych kandydatów na tron królewski. Konstytucja 3 maja przywróconą została wolą wszystkich stanów województwa krakowskiego. Zgodnie z duchem jej, przyjmującym konieczność ciągłego postępu, uczyniono wielki krok naprzód. Wyrzeczono się uroczyście, jawnie „wszelkich przesądów i opinji, które obywatelów, mieszkańców jednej ziemi i synów jednej ojczyzny dotąd dzieliły", złączono się w „duchu narodowym, obywatelskim i braterskim" dla wspólnego celu publicznego, dając aktowi powstania i jego władzom uprawnienie, jakiego nie miały wszystkie akta, wychodzące z izb sejmowych i kancelarji królewskiej w Warszawie.

Pamiętne zgromadzenie na ratuszu krakowskim powzięło zaraz po obwołaniu dyktatury narodowej Kościuszki drugą uchwałę, upoważniającą go do powołania pod broń ludu wiejskiego — wszystkich mężczyzn zdatnych do walki od 18 do 28 roku życia. To było bezpośrednie wcielenie wygłoszonych dopiero co haseł. Polska, wyrzekająca się „przesądów i opinji", które „dzieliły mieszkańców jednej ziemi", wkraczająca uroczyście w nowy okres dziejów swoich, uznawała lud chłopski „za obywatelów". Było to zdarzenie epokowej doniosłości.

A ten serdeczny, dobry lud polski, niepamiętny upośledzenia i poniżenia swojego, szedł na pierwsze zawołanie ochotnie i radośnie, gotowy dać życie za przyznane sobie zaszczytne prawo. Zapiszmy złotemi głoskami nazwiska trzech flisaków czernichowskich, owego Wojciecha Sroki, Tomasza Brandysa i Jana Grzywy, co na potrzeby wojenne ofiarowali zaraz dwadzieścia galarów i dołożyli wysypany do baraniej czapki swój grosz wdowi — dzielnych chłopów krakowskich, przed któremi Kościuszko zdjął kapelusz jeneralski i odrzuciwszy go, rzekł piękne słowa: „Muszę mieć ręce wolne, abym was mógł do serca swego przycisnąć." Więc nie było próżnym to pierwsze odwołanie się ojczyzny do swojego ludu, pierwsza pobudka patryjotyczna, skierowana do chłopa!

Upłynęło też kilka dni zaledwie, a pod chorągwią stanęło 2000 Krakusów od pługa i roli i 500 górali polskich.

Płomień zapału obywatelskiego ogarnął mury starego Krakowa. Znoszono pieniądze, broń, żywność, ubranie, wszelki zdatny towar kupiecki. Sprzedawano ślubne obrączki, by pomnożyć kasę narodową, kobiety pozbywały się klejnotów. Nie mogły pomieścić pobożnych kościoły, w których odprawiały się nabożeństwa na intencję sprawy narodowej. Zapał wstrząsał narodem, obudzonym ze snu stuletniego.

Ostatnia nobilitacja

przez Józefa Szujskiego.

Było to w kwietniu 1794 roku w śliczny dzień wiosenny. Chociaż był to wyborny czas do roboty, w Rzędowicach żaden pług nie wyjechał w pole, bo ten dzień był uroczystą narodową niedzielą dla Rzędowian.

Miano powitać wracającego z pod Racławic Kościuszkę i jego zwycięskich wiarusów. Jakoż ruch niezwykły panował we wsi: kobiety pomagały starościnie gotować obiad dla bohaterów, a starsi chłopcy przyrządzać ławy i stoły; ba, nawet pacholęta i dziewczątka stawiały z gorączkowym pośpiechem bramę tryumfalną z świeżo rozpękłych wiklin i wiecznie zielonej choiny.

Przez tę to bramę tryumfalną przeciągnęła tęgim kłusem straż przednia wojska polskiego, salutując przyjaźnie zgromadzony lud i oznajmiając szybkie Kościuszki przybycie. Przeciągnął regiment Wodzickiego, który sam z kilkoma oficerami sztabu pierwszy zawitał do dworu.

Starosta, skoro doniesiono, że Kościuszko nadjeżdża, przywdział śpiesznie kontusz i żupan swego województwa, przypiął karabelę i podając rękę starościnie, rzekł uroczyście:

— Chodźmy, chodźmy, serce moje, przywitać go chlebem i solą.

Wszystko, co żyło, pośpieszyło ku bramie, a z kościoła parafjalnego ozwały się radośnie dzwony.

Na czele kosynjerów, w białe sukmany odzianych, jechał na siwej klaczy pan Tadeusz Kościuszko, w stroju tychże kosynjerów, w czerwonej rogatywce na głowie. Anielski miał spokój na twarzy, dziwną, rzewną łagodność w oku. Koło ust igrał mu uśmiech radości wielkiej, radości niesamolubnej, radości, jaką tylko niebianie czuć potrafią.

Potrójne: „Niech żyje!" ozwało się po obu stronach bramy; deszcz kwiatów lunął pod kopyta siwoszki, a pan Kościuszko zsiadł z konia i zdjąwszy czapkę, zbliżył się do starostwa, podających mu na srebrnym półmisku chleb i sól.

Starosta ujął Kościuszkę w długi serdeczny uścisk.

Równocześnie ozwała się muzyka wiejskich skrzypiec i basów. Była to niespodzianka, zgotowana przez organistę miejscowego, znakomitego muzyka wiejskiego.

Rozpoczęła się wnet podwójna biesiada, we dworze i na dziedzińcu, a gdy wreszcie wstano od stołu, Kościuszko, podając rękę starościnie, szepnął adjutantowi rozkaz zebrania wojska, stojącego w Rzędowicach.

Zwróciwszy się potym do patryjotycznej niewiasty, wyrzekł, całując ją w rękę:

— Moje najserdeczniejsze podziękowanie w imieniu sprawy narodowej za szlachetną pomoc, przysłaną mi przez Bartosza Głowackiego. Odebrałem cztery tysiące pięćdziesiąt dukatów.

— Cztery tysiące pięćdziesiąt? Ja posłałam tylko cztery tysiące. Rozumiem, to dar świętszy i szlachetniejszy stokroć, to dar z dymnej chaty włościańskiej, to dar Głowackiego, praca kilku lat może, może kilkunastu.

Kościuszki oko zabłysło łzą.

W tej chwili ozwały się bębny pułku Wodzickiego.

Wojsko ustawiło się w jedno wielkie półkole, którego boki obległa gromada rzędowicka. W środku powiewał sztandar z orłem białym.

Oficerowie sztabowi, starostwo oboje i Naczelnik wyszli przed front wojska. Adjutant naczelnego wodza donośnym głosem wezwał Bartosza Głowackiego.

Oficer kosynjerski wystąpił pewnym krokiem przed front, nie mogąc się atoli pozbyć pewnej układności chłopa, zbliżającego się do pana.

Starosta zbliżył się do Bartosza, a złożywszy rękę na jego ramieniu, rzekł głośno i uroczyście:

— Mój kochany Bartoszu, dumny jestem, żeś się w mojej wsi urodził. Daję ci świadectwo, jakoś był zawsze pracowitym a poczciwym rolnikiem, a pan Naczelnik powiedział mi, jak dzielnym czynem przyczyniłeś się do zwycięstwa. Ten czyn rycerski każe mi odstąpić cię ojczyźnie: a więc ogłaszam, że odtąd jesteś wolnym człowiekiem, wolnym od wszelkich obowiązków poddańczych. Kmieca rola twoją jest odtąd, a to prawo własności i wolności przechodzi na twoje dzieci. Niech ci Bóg błogosławi!

Bartosz skłonił się, a wnet Naczelnik ozwał się w te słowa:

— Żołnierze! Widzieliście wszyscy waleczny czyn obecnego tutaj włościanina, Bartosza Głowackiego. Starodawny zwyczaj naszej ojczyzny nakazuje, aby odszczególniający się w boju i dobrze zasłużony Polsce ozdobiony był zaszczytem szlachectwa, na znak, że szlachetnie służył krajowi, aby pieczętował się herbem, przypominającym potomkom obowiązek podobnej służby. Stosując się do tego starożytnego zwyczaju, ja, Naczelnik siły zbrojnej narodowej, najwyższą władzę w Polsce dziś piastujący, czynię cię, Bartoszu, wraz z potomkami twemi szlachcicem, i nadaję ci herb mój własny, herb Roch. Niech żyje porucznik Głowacki.

Głośne: „Niech żyje!" rozległo się w powietrzu.

— A wy — mówił dalej Kościuszko — sąsiedzi i towarzysze jego! Wiedzcie, że powołani przez ojczyznę, macie otwartą drogę do serca tej matki, która każdemu wedle jego zasług wynagrodzi.

Kosynjerowie z krzykiem pogarnęli się ku Kościuszce, całując jego ręce i szaty. Bartosz, ocierając oczy sukmaną, chciał wodza ująć za kolana, ale Kościuszko objął go i uściskał.

Przy wieczerzy Głowacki siedział z żoną wśród gości dystyngowanych. Trudnoć go było nakłonić do tego, ale nareszcie ustąpił naleganiom starosty. Kościuszko, siedząc obok niego, szepnął mu z uśmiechem:

— Mości poruczniku, skądże to do czterech tysięcy dorosło pięćdziesiąt?

Bartosz zaczerwienił się, jak dziewczyna:

— Stąd mój Bartoszu — dodał Kościuszko — żeś był szlachcicem pierwej, nimeś nim został.

Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta

przez Franciszka Karpińskiego.

(ELEGJA NA UPADEK POLSKI).

Ty śpisz Zygmuncie! a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!...
Ty śpisz! a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
Gorzkie wspomnienie! Gdy szczęście przeminie,
Czemuż i pamięć o nim nie zaginie?

Nie zostawiłeś syna na stolicy
Przez jakieś na nas Boga rozgniewanie,
Któregoby wnuk dziś po swej granicy
Rozrzucał postrach i uszanowanie!...
Po tobie poszła na handel korona
Tron poniżony i rada stępiona!

Ojczyzno moja! na końcuś upadła!
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!...
Ta co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę!...
Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza!
W tym ciele bywa miljonów dusza!

Patrzcie! matczyne jakieś leży dziecię!...
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą szlachetne wychodziło życie!
On nie uciekał, bo z przodu zadana!
Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy,
Zdaje się gniewać, za co nieszczęśliwy?

A tam poczciwość, kościół, wstyd zgwałcony,
Pożarem całe spłonęły osady!...
W dom gorejący właściciel wrzucony,
Pierwej mu wszystkie zrabowano składy.
Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
Gdzie pojźrzysz, rozpacz, trupy, zgorzeliska!...

Wy, co domowe opłakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny!
W tylu przygodach wasz oręż zwycięski
Pokazał światu, że i Polak zręczny!
Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę?
Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione!...

Oto krwią piękna ziemia utłuszczona,
Konia i jeźdźca dzikiego wytucza,
A głodne dzieci matka przymuszona
Już nie swojego języka naucza!...
Tak jest, jak twardy wyrok jakiś kazał:
Inszych popisał, a Polskę wymazał!...

Wisło! nie Polak z ciebie wodę pije,
Jego się nawet zacierają ślady.
On dziś przed swoim imieniem się kryje,
Które tak możne wsławiły pradziady!...
Już białym Orłem i bratniej Pogoni
Świat się, przed laty nawykły, nie skłoni...

Zygmuncie! przy twoim grobie,
Gdy nam już wiatr nie powieje,
Składam niezdatną w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję,
I te lutnią biednę!
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały!

Legjony

przez Bronisława Dembińskiego.

Po ostatecznym upadku ojczyzny i dokonanym trzecim rozbiorze, poważnym i głębszym umysłom musiały przypomnieć się prorocze słowa Skargi, wypowiedziane wtedy, kiedy jeszcze był czas wniknąć w siebie: „Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby, ozdobności i rozkosze mieć mogli? Urodzi się wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę stracicie, już o drugiej nie myśleć.”

A wtedy jednak szlachetnych synów narodu myśl była wytężona, aby zaraz wskrzesić ojczyznę i do życia powołać. To też nad wszystkiemi głosami żalu i rozpaczy, nad wszyst-

kiemi skargami, jakie wyrwały się z piersi zbolałej, góruje jeden głos — wielki, jedno hasło — potężne, które stało się zarazem pobudką wojenną: „Jeszcze nie zginęła". Głos ten wydobył się z głębi duszy i był głośnym protestem wobec świata przeciw gwałtom, protestem narodu, który dźwigał się w niemocy wewnętrznej i widocznie się odradzał.

Maciejowice, to tylko nieszczęśliwa bitwa, ale nie ostateczna i stanowcza przegrana. — Do nowych czynów rwały się serca, do zwycięstw.

Naród nie był tedy usposobiony, aby zamknąć się w sobie i skupić, powoli, mozolnie i cierpliwie dźwigać gmach, który runął, aby z chwilą, gdy ucichły jęki na Pradze, powrócić do domu, nieraz pustego i zburzonego. „Szczęścia w domu nie było, bo go nie było w ojczyźnie". A więc dalej w świat, za granicami Polski dla Polski podjąć pracę, któraby zaraz prowadziła do celu, podjąć akcję dyplomatyczną i militarną, nawiązać i utrzymywać stosunki z obcemi dworami, polskiej sprawie przychylnemi, aby tym sposobem zaznaczyć trwający byt polityczny pomimo rozbiorów, ale przedewszystkim, co więcej chwytało za serce, bić się, gdzie wrzała walka.

W kraju, po upadku i stłumieniu powstania Kościuszki trudno było zrywać się do nowych zapasów z trzema potęgami. Ale na zachodzie toczyła się właśnie wielka walka z temi państwami, które Polskę rozdarły, wojna republiki francuskiej z koalicją. To też Polska była naturalnym sprzymierzeńcem republiki. Walki we Francji zapowiadały pogrom nieprzyjaciół. Nowa gwiazda, jaka ukazała się na niebie, rażącym krwawą łuną pożogi rewolucyjnej, dobrze wróżyła sprawie wszystkich wolnych ludów. Gienjusz Bonapartego zwracał powszechnie na siebie uwagę. Sława jego rozchodziła się po całym świecie, budząc trwogę u jednych, a radość i nadzieję u drugich. Głośne tryumfy wodza, prowadzącego szeregi od zwycięstwa do zwycięstwa we Wło-

Jenerał Henryk Dąbrowski.

szech, znalazły żywe echo w Polsce, nęciły niespokojnie umysły i porywały serca, stęsknione za szczękiem oręża, a żądne czynów.

Do Paryża podążył też Dąbrowski i tu przedkłada rządowi francuskiemu projekt, dowodzący konieczności utworzenia legjonów polskich przy armji nad Renem i we Włoszech. Korpusy ochotników polskich, utworzone przy armji francuskiej, oddałyby wielką usługę i Francji i Polsce. Legjony te „pracowałyby nad utrzymaniem usposobienia patryjotów w kraju do gotowości walki — przeciw rządom, nieprzyjaznym systematowi Rzeczypospolitej francuskiej."

Myśl taka odpowiadała istotnym zamiarom i najgorętszym pragnieniom wszystkich wygnańców, zebranych w Paryżu, gdzie utworzył się nawet rodzaj rządu narodowego, tak zwana „delegacja". Legjony miały być tylko początkiem i zawiązkiem armji polskiej, przeznaczonej, aby dopiero w kraju główną zacząć akcję i nowy wywołać wybuch.

Dyrektorjat przyjął przychylnie cały projekt i upoważnił Dąbrowskiego, aby udał się do naczelnego wodza Bonapartego.

Bonaparte zdobywał właśnie we Włoszech wawrzyny w licznych bitwach i zwycięstwach. Uchodził za jakieś zjawisko nadzwyczajne, zapowiadające nową epokę w życiu narodów uciśnionych. Z uwielbieniem bez granic odzywa się też do Bonapartego jeden z polskich tułaczów, który w Konstantynopolu podjął się misji dyplomatycznej, Michał Ogiński.

Bonaparte odpowiedział przez swego adjutanta Sułkowskiego, że „kocha Polaków, a podział Polski uważa za czyn niesprawiedliwości, który nie może się utrzymać", zapowiadał też, że po skończeniu wojny we Włoszech pójdzie sam na czele Francuzów, aby zmusić Rosję do przywrócenia Polski, ale Polacy mieli sami, nie licząc na pomoc zagraniczną, uzbroić się i niepokoić nieprzyjaciela. Dąbrowski zastał tedy już grunt dobrze przygotowany. Bonaparte zajął się projektem utworzenia legji polskiej.

„Walczmy za wspólną sprawę narodów, za sprawę wolności — trofea Rzeczypospolitej francuskiej są naszą jedyną

nadzieją, przez nią ylko i jej sprzymierzonych odzyskamy te drogie ogniska nasze, które opuściliśmy ze łzami" — tak kończy się odezwa.

Przez służbę w imię wspólnego dobra i szczęścia ludzkości chciały legjony odzyskać ogniska domowe. Legjony pod obce zaciągały się sztandary i na obcej miały walczyć ziemi, ale jedynym ich pragnieniem było, aby w zwycięskim pochodzie dotrzeć do Polski i naród cały powołać do broni.

W przeciągu kilku miesięcy stanęło 6000 Polaków pod sztandarem legjonów. Opuszczali oni szeregi armji austryjackiej, śpieszyli z kraju wbrew wszelkim zakazom z narażeniem życia i mienia, aby walczyć, zwyciężyć i do kraju wrócić. Mnożyły się tedy szeregi legjonistów, a zdobywały sławę dzielności żołnierskiej i nieustraszonej odwagi.

Oprócz legjonów włoskich powstaje zgodnie z pierwotnym projektem Dąbrowskiego nowy oddział nad Renem. Wielkie imię Kościuszki, opromienione powszechną czcią narodu i sławą europejską, dawało nową sankcję legjonom i dodawało walce uroku. Walka krwawa i mordercza pochłaniała liczne ofiary, ale nie żal było trudu i krwi, która miała odkupić ojczyznę. Ta nadzieja krzepiła serca, chroniła od zwątpienia i rozpaczy. Świetne zwycięstwa armji republikańskich zapowiadały jak najlepszy skutek sprawie narodowej.

Tymczasem w chwili rozbudzonych nadziei zawarł Bonaparte pokój w Luneville, w którym o Polsce mowy nie było. Okrutnie zawiodły nadzieje; bolesne nastąpiło rozczarowanie. Obudziła się też nieufność i niechęć do tego, w którym wielkie, zbyt wielkie pokładano nadzieje.

Zdobycie Samo-Sierry

przez jenerała Puzyrewskiego.

Napoleon z niecierpliwością oczekiwał rezultatu ataku. Ten jednak trwał zbyt długo; trudne warunki miejscowe, które należało pokonywać, konieczność ciągłego orjentowania się w okolicy górskiej, gdzie z każdego punktu otwiera się inny horyzont, potrzeba dzielenia wojska na coraz drobniejsze części, gdy dowódca już nie jest w stanie niemi kierować ku wspólnemu celowi, zwykle w takich warunkach walkę rozdrabniają, zamieniając ją w częściową strzelaninę. Tutaj opór nieprzyjaciela, z po za ukrycia obrzucającego kulami atakujących, przedłużał bitwę. Podczas gdy piechota francuska wytężała wszystkie swe usiłowania w walce z naturą i nieprzyjacielem, Napoleon zniecierpliwiony i rozdrażniony napotykanym oporem, przybył do przesmyku w miejscu, gdzie szosa wpada do wąwozu.

Nie zważając na zasypujące go dokoła kule, z uwagą śledził przebieg walki, starannie przepatrując miejscowość i nieprzyjaciela. W chwili, gdy się zdawało, że pogrążony był w swych obserwacjach, wydał niespodziewany rozkaz:

Trzeci szwadron pułku szwoleżerów polskich ma natychmiast atakować działa nieprzyjacielskie umieszczone na gościńcu.

Ponieważ w pułku nie był obecny dowódca szwadronu, więc komendę tymczasem miał nad nim Kozietulski. Szwadron składał się z dwuch kompanji, i ogólna liczba, razem z podoficerami, wynosiła około 125 ludzi. Na uwagę, że atak jazdy jest niemożliwy, cesarz żywo uderzył ręką po łęku kulbaki i zawołał:

— Jakto niemożliwy? nie rozumiem tego wyrazu! Dla Polaków niema nic niemożliwego!

Kozietulski, otrzymawszy rozkaz ataku, natychmiast

sformował szwadron w kolumnę czwórkami i dobywszy szabli, z okrzykiem „niech żyje cesarz!” rzucił się naprzód.

Zaledwie szwadron rzucił się naprzód, gdy część żołnierzy padła pod kulami Hiszpanów, strzelających spokojnie i celnie w głęboką kolumnę marszową jazdy. Na chwilę pod tym ogniem szwadron się zachwiał, ale przytomność umysłu oficerów uspokoiła żołnierzy i szwadron z niepowstrzymanym pędem i fantazją puścił się naprzód. W biegu dowódca stracił konia i znalazł się pod kopytami jeźdźców, ale wskoczył znowu na drugiego konia i wiódł dalej szarżę. Szwadron leciał naprzód. Ani dowódcy, padający od kul, ani jęk ranionych i tratowanych żołnierzy nie powstrzymały ataku. Nic się nie oparło temu szalonemu huraganowi: działa stojące u węgłów gościńca zostały zdobyte, obsługa zrąbana lub rozproszona, i garść ocalałych żołnierzy polskich dopadła do samego wąwozu, t. j. do głównej pozycji Hiszpanów, gdzie niektórzy jeźdźcy padli na ostatnich armatach nieprzyjacielskich, ostrzeliwających gościniec. Cały atak trwał zaledwie kilka minut; Hiszpanie przerażeni jego nagłością, szalonym pędem i dzielnością, a również widokiem ukazującej się w pobliżu piechoty francuskiej, straciwszy wiarę w obronność swej pozycji, zaczęli się stopniowo opuszczać i odwrót powoli zamienił się w ucieczkę.

Straty, które poniósł szwadron, były bardzo dotkliwe, prawie połowa bowiem jeźdźców polskich poległa, ale też rezultaty, otrzymane przez szarżę, warte były nieporównanie większych ofiar. Sama szarża należy do najśmielszych, jakie kiedykolwiek historja jazdy nam przekazała. Okryła ona pułk największą chwałą.

Gdy nazajutrz po bitwie pod Samo-Sierrą, pułk lekkokonny polski maszerował obok biwaków korpusu Victora, żołnierze francuscy stanęli pod bronią, wołając:

— Niech żyją waleczni!

W tejże chwili ukazał się Napoleon i rozkazał Krasińskiemu pułk sformować. Potym cesarz, zdjąwszy kapelusz przed frontem pułku, zawołał: „Uznaję was za najwaleczniejszą jazdę!” i przy dźwiękach muzyki kazał pułkowi przedefilować przed sobą.

Cesarz Aleksander I i Adam Czartoryski

z Pamiętników Adama Czartoryskiego.

Zimą 1796 roku częste festyny, teatry, przejażdżki u Dworu dały mnie i bratu sposobność bliższego zapoznania się z Wielkiemi Książętami, którzy nas z widoczną uprzejmością traktowali.

Wielki Książę[1]) odbywał czasem przechadzki swoje po wybrzeżach Newy; spotkawszy mnie pewnego dnia, oświadczył, że żałuje, iż mnie widuje tak rzadko i kazał mi przyjść do siebie, do Taurydzkiego pałacu, którego ogród chciał mi pokazać. Naznaczył dzień i godzinę.

Słuchając tego zaproszenia, nie przewidywałem, iż zbliża się chwila, która na los wielkiej części życia mojego, a nawet na los Polski ważny wpływ wywrzeć miała.

Stanąłem w dniu i godzinie naznaczonej w Taurydzkim pałacu; żałuję, żem nie zapisał sobie dokładnej daty. Od tego dnia i od rozmowy, którą mam opowiedzieć, rozpoczęło się moje serdeczne oddanie się Wielkiemu Księciu, mogę opowiedzieć, że się rozpoczęła przyjaźń nasza, jej pobudki i cały szereg szczęsnych i nieszczęsnych wypadków, których łańcuch trwa dotąd i przez długie lata da się postrzegać.

Przebiegaliśmy ogród we wszystkich kierunkach, pod-

---

[1]) Późniejszy cesarz Aleksander I.

czas ciągle ożywionej i nieustającej rozmowy, która trwała godzin trzy.

Wielki Książę powiedział mi, że moje i mojego brata postępowanie, nasze poddanie się trybowi życia, który dla nas nieprzyjemnym być musiał, spokój i obojętność, z jaką przyjmowaliśmy niemiłe dla nas łaski, nie odpychając ich i nie przywiązując żadnej do nich wagi, zjednały nam jego szacunek i zaufanie; że miał sympatję dla uczuć naszych, odgadywał je i potwierdzał; że czuł potrzebę odkryć nam swój rzeczywisty sposób myślenia; że nie mógł znieść tej myśli, iż moglibyśmy go sądzić inaczej, niż na to rzeczywiście zasługiwał. Powiedział mi wtenczas, że nie podzielał wcale pojęć i doktryn gabinetu i Dworu; że dalekim jest od pochwalania polityki swojej babki; że najlepsze nosi w duszy życzenia dla Polski podczas pełnej chwały jej walki; że ubolewa nad jej upadkiem; że Kościuszko w jego oczach jest wielkim człowiekiem przez swoje czyny i przez sprawę, której bronił, a która jest sprawą ludzkości i sprawiedliwości. Wyznał mi, iż nienawidzi despotyzmu wszędzie, w jakikolwiek on sposób się objawiał; że miłuje wolność, że ona się wszystkim ludziom zarówno należy; że rewolucja francuska zajmuje go najmocniej i że ubolewając nad jej straszliwemi zboczeniami, życzy powodzenia Rzeczypospolitej i z niego się cieszy. Mówił mi ze czcią o swoim nauczycielu, p. La Harpe, jak o człowieku wysokiej cnoty, prawdziwej mądrości szczerych zasad i energicznego charakteru. Jemu zawdzięczał wszystko, cokolwiek miał dobrego, cokolwiek umiał, a szczególniej te zasady prawdy i sprawiedliwości, jakie czuł się szczęśliwym, że nosił w swym sercu, a jakie tenże La Harpe w duszy jego zaszczepił.

Przebiegając wzdłuż i wpoprzek ogród, spotkaliśmy kilka razy Wielką Księżnę, która przechadzała się także. Wielki Książę powiedział mi, że żona była powiernicą jego myśli, że ona jedna znała i podzielała jego uczucia, ale że

oprócz niej ja byłem pierwsza i jedyna osoba od chwili wyjazdu La Harpa, której śmiał mówić o tym, że uczuć tych nie mógł powierzyć nikomu bez wyjątku, bo w całej Rosji nikt jeszcze nie był w stanie nie tylko podzielić, ale zrozumieć ich nawet, że mogę więc pojąć, jak rozkosznie będzie mu odtąd mieć kogoś, z kim będzie mógł mówić otwarcie, z zaufaniem zupełnym. Rozmowę tę przerywały, jak łatwo wyobrazić sobie, wylewy przyjaźni, z jego, a zadziwienia i wdzięczności z mojej strony, obok zapewnień zupełnego poświęcenia. Pożegnał mię, oświadczając, że będzie się starał widywać ze mną jak najczęściej, a zalecając mi jaknajwiększą ostrożność i tajemnicę, upoważnił mię jednak do udzielenia bratu mojemu treści naszej rozmowy.

Odszedłem, wyznaję, wzruszony do głębi, nie wiedząc czy to był sen, czy, rzeczywistość. Jakto? Wielki Książę rosyjski, następca Katarzyny i jej ulubiony wychowaniec, ten, któregoby sobie życzyła, usunąwszy syna, widzieć na własnym tronie, ten, o którym mówiono, że przedłuży jej panowanie, ten Wielki Książę kochał namiętnie sprawiedliwość i wolność, ubolewał nad Polską i pragnął widzieć ją szczęśliwą? Nie byłoż cudem, że w takiej atmosferze zdołały się rozwinąć tak szlachetne myśli i cnoty tak wysokie? Młody byłem, pełen uczuć i pojęć wygórowanych; rzeczy nadzwyczajne nie zadziwiały mnie długo, chętnie wierzyłem wszystkiemu, co mi się wydawało cnotliwym i wielkim. Podbił mię łatwy do zrozumienia urok; wyrazy i postawa Wielkiego Księcia tchnęły taką szczerą prostotą i niewinnością, tak niewzruszonym postanowieniem, takim zaparciem się samego siebie, a podniosłością duszy, że zdał mi się być jakąś uprzywilejowaną istotą, zesłaną na ziemię przez Opatrzność dla szczęścia rodu ludzkiego i mojej ojczyzny.

Powziąłem dla niego przywiązanie bez granic, a uczucie, jakim mnie natchnął w tej pierwszej chwili, przetrwało upadek wszystkich kolejno złudzeń, jakie obudził wtenczas,

oparło się wszystkim ciosom, jakie mu później sam Aleksander zadał, i nigdy całkiem nie zgasło, pomimo tylu przyczyn i zawodów, mogących je zniszczyć. Opowiedziałem bratu rozmowę naszą i puściwszy zrazu wodze podziwowi i zachwyceniu naszemu, utonęliśmy razem w marzeniach o promiennej przyszłości, jaka zdawała się roztaczać przed nami.

Puławy

przez Ludwika Dębickiego.

Mury polskie dwa główne miały pod koniec XVIII wieku ogniska. Jedno na dworze Stanisława Augusta, gdzie Naruszewicz i Trembecki, jak dwie gwiazdy na cały kraj świeciły — drugie siedlisko literatury było w Puławach, nie tak silne w zasoby, ale może swobodniejsze. Latorośle tej szkoły dłużej tam przetrwały. Tam w salonach i ogrodach puławskich spotykało się codziennie i żyło poufale z światłemi, a zarazem najzacniejszemi w Polsce ludźmi, to z Karpińskim, którego dobroduszność i szczerozłota prostota wznosi się często do wysokiej poezji—to z księdzem Piramowiczem, sekretarzem najczynniejszym „Komisji do ksiąg elementarnych"—albo z Zabłockim, znanym z rzewnych uczuć i z ostrego pióra, lub z Kniaźninem, nie znającym innego życia, tylko ojczyznę i poezję—to nareszcie z Ignacym i Stanisławem Potockiemi, uczoności i światłego, stałego patryjotyzmu wzorami.

Puławy, zawsze pełne, tworzą nowy świat, wcale odmienny od zwykłej możnowładców klijenteli z czasów saskich. Znika tu tłum dworaków, zastępuje go zastęp przyjaciół, szukających ogłady i nauki, literatów, poetów, artystów, młodzieży, którą książę Adam Czartoryski zawsze chętnie wkoło siebie gromadził. W spisie mieszkańców Puław nie spoty-

kamy już dawnych rezydentów z różnemi tytułami i do różnych funkcji, owych dworzan rękodajnych, pokojowców, noszących barwy książęce. Natomiast w przybocznej kancelarji księcia, do rozległej korespondencji politycznej i naukowej, do rzeczy sejmowych, pracowało zawsze kilku sekretarzy pod okiem i ręką księcia.

Niemcewicza długi a tak pełny żywot, od pierwszej młodości do ostatnich na wygnaniu lat, zrósł się i zespolił z rodem Czartoryskich. Odwieziony przez ojca na dwór księcia jenerała do Wołczyna, odbywszy następnie szkołę kadetów pod jego zwierzchnictwem, był jednym z najulubieńszych wychowanków księcia, adjutantem jego przybocznym, towarzyszem nauk i kolegą broni synów, wspólnikiem prac i zamiarów, najściślejszym przyjacielem i najulubieńszym gościem puławskim, jak niebawem kolegą sejmowym i sojusznikiem politycznym. Jak za młodu Juljan Ursyn należał do składu dworu Czartoryskich, tak później w przerwach kampanji, kilkakrotnej emigracji amerykańskiej i europejskiej, więzienia petersburskiego, zgoła pełnego przygód żywota, powracał on do Puław jak do domu rodzicielskiego; w czasach zaś oddalenia stałą utrzymywał korespondencję z księciem jenerałem i księciem Adamem.

Kościuszko oddawna zaliczał się do przyjaciół puławskich. Jeszcze w szkole rycerskiej w Warszawie należał do ulubieńców księcia jenerała — później nieraz przebywa w Sieniawie i tutaj wraz z przyjacielem Niemcewiczem obaj postanawiają wyprawę po złote runo sławy na drugą półkulę, gdy nadeszła wieść o powstaniu amerykańskim, a książę jenerał obu zaopatruje w pomoc pieniężną i polecenie. W pałacu sieniawskim, pokój, w którym mieszkał w owej epoce przyszły naczelnik narodu, zachował na zawsze nazwę „pokoju Kościuszki".

Jak w składzie dworu i urządzeniu, tak i w sposobie obcowania, siedziba księstwa jeneralstwa odróżnia się wielce od

wszystkich współczesnych rezydencji wielkopańskich. Dawno już przysłowie o równości szlachcica na zagrodzie z wojewodą przeszło w legiendę, było czczym brzmieniem, wznowieniem tylko przy kielichach wotów sejmikowych. Pod koniec swej przewagi panowie polscy, możniejsza szlachta, potęgują wyniosłość i dumę, ulegają niepomiernej próżności, parodjując śmiesznie etykietę monarchiczną z zakrojem nieco azjatyckim. Siedząc na tronie, udzielali posłuchania nawet tacy, co pierwszych w Rzeczypospolitej nie zajmowali stanowisk. Wszelkie dokumenty owych czasów napuszystości tej dają miarę, gdy zwykle zaczynają się monarchiczną formułą: „My z bożej łaski” wojewoda, kasztelan, lub nawet prosty starosta.

Dziwactw podobnych bez liku opowiadają przeszłowieczne pamiętniki, dodając do nich mnogość szczegółów samowoli, buty i wyuzdania. Trudno podziwiać, i raczej gorszyć się trzeba obrazem przepychu, wspaniałości tych kilkudziesięciu siedzib królewiąt polskich, w czasach, gdy król prawdziwy, skrępowany w swych prawach i środkach, nie ma czym nawet zaspokoić żądz potentatów i zjednania sobie wewnętrznych aljantów wśród możnowładców.

W Puławach ostała się, owszem, spotęgowała staropolska gościnność i serdeczność, ale bez ostentacji, etykiety i impozycji. Niema tu śladu wyniosłości z jednej, a uniżoności z drugiej strony. Ktokolwiek wchodził w skład domu, objęty był wspólnym uczuciem przyjaźni. Powiał już przez ten dwór świeży powiew europejski i wprowadził w pożyciu codziennym łatwość, jednostajność i prostotę form towarzyskich. Egzaltacja księżny, dążność liberalna księcia sięgały wcześnie po za pojęcia kastowe — aż do ludu i włościan. Księżna wraz z córką Marją leczy i uczy dziatwę wiejską, zakłada ochrony, szkółki, szpitale, odwiedza chaty, sadzi przy nich sady i pisze dla ludu książki. Książę rozpisuje do rządców kwestjonarjusz, jakie ulgi da się przeprowadzić dla poddanych—i jeden z pierwszych w kraju przed wielkim

sejmem podejmuje myśl i w części ją przeprowadza: stopniowej zamiany pańszczyzny na czynsze.

Z czasów księstwa Warszawskiego

przez L. Finkla.

Przez cały miesiąc styczeń 1807 r. bawił Wielki Napoleon w Warszawie. Mieszkał na zamku królewskim. Codziennie widziano go, jak w południe, w orszaku świetnych mundurów, sam w szarej kapocie, jechał na Krakowskie Przedmieście do pułków swoich, dniem i nocą ciągnących przez Warszawę, a potym po świeżo zbudowanym moście za Wisłę. Jakież to rozmaite, jakie malownicze płynęły tędy wojska, jaki to był widok niezwykły i dla żądnej wrażeń publiczności interesujący! Wszakże tą drogą szła armja napoleońska, która świeżo pod Jeną rozbiła w puch potęgę pruską.

Na Napoleona patrzono jak na pół-boga, jak na człowieka, w którego rękach spoczywają losy całego narodu. „Co zechce, zrobić może". Już legienda tylu bitew oplotła wieniec dziwnych opowieści dokoła tej postaci gienjalnej i potężnej. Zdawna „zwiastowała go pieśń między ludem", od lat kilku wyglądano, kiedy się zjawi; zdawna lała się krew polska pod jego sztandarami—już tracono nadzieję po jednym i po drugim zawodzie — kiedy oto szedł niespodziewany, szedł nakształt huraganu, miecąc przed sobą wszystko. Pod Jeną 14 października 1806 r. zadał Prusom klęskę, jakiej nie było przykładu w dziejach; 27 października zajął Berlin i oto stał — u granic Polski.

„Idzie! idzie!" ozwał się głos jeden, potężny, wszystko przygłuszający. „Oto wybiła dla nas godzina na zegarze dziejowym, biada! jeśli z niej nie skorzystamy." Już Dą-

browski i Wybicki nadbiegli, wezwani do obozu Napoleona, i w odezwach swych zapewniali, że „Napoleon Wielki ma w swoich zamiarach narodu polskiego dźwignienie". Było to zresztą zbyteczne: po miljonach przeszło owo drżenie rozkoszne, które odrazu podniosło duchy i szable. Napoleon, ów wielki czarownik, zanim przemówił, miał już cały naród po sobie i mógł z nim robić, co chciał. Stawiali, prawda, niektórzy warunki: Kościuszko żądał wprzód ogłoszenia Polski w jej granicach przed rozbiorami, nim na wezwanie Napoleona przybędzie stanąć na czele wojska polskiego. Nawet ten głos Kościuszki przebrzmiał, utonął, rozpłynął się w jednym potoku entuzjazmu, radości, szlachetnych porywów, ofiar bezmiernych, w tym wielkim chórze mów, wierszy i dźwięków oręża, który cały kraj odrazu zamienił w jeden obóz. Tak jest: nim przemówił Napoleon, mieszkańcy ziemi sieradzkiej związali się aktem powstania narodowego. A kiedy rzucił na ten materjał zapalne słowa, „niepodobna było (według własnych słów Napoleona) dać wyobrażenia o tym ogromnym ruchu narodowym."

Radzimińskiemu, ostatniemu wojewodzie gnieźnieńskiemu, kazał Napoleon dawnym zwyczajem zwołać pospolite ruszenie przez wici do Łowicza. Szlachta siadała na koń, odróżniając się, jak ongi barwą wojewódzką. Wszyscy młodzi przebrali się w mundury i wyglądali odrazu pięknie, dorodnie i marsowo, bo wstąpił w nich ten duch wojskowy, który przeniknął naród i gnuśną jego za pruskich czasów duszę orzeźwił i oczyścił. Jedni stanowili straż honorową około osoby Napoleona, inni należeli do gwardji narodowej, którą tworzył książę Józef Poniatowski. Około niego gromadzili się dawni Kościuszkowscy żołnierze i młodzież spoglądająca nań jak na swój ideał.

Prawda, miał ten piękny obraz także swoją stronę odwrotną, bardzo przykrą: te wojska obce trzeba było żywić, codziennie dostarczać im prawie nad możność racji, a admi-

nistracja francuska była pod tym względem bez litości. Robiono też wysiłki nadludzkie w imię dobra ojczyzny i zadowolono wygórowane nawet żądania. Daleko boleśniejsza jeszcze była wśród tych festynów i owacji wśród tej gorączki i szału owa niepewność, rozdzierająca głębsze umysły. Cóż on myśli, ten człowiek? Co zamyśla z nami zrobić? Wiedzież nas do odkupienia, czy też zechce w danej chwili opuścić? Bezwiednie i nieświadomie powstawały te pytania.

Bawiono się, tańczono, weselono i zbrojono, ale odczuwano, że grunt pod nogami jest niepewny, niestały.

. . . . . .

Nastała teraz chwila wytchnienia i ciszy, chwila wielkiego rozczarowania. Miał dać Polskę, a dał tylko Księstwo Warszawskie, odrzucił konstytucję 3 maja i wszystkie prawa polskie, a podyktował jakby od niechcenia ustawę i narzucił kodeks napoleoński. Wyciągnął, co się dało z kraju, i jeszcze jenerałom swoim porozdzielał najlepsze dobra narodowe!

Ale rozsądniejsi, spokojniejsi, biegli ten upadający duch narodu dźwigać. Kołłątaj, Niemcewicz, Staszyc, najpoważniejsi obywatele odezwali się przeciw temu upadkowi nadziei.—„Waleczny narodzie!" — nawoływał Staszyc — „przestrzegam, użytkuj z czasu. Już masz punkt na twej własnej ziemi do zbrojenia się i do zbioru. Działajże cały, jak tylko możesz. Tylko nikczemny, będąc uzbrojonym, powraca znowu w haniebną niewolę."

Cóż to za radość szczera opanowała wszystkich, kiedy przybył król z królową i infantką, w konstytucji 3 maja naznaczoną na królowę polską, i kiedy 9 marca 1809 r. otwarto Izby sejmowe, zamknięte od fatalnej limity z 29 maja 1792 r., a ks. Woronicz miał porywające kazanie na temat: „Stała się prośba nasza, że nam zostawiono ostatek".

Na tym ostatku w istocie też rozwinięto działalność gorączkową. Na czele kraju stał książę, najbogobojniejszy,

najsprawiedliwszy, najrządniejszy. „Bądźmy spokojni i cierpliwi, a czas pokoju poświęcajmy naukom i ćwiczeniom się, abyśmy do boju i do usługi kraju zdolniejszemi byli”—przemówił król. Sześciu ministrów dźwigało wspólnie ciężar spraw Księstwa, i rozwinęli, o ile na to pozwalały stosunki, działalność żywą i skuteczną. Dbając przedewszystkim o rozwój oświaty, założono mnóstwo szkół po wsiach i miastach, nadto powstały nowe licea i szkoła prawa w Warszawie.

Ale mimo szczere usiłowania najwyższej magistratury niewiele można było zrobić, bo brakło pieniędzy w wyniszczonym przez wojska francuskie kraju. Mimo to, mimo prawdziwie rozpaczliwego stanu, nie tracono ducha. Chociaż z początku narzekano,—szybko dano się pociągnąć lepszym, rozsądniejszym, patryjotycznym głosom. Naród odzyskał stracony hart ducha i nabrał zaufania w siebie. Czuł się podniesionym, dźwigniętym i otaczanym opieką przez największego gienjusza, przez najpotężniejszego monarchę świata.

Książę Józef Poniatowski

Z pamiętników Kajetana Koźmiana.

Bóg nigdy nie stworzył piękniejszej duszy, ani natura nie odziała jej powabniejszą i szlachetniejszą postawą nad tę, jaką miał książę Józef Poniatowski; był w nim prawdziwy ideał rycerza z wszystkiemi wdziękami, z całym urokiem zacności, szlachetności, uprzejmości, męstwa, dobroci, a razem godności, które się w jego wejrzeniu, w jego twarzy, w jego każdym ruchu malowały. Nie dziw, że miał szacunek, miłość i uwielbienie współziomków, bo na nie zarabiać umiał. Jako minister wojny nie był na swoim miejscu, do mozolnej pracy umysłowej nie był zdolny, dla niego koń, szabla, plac boju, lub przynajmniej obroty wojska były naj-

ulubieńszym zatrudnieniem. Będąc jednym z najlepszych i najzręczniejszych jeźdźców Polski, najpiękniejszym był na czele szeregów, gdy wypuścił koniowi wędzidło i na przodzie, w czapce hułańskiej na bok na głowie opuszczonej, pędził. Nie równał się on zapewne talentami, naukami ani Tarnowskiemu, ani Zamojskiemu, Żółkiewskiemu, Chodkiewiczowi lub Sobieskiemu, którzy razem jak wodzowie i jak mężowie polityczni i wojsku i narodowi z chwałą przewodzili, lecz świetnością odwagi żadnemu nie ustępował. Był to wódz rycerz z innych czasów, podobniejszy do Bayardów, Kondeuszów. Rzecz szczególna, wychowany, acz w Polsce, lecz po zagranicznemu, tłumaczący się łatwiej zagranicznemi językami, niż narodowym, w służbie austryjackiej kilka młodych lat przepędziwszy, za wzorem dawnych Polaków, prócz ogłady, nic zagranicznego do kraju nie przyniósł.

W roku 1791 mianowany przez króla naczelnym wodzem części wojska, przeznaczonego odpierać nieprzyjaciół na Ukrainie, gdzie po raz pierwszy złożył dowody dzielności i talentów wojskowych, miał Kościuszkę pod swoim dowództwem. W trzy lata później, gdy Kościuszko podniósł oręż, zaraz po bitwie racławickiej, a raczej nieszczęśliwej pod Szczekocinami, przybiegł do obozu naczelnika z prośbą, aby ten, któremu on niedawno dowodził, przyjął go pod swoje dowództwo, jako chcącego życie na jakim bądź stopniu za ojczyznę położyć. Po traktacie tylżyckim i ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego zamianowany został dowódcą armji i razem ministrem wojny. W roku 1809 w rozpoczętej wojnie między Francją i Austrją, z szczupłemi, ledwie kilkanaście tysięcy wynoszącemi siłami, bez dostatecznej artylerji i dział, miał zasłonić księstwo przeciw przeważnym, 40.000 wyborowego wojska liczącym siłom arcyksięcia Ferdynanda, grożącego napadem od Krakowa. Ani naród, ani wojsko nie zawiodło się na waleczności i na rycerskich zdolnościach Poniatowskiego. Stoczył morderczą bitwę pod Raszynem,

Książę Józef Poniatowski.

w której i własną odwagą i zręcznemi obrotami zadziwił dziesięć razy potężniejszego nieprzyjaciela, poczym śmiałym napadem zaatakował Galicję i znaczną jej część zdobył na

Austrji. W trzy lata potym bohaterskich czynów dokonał w wyprawie Napoleona na Moskwę, dowodząc piątym korpusem armji. Wiadomy jego koniec. Przesunął się do Napoleona przez kraj mu nieprzyjazny. Walczył pod Lipskiem, został marszałkiem francuskim. Spotkał go przy uzyskaniu tej godności zaszczyt, iż wszyscy marszałkowie francuscy, zebrani, podziękowali Napoleonowi, że ich grono tak znakomitym wodzem zaszczycił. Czwartego dnia okropnej pod Lipskiem bitwy, dwa razy raniony, z konia nie zsiadł, cofał się za wojskiem francuskim z szczątkami swojej kolumny. Zastawszy most na Elsterze wysadzony, nie zostawało mu, jak się poddać. Tak mu radzono, bo już żadnego możebnego środka nie zostawało. Rzeka była błotnista, głęboka, brzegi jej wysokie, on sam osłabiony ranami, koń prawie bez tchu. Widząc zbliżających się nieprzyjaciół, dobył raz ostatni oręża i wyrzekłszy te pamiętne słowa: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu samemu go oddam" rzucił się w rzekę; już dopływał brzegu, gdy ostatnią kulą ugodzony, poszedł pod wodę.

Tak zakończył żywot godny pióra Plutarcha. Odebrał też cześć, jaka tak szczytnemu wyznawcy i ofierze rycerskiego honoru należała. Naród cały zapłakał, okryła serca żałoba. Swoi i obcy, sprzymierzeni i nieprzyjaciele ubiegali się w złożeniu hołdu pamięci i sławie jego. Wojsko, osierocone po ulubionym wodzu, wyprawiło mu obchód pogrzebowy w Sedon. Wodzowie polscy wystawili mu skromny pomnik na brzegu rzeki, na który ciało jego wydobyto.

Księcia Józefa Poniatowskiego niełatwo porównać z innemi naszemi wodzami. Umiejętnością sztuki wojennej nie był od nich pośledniejszym, a miłością ojczyzny i osobistą walecznością najcelniejszym wyrównał. Z rodzaju męstwa najwięcej się zbliżał do Stefana Czarnieckiego, bo, tak jak on, lubił łączyć stopień żołnierza ze stopniem wodza. Jak on, pragnął osobiście walczyć, wystawiać się na niebezpie-

czeństwa i płacić je krwią swoją. I narażał się nieraz, jak wódz narażać się nie był powinien. Wśród ognia walki zazdrościł placu tym, którzy się z nieprzyjacielem pierś z piersią, ręka z ręką spotykali. Żołnierz polski i dowódcy na błysk jego pałasza patrzyli, jak ich przodkowie na połysk szczerbca Chrobrego, lub Batorego szabli. Żaden wódz, ani z obcych, ani z narodowych nie dopiął takiego stopnia miłości w wojsku, jaką nasze miłością ku niemu pałało. Czarnieckiego kochano, lecz bano się jego surowości. Poniatowski samą czystą miłością wiódł do sławy swoje szeregi. Kochano go nie dlatego, że pobłażał, jak dlatego, że się nigdy nie gniewał i nie mścił, słuchano go przez bojaźń zasmucenia go. Kochano go szczerze i z tej także przyczyny, że każdy podwładny rycerz widział w nim wyobraziciela charakteru narodowego.

Był to Giermanik polski, którego cały obóz, cały Rzym opłakiwał, przeciw którego popiołom cała ludność stolicy świata ze łzami i wyrzekaniem wyległa, gdy urnę, w której zamknięte były jego popioły, do grobu Cezarów niesiono. Warszawa i Polska widziała taki sam pochód.

Odwrót z pod Moskwy

przez S. Askenazego.

Po niedługim pod Smoleńskiem spoczynku, prostą już drogą na Moskwę postępował Poniatowski, osłaniając awangardę Murata.

W początku września, nie dochodząc Borodina, uczestniczył w krwawym boju wstępnym, gdzie wraz ze świtą, osaczony chwilowo przez kawalerję nieprzyjacielską, musiał sam pałaszem torować sobie wyjście. Dwa dni później, w wielkiej bitwie borodińskiej, oddany prawie na stracenie, bił się

z impetem, rozwagą i szczęściem. 14 września ze strażą przednią wkroczył do Moskwy; na dwa dni tylko tutaj się rozłożył, pod karą najsurowszą wszelkiego wzbroniwszy rabunku; w rzeczy samej jedyne bodaj jego wojska najmniejszego nie tknęły łupu. Zresztą zaraz pośpieszył wysunąć się za Moskwę w tropy ustępującego nieprzyjaciela. Niebawem pod Czarykowem, przy wielkim trakcie kałuskim, na szybko i trafnie obranej pozycji stoczył na własną rękę sześciogodzinną uporczywą potyczkę, którą w ostatniej już chwili, prowadząc osobiście do ataku dwa szwadrony strzelców konnych, pomyślnie rozstrzygnął.

Ale były to ostatnie śmiertelne drgnięcia gasnącej ofensywy napoleońskiej.

Rozpaczliwość położenia poczynała się ukazywać w całej grozie. Z pięknego swego korpusu miał przy sobie Poniatowski już tylko niespełna półpięta tysiąca bagnetów i do tysiąca koni, jedynie artylerję cudem jakimś zachował niemal w całości żadnego też aż do samego końca nie utracił sztandaru. Tymczasem, straszniejsza od ludzkiej, nadciągała nieprzyjazna potęga żywiołów. Nastawały przejmujące nocne chłody, szła przedwczesna ostra jesień, zapowiedź mroźnej, morderczej zimy. Nie łamał się przecie książę Józef, nie uginał w nieszczęściu; owszem, prostował się, mocnił, uczył. Dawał z siebie przykład znużonemu wojsku, sam codziennie od świtu ukazując się konno przed frontem, częstokroć po godzin kilkanaście bez przerwy na siodle, zawsze pogodny, przytomny i czujny. Ta jego niezmordowana, systematyczna czujność, nie dająca się nigdy zaskoczyć znienacka, choć zmęczonemu żołnierzowi wtedy nieraz niemiła, miała wkrótce okazać się zbawienną, kiedy armja nieprzyjacielska w drugiej połowie października przeszła nagle do ofensywy i kiedy dzięki przytomnemu wdaniu się Poniatowskiego pod Woronowem, uratowane zostało od zagłady skrzydło Murata, być może sam środek wielkiej armji.

Po tej walce dwunastogodzinnej, w której stracił ulubionego Fiszera, liczył już książę w swoim korpusie zaledwo cztery tysiące ludzi. Zbliżał się odtąd początek końca, podjęty został zapóźno beznadziejny odwrót z pod Moskwy. Topniały z dnia na dzień w okropnych przeprawach tego odwrotu osłabione kadry polskie, wysuwane dla osłony w straży tylnej, w ustawicznych walkach z nieprzyjacielskim pościgiem. Z zakrwawionym sercem patrzył stroskany wódz na rzednące swoje szeregi, sam w najcięższych potrzebach obecny. Dojeżdżając do Wiazmy w początku listopada, na rekonesansie padł z koniem w skoku, zwichnął nogę i stłukł kolano, krew rzuciła mu się ustami; nie mógł dosiąść konia, musiał oddać dowództwo najstarszemu po sobie rangą Zajączkowi.

Jechał odtąd przodem karetą z rannym adjutantem Arturem Potockim. Kazał sobie podać do pojazdu walający się na śniegu duży jakiś foljant i ucztował w drodze; ten tom II-gi uczonego opisu Turecczyzny z którejś pańskiej bibljoteki, był jedyną zdobyczą, jaką przywiózł do domu z wyprawy; i może właśnie dlatego tej ciężkiej księgi nie cisnął, lecz ją dowiózł.

Dobiwszy do Smoleńska, zaraz zwrócił się do sztabu głównego z usilną prośbą o zluzowanie nareszcie jego korpusu, nieszczęsnego korpusu V, „garstki mężnych", liczącego już teraz ogółem pod bronią 600 ludzi piechoty, 30 jazdy, lecz jeszcze przy 45 armatach, oprócz artylerji pułkowej. Na stawie zamarzłym pod Krasnem spotkał się z Napoleonem, idącym pieszo dla gołoledzi, którego nie widział od Borodina; cesarz wstąpił na stopień karety i dość długo poufnie rozmawiał z księciem. Nad Berezynę przybył książę w końcu listopada, w przededniu katastrofy, wyczerpany od udręczeń, zimna i głodu; dano mu parę gorących kartofli, jadł je ze smakiem, ale i płakał, patrząc na nędzę żołnierza. Szczęśliwym tylko trafem koło trzeciej w nocy przejechał

przez most zatłoczony; utracił tu ostatnie bagaże i musiał spalić resztę papierów sztabowych. W Wilnie stanął z Polaków najpierwszy, zatrzymał się dla poczynienia najniezbędniejszych zarządzeń i dodania otuchy, jednak tak jeszcze osłabiony, że o objęciu komendy czynnej nie mogło być mowy.

W pierwszej połowie grudnia stanął w Warszawie, dokąd za nim po dwuch tygodniach nadciągnęły pierwsze niedobitki V korpusu, paruset ledwo ludzi, wynędzniałych, lecz z artylerją i sztandarami. Na ten widok zalał się łzami, słowa nie mógł przemówić. Ale nie było czasu do rozczuleń, opanować wypadło wrażenia, wyprężyć wolę. Po tak wysokim napięciu energji trzeba było bez wytchnienia zdobyć się na wyższą. Po tak wielkiej, dopiero co przebytej próbie, bezpośrednio, bez chwili przerwy, nadeszła większa, największa w życiu księcia Józefa — przedśmiertna.

Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego

Ze «Śpiewów historycznych» J. U. Niemcewicza.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami,
Białe z czerwonem proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:
„Nasi wracają!”

Niedługa radość! Każdy pyta chciwie,
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przewodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był kiedyś duszą i ozdobą;
Okryte orły, zbroje wojowników,
Czarną żałobą.

Już go nie widać pośród hufców dzielnych...
Gdzież jest?... Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj — złożone na marach śmiertelnych
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,
Ciągną go wierni towarzysze boju
Pierśmi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;
Idź, koniu, smutnie! już pan twój bezpieczny
Zamknął dni swoje.

Żałosne trąby, wy, flety płaczliwe,
Wy, srebrne orłów chwiejących się dźwięki,
Umilczcie, ranią piersi moje tkliwe
Te smutne jęki.

Patrz: przed świątynią, przy światłach gasnących,
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi
I wnosi wpośród grzmotu dział bijących
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach! przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody,
I zamiast słodkich nadziei ziszczenia,
Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze — już jesteś szczęśliwy.
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów,
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak w ostatniej toni,
Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,
Runąłeś z koniem i z orężem w dłoni
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi,
Ten napis twarde zachowają głazy:
„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
I żył bez skazy".

Stanisław Staszyc

podług Wł. Zawadzkiego.

Wielki patryjota, gorący przyjaciel ludu wiejskiego i znakomity uczony, niestrudzony pracownik około moralnego i materjalnego odrodzenia narodu, Stanisław Staszyc należy do tych mężów, których znajomość życia powinna być obowiązkiem każdego Polaka.

Staszyc urodził się w roku 1755 w Pile w Wielkopolsce, jako syn niezamożnej rodziny mieszczańskiej. Po odebraniu gruntownego wykształcenia za granicą, gdzie poświęcał się naukom przyrodniczym i filozofji, wrócił do kraju i tu nader wcześnie wziął udział w życiu publicznym. Mając lat trzydzieści napisał i ogłosił słynne dzieło „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego", w którym przedstawiwszy smutny

stan upadającej Polski, podał szereg sposobów jej podźwignięcia. W tym dziele zwrócił przedewszystkim uwagę na upadek i poniżenie, w jakim znajdowała się ludność wiejska i gorąco przemawiał za zajęciem się jej losem. Następnie ogłosił Staszyc cały szereg innych pism politycznych, które podobnie jak tamto, wywarło wielki wpływ na umysły, a wiele myśli jego przeniknęło do słynnej ustawy 3-go maja.

Po upadku ojczyzny, gdy Warszawa znalazła się pod panowaniem pruskim, Staszyc, rozumiejąc doniosłość życia umysłowego, zajął się gorliwie rozwojem utworzonego świeżo Towarzystwa Przyjaciół nauk, którego zadaniem było utrzymanie języka polskiego, oraz krzewienie nauki i oświaty polskiej. Przez długi szereg lat przewodniczył Staszyc tej instytucji i z własnych funduszów nabył dla niej gmach dla pomieszczenia zbiorów i bibljoteki. Jednocześnie sam gorliwie oddawał się nauce, mianowicie ulubionemu od wczesnych lat przyrodoznawstwu. On pierwszy z Polaków odbył podróż naukową po Tatrach i napisał znakomite dzieło „O ziemiorodztwie Karpatów". Badaniom tym towarzyszyła myśl, aby poznawszy kraj ojczysty i bogactwa, spoczywające w łonie jego ziemi, zużytkować je następnie dla podniesienia dobrobytu rodaków. Był bowiem Staszyc jednym z tych uczonych, dla których wiedza jest środkiem, prowadzącym do pomnożenia szczęścia ludzkiego. „Umiejętności — pisał—dopóty są próżnym tylko wynalazkiem, dopóty czczym rozumu wywodem, dopóki nie są zastosowane do użytku narodu."

Za czasów Księstwa Warszawskiego objął Staszyc wysokie urzędy publiczne, pracując głównie na polu wychowania i przemysłu. Jako dyrektor ówczesnej „Komisji Edukucyjnej" zadziwiał wszystkich niesłychaną pracowitością, tak, iż zdumiewano się powszechnie, że siły jednego człowieka sprostać mogą takiej ilości pracy.

Najczynniejszym był wszakże jako dyrektor gieneralny w wydziale przemysłu i rzemiosł. Tu położył on niespożyte

zasługi, a ślady i skutki jego potężnej działalności przetrwały do naszych czasów. Przejęty myślą pomnożenia bogactw krajowych, otaczał opieką swą handel, budował drogi, założył Szkołę dróg i mostów w Warszawie, a zwłaszcza z zapałem jął się pracy około rozwoju górnictwa. „Przyrodzenie—mówił Staszyc na jednym z posiedzeń Towarzystwa nauk, — obficie kraj nasz obdarzyło. Mamy rozległe góry miedzi, ołowiu, cynku, srebra — mamy niezmierne kopalnie żelaza, źródła wód mineralnych, różnego gatunku sole, siarki, i nieprzebrane kopalnie węgli ziemnych. Przecież dotąd z zagranicy kupujemy cynk, miedź i ołów. Dotąd wyrabiamy proste tylko w sztukach żelazo, nie robimy stali ani kutej ani lanej, od obcych kupujemy wszystkie narzędzia żelazne, rolnicze, wszystkie sprzęty potrzeby, wygody i zbytku. Nawet i ten oręż do oswobodzenia, do obrony tak nam drogiej, tak ukochanej ojców naszych ziemi, mamy tylko z cudzej ręki."

Stosownie do tych słów, rozwinął Staszyc skrzętne zabiegi około stworzenia przemysłu górniczego, a dla wydoskonalenia sił krajowych założył Szkołę górniczą w Kielcach. Wnet otwarto kopalnie miedzi i żelaza, pozakładano huty. W Dąbrowie odkryto kopalnie galmanu, postawiono dwadzieścia i dwie hut cynkowych. W Chęcinach założono fabrykę wyrobów marmurowych. W Chęcinku i Suchedniowie zajął się Staszyc dobywaniem soli i rudy żelaznej. Zaniedbane kopalnie olkuskie usiłował przywrócić do dawnej świetności i kazał bić pierwsze dziesięciozłotówki ze srebra krajowego, według podanego przez siebie rysunku.

Był Staszyc surowych obyczajów, odmawiający sobie wszystkiego, z żelazną wytrwałością idący do raz powziętych celów. Doszedłszy dzięki oszczędności i szczęśliwym obrotom pieniężnym, do znacznej fortuny, przyczyniał się własnemi częstokroć funduszami do podnoszenia ruchu przemysłowego w kraju, wspierał także chętnie ubogą uczącą się mło-

dzież, a czynił to z tak nadzwyczajnym uczuciem delikatności, że zwykle nie wiedzieli o tym ci, którzy dobrodziejstw jego doświadczali. O ile gorąco popierał nadanie swobód ludowi, o tyle obstawał przy silnej i energicznej władzy i był

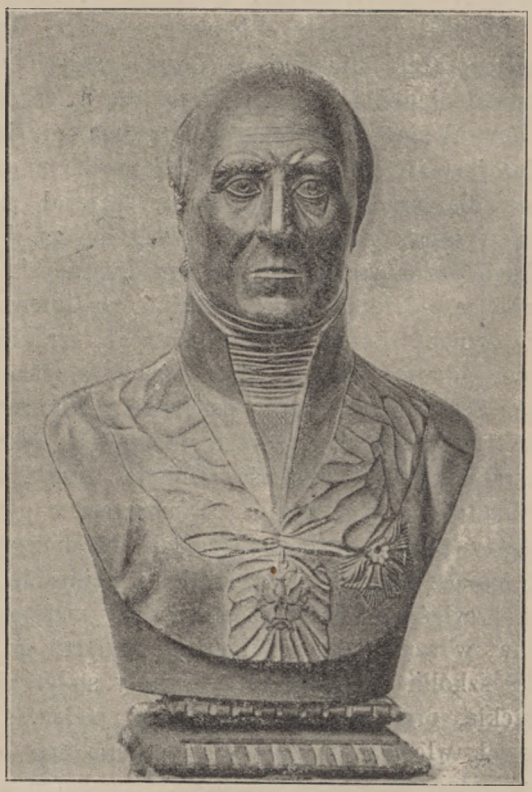

Stanisław Staszyc.

nieugiętym jako urzędnik w przestrzeganiu czynności swych podwładnych.

Oszczędność Staszyca była ogólnie znaną, a ludzie, sądzący z pozoru, nie cofali się przed jawnym jej wyszydza-

niem. Nie znali przecież pobudek, które go do takiej oszczędności skłaniały. Przejęty posuniętą do fanatyzmu miłością bliźniego, postanowił ten mąż niezwykły, wszystko, co miał, oddać potrzebującym i cierpiącym; cokolwiek też obracał na użytek własny, uważał to za uszczerbek, czyniony tamtym. Gromadząc skarby dla uszczęśliwienia innych, sam żył jak anachoreta. Mieszkał w dwuch małych pokoikach, przez lata całe jeden i ten sam frak czarny służył mu za ubranie, obywał się najskromniejszą obsługą, nie jadał innego obiadu, jak złożonego z rosołu i kawałka mięsa. Lubił teatr, lecz dla oszczędzenia wydatku zawijał się zwykle w płaszcz wytarty, głowę przewiązywał chustką, by nie być przez nikogo poznanym, i tak szedł na „paradyz", jako najtańsze miejsce, gdzie w kącie, schowany za tłumem, przysłuchiwał się sztuce. Łatwo zrozumieć, że to ostatnie byłoby niemożliwe, gdyby w osobie niepokaźnego słuchacza poznano jedną z najpopularniejszych osobistości Warszawy.

Tak żył jeden z najwyższych urzędników kraju, piastujący w ostatnich latach godność ministra, który, umierając, zostawił około 6 miljonów złp. Tymczasem w głowie tego męża, poczytywanego powszechnie za dziwaka, dojrzewały plany ogromne, mające na celu uszczęśliwienie najliczniejszej klasy narodu, t. j. włościan. Nabył bowiem duży majątek ziemski, Hrubieszów, w województwie lubelskim, urządził go wzorowo, pozakładał szkółki elementarne, warsztaty stolarskie, ciesielskie i tkackie, oraz szpital; ziemię zaś podzielił na części i rozdarował włościanom, których zorganizował w „Towarzystwo rolnicze wzajemnej pomocy". Urządzone w ten sposób dobra Hrubieszowskie miały być w intencji Staszyca zawiązkiem większej budowy, która, stosownie do nakreślonych sobie ustaw, rosnąc w coraz większe rozmiary, w coraz szersze rozprzestrzeniając się kręgi, miała z czasem cały lud wiejski w Polsce przez stopniowe wykupno ziemi oswobodzić z poddaństwa. Był to najpiękniejszy czyn Staszyca,

najchlubniejsze świadectwo jego wzniosłych i szlachetnych dążności i zarazem dzieło, którego trwałość zaszczytnie świadczyła o mądrości założyciela.

Utworzone przez Staszyca Towarzystwo rolnicze Hrubieszowskie było głównym przedmiotem jego zajęcia aż do śmierci. Konając, jeszcze o nim myślał, troszczył się o jego pomyślność.

Lecz wielkiej swojej fortuny użył, prócz tego, na cały szereg innych dzieł publicznej użyteczności. Jego to kosztem stanął, zdobiący dotąd Warszawę, wspaniały pomnik Kopernika, wykonany przez rzeźbiarza duńskiego Thorwaldsena. Około miljona złotych zapisał na cele dobroczynne. Gdy zmarł w r. 1826, cała Warszawa, cała Polska okryła się żałobą, a pogrzeb jego zamienił się we wspaniałą manifestację narodową.

Liceum Krzemienieckie

przez Jana Krzywdę.

„Gimnazjum wołyńskie" w Krzemieńcu, wielkie dzieło Kołłątaja i Czackiego, należy do tych dzieł, któremi cywilizacja polska będzie miała prawo chlubić się po wszystkie czasy.

Przy całym rozległym planie nauk, daleką była młodzież od przeciążenia pracą. Zajęcia szkolne w Krzemieńcu trwały tylko dwie godziny rano i dwie po obiedzie; nadto dwa dni miały popołudnie wolne, tak, iż liczba godzin obowiązkowych w tygodniu wynosiła dwadzieścia. Umiejętny system nauczania wynagradzał tę szczupłość godzin, a młodzież tym chętniej garnęła się do nauki. Czas wolny obracano na przedmioty nieobowiązujące, jak śpiew i muzykę, oraz na sporty, szczególnie fechtunek, jazdę konną i pły-

wanie, które zachowywały dobroczynną równowagę między wysiłkiem umysłu i ciała. Nie krępowała szkoła wrodzonej żywości młodzieży i ochoty do zabaw. Niezależnie od licznych festynów, urządzanych w zakładzie, mogli uczniowie brać duży udział w życiu towarzyskim, które tkwiło w małym Krzemieńcu, niby w stolicy, (gdyż wiele rodzin obywatelskich stale tu przemieszkiwało), a nawet uczęszczać mogli na równi ze starszemi „na kasyno”. Swoboda ta, którą darzono młodzież, nie wykluczała czujnej opieki nad nią poza murami szkoły, opieki w najszlachetniejszym znaczeniu, wolnej od drobiazgowej kontroli. Uczniowie, których rodziny przebywały poza Krzemieńcem, mieszkali w t. zw. konwiktach, których organizacją zajął się sam Czacki, umieszczając po ośmiu do dziesięciu chłopców w domach prywatnych. Kilkanaście miejsc bezpłatnych utrzymywał rząd, kilkanaście—obywatele wołyńscy, a nadto zamożniejsi uczniowie utrzymywali swoim kosztem dwudziestu kolegów uboższych. Fakt ostatni świadczy, jakim duchem umiał Czacki natchnąć wychowańców swej szkoły. Nad konwiktami wykonywała szkoła czujną i nieustanną kontrolę za pośrednictwem umyślnego urzędnika.

Atoli tym, co dzieło Czackiego wynosi tak niesłychanie wysoko ponad poziom przeciętny szkolnictwa nietylko tamtych, lecz i naszych czasów, była przedewszystkim atmosfera moralna, był nastrój, jaki panował w szkole. Ucznia z nauczycielem wiąże tu nić zaufania i miłości. Postępowanie nauczyciela cechuje wyrozumiałość przyjacielska, w zachowaniu się ucznia przebija głęboki dla kierowników swych szacunek i subordynacja, nie wykluczająca zupełnej swobody w obcowaniu. Nauczyciele krzemienieccy, to prawdziwi ludzie nauki i prawdziwi wychowawcy z powołania. Nie przestają oni do końca życia doskonalić się sami, posiadają własną organizację ku wzajemnemu kształceniu się, odbywają perjodyczne zebrania dla roztrząsania różnych zagadnień pe-

dagogicznych. Rozumieją, że zadaniem ich nietylko nauczać ale — w równym stopniu — wyrabiać charaktery. Niezdrowa pokora, uniżoność, przebiegłość, nie są znane w Krzemieńcu. Poszanowanie godności osobistej ucznia i rozwijanie w nim poczucia szlachetnej dumy jest jednym z głównych przykazań wychowawcy krzemienieckiego. Założyciel szkoły wyraża z całym naciskiem życzenie, aby nauczyciele: „ile możności starali się używać raczej kar wstydzących, martwiących, przynoszących cierpienie umysłu, a powściągali się od kar niewolniczych."

Chcąc wyrobić u młodzieży zmysł samodzielności, sprawiedliwości i poczucie honoru, nie waha się Czacki zaprowadzić dla wyższych klas, sądów studenckich, o daleko sięgających prerogatywach, w celu rozstrzygania sporów między młodzieżą. Warte poznania są zasady tej jedynej w swoim rodzaju instytucji. Trybunał złożony z „arbitrów", wybranych przez ogólne głosowanie, rozpatruje sprawy, których przedmiot stanowi zaniedbywanie nauk, niesubordynacja, wina przeciwko obyczajom, uderzenie w złości, lub obelżywe wyrazy; za przewinienia te wyznacza kary odebrania prawa noszenia szpady, aż do „uznania niesposobnym znajdowania się w społeczeństwie uczniów." Kary te w wypadkach ważniejszych podlegają zatwierdzeniu dyrektora, ten zaś ma obowiązek dążyć wpierw do polubownego załatwienia sporu, w myśl przezornej maksymy założyciela i patrona zakładu, iż „wielość ugód będzie zasługą sędziów, wielość spraw popieranych będzie zakałą skarżącego.

Był czas, iż idee Krzemieńca przyświecały nie samemu tylko polskiemu społeczeństwu. W roku 1806 rosyjski minister oświaty Zawadowskij pisał do Czackiego: „Wiodącym między sobą spór, że natura znużona wydawaniem wielkich gienjuszów, spoczywa w naszym wieku, wskażę na gienjusz Czackiego, który na parnasie polskim wskrzesza mury obumarłe w Attyce ..." W dwa lata potym cesarz Aleksander I

zapewniał Czackiego: „Znakomite zasługi WM. Pana w rozszerzeniu narodowego oświecenia zjednały mu względy i ufność moją, które się nigdy nie zachwieją.

Zachwiało się atoli co innego: zachwiał się system polityczny w państwie, a w ślad za tym, w r. 1832 rząd zburzył gmach „Aten wołyńskich".

Towarzystwa młodzieży wileńskiej

przez Józefa Chociszewskiego

W Wilnie, stolicy Litwy, założył Stefan Batory akademję, czyli najwyższą szkołę. W roku 1807 objął przewodnictwo nad tą akademją Jan Śniadecki, jeden z najuczeńszych Polaków. Szkoła wileńska była wówczas pierwszorzędnym ogniskiem oświaty polskiej, a że Śniadecki zachęcał także gorliwie do życia moralnego i surowo przestrzegał, aby młodzież nie oddawała się próżniactwu, przeto kwitnęła także cnota na wileńskim uniwersytecie.

Młodzież utworzyła tam z własnego popędu trzy towarzystwa, t. j. Filomatów, Filaretów i Promienistych, które po wszystkie czasy będą wzorem dla polskiej młodzieży.

Dnia 1 października 1817 r. siedmiu młodzieńców powołało do życia związek pod nazwą Filomatów. Jest to grecka nazwa, oznaczająca przyjaciół nauk. Założycielami byli: Tomasz Zan, Józef Jeżowski, A. Mickiewicz, Jan Czeczot, Łoziński, Malewski i Onufry Pietraszkiewicz. Głównym celem Filomatów było, jak pisze Ignacy Domejko, „dobro kraju, dawne cnoty, przechowanie narodowości i charakteru staropolskiego." Środkiem dla osiągnięcia tego celu miało być zamiłowanie nauk, szerzenie oświaty i braterstwo. Co dwa tygodnie odbywały się posiedzenia, na których czytano rozprawy literackie. Przedmiotem ustnych narad miało być

obmyślanie środków, dążących ku szerzeniu oświaty i braterstwa między młodzieżą, ku utrzymaniu w niej ducha narodowego, aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szanował bardziej cnotę i uczciwość obywatelską, niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami Towarzystwa zalecano przedewszystkim szczerość i pomoc wzajemną. Nie cierpiano pijaństwa i obżarstwa; powszechnemi napojami była woda i mleko.

Prezesem Filomatów był Jeżowski, ale głównie Mickiewicz i Zan przyczynili się do wzrostu Towarzystwa. Zan był matematykiem i poetą, znał też dobrze języki starożytne, literaturę i historję polską. Śpiewał pięknie i lubił bardzo muzykę. Kiedy wpadał w uniesienie, zdawało się, jakoby z jego oczu i czoła błyskały promienie; dlatego podobno wileńskie stowarzyszenie młodzieży przybrało nazwę Promienistych. Twarz Zana była zawsze pogodna; przytym posiadał tak silne pojęcie piękna i moralności, że nie cierpiał nietylko przekleństw, ale nawet nie przepuszczał dwuznacznikom. Pijaństwo i rozpustę uważał za środek upodlenia i upadku ducha; sądził też, że zapomocą muzyki, poezji, miłości i czystości obyczajów można dźwigać z upadku ludzi nawet najbardziej zepsutych.

Potym utworzył Zan nowe, daleko obszerniejsze stowarzyszenie pod nazwą Filaretów t. j. Przyjaciół cnoty, które zostawało pod niewidzialnym kierunkiem Filomatów. „W pierwszym artykule zastrzeżono,—pisze Domejko — że Filareci nie będą zajmowali się polityką, a głównym ich celem będzie oświata, nauka, wzajemne braterstwo i miłość ojczyzny. Towarzystwo dzieliło się na grona czyli oddziały, stosownie do gałęzi nauk, jakim się oddawali jego członkowie; utworzono grona: prawników, literatów, lekarzy, matematyków i naturalistów. Ustawy były krótkie i jasne. Przyrzekano przed nienależącemi do towarzystwa nie wyjawić jego bytu, tak

dla uniknięcia nieprzyjemności ze strony władz rządowych, jak dla dobra Filaretów, aby nie szukali chluby z dobrych uczynków przed światem, a w cichości oddawali się naukom, zachowując między sobą zgodę, braterstwo i obyczajność. Każdy, kto mógł, płacił filareckiego podatku złoty na miesiąc, a pieniądze obracano na książki, utrzymanie czytelni i niezbędne potrzeby. Na posiedzeniach czytano prace i toczyły się rozprawy w przedmiotach naukowych i literackich. Członkowie nietylko ćwiczyli się w sztuce pisania, ale też nabywali daru rozprawiania ustnie, z umiarkowaniem i jasno, w przedmiotach częstokroć zawiłych, przestrzegając wzajemnie przepisów dobrego wychowania, czystości języka i poprawności stylu."

Istniała jeszcze trzecia nazwa Promienistych dla stowarzyszonej młodzieży w Wilnie. Nie jest znaną bliżej organizacja Promienistych, a nawet nie wiadomo, skąd właściwie powstała nazwa, gdyż jedni ją wywodzą od promieni, które biły z oczu i czoła Zana, inni od promieni słońca, a jeszcze inni od tak zwanych „promionków". Zan twierdził, że piękność, czułość, niewinność, są to trzy najpiękniejsze promionki duszy ludzkiej, świadczące o jej boskim początku. Jeżeli człowiek prowadzi czyste, moralne życie, wtedy owe trzy promionki otaczają każdego człowieka, szczególnie zaś młodzieńca lub dziewicę, rodzajem tęczy świetlanej, która w zetknięciu się z podobną osobą, a mianowicie, jeżeli istoty zapłoną do siebie świętym ogniem miłości lub przyjaźni, zlewa się w jedną wspólną tęczę, opromieniającą dwie dusze i powołującą je ku niebu, jako ostatecznemu celowi życia ludzkiego na ziemi. Wierzono, że z oczu i czoła Zana bardzo silnie tryskały „promionki", jeżeli był otoczony zacną młodzieżą, ale gasły, jeżeli się stykał z sercami zimnemi lub nieczystemi.

Promieniści dzielili się na sześć następnych województw: zielone, różowe, granatowe, amarantowe, błękitne

i białe. Każde województwo posiadało swego wojewodę, podkanclerza, skarbnika, podwojewodziego, referendarza, stolnika i obywateli. Na czele wszystkich Promienistych stał t. zw. „dwór”, złożony z 9 osób, a Zan był najwyższą powagą i głową całego związku. Na zebraniach i na wycieczkach śpiewano stosowne pieśni, które głównie układał Mickiewicz. Promieniści zbierali się często na majówki w okolicach Wilna. Równocześnie ze wschodem słońca wyruszała młodzież, śpiewając po drodze wesołe pieśni. W lesie oczekiwały wiadra z mlekiem i chleb, a nie było wcale wina, piwa, a co już najmniej wódki. Tu przemawiał Zan, zalecając, aby każdy z Promienistych starał się o nabywanie cnót. Zachęcał do skromności, łagodności, do tłumienia samolubstwa i ukochania ziemi ojczystej. Potym bawiono się ochoczo, a co chwila odczytywał ktoś jakiś wierszyk lub ułamek prozą; najwięcej przecież śpiewano pieśni. Na tych majówkach, pod gołym niebem, na zielonej dolinie, przy wspólnej zabawie łatwiej się otwierały serca i zawiązywały się uczucia przyjaźni.

Owe majówki Promienistych wywierały tak silny wpływ na uczestników, że Ignacy Domejko, przebywający w Ameryce, jako starzec 70-letni, z młodzieńczym zapałem wspomina te błogie chwile młodości, a Mickiewicz w „Sonetach Krymskich” opisując przecudne widoki na Krymie, tęskni za skromnemi zabawami w ukochanej Litwie.

Towarzystwa młodzieży wileńskiej, a szczególnie Promienistych, wywierały błogi wpływ na studentów. Dawne burdy i zawichrzenia, lenistwo, marnotrawstwo, pijaństwo, sobkostwo znikało, a natomiast zakwitły piękne cnoty: pracowitość, zgoda, duch religijny i miłość ojczyzny.

Niestety! tylko pięć lat trwał ów ruch piękny, ale choć krótko istniał, zapisał się zaszczytnie na kartach dziejowych naszego narodu.

Z powstania listopadowego

podług J. Barzykowskiego.

Po wybuchnięciu powstania, Warszawa była przez 24 godziny zamknięta, nikogo nie wypuszczano, a przeto i prowincja nie miała przez 24 godziny wiadomości pewnych. Wieść tylko niepewna przekradała się o zaszłych wypadkach i wielką niespokojność wywołała. Drugiego dopiero dnia rozeszły się wiadomości z ust do ust, ze wsi do wsi podawane i jak błyskawica obiegły kraj cały. 30 grudnia już prawie cała Polska wiedziała o tym, co zaszło. Wszystko to było niespodziewane, a więc zrobiło wielkie wrażenie, ale że podana wieść niosła, że powstanie wybuchło, że krew na ulicach płynie, przeto pierwsze powszechne uczucie było, nie zgłębiając przyczyn i skutków, los braci podzielić. Pan i włościanin, obywatel i urzędnik, kapłan i żołnierz, wszyscy tym samym uczuciem ożywieni byli. Wszystko biegło do miast obwodowych i wojewódzkich dla dowiedzenia się, jak rzeczy stoją i dla przedsięwzięcia środków, jakie za najwłaściwsze uznane będą. Przyszły niebawem odezwy nowego rządu. Nie zagłębiano się w ich prawność i formę, wystarczało to, że były w imieniu narodu wydane i że na nich podpisy Czartoryskiego, Chłopickiego, Niemcewicza się znajdowały, przyjmowano więc je za obowiązujące, i wszędzie gotowość do poświęceń się okazała, a cały kraj sposobił się do walki.

Lecz mimo tego żywego uczucia, jakie się wszędzie okazało i tej gotowości do dzielenia losu stolicy, nie możemy tego przemilczeć, że panowała pewna niespokojność i niepewność o przyszłość ojczyzny. Nie było wiary w udanie się i w dopięcie celu zamierzonego. Uczucie narodowe pchało, ale w gruncie duszy był jakiś głos, co zwątpienie szeptał. Ogłoszenie się Chłopickiego dyktatorem stan ten zmie-

niło i pewna nadzieja zajaśniała. Odtąd można powiedzieć powstanie datuje swoje rozwinięcie i ustalenie. W dyktaturze Chłopickiego było coś magnetycznego i odtąd kraj cały prześcigał się w pierwszeństwie przystąpienia do powstania, nie było zakątka, nie było nikogo, któryby nie pośpieszał z manifestacją swych uczuć, z ofiarą swych usług.

Lecz nie same tylko akta przyłączenia się, adresy, wyrażenia uczuć patryjotycznych rząd odbierał, ale zaraz czyny do nich łączone były. Tłumy ochotników biegły do miast i zaciągały się do szeregów, ochoczo stawali wszyscy do straży bezpieczeństwa i nowych pułków. Obywatele zapisywali, ilu zbrojnych ludzi wystawią. Składano hojne dary i ofiary, mienie prywatne publicznym niejako się stawało. Wszystkie dawne zabytki zamożności, wszystkie upominki przyjaźni i miłości do skarbnicy publicznej niesiono. Pierwsze miejsce w tym zajmują kobiety, które gorliwe posługi w lazaretach czyniły, i duchowieństwo. Nie tylko zamożniejsi nieśli ofiary, ale miasta i wsie brały w tym udział. Włościanie dawali bydło, zboże, i sami się zgłaszali, miasta, cechy nadsyłały również drogocenne dary.

Duchowieństwo świeckie i zakonne odpowiedziało uczynionym wezwaniom nietylko przez modły i prośby zanoszone do Pana Zastępów, ale jeszcze przez czynny udział, jaki wzięło. Srebro, sprzęty kościelne, Bogu poświęcone, chętnie oddawało na potrzeby kraju, dzwony, co wiernych na modlitwę zwoływać miały, na działa do walki przeznaczało. Prócz tego widziano księży, jak z rydlami na barkach śpieszyli, aby wznosić okopy Warszawy, Pragi i Modlina; po wszystkich lazaretach gorliwie wysługi czynili, a nawet na czele pułków z krzyżem tylko w ręku ciągnęli.

Ofiarność i zapał były wielkie, lecz siły za małe, i wszystko skończyło się smutnie!

Śmierć pułkownika

przez Adama Mickiewicza.

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż pułkownika:
Tam w izdebce pułkownik ich kona.

Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze:
Wódz był to wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

* * *

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie:
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.

Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swój kordelas i pas i ładunki:
Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

* * *

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze:
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali
I mówili z księżami pacierze.

* * *

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy.
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już wróg był w tej okolicy.

Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży,
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaka pierś!...
Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica — bohater,
Wódz powstańców: Emilja Plater!

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
CZYTELNIA
w Opolu

TREŚĆ.

	Str.
Słowiańszczyzna—przez Juljana Bartoszewicza	1
Przyroda dawnej Polski—z Długosza	4
Polska w czasach przedhistorycznych—z Feliksa Konecznego	5
Gieograficzny podział Polski—z F. Konecznego	9
Kruszwica—podług St. Stroynowskiego	12
Chrzest Polski—przez Dąbrowę	15
Najdawniejsze osady i ich mieszkańcy—przez M. Winiarza	16
Początki i wzrost chrześcijaństwa—przez Kazimierza Gorzyckiego	19
Polska a podbój Słowiańszczyzny przez Niemców — przez Karola Szajnochę	21
Katedra gnieźnieńska—podług E. Raczyńskiego i Wł. Zawadzkiego	24
Bolesław Chrobry—z Długosza	27
Świetność Bolesława Chrobrego—przez Juljana Bartoszewicza	30
Książęta polscy—przez Stanisława Smolkę	34
Bolesław Śmiały—przez Juljana Bartoszewicza	37
Polska w podziałach—przez Juljana Bartoszewicza	41
Klasztory i zakony w Polsce—przez Antoniego Małeckiego	44
Habdank—z powieści J. I. Kraszewskiego	46
Kraków starożytny—przez Michała Bobrzyńskiego	50
Królowa Kinga—przez Karola Szajnochę	55
Początki miast w Polsce—przez Z. Daszyńską-Golińską	58
Ruś dawna—z Lelewela	60
Drugi napad Tatarów na Polskę—przez Bol. Ulanowskiego	63
Mieszkańcy Polski Kazimierzowej—z Karola Szajnochy	68
I. Rysy ogólne	—
II. Rycerstwo	70
III. Brać szlachecka	74
IV. Wieś i wieśniacy	78
V. Duchowieństwo	81
Władysław Łokietek—przez Józefa Chociszewskiego	84
Litwa przedchrześcijańska—przez J. I. Kraszewskiego	86
O spowinowaceniu Litwy z Polaki.—Z Kroniki Macieja Stryjkowskiego	89

Str
Król kmiotków I—przez Karola Szajnochę 92
II—przez Augusta Sokołowskiego 95
III—podług St. Kozłowskiego. 97
Pogrzeb Kazimierza Wielkiego—z poematu St. Wyspiańskiego . . 99
Jadwiga i Jagiełło—przez Kazimierza Morawskiego 101
Chrzest Litwy—przez Karola Szajnochę 104
Utworzenie akademji krakowskiej—przez Józefa Łukaszewicza . . 110
Polacy na studjach uniwersyteckich—przez Antoniego Karbowiaka . 113
Krzyżacy—przez Karola Szajnochę 117
Grunwald—z powieści Henryka Sienkiewicza 124
Zawisza Czarny—przez Antoniego Prochaskę 127
Czesi a Polacy około r. 1400—przez A. Prochaskę 130
Władysław Warneńczyk i jego wyprawy tureckie — przez Jakóba Caro 133
Wewnętrzny stan Polski za Kazimierza Jagiellończyka—przez F. Papéego 139
Wielkość i oświata Polski za Kazimierza Jagiellończyka—podług Kazimierza Morawskiego i St. Tomkowicza 146
Rzeczpospolita szlachecka—przez Helenę Witkowską 150
Mowa posłów ziem pruskich do Kazimierza Jagiellończyka . . 154
Żona Aleksandra Jagiellończyka—przez J. Bartoszewicza . . . 156
Żmudź—przez A. Prochaskę 161
Troki—przez Władysława Syrokomlę 163
Życie rycerskie—przez Józefa Szujskiego 166
Rrzemiosła i ustrój cechowy—przez Z. Daszyńską-Golińską . . 169
Zygmunt Stary—przez Jana Czarnowskiego 172
Mazowsze i Mazury—przez Juljana Bartoszewicza 174
Wawel—przez Ambrożego Grabowskiego 178
Dzwon wawelski—przez Edmunda Wasilewskiego 181
Księstwo pruskie—przez J. Mycielskiego 183
Gospodarka królowej Bony—przez Kazimierza Pułaskiego . . . 187
Połączenie się Litwy z Polską—przez Wandalina Szukiewicza . . 191
Zygmunt August—podług Seweryna Gołębiowskiego 197
Reformacja w Polsce — podług Teodora Wierzbowskiego i W. Zakrzewskiego 201
Pojęcie ojczyzny, jako czynnik moralny w dawnej Polsce — przez Adolfa Pawińskiego 204
Z dziejów obyczaju w Polsce—podług St. Windakiewicza . . . 207
Handel Polski—przez Z. Daszyńską-Golińską 209
Wojskowość w Polsce—przez Adama Szelągowskiego 212
Elekcja—przez Wacława Sobieskiego 215
Stefan Batory—z „Biesiady literackiej” 218
Batory jako wojownik—przez S. Zakrzewskiego 221
Sejm polski—przez Helenę Witkowską 223
Rządy sejmikowe w Polsce—podług Adolfa Pawińskiego . . . 226
Jan Zamoyski—z „Biesiady literackiej” 231
Piotr Skarga—przez Maurycego Dzieduszyckiego 235
Bitwa pod Kirchholmem—przez kapitana Kudelkę 238
Stanisław Żółkiewski—podług Seweryna Gołębiowskiego . . . 241
List hetmana Żółkiewskiego do żony 243
Kobieta w Polsce—podług Zygm. Kaczkowskiego i Wł. Łozińskiego . 244

Str
Warszawa i Kraków—przez J. Bartoszewicza 247
Lwów dawny—przez Wł. Łozińskiego 255
Kozaczyzna—przez Marjana Dubieckiego 260
Obyczaje Kozaków—przez Kazimierza Pułaskiego 264
Ukraina—„Z Pieśni o ziemi naszej" W. Pola 269
Zdobycze pługa polskiego—przez Karola Szajnochę . . . 270
Władysław IV—przez Wiktora Czermaka 276
Dwór królewski—przez Wiktora Czermaka. 281
Wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu—przez Ludwika Kubalę . 285
Jasna Góra—przez Władysława Zawadzkiego 289
Ostra Brama w Wilnie—przez St. Tarnowskiego. 291
Jan Kazimierz—przez Tadeusza Korzona 293
Śluby Jana Kazimierza—przez Henryka Sienkiewicza. . . . 295
Czarniecki i jego wojska—przez Wiktora Czermaka 299
Chłop polski w walce przeciw Szwedom — przez Józefa Chociszewskiego 305
Wewnętrzny upadek Polski—przez Michała Bobrzyńskiego. . . 307
Jan Sobieski—przez J. I Kraszewskiego 311
List cesarza Leopolda do króla Jana III 316
Obrona Wiednia—przez Augusta Sokołowskiego 317
List króla Jana III do żony 320
Szlachta w okresie wolnych elekcji—przez A. Sokołowskiego . . 325
Czasy saskie i rozkład stosunków w Polsce 327
I—przez Henryka Schmitta . . . . . —
II—przez E. Lubowskiego 329
Rządy rosyjskie w Polsce—przez J. I. Kraszewskiego . . . 332
Kazimierz Pułaski—przez S Kozłowskiego. 335
Pierwszy podział—przez Walerjana Kalinkę. 339
Próby odrodzenia. — Gospodarstwo, szkoły, reforma stosunków włościańskich—przez A. Sokołowskiego 343
Stanisław August—przez Walerjana Kalinkę 348
Szkoła rycerska 351
Sejm czteroletni—przez Augusta Sokołowskiego 355
Przysięga Kościuszki—przez K. Ch. 363
Ostatnia nobilitacja—przez Józefa Szujskiego 370
Żale Sarmaty—przez Franciszka Karpińskiego 373
Legjony—przez Bronisława Dembińskiego 375
Zdobycie Samo-Sierry—przez jenerała Puzyrewskiego . . . 380
Cesarz Aleksander I i Adam Czartoryski.—Z pamiętników Adama Czartoryskiego 382
Puławy—przez Ludwika Dębickiego 385
Z czasów księstwa Warszawskiego—przez L. Finkla 388
Ks. Józef Poniatowski.—Z pamiętników Kajetana Koźmiana . . 391
Odwrót z pod Moskwy—przez S. Askenazego 395
Pogrzeb ks. Józefa Poniatowskiego — ze „Śpiewów historycznych" J. U. Niemcewicza 398
Stanisław Staszyc—podług Wł. Zawadzkiego 401
Liceum Krzemienieckie—przez Jana Krzywdę 405
Towarzystwa młodzieży wileńskiej—przez Józefa Chociszewskiego . 408
Z powstania listopadowego—przez J. Barzykowskiego. . . . 412
Śmierć pułkownika—przez Adama Mickiewicza 414

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu
CM 314463
000-314463-00-0

Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI